ARTUR ŚLIWIŃSKI

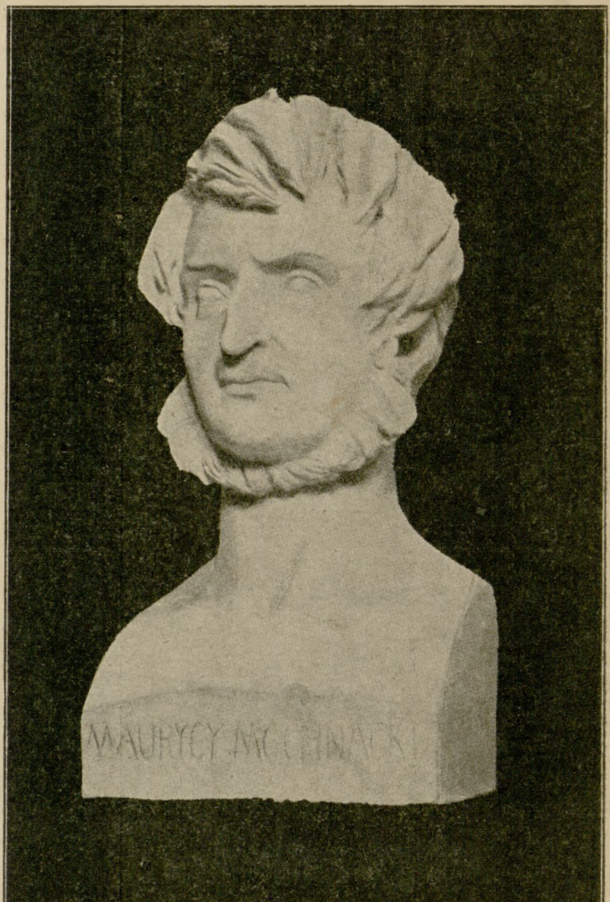
MAURYCY MOCHNACKI

WYDANIE DRUGIE

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO
1 9 2 2

MAURYCY MOCHNACKI

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE,
NOWY-ŚWIAT 41.



Ze zbiorów muzeum
im. Lubomirskich we Lwowie

Wł. Oleszczyński, sc.

MAURYCY MOCHNACKI

ARTUR ŚLIWIŃSKI

MAURYCY MOCHNACKI

ŻYWOT I DZIEŁA

WYDANIE DRUGIE, POPRAWIONE

Z WIZERUNKIEM MOCHNACKIEGO
WEDŁUG RZEŹBY WŁ. OLESZCZYŃSKIEGO

1921

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO.

TEGOŻ AUTORA:

MICKIEWICZ JAKO POLITYK. — Kraków, 1908 (wyczerpane).

JOACHIM LELEWEL. — Zarys biograficzny. Warszawa, 1918.

KONSTYTUCJA TRZECIEGO MAJA. — Wydanie III. Warszawa, 1921.

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE. — Wydanie II. Warszawa, 1920.

POWSTANIE LISTOPADOWE. — Wydanie V. Warszawa, 1920.

POWSTANIE STYCZNIOWE. — Wydanie II. Warszawa, 1921.

POLSKA NIEPODLEGŁA. — Opowiadania z dziejów Polski. Warszawa, 1919.

HETMAN ŻÓŁKIEWSKI. — Warszawa, 1920.

W OPRACOWANIU I Z PRZEDMOWĄ TEGOŻ AUTORA:

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO: PISMA,

PO RAZ PIERWSZY EDYCJĄ KSIĄŻKOWĄ OBJĘTE.

Lwów, 1910.

PRZEDMOWA DO WYDANIA DRUGIEGO.

Pierwsze wydanie książki mej o Maurycym Mochnackim było zarazem pierwszą Mochnackiego biografją [1]). W parę miesięcy po jej ukazaniu się wydane zostało dzieło Jana Kucharzewskiego, nieco później ujrzała światło dzienne praca młodego, przedwcześnie zmarłego historyka, Józefa Gollenhofera, wreszcie mniej więcej w rok potem wydał swą książkę Stanisław Szpotański. W roku 1913 literatura o Mochnackim zbogaciła się pracą Piotra Bańkowskiego p. t. „Maurycy Mochnacki jako teoretyk i krytyk romantyzmu polskiego". Nadto wydrukowane zostały w wydaniu i z przedmową autora książki niniejszej Mochnackiego „Pisma po raz pierwszy edycją książkową objęte" [2]).

---

[1]) Pierwsze wydanie książki niniejszej ukazało się w drugiej połowie roku 1909.

[2]) Wydanie to wywołało szereg słusznych zarzutów i uwag krytycznych ze strony Stanisława Wasylewskiego, który na łamach Pamiętnika Literackiego zamieścił o tych pismach obszerną a bardzo cenną recenzję. Niech mi wolno będzie do wydawnictwa tego dodać tutaj komentarz. Przed przystąpieniem do wydania Pism poświęciłem wiele zachodów i starań, aby zdobyć czasopisma, w których Mochnacki drukował swe prace. Chodziło mi o to, aby arty-

Ukazanie się niemal jednoczesne kilku obszerniejszych prac o zapomnianym przez ogół działaczu i pisarzu, wywołało istną powódź sprzecznych opinij i sądów, ale dopięło celu, gdyż zainteresowało nie tylko świat literacki, ale i szersze koła czytelników.

„Zjawisko, wobec którego obecnie stoimy, — pisał [1]) z powodu ukazania się Pism Mochnackiego, Stanisław Wasylewski, — nie ma sobie równego w całej historji literatury... Czekający dotąd swej chwili pisarz genjalny wszedł w dziedziny literatury z siłą żywiołu, z taką zniewalającą sobie mocą, z jaką wchodzili tylko najwięksi... Stoimy dziś pod znakiem Mochnackiego w historji i w literaturze"...

Nic dziwnego, że od roku 1910 znakomicie pomnożyła się literatura o Mochnackim, że wspaniale wzbogaciła się nasza o nim wiedza, że przybyło mnóstwo przyczynków porównawczych i krytycznych, ułatwiających dzisiaj ocenę niepospolitego działacza, krytyka, historyka i publicysty.

---

kuły mogły być przedrukowane wprost z czasopism. Sądziłem przez pietyzm dla prac Mochnackiego, że w ten sposób uniknę wielu omyłek i błędów, jakie mogłyby się wkraść do artykułów przepisywanych. Jakoż z wielkim trudem zebrany materjał, podzielony na działy, odesłałem do drukarni we Lwowie. Materjał ten, skutkiem nieporozumienia, wydany został bez mego udziału i bez mej korekty. Dostałem dzieło już wydrukowane. W ten sposób wydawnictwo ogromnie ucierpiało. Korekta, wymagająca w tego rodzaju wydawnictwach nadzwyczajnej uwagi, dokonana została w najwyższym stopniu niedbale, przepadły nadto wszystkie przypiski, któremi, robiąc korektę, zamierzałem wydawnictwo uzupełnić. Mochnackiemu, uskarżającemu się niejednokrotnie na błędy drukarskie, raz jeszcze stała się wielka krzywda.

[1]) Stanisław Wasylewski. Pamiętnik Literacki. Zeszyt I. Rok 1911.

Przystępując do nowego wydania swej książki, nie mogłem, oczywiście, pominąć prac późniejszych, a ta okoliczność zniewala mnie do wypowiedzenia kilku uwag, określających stosunek, w jakim do tych prac pozostaje wydanie niniejsze.

Największe o Mochnackim dzieło napisał Jan Kucharzewski. Ta wyczerpująca monografja ukazuje Mochnackiego na szeroko odmalowanem tle ówczesnych wydarzeń, poddaje te wydarzenia bystrej analizie krytycznej i jasno a dobitnie wykazuje, w jaki sposób twórcza a samodzielna myśl Mochnackiego zaważyła na ideologji pokolenia i czem stała się dla umysłowości narodu.

W ujęciu tematu, w metodzie, wreszcie w traktowaniu poszczególnych fragmentów życia i działalności Mochnackiego monografja Kucharzewskiego różni się od monografji mojej, lecz w ogólnej ocenie, w konkluzji niema w obu książkach zasadniczych sprzeczności.

Inną drogą poszedł biograf późniejszy, Stanisław Szpotański. Ogłosił on w swej książce cztery nieznane listy Mochnackiego do Władysława Zamoyskiego, poza tem, z małemi wyjątkami, oparł się na tym samym materjale i czerpał z tych samych źródeł, które zużytkowali biografowie wcześniejsi[1]). Pomimo to doszedł do wniosków biegunowo przeciwnych. Gdy dwaj pierwsi

---

[1]) Dokumenty, pomieszczone przez Szpotańskiego w aneksach, znane były (prócz wspomnianych listów do pułk. Zamoyskiego) wcześniejszym biografom i bądź w całości, bądź częściowo wcześniej przez nich wydrukowane. Z listów do Zamoyskiego dwa są bez większego znaczenia, jeden stanowi drobny przyczynek biograficzny, a jeden tylko przynosi ważne szczegóły, rzucające światło na bliskość stosunków Mochnackiego z obozem ks. Adama Czartoryskiego.

biografowie, nie ukrywając słabych stron charakteru i zasługujących na potępienie postępków Mochnackiego, widzą w nim potężny oryginalny umysł i przyznają mu wielkie zalety, jako przenikliwemu działaczowi, Szpotański w sposób wysoce krytyczny ocenia te zalety. W polityku-działaczu nie dostrzega wielkości, a powodzenie i hałas, jaki Mochnacki czynił wkoło siebie, sławę, jaką zdobył śród spółczesnych, wreszcie autorytet, jakim imię jego otoczyli potomni, przypisuje talentowi literackiemu znakomitego pisarza. Zdaniem Szpotańskiego, Mochnacki - działacz nie posiadał zmysłu realnego. Była to głowa egzaltowana, fantastyczna, skłonna do uniesień, do gwałtownych wybuchów, do olśniewających występów retorycznych. Słowami mocnemi, a pełnemi świetności, twierdzi Szpotański, przekupił Mochnacki „wszystkich swoich biografów, całą Polskę prawie” [1]).

Nie jest moim zamiarem podejmowanie polemiki z poglądami, wypowiedzianemi przez innych o Mochnackim. Poglądy te wypływają i wypływać muszą z osobistego światopoglądu piszących. To też nie tylko w Mochnackim, lecz także w jego biografach szukać należy przyczyn i podstawy do wygłoszonych o nim rozbieżnych sądów i opinij.

Dla ilustracji tego twierdzenia przytoczę parę przykładów.

W „Głosie Obywatela z Poznańskiego”, puszczonym w obieg z okazji sądu sejmowego, Mochnacki, odpowiadając na pytanie, co to jest ojczyzna, takie nakreślił słowa:

---

[1]) Maurycy Mochnacki, str. 202/3.

„Zaprawdę, nie jest nią ta piaszczysta przestrzeń Mazowsza, ani Wisła, przerzynająca niezmierzone okiem przestrzenie wasze, ani stolica, ani wspaniałe w niej siedliska władz rządowych, ale jest nią owa wielka myśl politycznej niepodległości i nadzieja, że się kiedyś za przewodnictwem i pomocą bożą w jedną nierozdzielną sprężymy całość, że będziemy twierdzą Europy, pogromem dla złych sąsiadów i wybranym Słowiańszczyzny ludem. Te tylko wyobrażenia, senatorowie, są dzisiaj Polską!"...

Szpotański, przytaczając te piękne słowa, czyni uwagę następującą:

„Tak abstrakcyjnego pojęcia ojczyzny żadną miarą mieć nie mógł polityk, mąż stanu w owym czasie, gdy Polska bądź co bądź żyła w swoich instytucjach, gdy, choć dławione, miała jednak realne życie polityczne. Pojęcie takie, — powiada Szpotański, — stworzył poeta [1]), dla którego instytucje owe uroku nie miały, ani mu wyobraźni zająć nie mogły, zrodziło się ono powtórnie już nie w jednostce, ale w ogóle, który realną ojczyznę stracił i myśl tylko o niej na obczyznę uniósł".

Wystarczy podkreślić, że Mochnacki pisał swą odezwę na dwa lata przed wybuchem powstania, a następnie zestawić poglądy autora odezwy i jej krytyka, aby dotrzeć do podłoża miary krytycznej, zastosowanej przez biografa do owego pojęcia ojczyzny, którą Mochnacki - polityk nosił i piastował w swem sercu.

Ta sama miara krytyczna sprawiła, że Szpotański odmawia Mochnackiemu wpływu, jaki wywierał na umysły współczesne i kształtowanie się opinji.

---

[1]) Podkreślenie moje.

„Członkowie sądu sejmowego, — pisze, — byli ludźmi zbyt wytrawnymi, zbyt wiedzącymi, co trzeba czynić i upartymi w swojem zdaniu, aby miał je zmienić lub nawet zachwiać jakikolwiek list otwarty, choćby najgenjalniej napisany”...

— Gdyby, — powiada Szpotański, — „Głos Obywatela” był drukiem a nie odpisem, mógłby rewolucjonizować umysły i być jednym z czynników „w tworzeniu się tego ducha, który Polakom miecz do ręki włożył w dniu 29, listopada”, jako odpis, „nie mógł mieć żadnego politycznego znaczenia”...

Pomijam sprawę, czy druk ulotny, czy krążąca w licznych odpisach odezwa mogła być w warunkach ówczesnych rozpowszechniana szerzej. To przecież pewna, że owi uparci a wytrawni mężowie, owi ludzie, wiedzący rzekomo, co czynić, najzupełniej stracili głowy, gdy w pamiętny wieczór listopadowy okrzyk: „Polacy! do broni!” jako grom przelatywał z krańców w krańce Warszawy. I to fakt, że ciż sami wytrawni ludzie dali porwać się fali, mającej zmieść z powierzchni ziemi owe instytúcje, w których podobało się carom moskiewskim zamknąć „realne życie polityczne” narodu. Jako członkowie sądu sejmowego również byli oni pod wrażeniem panującej w społeczeństwie atmosfery, na którą oddziaływał ten sam duch, co w dwa lata później płomieniem buntu wybuchł na bruku Warszawy.

Szpotański, wychodząc z innych założeń, niż jego poprzednicy, doszedł, oczywiście, do odmiennych wniosków w ostatecznej ocenie Mochnackiego. Przykłady przytoczone nie przekonają nikogo, kto podziela punkt widzenia tego autora. Mniemam przecież, że wystarczą

dla uwydatnienia przyczyn, które doprowadziły do różnych na działalność Mochnackiego poglądów.

Bardzo krytyczne stanowisko w stosunku do znakomitego pisarza zajął również Józef Gollenhofer w krótkiej, lecz źródłowej pracy: „Polityczna strona działalności Mochnackiego". Autor doprowadził swą pracę do wybuchu powstania, a więc nie mógł ogarnąć całej działalności Mochnackiego i wydać o niej sądu syntetycznego.

Piotr Bańkowski poświęcił swą cenną a ciekawą książkę Mochnackiemu, jako „teoretykowi i krytykowi romantyzmu polskiego". Gruntowna ta praca po raz pierwszy w sposób wyczerpujący i wszechstronny omawia działalność Mochnackiego, jako krytyka i to na podstawie licznych rozpraw, sprawozdań, artykułów, drukowanych w swoim czasie w czasopismach warszawskich, najczęściej pomijanych przez pisarzy, którzy się Mochnackim, jako krytykiem zajmowali. Bańkowski ustala powinowactwo Mochnackiego z teoretykami niemieckimi i wykazuje jego wpływ na współczesną krytykę polską. Praca ta jest bardzo poważnym krokiem naprzód w piśmiennictwie naszem, poświęconem literackiej działalności znakomitego szermierza i obrońcy romantyzmu polskiego.

Książki o Mochnackim wywołały liczne krytyki, sprawozdania, a nawet studja, dorzucające nieraz nowe cenne przyczynki do prac zapomnianego działacza.

Utworzyła się o Mochnackim cała literatura.

Autor, przystępując do nowego wydania, uwzględnił tę literaturę, książkę swą rozszerzył i w wielu miejscach gruntownie ją przerobił. Przeróbki te nie wpłynęły przecież na zmianę zasadniczego o Mochnackim sądu. Albowiem biorąc pod uwagę głosy krytyczne,

nie mógł autor przeoczyć faktu, że głosy te są często biegunowo sprzeczne [1]) i że nie tylko w Mochnackim, lecz i w jego krytykach przyczyn tych sprzeczności należy się doszukiwać. To pewna, że wszystkie te kłócące się ze sobą sprawozdania, wzięte razem, świadczą o niepożytości Mochnackiego, o jego bujnym, niepospolitym umyśle, o mocy jego ducha i jego dzieł, które można podnosić lub poniżać, uwielbiać lub szarpać, ale wobec których niepodobna pozostać obojętnym.

Mochnacki zawsze będzie jednych oburzał, w drugich wzniecał podziw, a wszystkich interesował, zaciekawiał, pociągał. W tem jego siła. A jak ongi budził swemi wystąpieniami hałas i wrzawę, tak w hałasie sprzecznych opinij wyłonił się z toni zapomnienia przed dziesięciu laty i stanął wobec potomnych w oślepiającym blasku swoich talentów, stanął, śmiały i żywotny, jak cel, ku któremu przez całe życie nie przestawał dążyć.

Działacz, który pomimo wszystkie swe wady i straszliwe błędy, miał prawo powiedzieć, że potężna niepodległa Polska była jedynym romansem jego młodo-

---

[1]) Tak np. recenzent «Kurjera Lwowskiego» (Dodatek «Na ziemi naszej», Nr. 23 z listopada 1909 r.) pisał: «... Książka p. Artura Śliwińskiego jest apoteozą Mochnackiego, taką, która aż wybacza, rozgrzesza» i t. d. A prof. Kallenbach («Bibljot. Warsz.» Czerwiec. Rok 1910), pisząc o mej książce, taką czyni uwagę: «Autor bynajmniej nie idealizuje swego bohatera; owszem, śmiało kładzie kropki nad *i*, a nawet w zapale dyskusji kropki te wyglądają nieraz za grubo, są za duże w stosunku do litery, t. j. w stosunku do danego zarzutu»... Takich sprzecznych zestawień możnaby przytoczyć bez liku. Świadczą one, jak w r. 1910 dalecy byliśmy od ustalenia poglądu na Mochnackiego i położone przez niego zasługi.

ści, dziś, kiedy ten najpiękniejszy romans młodzieży polskiej stał się rzeczywistością, ma większe, niż kiedykolwiek prawo do obywatelstwa w pamięci wolnych Polaków.

Kto zaś cofnie się myślą wstecz i odbędzie drogę, jaką naród polski przebył w sromotnej niewoli, ten na tej drodze napewno spotka Mochnackiego. I ujrzy go, jak z najdzielniejszymi w narodzie targa więzienne kraty i pałającem okiem wpatruje się w świtającą jutrzenkę swobody, za którą po latach dopiero nad skrwawioną i poszarpaną żelazem ziemią polską wzejść miało Mickiewiczowskie słońce zbawienia.

Warszawa, w październiku 1920 r.

PRZEDMOWA DO WYDANIA PIERWSZEGO.

Pokolenie, wychowane w dobie pozytywizmu, lekceważąco traktowało cały dorobek umysłowy, wydany w okresie pomiędzy 1830 a 1863 rokiem. Z okresu tego ocalała tylko poezja, natomiast wszystko, co poza poezją stanowiło istotę i rdzeń ówczesnego życia, co było treścią ówczesnej duszy polskiej, przez lat czterdzieści pokrywała gęsta zasłona, utkana z niechęci i uprzedzeń. Zdarzenia 1863 r. rzuciły kir na ubiegłą epokę — i grobowy kamień spoczął na dorobku duchowym trzech dziesięcioleci. Czas podważyć ten kamień! Czas wydobyć z mogiły zapomnienia cały szereg postaci jasnych i promiennych, umysłów niepospolitych, talentów nieposlednich. Wszak w mogile tej przebywa do dziś dnia taka zagadkowa potęga jak Hoene-Wroński, myśliciele tej miary, co Trentowski, Cieszkowski i Libelt, uczony Lelewel, taki niezwykły apostoł, jak Towiański, a obok nich legjon bohaterów myśli i czynu, którzy często krwią własną znaczyli pochód swoich ideałów i życie oddawali za ukochaną sprawę.

Co wiemy o tych fanatykach idei i o samej idei, co stwarzała takich fanatyków?

Co wiemy dzisiaj o Towarzystwie Demokratycznem, o Młodej Polsce, o Stowarzyszeniu Ludu i tylu innych ogniskach ówczesnej myśli ideowej? Czy znamy Lelewela choćby tak tylko, jak znała go ongi cała oświecona Europa? Czy znani są dzisiaj tacy działacze, jak Worcell, Artur Zawisza, Wołłowicz, Nabielak, Świętosławski, Heltman i tylu, tylu innych, o których najczęściej pamięć zaginęła, których nazwiska mówią nam dziś bardzo mało lub zgoła nie mówią nic?...

Możnaby niemal do nieskończoności przedłużać ogniwa tego olbrzymiego łańcucha nieznanych, nieocenionych, zapomnianych, ale najlepszym dowodem, do jakiego stopnia ta przeszłość niedawna była lekceważona, jest fakt, że jeden z największych i najwszechstronniejszych ludzi, jakich wydała Polska, M a u r y c y M o c h n a c k i, przez tyle dziesiątków lat nie doczekał się obszerniejszego studjum. Wprawdzie mimo licznych usiłowań i najszczerszych chęci niepodobieństwem było całkiem wyrugować z pamięci nazwiska tego Polaka, co jak błyskawica zawisł myślą nad pokoleniem ówczesnem a blaskiem swoich talentów bezimiennie oświecał pokolenia następne. Ale czas, który w cień usunął Norwida, nielitościwie zemścił się i na Mochnackim. Dość powiedzieć, że jego liczne prace, które byłyby chlubą każdego kulturalnego społeczeństwa i każdej literatury, butwieją u nas w rocznikach starych czasopism i żarte przez pył bibljoteczny, niedostępne, zapomniane, skazane zostały na pewną śmierć i zagładę!...

I to jest jedyny pomnik, jaki Polska wystawiła Mochnackiemu, to już wszystko, na co się zdobyły nasze akademje, nasze towarzystwa oświatowe, nasi wydawcy, nasze instytucje naukowe, rozporządzające wielkiemi kapitałami, słowem, cała kultura polska!...

Książka niniejsza jest pierwszą większą pracą, poświęconą literackiej i politycznej działalności Mochnackiego, ale nie rości sobie najmniejszej pretensji do wyczerpania niezwykle bogatego przedmiotu. Lecz nim dzieło godne Mochnackiego ujrzy światło dzienne, dziś, w siedemdziesiątą piątą rocznicę zgonu wielkiego estety i krytyka, niezrównanego stylisty, dzielnego agitatora, żołnierza, nieustraszonego trybuna ludu, znakomitego historyka, pierwszego pomiędzy pierwszymi publicysty, czas choć najskromniejszą pracą przypomnieć ogółowi tę postać niezwykłą i choć w ten sposób hołd złożyć jej wielkim niezapomnianym zasługom.

I to jest celem niniejszego studjum.

I.

W ZARANIU.

Rodzina Mochnackich, licznie rozgałęziona na początku ubiegłego stulecia we wschodniej Galicji, zażywająca pewnego we Lwowie znaczenia, nieznana jest naszym heraldykom i nienotowana w dawnych kronikach polskich. Mochnaccy, jak można z tego wnosić, nie należeli do stanu szlacheckiego [1]). Ich pochodzenie również budzi liczne wątpliwości. Kucharzewski przypuszcza, że była to rodzina ruska [2]), Szpotański, idąc za Dubieckim, przychyla się do opinji, że Mochnaccy przywędrowali do Polski z Węgier [3]), a Gollenhofer przypisuje im pochodzenie ormiańskie [4]).

Są to jednakże tylko przypuszczenia, których nie potwierdzają dostatecznie ugruntowane dowody. Natomiast śmiało twierdzić można, że była to rodzina,

---

[1]) Wprawdzie we wstępie, poprzedzającym «Listy Maurycego Mochnackiego i brata jego Kamila», czytamy, że Maurycy był «synem Bazylego, s z l a c h e t n i e u r o d z o n e g o Polaka z Galicji», ale twierdzenie to nie jest poparte dowodem, jeżeli ma świadczyć o szlacheckiem pochodzeniu Mochnackiego.

[2]) Jan Kucharzewski. Maurycy Mochnacki. 1910, str. 5.

[3]) Stanisław Szpotański. Maurycy Mochnacki, str. 1.

[4]) Józef Gollenhofer. Polityczna strona działalności Mochnackiego, str. 3.

jeśli nie rdzennie polska, to gruntownie spolszczona. Członkowie tej rodziny już na początku ubiegłego wieku zajmowali poważne stanowiska w adwokaturze i zajmowali się powikłanemi interesami możnych rodzin magnackich, których fortuny skutkiem rozbiorów i polityki rządu austrjackiego wymagały nieustannych dochodzeń sądowych.

O rodzicach Mochnackiego skąpe posiadamy wiadomości.

Ojciec, Bazyli Mochnacki, uczył się w konwikcie pijarów w Podolińcu, a później kształcił się na wydziale prawnym uniwersytetu lwowskiego. Był to człowiek dość dużej wiedzy, zdolny, bystry, wymowny. Młodzieńcze lata upływały mu śród nieszczęść i klęsk, które Rzeczpospolitą zmiotły z widowni świata i na wolnej ziemi polskiej utwierdziły panowanie despotów. A wstrząsające krajem wypadki musiały znajdować żywy odgłos w murach konwiktu, gdyż w roku 1794, na wieść o wybuchu powstania, 17-letni wychowaniec pijarów porzucił ławę szkolną, podążył wraz z kolegami do Krakowa i zaciągnął się pod sztandary Kościuszki. Walczył pod okiem Naczelnika, a walczyć musiał dzielnie, bo podobno Kościuszko własnoręcznie krzyżem żelaznym piersi jego ozdobił [1]). Do domu powrócił o kuli, wymownem świadectwie patrjotyzmu, co zniewolił go do opuszczenia szkoły i cisnął w wir wojny o wolność narodu. Widzimy go później we Lwowie, studjującego z zamiłowaniem naukę prawa. Wieść niesie, że z zapałem oddawał się jednocześnie badaniom literatury i języków starożytnych. Uniwer-

[1]) Listy M. Mochnackiego, str. VI.

sytet ukończył bez stopnia doktorskiego [1]). Ożeniwszy się w młodym wieku z Marją Pągowską, osiadł we Lwowie. Zdolny prawnik szybko zwrócił na siebie uwagę i zdobył poważną klientelę. Po kilku latach z nieznanych powodów porzucił miasto i przeniósł się do rodzinnej wioski, Bojańca w obwodzie żółkiewskim.

W roku 1809 Bazyli Mochnacki, jako sekretarz Mączyńskiego, brał udział w deputacji, wysłanej przez obywatelstwo galicyjskie do Napoleona, przebywającego w Wiedniu. Następnie powrócił do Bojańca, ale fortuna, jak się zdaje, przestała mu sprzyjać, gdyż w roku 1819 sprzedał majątek rodzinny, opuścił Galicję i przeniósł się do Warszawy. Tutaj otrzymał posadę asesora w prokuratorji królewskiej, później został radcą prawnym w komisji oświecenia, wreszcie miał awansować na referendarza stanu. Ale w. książę Konstanty, którego władztwo rozciągało się wszędzie i przenikało nawet do życia rodzinnego mieszkańców Królestwa, nie zgodził się na projektowany awans, uważał bowiem, że p. Bazyli źle wychowuje najstarszego syna [2]). Były to już czasy wzrastającego ucisku, czasy wzmagających się represyj i coraz głębiej sięgającego w życie polskie szpiegostwa. W sercach młodzieży, wychowywanej w tradycjach powstania kościuszkowskiego, a żywo pamiętającej zwycięstwa polskie pod orłami Napoleona, istniejący stan rzeczy budził coraz głębszą nienawiść. Pod wpływem prześladowań szerzyły się tajne związki i spiski, a prąd buntowniczy poniósł ze sobą i najstarszego syna Mo-

---

[1]) Gollenhofer. Polityczna strona działalności M-go, str. 4.

[2]) Listy Maurycego Mochnackiego, str. VIII.

chnackich. Dzieci zaczynały przeszkadzać ojcom w posuwaniu się po złotych szczeblach karjery. Do życia rodzinnego wkradał się fałsz: poczucie obowiązków względem kraju stawało do walki z dążeniami do zabezpieczenia rodzinie spokoju i przyszłości. W piersiach urzędnika, który był żołnierzem kościuszkowskim, nie wygasły uczucia, co ongi z ławy szkolnej zapędziły go na pole walki o wolność. Ale trwoga o los rodziny sprawiła, że p. Bazyli zgromił najstarszego syna i zabronił dzieciom mieszania się do działań, prześladowanych przez władzę. Dobrze jednak rozumiał te działania i sprzyjał im w głębi swej duszy. Kiedy wybuch listopadowy obalił w Warszawie panowanie brata carskiego, dokładny i lojalny urzędnik, dał się porwać uniesieniu patrjotycznej młodzieży i bez wahania stanął pod sztandarem rewolucji, który w dniach owych szeroko rozpostarł najstarszy syn Maurycy.

Matka znakomitego pisarza, Marja z Pągowskich, posiadała spory zasób inteligencji, jak to można wnosić z jej notat, dołączonych do korespondencji synów. Wysławiała się z łatwością, pisała stylem jasnym, prostym, niepozbawionym powabu. Ale inteligencję tę zaćmiewało zaślepienie macierzyńskie. Zbyt rozkochana w najstarszym synu, nie mogła oddać wiernie jego wizerunku. Uwagi i przypiski, uzupełniające listy Mochnackich, odsłaniają duszę zrozpaczonej matki, rozmyślającej o nieszczęsnych synach, których burza dziejowa uniosła z rodzinnego kraju, oderwała od serc najbliższych i zmusiła do życia pod obcem niebem, w głodzie i w nędzy, śród intryg i swarów emigracji, w straszliwej tęsknocie za utraconą ojczyzną. Niestety, tę słabość matczyną, zabijającą wszelki krytycyzm, gdy

chodziło o dzieci, ujawniała p. Mochnacka na wiele lat przed katastrofą, co tysiące rodzin polskich skazała na rozłąkę i życie w niedoli. Przez szkła ślepej miłości, widzącej jedynie doraźne korzyści bez względu na dalsze następstwa, spoglądała na swą rodzinę, całą duszą pragnęła dla dzieci szczęścia, a rozumiejąc to szczęście po swojemu, gotowa była porwać się do walki z każdym, ktoby ośmielił się stanąć na drodze jej pragnieniom. Wydrzeć oczy takiemu śmiałkowi, wypalić do niego z krócicy, uważała za swój święty obowiązek, a z takim rozmachem zapewniała o tem [1]), że w szczerość jej zapewnień niepodobna wątpić. Takie usposobienie matki nie tylko nie wychodziło na dobre Maurycemu, ale w ciężkich chwilach jego życia odbierało mu hart, przyczyniało się do osłabienia woli, poddanej ciężkim próbom indagacji.

Pięcioro dzieci posiadali Mochnaccy, trzech synów: Maurycego, Kamila. Tymoteusza, oraz dwie córki: Klementynę i Olimpję.

W gronie tem najstarszy Maurycy, urodzony w Bojańcu dnia 13 września 1803, czy 1804 roku [2]), rokował najpiękniejsze nadzieje i cieszył się największemi względami rodziców. Ponad wiek rozwinięty, zdolny i rzutki, zaćmiewał młodsze rodzeństwo. Drugi z rzędu syn Kamil, chłopak śmiały i dzielny, miał wobec niezwykłych talentów starszego brata, całe życie pozo-

---

[1]) Listy M. Mochnackiego.

[2]) Rok urodzenia dotąd nie został ustalony. Matka Maurycego podaje rok 1804, ale nie jest to pewne. Według innych danych Maurycy urodził się w r. 1803. Poszukiwania Szpotańskiego, by wynaleźć metrykę Mochnackiego, nie dały rezultatu. Ponieważ metryki niema w Żółkwi, Szpotański przypuszcza, że Maurycy urodził się we Lwowie.

stawać w cieniu. Gwiazda Maurycego od lat najmłodszych płonęła przepysznym blaskiem i skupiała na sobie uwagę otoczenia.

Kiedy rówieśnicy oddawali się dziecinnym igraszkom, młodziutki Maurycy zgłębiał w samotności Homera, rozczytywał się w Plutarchu lub zapamiętale wertował historję starożytną. Na otoczenie swoje i na świat cały patrzył, jak przez mgłę. Zatopiony w ulubionej lekturze historycznej, olśniony przykładami czynów bohaterskich, zachwycony prostotą życia starożytnej Grecji, nie rozumiał długo najprostszych zjawisk, nie mógł pojąć, dlaczego życie w Polsce nie jest urządzone na wzór dawnej Sparty. Wcześnie umiłował wielkość i potęgę, wcześnie na płomiennych skrzydłach wyobraźni wybiegał w świat marzeń, w krainę złotych snów o wielkich czynach śród burz i gromów, wstrząsających jego fantastycznym światem. Atmosfera, panująca w domu rodzinnym, nie przeszkadzała chłopięcym rojeniom. Małego marzyciela otoczono opieką, życzliwością i ciepłem, wspomagano w pracy, ułatwiano mu zdobywanie wiedzy, czyniono wiele, aby rozwinąć wszystkie jego talenty.

I o tem Maurycy Mochnacki całe życie pamiętał. W dniach męskiego smutku i goryczy, w latach zgryzot, niedoli, w długich miesiącach samotnej tułaczki pod obcem niebem, w złych godzinach zwątpień i szamotań, często powracał myślą do lat młodocianych i kąpał się we wspomnieniach dzieciństwa, jak w ożywczem źródle. Zahartowany w płomieniach nieszczęść i zawodów późniejszych, zawsze potem twardy i trudny w stosunkach z ludźmi, zawsze męski, energiczny i żelazny w słowie, — w listach swych do rodziny otwierał miękką duszę poety, przesyconą

najtkliwszym liryzmem. Pogodnie i wesoło upłynęły mu lata młodociane, z pogodą o nich myślał całe życie.

Na wsi, w otoczeniu ludu wiejskiego, śród szumu pól rósł przyszły mocarz pióra. Wysyłany przez matkę do pilnowania najemników, układał się na snopkach świeżego zboża i, zapomniawszy o całym świecie, deklamował Wirgiljusza lub rozczytywał się w Iljadzie. Zdolności w najmłodszych latach przejawiał niezwykłe. Język francuski i niemiecki posiadł nie wiedzieć kiedy, a znajomością łaciny i wielkiem oczytaniem wprawił w podziw Lindego, ówczesnego rektora w liceum warszawskiem. Zachęcany przez ojca do gry na fortepianie, wykazał talent niepospolity, a muzykę ukochał gorąco, namiętnie. Wrażliwość już w najmłodszych latach przejawiał wielką, usposobienie miał żywe, gwałtowne, lecz dzikie. Od ludzi stronił. Nadaremnie matka od lat najwcześniejszych chciała w nim wyrobić instynkty towarzyskie. Mistrz w nauce tańców nie mógł pokonać w chłopcu niechęci do tańca, a matka nie zdołała później zachęcić syna do bywania [1]) w salonach warszawskich i do zjednywania „względów" ludzi możnych, mogących przydać się i pomóc do zrobienia karjery. Światem Maurycego była rodzina, książki, nuty i myśli, co kłębiły się w głowie i pragnienia niejasne, co krystalizowały się w młodocianej duszy.

Uczyli chłopca guwernerzy, ale nad ogólnym kierunkiem wykształcenia czuwał ojciec, któremu Maurycy zawdzięczał wiele wiadomości, a po którym odziedziczył dar wymowy i zamiłowanie do muzyki. Matka świadczy, że ojca bał się, jak ognia. To prze-

---

[1]) Listy M. Mochnackiego, str. 306.

cież pewna, że syn i ojciec mieli dużo wspólnych upodobań, że rozumieli się dobrze. Jak z listów Maurycego wnosić można, Bazyli Mochnacki widział w najstarszym synu wiele talentów, których sam nie zdołał w sobie rozwinąć, a które jego serce ojcowskie napełniały zrozumiałą dumą. Tkliwa serdeczność bije ze słów Maurycego, gdy z ziemi wygnania pisze do rodziny i wspomina o stosunku, który łączył go w kraju z ukochanym ojcem.

Pod kierownictwem wykształconego ojca, pod troskliwą opieką rozkochanej w swoim ulubieńcu matki, wesoło i swobodnie do szesnastego roku życia wzrastał przyszły działacz. Niezwykle, jak na swój wiek oczytany, świetnie rozwinięty umysłowo, znajomość życia posiadał bardzo ograniczoną [1]). Natomiast wyobraźnia płomienna, lotna, podsycana nieustannie czytaniem, poszukiwała ciągle nowego pokarmu i pracowała nad miarę [2]).

W takiem usposobieniu Maurycy wstąpił do szóstej klasy liceum warszawskiego. Przed oczyma chłopca odsłonił się nagle świat nieznany, tajemniczy, otoczyło go zewsząd życie gwarne, szumne, nęcące i z obłoków

---

[1]) Znalazłszy się po raz pierwszy z nauczycielem swym w restauracji warszawskiej, nie mógł np. zrozumieć, dlaczego za zjedzony obiad należy zapłacić, bo, jak twierdził, w starożytnej Sparcie nie żądano zapłaty za zaspokojenie głodu obywatela. A miał już wtedy lat piętnaście.

[2]) Szczegóły biograficzne w niniejszym rozdziale zaczerpnięte zostały ze «Wzmianki o życiu Maurycego Mochnackiego» («Pospolite Ruszenie», Paryż 1835, Nr. 1), z korespondencji Podczaszyńskiego do Leonarda Chodźki, z listów Maurycego i Kamila do rodziców, z przedmowy do pism M. Mochnackiego, wreszcie z notat i przypisków matki do «Wiadomości o życiu Mochnackiego».

kontemplacyjnych rozmyślań sprowadziło na grunt rzeczywistości. Ale zeszedłszy na ziemię, młody marzyciel nie przestał snuć rojeń fantastycznych. Uśmiechały mu się przygody, pociągały jego wyobraźnię czyny wielkie, bohaterskie, a droga do nich stała otworem. Pokusa była zbyt silna, aby mógł się jej oprzeć szesnastoletni młodzieniec.

* * *

W czasie kiedy Mochnacki wstępował do liceum, młodzież ówczesną w całej Europie przenikał prąd spiskowy. Od Uralu aż po Atlantyk, przez wszystkie państwa i kraje ciągnęła się olbrzymia sieć konspiracyjna, niewidzialna na powierzchni życia, lecz szeroko rozgałęziona w podziemiach. Przygasły wulkan Wielkiej Rewolucji dyszał groźnie i nowy zapowiadał wybuch. We Francji wielką czynność rozwijały loże wolnomularskie, mnożyły się organizacje antyrządowe i wciągały do swoich knowań szerokie koła kształcącej się młodzieży. I studenci niemieccy tworzyli związki o wyraźnych tendencjach antypaństwowych, a gdy organizowanie Burschenschaftów zostało zabronione, rzucili się w odmęty spiskowe. W Hiszpanji, we Włoszech, w Rosji działo się to samo: od Madrytu do Petersburga wiał jeden i ten sam wicher niezadowolenia, jeden i ten sam duch rewolucyjny przenikał Europę.

Młodzież polska, której spora garść wyjeżdżała na studja do uczelni niemieckich, przejmowała się tym duchem i wraz z dyplomami przywoziła do kraju upodobania do spisków i knowań. Ale i bez wpływów postronnych warunki życiowe zarówno w Królestwie,

jak i w innych dzielnicach dawnej Polski, sprzyjały organizacjom tajnym i nietylko młodzież do nich popychały.

Królestwo Kongresowe, z pozoru podobne do gmachu, opartego na trwałych fundamentach, z zewnątrz spokojne, paliło się wewnątrz nieustającym ogniem niezadowolenia. Sympatje i nadzieje, związane z imieniem Aleksandra i bytnością jego w Warszawie w r. 1818, rozwiewały się jak dymy, — i nieufność zaczynała coraz głębiej nurtować umysły. Obrady sejmowe w r. 1820, zakończone gniewnem przemówieniem obrażonego monarchy, dopełniły miary. Budowla konstytucyjna zadrżała w swoich posadach. Wszelkie iluzje pękły, jak pajęczyna. Upadający stan oświaty, odkąd miejsce Stanisława Potockiego zajął Stanisław Grabowski, wszczęte przez gen. Zajączka prześladowanie prasy, a dalej represje, krępujące wolność osobistą i zabijające w zarodku wszelką inicjatywę zbiorową, słowem, reakcja, idąca z góry, coraz silniejsze budziła rozgoryczenie. Potęgował je naczelny wódz wojska polskiego, w. książę Konstanty, słynnemi manewrami na placu Saskim, dziwactwem i despotyzmem, nie znającym granic, ni miary.

Szemrał kraj cały.

A na tle tego szemrania już w pierwszych latach istnienia Królestwa zaczęły powstawać organizacje, które porywały się do walki z istniejącym stanem rzeczy. Idea tych organizacyj, mająca patronów w osobach takich ludzi, jak generałowie Dąbrowski i Kniaziewicz, szybkie czyniła postępy. W r. 1819, w tym samym roku, w którym Mochnacki przyjęty został do liceum, Walerjan Łukasiński, major czwartego pułku piechoty, wspólnie z kolegą swoim Kazimierzem Machnickim,

przy pomocy Szredera, Wierzbołłowicza i Kozakowskiego, stworzył słynne Wolnomularstwo Narodowe. Związek ten pragnął jednym buntowniczym duchem ożywić cały naród i wrócić mu utraconą niepodległość. Wolnomularstwo, sięgając rozgałęzieniami swemi na Litwę i w Poznańskie, nie pozostało bez wpływu na młodzież, choć w murach szkolnych i uniwersyteckich prąd spiskowy rodził się najczęściej samorzutnie. Wprawdzie związki akademickie nie miały zazwyczaj charakteru politycznego, ale prędzej czy później pod osłoną działań dozwolonych rodził się cel polityczny i ściślejszemi węzłami łączył sprzysiężonych. Już w 1817 powstało w Wilnie z inicjatywy Zana, wsławione dzięki udziałowi Mickiewicza, Towarzystwo Filomatyczne, a podobne stowarzyszenia zawiązywane były na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, szerzyły się w Królestwie: młodzież, nie mogąc wypowiedzieć się otwarcie, maskowała swoje oburzenie, osłaniała się tajemniczością i naradzała się szeptem.

W tych rzutach ku konspiracji mieściło się dużo młodocianej fanfaronady i dziecięcej naiwności, ale duch, ożywiający związkowych, był czysty, podniosły. Dzięki związkom krzewiły się śród młodzieży uczucia wolności, równości i braterstwa, wzmagał się patrjotyzm, odsłaniały się przed młodemi oczyma szersze widnokręgi, zmuszały do myślenia i pracy nad sobą.

Otóż ta atmosfera spiskowa, przesycająca powietrze, odrazu udzieliła się Mochnackiemu, gdy zasiadł na szkolnej ławie. Uśpiona woła drgnęła, niespokojny umysł zaczął snuć fantastyczne plany,—i w Maurycym zbudził się przyszły działacz. Młody chłopak, odgrodzony dotąd od życia, w jednej chwili przedzierzgnął się w konspiratora i zaczął przewodzić kolegom. Nie-

wątpliwie pomogło mu w tem oczytanie, duży zasób wiadomości, żywy temperament, wreszcie płomienna wyobraźnia, którą musiał olśnić młodociane umysły. Idąc za popędem tej wyobraźni, Mochnacki postanowił utworzyć tajne sprzysiężenie, a koledzy, posłuszni woli rezolutnego towarzysza, skwapliwie przyjęli propozycję.

W ten sposób w szóstej klasie liceum warszawskiego powstał związek, którego duszą był sam twórca, Maurycy Mochnacki. Grono kolegów licealnych zaczęło się schodzić za miastem na Dynasach i tam świat cały budować na nowych podstawach. Do związku wprowadzono formalistykę, właściwą tajnym towarzystwom, a więc późno w noc składano tajemnicze przysięgi, obowiązywano się walczyć z despotyzmem, odgrażano się tyranom. Do grona konspiratorów należał między innymi Aleksander Wielopolski, [1]) ten sam, który w kilkadziesiąt lat później, zapomniawszy o „szaleństwach młodości", stał się „człowiekiem rozsądnym".

Trudno przypuścić, aby to grono miało jakieś konkretne plany i cel widomy. Rzucając nieszkodliwe groźby pod adresem wszelkiego rodzaju ciemiężycieli, spiskowcy dawali wyraz nurtującym młode serca uczuciom, lecz działalności swej nie utrwalili niczem. I groźby, i przysięgi, i tajemnicze szepty, powierzane w cieniu nocy wzgórzom dynasowskim, świadczyły tylko o nastroju ówczesnej młodzieży licealnej, ale, rzecz prosta, nie wcielały się w czyny.

Bądź co bądź działalność w tym związku zwróciła na Mochnackiego uwagę kół spiskowych.

---

[1]) Askenazy: «Łukasiński», Tom I, str. 265.

Gdy w następnym roku, ukończywszy liceum, Mochnacki zapisał się na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, jeden z gorliwszych konspiratorów śród młodzieży akademickiej, Ludwik Piątkiewicz, wprowadził go do akademickiej organizacji pod nazwą Wolnych Braci Polaków. W organizacji tej panowała już większa określoność celów, a działalność spiskowców była nieporównanie poważniejsza. Przywódcy związku: Piątkiewicz oraz Wiktor Heltman i Ksawery Bronikowski, obaj publicyści, obaj mający zczasem wybitniejszą odegrać rolę, ukochawszy ten sam ideał, który przyświecał twórcy Wolnomularstwa Narodowego, Łukasińskiemu, pracowali nie tylko nad uświadomieniem młodzieży akademickiej, ale zapomocą perjodycznego wydawnictwa usiłowali oddziaływać i na całe społeczeństwo.

Wolni Bracia Polacy podzieleni byli na loże, które nazywano chorągwiami, a które nosiły imiona sławnych Polaków: Kościuszki, Reytana, Kołłątaja. Każda z lóż miała swego delegata w kapitule, na której czele stał wielki mistrz. Przyjmowanie do związku odbywało się ze wszystkiemi pozorami niezbędnej w ówczesnych warunkach tajemniczości. Kandydat wprowadzany był do obszernej komnaty, osłonionej kirem i tam w obecności żałobnie przystrojonych kolegów i zamaskowanego mistrza składał przysięgę. Na stole, jako symbol grobowej tajemnicy widniała trupia czaszka i ostrzegawczo połyskiwał sztylet. Uroczystym słowom przysięgi, składanej przez nowicjusza, towarzyszył syk spirytusu, płonącego w trzech lampkach, które symbolizowały trzy dzielnice rozszarpanej Polski. Po dokonanych ślubach zebrani intonowali pieśń chóralną — i kandydat stawał się członkiem jednej z lóż związku.

Cała ta dekoracja, dziecinna i naiwna, lecz niepozbawiona uroku poetyckiego, wywierała głębokie wrażenie na młodych umysłach, a rota przysięgi, wypowiedzianej w takich okolicznościach, zazwyczaj na całe wystarczała życie. Seweryn Goszczyński, członek Wolnych Braci Polaków, w podniosłych słowach opisał uczucia, które zbudził w jego duszy uroczysty obrzęd przyjęcia:

Nie wiem, jak długo w tym zachwycie stałem,
Bo w niesklóconej, tajemniczej ciszy
Wciąż pieśń ta brzmiała — a ja słuchałem.
A choć ucichła, dotąd ją słyszy
Dusza w swej głębi... Odtąd całe życie
Śpiewam ją sercem, przez nią, bracia mili,
Zawsze mię takim ujrzycie,
Jakim byłem w owej chwili.

A to, co pisał Goszczyński, nie było frazesem! W związku tym wyrabiali się tacy ludzie, jak Goszczyński, Bohdan Zaleski, Jeske, Jachowicz, jak Mochnacki, Bronikowski i Heltman, wszyscy widzialni zczasem na szerszej arenie publicznej, wszyscy cieszący się później zasłużonym rozgłosem.

Dekada Polska, zakonspirowany organ Braci Polaków, szczegółowiej zaznajamiał z wyobrażeniami, które ożywiały młodzież.

„Wola despotów, — głosił programowy artykuł, — zestarzałe feudalności wyobrażenia i źle zrozumiany interes osobisty niejednego z członków społeczności, utrzymywały dotychczas niektóre ludy europejskie w tym stanie zohydzonej niewoli, w której człowiek człowiekiem być przestał..." Wierni temu wskazaniu, współpracownicy Dekady gorąco propagowali ideały wolności, równości i braterstwa. Przeniknięci uczuciem

patrjotycznem, nie wahali się dowodzić, że miłość ojczyzny nie jest to „urojone przywiązanie do strzechy, w której po raz pierwszy ujrzeliśmy światło dzienne, lecz ta stała święta miłość do praw, co osobę i własność naszą zabezpieczają; do rządu, co ich święcie przestrzega i wykonywa, nakoniec do społeczności, co się do wspólnego naszego szczęścia przykłada". Cnoty obywatelskie „jedynie w wolnym narodzie" kwitnąć mogą. Dekada rzuciła nawet hasło: „Bez wolności niemasz ojczyzny!" A wolności domagała się młodzież dla wszystkich obywateli kraju, twierdząc, że „rodak nasz, kmiotek i mieszczan nie miał... ojczyzny, nie był Polakiem..." [1])

Z każdego artykułu Dekady przezierało bezgraniczne umiłowanie wolności i szlachetny humanitaryzm wolnomyślicieli Europy zachodniej. Skroś palce cenzury, często w formie zwrotów dwuznacznych, przemykały się wyobrażenia świeże lub myśli zuchwałe, których naówczas nie wolno było wypowiadać głośno. Zaznajamiając czytelników z minionemi wstrząśnieniami i z urządzeniem społeczeństw na Zachodzie, zapowiadając walkę przywilejom szlacheckim, młodzi redaktorzy nawet poetom nowe wskazywali szlaki i na swój sposób kazali im służyć ojczyźnie. Gorący artykuł: O poetach i poezji, acz autor jego z uwielbieniem wspominał nie tylko Niemcewicza ale i Wężyka, i Koźmiana, i Tymowskiego, grzmiał jak komenda i żywo nawoływał do zerwania z rutyną:

„Poeci Obywatele!... Porzućcie po tysiąc razy przed wami powtarzane te nudne wzdychania do Chloi, do strumyków lub gajów, porzućcie te drobnostki małym

---

[1]) «Dekada Polska». Rok 1821, Nr. 1, str. 1, 3, 4, 6, 7.

talentom właściwe; wasz wielki genjusz niech was na rozleglejsze prowadzi pola: stańcie się użytecznymi, zaszczepiajcie w narodzie te uczucia, które go szczęśliwym uczynić mogą, a wdzięczność współobywateli stokroć Wam będzie przyjemniejszą, jak uśmiech wielbionej przez Was piękności..." [1])

I Dekada Polska i związek Wolnych Braci Polaków nie trwał długo. Powód upadku był napozór błahy. W rocznicę konstytucji 3 maja redaktorzy Dekady wydali tekst konstytucji, jako bezpłatny dodatek do pisma. W. książę Konstanty dopatrzył się w tem przestępstwa i zawezwał do siebie redaktorów: Piątkiewicza i Heltmana. Rezultat tego wezwania był opłakany. W pałacu brühlowskim, dokąd zawezwani zostali nieszczęśni redaktorzy, rozegrała się okropna scena. Straszliwy satrapa, ujrzawszy delikwentów, wpadł we wściekłość, rzucił się na nich, zelżył ich czynnie, a następnie obu kazał uwięzić. Heltman, który pochodził z Litwy, wydalony został z Królestwa i wcielony, jako zwykły szeregowiec do konsystującej pod Brześciem brygady artyleryjskiej korpusu litewskiego.

Piątkiewicza słudzy Konstantego starali się złamać, spodlić moralnie, a następnie nakłonić do wstąpienia w szeregi tajnych szpiegów, od których roiła się Warszawa. Gdy to się nie udało, oddano go, jako niepełnoletniego obcokrajowca pod opiekę żandarmerji i odstawiono do granicy galicyjskiej [2]).

---

[1]) Nr. 2, str. 61—62. Nie jest rzeczą wykluczoną, że i Mochnacki, wcześnie przejawiający pociąg do pióra, pisywał w «Dekadzie Polskiej». Niestety, niepodpisane artykuły nie pozwalają twierdzić tego napewno.

[2]) Szymon Askenazy. Łukasiński. Tom I, str. 262.

Stowarzyszenie, pozbawione głównych przywódców, nie wytrzymało ciosu i samo przez się upadło. Atmosfera, panująca w tym krótkotrwałym związku, nie mogła nie wywrzeć wpływu na wrażliwego młodzieńca, jakim był Mochnacki. Obcując z młodzieżą inteligentną, oczytaną, szlachetną, choć jak się później okazało, nie zawsze mającą dość hartu i mocy panowania nad sobą, Maurycy rozszerzył zakres swej wiedzy. Nietylko o polityce rozmawiali ze sobą związkowi. Rozprawy z towarzyszami na temat filozofji i literatury pobudzały go do samodzielnych studjów. Wkrótce też, gorączkowo pracując nad sobą, poznał się z dziełami braci Schleglów, zaczął czytać Kanta, Fichtego, Schellinga, delektować się Schillerem i Goethem, zgłębiać popularne pieśni rzekomego Ossjana, studjować Lessinga i Herdera.

Studja te pogłębiły umysł Mochnackiego, a zczasem ułatwiły mu szereg świetnych zwycięstw w walce z klasykami. Szczęśliwy badacz mniej powodzenia doznał jako konspirator: praca spiskowa najzupełniej nie odpowiadała jego charakterowi i usposobieniu. Wrażliwy i z natury niespokojny, pieszczony przez egzaltowaną matkę, nie miał przymiotu, który obowiązywał każdego spiskowca: nie umiał milczeć jak grób. A to lekceważenie wymagań konspiracyjnych niemal na samym progu życia dało mu się we znaki. Wypytywany przez matkę i rodzeństwo o życie koleżeńskie, przyznał się, że należy do Wolnych Polaków, co więcej! wymienił nazwiska kilku towarzyszy. Ten nierozważny krok nie pociągnął za sobą złych następstw dla związku, ale na Mochnackiego ściągnął pioruny oburzenia. Szczebiotliwe rodzeństwo wydało brata z sekretu i w ten sposób o gadatliwości Mau-

rycego dowiedzieli się sprzysiężeni. Porywcza młodzież złożyła sąd i na „strasznego" przestępcę wydała wyrok śmierci.

„Pewnego razu, — opowiada Mochnacka, — tak się zdarzyło: podczas obiadu wchodzi do nas nieznajomy jakiś młodzian [1]), pomieszany, pyta o Maurycego, szczęściem go nie było u stołu; ten młodzian, jak się później dowiedziałam z zeznań od jednego z więźniów stanu, był to znajomy Maurycego i współprzysiężony, którego rada, czyli starsi, wysłali z rozkazem poprowadzenia Maurycego na Bielany i tam z wysokiego stromego brzegu wtrącenia go niby od niechcenia do Wisły..." [2]).

Cała ta sprawa nie miała bynajmniej skończyć się tragicznie. Młodzież, co tak lekkomyślnie skazała swego towarzysza na śmierć, z tą samą lekkomyślnością zamieniła wyrok śmierci na „wielką reprymandę". Z tego widać, że ów wyrok był dziecinną groźbą, dziecinnie traktowaną przez samych sędziów.

Bądź co bądź cios był okrutny.

Po raz pierwszy gadatliwy, lecz pełen najlepszych chęci młodzieniec doświadczył na sobie zawiści gorzkiego losu, po raz pierwszy zajrzała mu w oczy groza życia i śmierci. Ów wyrok złowrogą był zapowiedzią. Niestety, nie przeobraził skazańca, nie natchnął go hartem i żelazną wolą, jak tego można było się spodziewać, gdy w parę lat potem pociągnięty został do odpowiedzialności przed trybunał groźniejszy, gdy sta-

---

[1]) Tym młodzianem był niejaki Ernest Dydak, kolega Mochnackiego. Askenazy, Łukasiński. Tom II, str. 206.

[2]) Listy Maurycego Mochnackiego i brata jego Kamila Poznań, 1863, str. 307.

nął oko w oko z komisją śledczą, przed którą miał zdać egzamin ze swej dojrzałości patrjoty-konspiratora.

Nim do tego doszło, przedtem inne, zgoła nieoczekiwane wydarzenie naraziło Maurycego na gniew w. księcia i zawisło groźnie nad całą jego przyszłością. Oddany pracy spiskowej, pochłonięty przez studja, nie należące do zakresu nauk prawnych, Mochnacki do tego stopnia zaniedbywał wykłady uniwersyteckie, że w końcu roku akademickiego utracił prawo do składania egzaminów. Ale matka nie dała za wygraną. Zaczęła nachodzić profesorów i prosić, by syna egzaminowano. Gdy starania te nie odniosły skutku, uprosiła męża, by udał się do ministra oświaty [1]).

Można protekcja uratowała sytuację, — i niesforny student, który ku wielkiemu zgorszeniu profesorów nie uczęszczał na wykłady, ku zgorszeniu tychże profesorów, nie dał się podczas egzaminu uwikłać w zastawione przez nich sidła, i, odpowiadając przytomnie na wszelkie pytania, wybrnął z zapasów zwycięsko.

Otóż w rok później „znowu wypadło Maurycemu zdawać egzamin, dla którego najczęściej chodził do swoich przyjaciół, bo skryptów własnych nie miał”, co świadczy, że uczęszczanie na wykłady nadal uważał za zbędne. „Pewnego dnia, — ciągnie dalej matka Maurycego, — wszedłszy do stancji przyjaciela, zrzucił mundurek, nałożył fajeczkę i wysłał służącego po jakieś papiery, potrzebne do nauki; wtem przypomina sobie, że trzeba dać dokładniejszą informację służącemu co do swych rękopisów; w prędkości rozebrany, jak był, z fajeczką wybiega aż na dół do sieni, wiodącej na ulicę, by zawołać służącego. Przechodzący

1) Listy M. Mochnackiego, str. 307.

podówczas komisarz policji S(ikorski), z natury grubjanin i podpiły, znany przez młodzież jako złośliwy i niegodziwy człowiek, postrzegłszy Maurycego:

— Dlaczego palisz tytuń na ulicy, dlaczego nie masz munduru? — zawołał i jednocześnie porwał za fajkę, by ją wydrzeć z ust i szarpnął tak gwałtownie, że aż rozkrwawił usta Maurycemu; w okamgnieniu Maurycy na odwet za tę zniewagę uderzył w twarz komisarza, ale tak silnie, że go odrazu powalił na ziemię, a sam zemknął do mieszkania.

Rzecz ta narobiła wiele hałasu, doszła zaraz do wiadomości w. księcia Konstantego, który kazał wiceprezydentowi Lubowidzkiemu dostawić do siebie do Belwederu obudwóch, i komisarza i obwinionego studenta.

Lubowidzki wsadza obudwóch do jednego pojazdu, by dwaj antagoniści mogli się z sobą porozumieć. Komisarz zmiękczony prośbami familji Maurycego, niby rozczulony tak się pierwszy odzywa:

— Panie Maurycy, pan bardzo źle wyjdziesz za swoją popędliwość, ja zaś nie wiedziałem, kto pan jesteś, bez munduru i z fajką w ustach, a palić na ulicy nie wolno. Jestem w randze komisarza i byłem oficerem w wojsku, a że pan mnie uderzyłeś, przez to zgubiony jestem, dadzą mi dymisję, a ja mam żonę i dzieci. Najlepiej zaprzyj się pan przed księciem i powiedz, że to fałsz, żeś mnie uderzył...

Maurycy tą namową uradowany rzuca się komisarzowi na szyję i tak usposobieni stają w Belwederze.

Niedługo szybkim a szerokim krokiem wpada w. książę, twarz tygrysa rozjątrzonego, brew stercząca, oko straszne, głos chrapliwy:

— Tyś to się odważył uderzyć cesarskiego urzędnika?

Maurycy struchlały rzecze:

— Nie, jam go nie uderzył.

— Jakto,—pyta się książę zapalczywie komisarza, on cię nie uderzył?

Na to komisarz rzecze:

— Tak jest, ten oto młodzieniec uderzył mnie wczoraj w twarz za to, że mu chciałem zabronić palić lulki na ulicy.

Nie można sobie wyobrazić, w jaką złość wpadł w. książę. Rzucił się całą figurą swoją na stojącego opodal Maurycego, porwał go za piersi, wstrząsnął nim, jak młodem drzewkiem, podniósł do góry... Potem porywa za guziki, obrywa je, drze w pasy mundurek uniwersytecki.

— Won z nim, — rzecze do Lubowidzkiego, — w kajdany! głowę ogolić nakrzyż! włożyć suknie aresztanckie i dać wikt aresztancki; niech wespół z aresztantami pracuje w taczkach i śpi razem z nimi...

Gdy Lubowidzki wyprowadzał znękanego takim wyrokiem Maurycego, łatwo sobie wyobrazić, co mógł czuć młodzieniec ten pełen ambicji. Wtem nagle w. książę jakby zreflektowany woła Lubowidzkiego i pyta:

— Kto jest ten uczeń?

Lubowidzki odpowiada:

— Syn obywatela i urzędnika w komisji oświecenia.

— Głowy nie golić, sukni aresztanckiej nie dawać, ale niech robi w taczkach z aresztantami w ogrodzie belwederskim" [1]).

Ta scena, opisana przez matkę Maurycego, nie była w owych czasach czemś niezwyczajnem. W. książę

---

[1]) Listy, str. 308—309.

Konstanty, uniósłszy się gniewem, nie znał miary i najdrobniejsze przewinienia karał z nieubłaganą surowością. A wyrok w. księcia nie podlegał apelacji i skazańcy bez protestu musieli się poddać losowi. Tak było i tym razem. Mochnacki, zaprzągnięty do taczki, czterdzieści dni pracował wraz ze zbrodniarzami, a gdy uzyskał wolność, nowa, jeszcze dotkliwsza czekała go kara. W. książę nie mógł darować zuchwałego czynu młodzikowi i rozkazał wydalić go z uniwersytetu, a zarazem zamknąć przed nim wszelkie urzędy. Zgnębiony takim wyrokiem, Maurycy rzucił się znowu do studjów i ulubionych książek, ale niebawem nowy wypadek wstrząsnął rodziną Mochnackich i jak grom spadł na głowę Maurycego. W listopadzie 1823 r. niespodziewanie dla samego siebie został on aresztowany i osadzony w klasztorze karmelitów.

Tym razem sprawa przedstawiała się poważniej: więzień oskarżony był o zbrodnię polityczną.

Powodem uwięzienia stały się zeznania Heltmana, aresztowanego na Litwie, zeznania, z których policja dowiedziała się o związku Wolnych Braci Polaków i niektórych uczestnikach tej organizacji.

Wszczął się proces.

Teraz w życiu Maurycego nastąpił epizod tragiczny, epizod, którego wspomnienie wlokło się za znakomitym pisarzem, jako cień posępny i prześladowało go aż do śmierci. Zamknięty w małej mrocznej celi, przeżywał najokropniejsze chwile. Pieszczony całe życie przez matkę, przyzwyczajony do wygód i ciepła rodzinnego, został nagle odcięty od świata, skazany na wszystkie tortury osamotnienia i niepewności. W okropnej rozterce duchowej, w niszczącej siły walce z samym sobą, płynął mu dzień za dniem, a po długim

dniu przychodziła noc, jeszcze dłuższa, i posępniejsza, i coraz bardziej przerażająca. Wreszcie cisza nocna nawiedzała ponury klasztor, ale straszna była to cisza. Mącił ją złowróżbny zgrzyt kluczy, to westchnienie za ścianą, to rozdzierający serce krzyk umęczonej ofiary. Czasem w czarnych przepaściach nocy rozlegało się niepokojące warczenie bębna, a potem znowu następowała głusza i znowu wlokła się noc, by ustępować ociężale przed nowym dniem, tak samo jak wszystkie poprzednie niepewnym i dręczącym.

Po paru miesiącach takiego życia rozprzęgły się nerwy Maurycego i monotonja więzienna zaczęła doprowadzać go do szaleństwa. Nadaremnie porywał się do walki z własną rozpaczą. Pragnienie swobody niepohamowane, gwałtowne, mocne, jak strach przed trumną szarpało sercem i przenikało całe jestestwo. Człowiek buntował się przeciw więźniowi, — i Maurycy postanowił się ratować.

W życiu skazańców politycznych taka chwila przełomowa należy do najniebezpieczniejszych. Gdy myśl o wolności zacznie opromieniać mroki więzienne, gdy zakradnie się do serca, niestłumiona natychmiast wybuchem refleksji, więzień traci hart i moc panowania nad sobą, i z bohatera staje się odrazu człowiekiem słabym, chwiejnym, łatwo przeradzającym się w narzędzie posłuszne mocniejszej woli. Mochnacki nie był stworzony na bohatera więziennego, a sam walcząc ze sobą, nie wytrzymał szturmów komisji śledczej.

Na czele tej komisji stał generał Kołzakow, a w skład jej wchodzili: Hankiewicz, Podoski, Superson, Faleński i Ilnicki.

Mochnacki, stanąwszy pod krzyżowym ogniem zapytań śledczych, zawahał się, zadrżał, zdradził swój

stan wewnętrzny, a następnie z umęczonej duszy nie umiał już wykrzesać silnej woli i osłonić się nią przed skrytobójczemi ciosami prześladowców.

Ten stan nie uszedł bacznego oka doświadczonych w swem rzemiośle sług Konstantego.

Skorzystał z tego Polak Hankiewicz i zaopiekował się więźniem. Był to jeden z najbieglejszych w swoim zawodzie urzędników, typowy okaz zawodowego prześladowcy przestępców politycznych, osobistość, zrodzona pod najciemniejszą gwiazdą na firmamencie niebieskim. W swej skarbnicy śledczej posiadał on bogaty zapas najrozmaitszych środków, zaczynając od współczucia i przestróg ojcowskich, a kończąc na krwawych pogróżkach. Doświadczony w swym fachu, przewrotny do szpiku kości, umiał wyzyskać każdą słabość, a z zeznań potrafił wysnuwać pożądane dla siebie wnioski i podstępnie narzucać je indagowanym. Przed takim to sędzią Mochnacki, myślący już o odzyskaniu wolności, postanowił zagrać komedję i udać „nawróconego". Nieszczęsna chwila i nieszczęsny pomysł! Komedję tę niepostrzeżenie dla samego autora zaczął reżyserować Hankiewicz i doprowadził ją do tragicznego końca. Najpierw, podsuwając zeznania innych więźniów, wydobył z Mochnackiego garść potrzebnych wiadomości, a później już z całem mistrzostwem pchał swą ofiarę po niebezpiecznej drodze wzajemnych wynurzeń. W rozmowach tych Hankiewicz krytykował system szkolnictwa, piorunował na ateizm, szerzący się śród młodego pokolenia, a Mochnacki, chcąc go lepiej usposobić, potakiwał wszystkiemu, co więcej! wyznał nawet, że po wyjściu z więzienia wstąpi do seminarjum i zostanie księdzem. Hankiewicz, udający, że bierze na serjo nawet to, co

było oczywistem kłamstwem, pochwalił ten zamiar, ale nie omieszkał dodać, że aby uniknąć dalszych prześladowań, Maurycy powinien przedtem wstąpić do biura cenzury. Jednocześnie zaś coraz usilniej namawiał więźnia, aby dał dowód skruchy i pisemnie wyraził swój pogląd na panujący w Królestwie system szkolnictwa.

Raz wszedłszy na śliską drogę, Mochnacki brnął coraz dalej, aż zgnębiony ostatecznie, zasiadł do pisania nieszczęsnego referatu. Pracę tę poprawiali członkowie komisji, czynili w niej zmiany i poprawki, dawali na nowo do przepisywania i znowu robili uwagi, aż zredagowany został potworny memorjał, duchowe dzieło Hankiewicza, niestety, trzeba powiedzieć, własnoręcznie napisane i podpisane przez Mochnackiego.

Memorjał ów godził w podstawy polskiego szkolnictwa, zawierał insynuacje pod adresem Bentkowskiego, wykładającego w uniwersytecie warszawskim historję literatury, potępiał wolnościowe pisma, wydawane przez Morawskiego i Kicińskiego, nie oszczędził nawet Dekady Polskiej, zachęcał do stosowania środków administracyjno-represyjnych, a w pewnej mierze był nawet apologją cenzury [1]).

Ten haniebny memorjał, zawierający wiele zwrotów nikczemnych, obłudnych i przewrotnych, był ową straszliwą ceną, za którą Mochnacki kupił swą wolność.

Prawdopodobnie, pisząc swój referat, nie tylko siebie miał na myśli. Grożono mu, że uporem swoim zgubi rodzinę, że ojciec straci posadę, że na najdroższych swemu sercu sprowadzi najfatalniejsze następ-

---

[1]) Dokument ten przedrukował z oryginału prof. Askenazy w swem dziele o Łukasińskim. Tom II, str. 381.

stwa. Ugiął się pod ciężarem gróźb, a ze słów matki wnosić można, że i jej zabiegi nie pozostały bez wpływu na tę sromotną decyzję.

Wyszedł z więzienia, ale wyszedł z poczuciem hańby i wstydu.

Powróciwszy do domu, znajdował się w stanie zupełnego upadku ducha.

„Milczał. Wzrok jego, — według relacji matki, — stał się ponury, zawsze bojaźliwy, chytry nawet jakiś, niedowierzający. Światło trzeba mu (było) zawsze palić we dnie i w nocy, tak nie lubił ciemności. Gdy mu powiadałam, jakie wieści o nim chodziły, ile pochwał słyszałam od wojewody Grabowskiego i od Szaniawskiego.

— Ach, mamo kochana! — zawołał, — na miłość boską! niech mama nic o tych pismach nie wspomina, to hańba moja, nie chluba!" [1]).

Słowa Mochnackiej rzucają pewne światło na jej udział w sprawie syna. Chodziła ona tedy do Grabowskiego i Szaniawskiego, kołatała nawet, jak przyznaje się gdzie indziej, do serca takiego człowieka, jak gen. Rożniecki, słowem, czyniła wszystko, aby swą ślepą, upokarzającą miłością macierzyńską osłabić opór syna, byle tylko ujrzeć go wolnym i bezpiecznym. Ta naiwna duma, jaką ją przeniknęły pochwały, wychodzące z ust Szaniawskiego, wymownie świadczy, że droga, którą wybrała nieszczęsna matka, była fatalna i zgubna, że jeżeli jej starania miały jakikolwiek wpływ na syna, to wpływ ten był w najwyższym stopniu ujemny.

---

[1]) Listy str. 313.

Bądź co bądź fakt pozostał faktem i żadne okoliczności łagodzące nie mogą zmienić istoty rzeczy, ani usprawiedliwić kroku, który sam Mochnacki potępił. Przyjaciele jego starali się zczasem wytłumaczyć głośne „pismo karmelickie" młodością uwięzionego. Lichy to argument. Wymowniejszą obroną znakomitego pisarza są słowa, które matka przytacza, a z których wynika, że chłopak rozpaczał, myśląc o ohydzie postępku, jakiego się dopuścił. Wiedział, że okrył się hańbą. I ten wstyd, co palił duszę, wymowniej przemawia na jego korzyść, niż wszelkie argumenty przyjaciół. Wprawdzie w kilka lat potem, gdy na Mochnackiego miotano obelgami, on bronił się zapamiętale, jak broni się każdy, komu chcą wszystko odebrać, lecz w głębi duszy sam siebie osądził [1]). Do przeciętnych ludzi można stoso-

---

[1]) Na uwagę zasługują uwagi, które wypowiedział prof. Kallenbach w swoim szkicu, pisanym z powodu nowych o Mochnackim biografij. «Odpowiedź Mochnackiego na pytanie indagacyjne,— pisze prof. K., — jest wprawdzie własnoręczna, ale któż zaręczy, czy nie z podłożonego mu i poprawionego *ad hoc* bruljonu przepisywana? Wszak pytanie indagacyjne namawia łagodnie do szczerości (!): oznacz szczerze te wszystkie źródła, skąd tyle złych zasad czerpanych i czem podsycanych było, objaśniając przytem szczegółowo, co rozumiesz pod słowami itd. itd.». Cała odpowiedź wygląda na omówiony już przedtem elaborat. Hankiewicz i Nowosilcow wiedzieli, czego im potrzeba.

Odpowiedź Mochnackiego wygląda na zbyt dokładną i mogła obudzić podejrzliwość w. ks. Konstantego co do wiarogodności. Stąd zapewnienia, że to jest «własny wyraz uczuć i widzenia młodego człowieka, który sam (!) pracował nad poznaniem i poprawą obłąkań swoich». Stąd ponowne twierdzenie, że Mochnacki «dotyka przedmiotów, które ani w pytaniach, ani w ustnych uwagach (tu się zdradzili!) napomykane mu nawet nie były (Askenazy, Łukasiński, Tom II, str. 386). Jakże to wszystko czuć policyjną robotą». J. Kallenbach: O M. Mochnackim. Bibl. Warsz. 1910, str. 461—2.

wać miarę przeciętną, Mochnacki nie wymaga zdawkowej wyrozumiałości. Zresztą swój straszny błąd młodości sam odkupił później poświęceniem,. ranami i krwią, przelaną w bitwach o wolność narodu, odkupił ciężką a płodną pracą na rozmaitych polach myśli i czynu. Ale haniebny postępek nie pozostał bez następstw. Trzeba było spożyć owoce małodusznego kroku.

Teraz na widownię znowu wystąpiła matka.

Drżąc o los rodziny, którą proces Maurycego narażał na szykany, a przedewszystkiem, obawiając się, aby ukochanego syna po raz drugi nie aresztowano, Mochnacka, myśląc o środkach zapobiegawczych, udała się po radę do radcy stanu, Szaniawskiego. Był to naczelnik wydziału cenzury, trzeba dodać, kreatura, o której można mówić wiele złego lub nie mówić wcale. Szaniawski, wiedzący z urzędu, jak trawa rośnie, a rozumiejący doskonale swe zadania i obowiązki, pocieszał strapioną matkę i dowodził jej, że sytuacja nie jest tak tragiczna, byle Maurycy zastosował się do woli w. księcia i wstąpił na służbę do Nowosilcowa, lub też przyjął miejsce w biurze cenzury. Jakoż Maurycy, zmiękczony przez zatrwożoną matkę, błagany, aby ratował siebie i rodzinę, uległ perswazjom i z dwojga złego wybrał mniejsze: zapisał się do kancelarji Szaniawskiego.

Był to drugi krok w młodości, który do końca życia mścił się na Mochnackim, a mścił się tem bardziej, że położenie rodziny nie wymagało bynajmniej poddania się radom Szaniawskiego. To też nie tylko Maurycy, ale i rodzice jego muszą za ten krok ponieść odpowiedzialność. Można wierzyć Mochnackiemu, że wszedłszy do biura cenzury pod naciskiem rodziny, nie chciał spełniać swych obowiązków, że dążył do

tego, aby się od nich uchylić. Ale nie była to sprawa łatwa, zwłaszcza dla kogoś, kto miał za sobą pismo karmelickie. Jakoż są dowody, że Mochnacki był czas jakiś cenzorem, spełniającym swe obowiązki tak, jak tego wymagała ta instytucja. A więc oceniając książki w językach obcych [1]), występował przeciw dążnościom liberalnym i duchowi rewolucji. Co więcej! prosząc Szaniawskiego w lipcu 1827 roku o dymisję, wystosował do niego list, w którym wprawdzie uskarżał się na swoje zajęcie, dowodził, że cenzura nie prowadzi do celu, ale w dalszym ciągu występował w roli nawróconego młodzieńca, przeciwnego prądom „niedorzecznego liberalizmu".

Tak więc, wstąpiwszy na śliską drogę „nawrócenia", raz wraz potykał się na niej i upadał w bagno, które przejmowało go wstrętem. Jak mógł przecież, opuszczał się w pełnieniu obowiązków cenzorskich, a własnoręczny list Szaniawskiego, jaki we wrześniu 1827 r. wraz z dymisją otrzymał, jest dowodem, że wyższa władza cenzorska straciła nadzieję, by uczynić z niego gorliwego cenzora.

„Urzędowe raporta, — pisał Szaniawski do Maurycego, — przekonywają mnie, że ciągle, od kilku miesięcy, nie bywasz w biurze, w godzinach oznaczonych. Musiałem dawniej strofować cię o to w protokółach posiedzeń; później ostrzegał cię o tem generalny referent, jako z urzędu do tego obowiązany, któremu nawet nieprzystojnie, bo w niegrzecznych wyrazach odpisałeś. Wszystko było bezskuteczne do zwrócenia cię na drogę powinności urzędnika... Wiem, że nie

---

[1]) Kilka takich ocen przytoczył w swem dziele Kucharzewski: str. 521—529.

masz chęci pracować w tym rodzaju służby i tego ci za złe nie poczytuję. Gorszysz mi całe biuro", — wyrzekał dalej Szaniawski, nie przypuszczając zapewne, jak cennym stanie się zczasem każdy jego wyrzut [1]).

List ten dowodzi, że z celi więziennej, prócz uczucia wstydu wyniósł Mochnacki mocne postanowienie nieulegania swoim prześladowcom, a dalsze życie stwierdza, że w duszy jego gorzał bunt, i pragnienie zemsty, i krwawa nienawiść do warunków życia, które tak okrutnie igrało ze swemi ofiarami. W młodych piersiach kłębiła się burza, a myśl pracowała nieustannie i rozpaczliwie szukała wyjścia z sytuacji, w jakiej znajdowało się całe społeczeństwo. Ale nim tę myśl zaczął rozwijać i wpajać w serca licznych słuchaczów, narazie z zaciśniętemi zębami ciągnął taczkę swej doli, pozornie pogodzony z losem, spokojny i zrezygnowany, lecz w głębi duszy niecierpliwy i kipiący, jak młody rumak, którego spętano powrozami.

Nie mogąc znaleźć odpowiedniego zajęcia, przyjął miejsce w wydziale fabryk komisji rządowej spraw wewnętrznych, jako urzędnik nieetatowy; pracował także w redakcji czasopisma: „Izys Polska", ale zajęcie swoje rychło znienawidził. I trudno dziwić się temu. Wydawana przez Lelowskiego „Izys Polska", czyli „dziennik umiejętności wynalazków, kunsztów i ręko-

---

[1]) List Szaniawskiego ogłosił Mochnacki już po wybuchu listopadowym, gdy pomiędzy licznemi zarzutami, któremi weń miotano, i zarzut należenia do biura cenzury obił się o jego uszy. List ten, ogłoszony w «Polaku Sumiennym» (R. 1830, Nr. 18, str. 71) przechowywał Mochnacki w oryginale i na żądanie zobowiązywał się każdemu oryginał ten przedstawić.

dzieł, poświęcony krajowemu przemysłowi, tudzież potrzebie wiejskiego i miejskiego gospodarstwa", jak to w podtytule każdego zeszytu obwieszczała redakcja, ta „Izys" była niewątpliwie pismem pożytecznem, ale same tytuły prac w niej drukowanych określają stosunek, jaki musiał łączyć Mochnackiego z tem wydawnictwem. To pewna, że nie wiele miał on wspólnego z „Nową cierlicą wiejską do wycierania lnu i konopi", z „Wiadomością o handlu pijawkami", z „Trójnogiem do wnoszenia i kierowania rur przy sikawkach", z „Klapą do wodozbiorów", ze „Sposobem na dychawicę u koni"[1]) itd. Na szczęście, obok zajęcia w „Izydzie" mógł niebawem innej poświęcić się pracy i zużytkować swe studja nad filozofją i literaturą, a zarazem wyrzucić z siebie przynajmniej część tych myśli, co pod wpływem niedawnych przejść i warunków życiowych zrodziły się w niespokojnej głowie.

Pierwszą sposobność po temu nastręczył serdeczny przyjaciel Maurycego, Michał Podczaszyński, jedyny z licznego grona późniejszych przyjaciół, który dochował mu swą przyjaźń aż do grobowej deski.

Podczaszyński, — informuje jedno z pism emigracyjnych, — „urodził się w 1800 r. na Wołyniu, z rodziców niezamożnych w dostatki, lecz bogatych w patrjotyzm. Pierwsze nauki odbył w liceum krzemienieckiem, dalsze prowadził na uniwersytecie wileńskim. 1824 (r.) przybył do Warszawy i wszedł do biura ministerstwa skarbu; niedługo, z powodu wyrządzonej mu niesprawiedliwości w przyznaniu innemu

---

[1]) Tytuły artykułów, pomieszczanych w «Izys Polskiej».

posady za przedmiot przez niego wypracowany opuścił służbę rządową" [1]).

Od tej pory poświęcił się Podczaszyński literaturze i publicystyce. Był to przysłowiowy „chudy literat" polski, zakochany po uszy w farbie i bibule drukarskiej, a zmuszony imać się postronnych zarobków, byle żyć i pisać. Mając dobre serce i zasilając swemi funduszami uboższą młodzież, szybko wydał niewielki kapitalik, otrzymany w spadku po rodzicach, i znalazł się na bruku bez środków do życia. W roku 1825 założył „Dziennik Warszawski", ale wydawszy resztę pieniędzy na prowadzenie pisma, zmuszony był oddać je w inne ręce, sam zaś wyjechał za granicę w charakterze nauczyciela. Bywał w Paryżu, zaprzyjaźnił się tu z Leonardem Chodźką, niebawem jednak, uwikławszy się w romans, porzucił miejsce i wrócił do Warszawy, by znowu piórem na chleb zarabiać. Zasady liberalne, jakie głosił w gronie młodzieży stolicznej, zwróciły nań uwagę organów śledczych, — i „chudy literat" w r. 1828 znowu wyjechał za granicę, ale tym razem w obawie przed grożącem mu uwięzieniem. W ten sposób przyjaźń z Maurycym narażona była na próby rozłąki, ale z prób tych obaj wychodzili zwycięsko: gdy w parę lat potem, już po upadku powstania, spotkali się w Paryżu, odżyła między nimi gorąca i serdeczna przyjaźń.

---

[1]) «Tygodnik Emigracji polskiej», Nr. 5 z d. 8 lipca 1835 r. Matka Maurycego, pisze, iż z Podczaszyńskim zawarł on znajomość w r. 1821. Przeczy temu «Tygodnik Em.», ale sam Podczaszyński, pisząc w grudniu 1834 r. o przyjaźni, łączącej go z Maurycym, mówi, iż przyjaźń ta trwała lat 15. Z tego wnosić można, iż w Warszawie bywał już przed r. 1824.

Podczaszyński posiadał duże oczytanie, miał umysł jasny, samodzielny, pióro wytrawne i cięte. Przyjaźniąc się z Maurycym, zaprzyjaźnił się z całą jego rodziną, podbił wszystkich swą uprzejmością i zaletami towarzyskiemi, zczasem zakwaterował się na dobre u Mochnackich, zamieszkał w jednym pokoju z Maurycym i przez domowników traktowany był, jak członek rodziny [1]).

Młodzi przyjaciele, mając wiele wspólnych upodobań, przylgnęli do siebie, komunikowali sobie wzajem swe myśli, a nieraz kłócili się zawzięcie. W tych kłótniach, — opowiada Mochnacka, — „poznawałam naturę obu: Michał, pełen rozsądku, żywy, wszystko, co twierdził, było jasne; Maurycy zaś głęboko oczytany, głębiej sięgając, z flegmą, głosikiem półcichym, półcienkim, wyłuszczał rzeczy z precyzją, niecofniętą nigdy. Michał się zapalał i grubym donośnym głosem hałasował. Czasami umilkli oba na moje wejście, albo na widok tacy z kawą, do której oba zawsze wdzięcznie się uśmiechali; a czasami jeden za drugim w największym nieładzie kamizelek i tużurków i głów niewyczesanych, dla szybkości bez kapeluszów biegli na drugą stronę ulicy do Joachima Lelewela, naprzeciwko mieszkającego; a ja w oknie widziałam, jak przed nim, ową wyrocznią całej młodzieży, nawzajem oskarżali się i za sędziego brali!” [2]).

W owym okresie czasu, kiedy Maurycy wyszedł z więzienia, Podczaszyński był jego najbliższym przyjacielem i z nim Maurycy żył bliżej, niż z rodzeństwem, od którego dzieliła go różnica wieku. Wprawdzie w sto-

---

[1]) Listy M. Mochnackiego, str. 291.

[2]) Listy, str. 291—292.

sunku do brata Kamila różnica ta nie była wielka, ale Kamil Mochnacki, upodobawszy sobie karjerę wojskową, nie mieszkał podówczas w domu, a zamknięty i skupiony w sobie, mało udzielał się bratu. Drogi, któremi szli dwaj starsi Mochnaccy, skrzyżowały się zczasem i obu zbliżyły do siebie, ale nim się to stało, z Michałem Podczaszyńskim żył Maurycy, jak z rodzonym bratem, z nim dzielił swe myśli i marzenia.

W r. 1825 Maurycy, wciągnięty przez Michała do redakcji Dziennika Warszawskiego, po raz pierwszy miał możność publicznego wypowiedzenia swych myśli. Studja, zamieszczone w Dzienniku, powszechną zwróciły uwagę, a rozbudzony talent pisarski zabłysnął jeszcze świetniej, gdy zgórą w rok potem wystąpił Maurycy jako pisarz polityczny [1]).

Pismo jego obiegło kraj cały, głęboko zapadło w serca współczesnych i na długie lata utrwaliło się w pamięci.

Pismo to ściśle związane było z wydarzeniami, które zaniepokoiły samego cara i wstrząsnęły Polską.

* *

Prace spiskowe nie mogły ukryć się przed zgrają szpiegów, których tropiące oczy przenikały nawet

---

[1]) O pracach, drukowanych w «Dzienniku Warsz.», traktuje rozdział następny. Podczaszyński zapewnia, że jeszcze przed uwięzieniem Mochnacki drukował drobne artykuły w «Astrei»; ale w piśmie tem nigdzie nie figuruje nazwisko M-go, ponieważ zaś większe prace w «Astrei» są podpisane, więc współpracownictwo M-go mogło się ograniczać do mało znaczących wzmianek. Bańkowski utrzymuje, że Mochnacki drukował w «Astrei» dwa artykuły: oba tłumaczone z francuskiego. Pierwszy z tych artykułów to praca O drugiej abdykacji Napoleona przez B. Constant'a, drugi, to Uwagi nad literaturą romantyczną. Wnioski, do których doszedł Bańkowski, oparte są na przypuszczeniach. (M. M-cki, jako teoretyk i krytyk... str. 8–9).

ściany domów rodzinnych i sięgały w głąb wszelkich poczynań obywatela polskiego. Wzrost sprzysiężeń tajnych zaniepokoił władze. Tolerowane czas jakiś Wolnomularstwo Narodowe narażone zostało na prześladowania, zakończone ostatecznie dekretem cesarskim, który wszystkie loże, istniejące w Królestwie, rozkazywał zamknąć. Łukasiński, widząc walkę nierówną, poddał się pozornie temu rozporządzeniu. ale nie myślał o złożeniu broni. W głowie bohatera zrodził się plan nowy i niebawem na ruinach Wolnomularstwa powstało osłonione już murem konspiracyjnym Węglarstwo Narodowe. Węglarze za pośrednictwem gen. Umińskiego porozumieli się ze związkiem Kosynierów w Poznańskiem i, połączywszy te dwie organizacje, utworzyli słynne Towarzystwo Patrjotyczne Narodowe.

Towarzystwo Patrjotyczne miało ten sam cel, który w ciągu całej działalności przyświecał Łukasińskiemu, a rozgałęzione było nie tylko w Królestwie i Poznańskiem, ale sięgało na Litwę, Wołyń i Podole, miało swe gminy i w Galicji.

Mimo wyzbycia się członków, niezasługujących na zaufanie lub niepewnych, mimo wielkiej konspiracji, jaką osłaniała się nowa organizacja, nie była ona zabezpieczona od wtargnięcia jednostek, które w celach zdrady przywdziewały obłudnie maski patrjotyzmu i poświęcenia. Między innymi wkradł się do Towarzystwa adjutant gen. Haukego, Skrobecki i niejaki Karski. Ten ostatni w r. 1822 wydał władzom otrzymane w zaufaniu papiery, które skompromitowały takich działaczów, jak Łukasiński, Machnicki, Cichowski, Dzwonkowski, Koszutski i wielu innych. Wszyscy na rozkaz w. księcia zostali aresztowani i oskarżeni o zbro-

dnię stanu. Sąd wojenny skazał Łukasińskiego na dziewięć lat ciężkich robót, innych na lat sześć, wszyscy zaś prócz trzech, którym winy nie udowodniono, utracili rangi oficerskie.

Strata tylu działaczów zachwiała organizacją, ale jej nie rozbiła. Na widowni ukazali się nowi ludzie: Krzyżanowski, Plichta i Albert Grzymała, dwaj pierwsi jednostki wytrwałe, dzielne, sprężyste. Ujęli oni w swe ręce naczelną władzę i kontynuowali rozpoczęte przez Łukasińskiego dzieło. Zczasem, rozszerzając zakres swych czynności, przedstawiciele Towarzystwa zaczęli porozumiewać się ze spiskowcami rosyjskimi. Krzyżanowski zetknął się w Kijowie z Bestużewem i Murawiewem, później zaś książę Jabłonowski porozumiewał się z Pestelem. Konferencje te nie tylko nie doprowadziły do jakichkolwiek konkretnych wyników, ale stały się przyczyną klęski, która podminowała Towarzystwo Patrjotyczne.

Z powodu wypadków grudniowych w Petersburgu, towarzyszących wstąpieniu na tron Mikołaja, wszczęły się liczne aresztowania w szeregach rewolucjonistów rosyjskich, a między innymi uwięzieni zostali Rylejew, Pestel, Murawiew i Bestużew. Badania uwięzionych naprowadziły komisję śledczą w Petersburgu na ślad istnienia wielkiej organizacji tajnej i w Królestwie. Nitka doprowadziła do kłębka. Zeznania rewolucjonistów rosyjskich wyrąbały szczerbę w murze konspiracyjnym Towarzystwa i naraziły wielu jego członków. Nadomiar nieszczęścia kilku spiskowców Polaków, a głównie ks. Jabłonowski, Oborski, Ogiński potwierdzili otrzymane w Petersburgu wiadomości i policję w Królestwie na nowe wprowadzili tropy.

Wtedy to w. ks. Konstanty, otrzymawszy nieograniczone pełnomocnictwo w sprawie postępowania ze spiskowymi, dał poznać całemu społeczeństwu swój straszny gniew. Na widownię wysunął Nowosilcowa, który, mając rozwiązane ręce, z całą gorliwością jął szerzyć spustoszenia nie tylko w kadrach spiskowców, ale i śród ludzi, stojących poza wszelkiemi spiskami. W ciągu stycznia i lutego 1826 r. niemal codziennie osadzano nowych więźniów w klasztorze karmelitów, a gdy w klasztorze miejsca nie stało, obrócono na więzienie pałac brühlowski, wreszcie zaczęto umieszczać podejrzanych w lochach ratusza. Szalał Nowosilcow i ofiary za ofiarami znikały za wrotami więzień. Rozpacz ogarnęła kraj cały. Śród uwięzionych był kwiat młodzieży polskiej, a gniew w. księcia pozwalał spodziewać się najbardziej stronniczego sądu i najokrutniejszych wyroków.

Skład komisji śledczej spotęgował obawy.

Do komisji tej weszli Nowosilcow i budzący dreszcz grozy generał Kuruta, baron Mohrenheim, Krywcow i Kołzakow z Rosjan, a z Polaków Stanisław i Franciszek Grabowscy, Rautenstrauch, Hauke, wszyscy mający nieosobliwą lub najgorszą opinję, wszyscy uważani za powolne narzędzia w rękach Nowosilcowa.

Zaczęło się śledztwo i trwało prawie rok cały, trzymając ciągle w naprężeniu uwagę całego kraju. A panujące wzburzenie podniecały co chwila szczegóły śledztwa, które przedostawały się skroś mury więzienne i swobodnie krążyły śród tłumów.

Z ust do ust podawano sobie niezawsze prawdziwe, często przesadzone, ale zawsze przedziwnie wzruszające wieści.

Więc opowiadano, że Łukasiński, już otoczony aureolą bohaterstwa narodowego, sprowadzony dla konfrontacji z nowymi więźniami, odsłonił tylko przed komisją swe rany i zapytał, czy można się z tem liczyć, co w katuszach nieprzytomnie zeznawał. Niewysłowienie straszny widok bohatera, stojącego przed komisją, jak krwawy wyrzut, przyobleczony w łachmany więzienne, nawet sędziów, jak niosła wieść, przejął zimnym dreszczem i wprawił w odrętwienie. To znowu opowiadano, że inny więzień, Andrzej Plichta, tak zachowywał się podczas badań, iż sam Nowosilcow głosił, że komisja nie indagować, lecz krwawe walki staczać z nim musi. Inna wieść niosła znowu, że niejaki Sabiński, obruszony do żywego zeznaniami, jakie w jego obecności składał książę Jabłonowski, porwał się na nieszczęsnego księcia, chwycił go za gardło żelaznemi rękoma i wobec całej komisji jął dusić straceńca, a gdy mu w tem przeszkodzono, wówczas, doprowadzony do szału, sam sobie gardło poderznął.

Nazwiska Krzyżanowskiego i wielu innych również przedostawały się daleko poza mury więzienne, zyskiwały rozgłos i sympatję. Raz po raz jakiś nowy szczegół wstrząsał społeczeństwem, budził jego uwagę i czujność.

A śledztwo ciągnęło się bez końca.

Mijały długie miesiące trwogi — i niepokój się wzmagał, bo nie wiedziano jeszcze, pod jaki sąd oddani zostaną obwinieni.

W. książę Konstanty i Nowosilcow domagali się sądu wojennego, ale teraz na widownię wystąpił minister skarbu, potężny książę Lubecki i, opierając się na konstytucji. żądał, aby w charakterze sądu zwo-

łany został Senat Królestwa Polskiego. Sprawa oparła się o Petersburg. Przeciw żądaniu Lubeckiego protestował namiętnie Nowosilcow, ale nadaremnie wysilał swój spryt, wyrobiony w długoletnich matactwach. Żelazna wola Lubeckiego wzięła górę nad sprytem i stary lis musiał się poddać żądaniom szczęśliwszego rywala: rozkaz carski przechylił szalę zwycięstwa na stronę Lubeckiego.

Zebrał się nareszcie sąd, gorączkowo oczekiwany. Na wezwanie stawili się wszyscy senatorowie, wszyscy bowiem czuli, że gra idzie o wielką stawkę, że tu chodzi nie tylko o podsądnych, ale o przyszłość kraju. Przewodniczącym sądu został Piotr Bieliński, słynnemu prawnikowi, Antoniemu Wyczechowskiemu powierzono obowiązek prokuratora, a do komisji instrukcyjnej, mającej w tej sprawie olbrzymie znaczenie, weszli: Michał ks. Radziwiłł, Szymon Wiśniewski, Maciej Wodzyński, Wiktor Rembieliński i Tadeusz Tyszkiewicz, wszyscy cieszący się poważaniem i dobrą reputacją. Ale do grona sędziów należał gen. Wincenty Krasiński, należeli inni, o których społeczeństwo nie miało wyrobionej opinji, lub zgoła opinję nieszczególną. Przed takim to sądem stawieni zostali jako oskarżeni o chęć odbudowania Polski następujący więźniowie: ksiądz Dembek, Albert Grzymała, Seweryn Krzyżanowski, Franciszek Majewski, Andrzej Plichta, Stanisław Sołtyk, Stanisław Zabłocki i Roman Załuski.

Oczy całej Polski zwróciły się na ławę oskarżonych. Wyrok potępiający miał być dowodem lojalności senatorów polskich, stwierdzeniem faktu, że Polacy, dzierżący szczątki pozostawionej im władzy, godzą się iść pod komendę Nowosilcowa i raz nazawsze rezygnują z ideałów, które przyświecały działalności oskar-

żonych. Odczuli powagę chwili senatorowie i oskarżeni, zrozumiał ją kraj cały. Wprawdzie twórcą sądu sejmowego był wpływowy ks. Lubecki, ale za Nowosilcowem stał groźny carewicz i całą potęgę swego wpływu, cały swój gniew rzucił na ważące się szale sprawiedliwości sądowej.

Kto zwycięży? Komu sąd pozwoli zatriumfować: w. księciu, czy tym, co tuż pod jego bokiem ważyli się tworzyć występne w jego oczach związki?

Pytania te przywarły do wszystkich ust, tkwiły w każdem sercu.

Senatorowie mieli dać odpowiedź. Senatorowie mieli stwierdzić, jaka jest dobrze myśląca opinja kraju. Senatorowie mieli rozwiać wszelkie nadzieje, związane z myślą, która ożywiała członków Towarzystwa Patrjotycznego, lub też wyrokiem swoim napiętnować Nowosilcowa i przyłączyć się do strasznej w jego przekonaniu zbrodni. Zaniepokoił się sam w. książę i nie ukrywał swego niezadowolenia. Zaniepokojona była i stolica i w niesłychanem naprężeniu oczekiwała dnia rozpraw. Ustały wszelkie zebrania, zabawy, zbiegowiska, przepełniły się ludem kościoły, a na ulicach mnóstwo osób ukazało się w żałobie.

Gorączkowe zniecierpliwienie opanowało umysły, a obawa i nadzieja kołatały naprzemian w sercach obywateli.

Wówczas to wystąpił Mochnacki, wystąpił bezimiennie, ale głos jego zabrzmiał czysto, doniośle i zwrócił na siebie powszechną uwagę.

W przededniu rozpraw sądowych zaczęły krążyć po Warszawie w znacznej ilości litografowane wiersze, satyry, odezwy, karykatury, a wszystkie przemawiały do honoru sędziów lub zuchwale godziły w Nowosilco-

wa i w. księcia. Policja konfiskowała te świstki, ale zaledwie zniknęły jedne, natychmiast na ich miejsce zjawiały się nowe, równie jadowite, zuchwałe, rewolucyjne. Prasa, strzeżona pilnie przez Szaniawskiego, nie mogła się wypowiedzieć otwarcie, więc ógół tem skwapliwiej rozchwytywał te ulotne pisemka i gorąco a szczerze przyklaskiwał autorom.

Otóż śród tych pisemek znalazła się odezwa, krążąca w niezliczonych odpisach, a ciesząca się szczególnem uznaniem publiczności, odezwa, która, jak powiada świadek ówczesnych wydarzeń Barzykowski, „zatrzęsła sumieniem niejednego Polaka, a w sercach wszystkich się odbiła" [1]). Odezwa ta była zatytułowana: „Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego, z okazji Sądu Sejmowego" [2]). Było to dzieło Mochnackiego: dla skuteczniejszego zakonspirowania swojej osoby wystąpił on w masce obywatela z innej dzielnicy Polski i przemówił jako starzec, stojący nad grobem.

---

1) «Hist. Powstania Listopadowego». Poznań 1883. T. I, str. 224.

2) Taki tytuł ma odezwa, wydrukowana w dodatkach do «Powstania Narodu Polskiego». Odpisy spółczesne tej odezwy, znajdujące się w Ossolineum i Rapperswilu, na co zwraca uwagę Szpotański, zatytułowane są: «Głos Obywatela z zabranego kraju z okazji Sądu Sejmowego». Szpotański twierdzi, że zmiana tytułu i drobne poprawki uczynione zostały później i że tak uczynił Mochnacki «z powodów czysto literackich». Z tego powodu Szp. czyni zarzut M-mu, że «formę literacką przeniósł nad powagę dokumentu». Jest przecież rzeczą równie możliwą, że ta sama odezwa współcześnie przez M-go była poprawiona i że pod różnemi tytułami krążyła w odpisach. Jeden z takich odpisów, posiadanych w Paryżu, mógł Mochnacki wydrukować w swem dziele o powstaniu. Niema dostatecznych powodów, by i z tej racji dopatrywać się rozmyślnej ze strony M-go dla względów literackich intencji.

A co mógł czuć i myśleć, prześladowany widmem szubienicy, grożącej ludziom, dla których żywił najwyższą cześć i szacunek, to wyraziło się w piśmie. I ból, i żal, i rewolucyjność autora, złączyły się w jeden śpiżowy dźwięk i zahuczały jak dzwon, rozkołysany potężnem uderzeniem. Najpierw wykazał Mochnacki znaczenie, jakie Sąd Sejmowy ma w oczach społeczeństwa, przedstawił nadzieje i obawy, wzbudzone w całym kraju, a choć wyrok potępiający nazwał „zbrodnią i szatańską niegodziwością", nie uprzedzał wypadków, lecz do serc sędziów kołatał. A kołatał przedziwnie, po mistrzowsku, genjalnie: nie szafował błagalnemi słowy, lecz pytał np., kto po wyroku potępiającym mógłby jeszcze miłować Ojczyznę? Dziwne pytanie, ale któryż z sędziów nie zadrżał, czytając taką mowę, któryż z wahających się senatorów nie pomyślał o ogromie ciążącej na nim odpowiedzialności?

Mochnacki obiecywał sędziom wdzięczność narodu, ale jednocześnie groził pogardą całych pokoleń, jeśliby małoduszność wkradła się w serca senatorów.

„Jużby wtenczas, — głosiła odezwa, — śmiało rzec trzeba, że nie na sejmie grodzieńskim, kiedy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej działa i sprzęty wojenne obrócili przeciw izbie radnej panów, nie pod Maciejowicami, ani w falach Elstery, ale teraz, wobec was, na Sądzie Sejmowym Polska zginęła... Całość Ojczyzna nierozdzielna! Słowa te potężne i dzielne i nad miecz z obu stron ostrzejsze i nad wszystkie ptaki i anioły prędsze, przelecąż jak dźwięk miedziany mimo uszu waszych? azaliż wydrzecie tę duszę z ciała Rzeczypospolitej, aby onej zwłoki snadniej podeptać mogli nieprzyjaciele?... Co skoro się ziści, a nie dopuść

tego, Panie! siwą głowę moją do końca życia mego, na znak żałoby popiołem posypywać będę, i, osiadłszy gdzieś na puszczy, narzekać będę, że rodacy, senatorowie, wybrani starsi ojcowie ludu, nie pomnąc na potomność i sławę u postronnych, ostatni śmiertelny cios zadali wspólnej rodzicielce i karmicielce naszej"...

Mimo zwrotów o „siwej głowie", mimo wyrażeń, przywodzących na myśl starczość autora, cała odezwa zdradzała krew młodą, burzliwą, namiętną. Niemal w każdem zdaniu syczała podeptana godność, a skroś kłęby perswazji przebłyskiwała groźba jak sztylet przyczajony. Ale sile potępienia dorównywała przekonywająca siła uczucia. Wdzierając się tą drogą do serc senatorów, Mochnacki grał później na zdobytych sercach, nastrajał je na ton górny i nawiązywał łączność pomiędzy gronem sędziów a bezimiennym tłumem.

W tem tkwiła moc odezwy i tem się tłumaczy potężne wrażenie, jakie wywoływała.

A rozgłos, jaki zdobywało pismo Mochnackiego, szumne pochwały, idące w ślad za niem, były wyraźną wskazówką, czego społeczeństwo oczekuje od sądu i jakiego domaga się wyroku. To też „Głos obywatela" w zadumaniu czytali poważni senatorowie i porwani potężną wymową, zgadywali pocichu, ktoby był autorem tak niezwykłego pisma. Ale zgadywali nadaremnie. Śród sędziów jeden biskup Woronicz posiadał tajemnicę. Poczciwy starzec, do głębi duszy wzruszony odezwą, zawezwał do siebie autora, uściskał go i ze łzami w oczach błogosławił na dalszą drogę życia [1]).

---

[1]) Listy M. Mochnackiego, str. 314.

Nareszcie zapadł oczekiwany wyrok i ziścił najśmielsze nadzieje. Z wyjątkiem dwóch głosów wszyscy sędziowie zsolidaryzowali się z opinją. Odetchnęła przygnębiona Warszawa, a za nią cała Polska. Senatorowie w oczach ogółu uratowali honor narodu i rozdmuchali tlejące iskry nadziei.

Oczywiście, nie pod wpływem płomiennych słów Mochnackiego wyrok został wydany. Na decyzję senatorów dużo przyczyn musiało się złożyć, ale okoliczność ta nie zmniejsza znaczenia odezwy. Zatargała ona sumieniem publicznem, i, jak mówi Barzykowski, którego o przesadę w pochwałach dla Mochnackiego posądzać nie można, „w sercach wszystkich się odbiła". Dzieło Mochnackiego było niewątpliwie najsilniejszym wyrazem wzburzonej opinji i pozostało do dziś dnia widomym szczytem, na który w owych pamiętnych, historycznych dniach Sądu Sejmowego wzniosło się dławione uczucie.

Więzień karmelicki odrzucił precz wstrętną dłań maskę obłudy i acz bezimiennie, własnym przemówił głosem. A siła i szczerość odezwy musiała lękiem przejąć tych, co w kancelarjach więziennych znęcali się nad udręczonym młodzieńcem i pisali raporty o jego „nawróceniu"...

Wyrok Sądu Sejmowego miał ogromne znaczenie i ze względu na to, że był w pewnym stopniu manifestacją wyższych sfer społeczeństwa polskiego i co ważniejsze! ze względu na dalsze swe skutki. Senat, wydając swój wyrok, wobec całego świata oświadczał, że na Polaku. mającym intencje, które ożywiały spiskowców, żadna nie ciąży wina i myśl tę wyraźnie wypowiedział nawet w raporcie, przeznaczonym dla

władzy najwyższej. W ten sposób senatorowie ulegalizowali niejako dążenie Towarzystwa Patrjotycznego, a tem samem zachęcili młodzież do dalszych działań i prób.

Ale niedość na tem.

Postępowanie Sądu Sejmowego wywołało reskrypt cesarski, który wstrzymywał ogłoszenie wyroku. Teraz dla wszystkich obywateli Królestwa stało się jasnem, że walka na drodze konstytucyjnej nie rokuje już powodzenia. Więc wzmogło się rozgoryczenie w wyżej położonych sferach, a młodzież jeszcze żwawiej zaczęła się ruszać. Myśl, przyświecająca członkom Towarzystwa Patrjotycznego, na nowo pożar rozpaliła w głowach. Tylko niezadowolenie coraz skuteczniej ukrywało się przed oczyma władzy i coraz bardziej zstępowało w głąb. I znowu zakotłowały się podziemia, a myśl o rewolucji zaczęła się wcielać w nowy czyn spiskowy.

Ale rewolucję polityczną poprzedziła inna rewolucja: rewolucja w literaturze.

I w jednej i w drugiej Maurycy Mochnacki odegrał historyczną rolę.

II.

INSUREKCJA LITERACKA.

Upadek Napoleona zakończył okres wojen, które wrzawą bojową napełniały nieustannie kontynent. Runęło kilka tronów, wzniesionych mocarną ręką nowożytnego Cezara, powróciło do znaczenia kilku dawnych władców, zmieniła się mapa Europy — i cisza spłynęła na uspokojone przestrzenie. A zaledwie przeminął łoskot nawałnicy, gdy na zroszonej krwią ziemi zaczął się dawny utrwalać „porządek". Odetchnęli znękani monarchowie, powrócili do swoich zajęć wszelkiego rodzaju giełdziarze i spekulanci, a ludy, wyczerpane upływem krwi, zmęczone zgiełkiem orężnym, bez szemrania poddały się nowemu jarzmu. Cmentarna cisza zaległa i niewielki szmat ziemi, zwany teraz Królestwem Kongresowem. Społeczeństwo polskie, zawiedzione w nadziejach, zaczęło godzić się z losem i przyzwyczajać do nowego stanu rzeczy. Dawniejsi wielbiciele Napoleona, piewcy jego bohaterskich czynów, przeróżni Koźmianowie nastroili swe fałszywe lutnie na inną nutę i zaczęli wielbić cesarza Aleksandra. A wojownicy i bohaterzy, co w armji napoleońskiej zdobywali ostrogi rycerskie, zamiast zuchwałych pochodów po całym obszarze Europy, odbywali teraz

rewje na placu Saskim, a zamiast głosu „boga wojny” słuchali komendy w. ks. Konstantego. Zmieniły się czasy. Ci, którzy kilkanaście lat z rzędu witali okrzykiem entuzjazmu każdy grom, co szedł z zachodu, teraz, w zmienionych warunkach życia, nadstawiali uszu na północ i chciwie łowili szmery, co dobiegały ze stolicy nad Newą. Po doznanych zawodach starsze pokolenie zrezygnowało ze swoich aspiracyj, a młodsze przedstawiało się jeszcze zagadkowo. Wprawdzie sprzysiężenia tajne i procesy świadczyły, że synowie przechowują w swych sercach ideały, co ojców wiodły pod skrzydła napoleońskie, ale w porównaniu do niedawnych wstrząśnień było to słabą oznaką budzącego się życia...

Społeczeństwo zażywało spokoju...

Przedstawiciele umysłowości polskiej mogli powrócić do swoich zajęć. Wprawdzie niedobitki epoki Stanisława Augusta, uczeni i poeci, uczestnicy czwartkowych obiadów, jeszcze przed utworzeniem Księstwa założyli w Warszawie słynne Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zaczęli się w niem skupiać i kończyć rozpoczęte dzieła; ale burza napoleońska nie pozwoliła na systematyczną pracę. Dopiero spokój, który zapanował w Królestwie Kongresowem, wróżył tej pracy lepsze widoki. Więc uczeni znowu zaczęli się zgromadzać, a poeci, jak za czasów stanisławowskich nieśli do salonów swe wymęczone płody i dawnym dworskim zwyczajem zarzucali się komplimentami. Zakwitła na nowo francuszczyzna, odżyło uwielbienie dla Racine’a, wzmógł się kult dla mądrości estetycznej Horacego i Boileau’a.

Tymczasem w Europie zachodniej jak gdyby odblask burz i gromów napoleońskich rozpoczynała się

rewolucja w literaturze. Ale kiedy w Niemczech Goethe i Schiller liczyli zwolenników na tysiące, kiedy w Anglji publiczność pochłaniała utwory Walter-Scotta, Byrona, Moora i grzmiała na cześć Szekspira, kiedy we Francji Wiktor Hugo wyrzucał z potężnej piersi entuzjastyczne okrzyki pod adresem poetów angielskich, kiedy za granicą powstawały liczne czasopisma i szkoły literackie, a literatura stawała się przedmiotem rozpraw publicznych, — w Królestwie Polskiem salon zakamieniałego klasyka, hr. Mostowskiego, był wyrocznią we wszelkich sprawach, dotyczących poezji i pojęć estetycznych. Prądy, idące z zachodu, nie miały tu dostępu, a jeśli czasem zabłąkane echo przyniosło odgłos walk literackich do salonów hr. Mostowskiego, to istniejące w tych salonach Towarzystwo Iksów wzruszało ramionami.

W jakiż sposób objawiali swoją działalność Iksowie?

Otoczeni najczęściej wieńcem pięknych dam, odczytywali swoje utwory, prowadzili salonowe dysputy o literaturze, a swoją działalność nazewnątrz przejawili szeregiem artykułów, drukowanych w czasopismach warszawskich pomiędzy 1814—1819 r. Artykuły te, omawiane szczegółowo na zebraniach, a poświęcone najczęściej teatrowi, przyczyniły się, jak upewnia Brodziński, do podniesienia smaku ówczesnej publiczności. Ale był to niewątpliwie ów smak pseudoklasyczny, który domagał się ścisłego przestrzegania reguły „trzech jedności”, kazał posługiwać się mitologją, zalecał wytworny styl w znaczeniu napuszonych wyrażeń retorycznych, lękał się, jak ognia wszelkich wykroczeń przeciw wersyfikacji i potępiał wszystko, co nie mieściło się w kanonach estetycznych Boileau’a. Zczasem, gdy i w pismach polskich zaczęły się uka-

zywać utwory, ożywione nowym duchem, Iksowie podzielili się na klasyków nieprzejednanych i klasyków, którzy dla nowych zjawisk w literaturze znajdowali niekiedy łagodniejsze słowo. Na czele pierwszych stał Mostowski i Kajetan Koźmian, do tolerantów zaliczali się Niemcewicz, ks. Czartoryski, Morawski [1]).

W kilka lat potem, gdy „pijani parobcy literatury”, jak Koźmian nazywał „zbrodniarzy”, co zrywali z rutyną, śmielej podnieśli głowę, zasłynął salon literacki hr. Krasińskiego. Nowy salon, a raczej nowa jadalnia literacka, bo przy stole, suto zastawionym, gromadził p. generał liczny zastęp literatów, odznaczała się już nieporównanie większem ożywieniem. Ożywienie to jeszcze bardziej wzrosło, gdy obok uznanych, powag, jak Niemcewicz, Koźmian, Osiński, Morawski lub pociesznych wierszopisów, sprowadzanych gwoli lepszego trawienia, wierszopisów w rodzaju słynnego autora Gorsetu, Marcinkowskiego. zasiedli przy tym samym stole i młodsi przedstawiciele literatury: Odyniec, Witwicki, Gaszyński. Ci młodzi barbarzyńcy w podjazdowych walkach literackich do wściekłości doprowadzali uznane powagi. W tych walkach szczególną zaciętością odznaczał się Odyniec. Zwalczali go po swojemu Koźmian i Osiński.

„Pomiędzy Kożmianem i Osińskim a Odyńcem, — pisze jeden ze świadków, — toczyły się rozprawy o romantyczność i klasyczność, nieraz aż do gniewu dochodzące” [2]).

---

[1]) Tak klasyfikuje Iksów Biegeleisen «Towarzystwo Ixów, ustęp z dziejów krytyki w literaturze polskiej». Bibl. Warszawska, r. 1885, zeszyt X, str. 22—47.

[2]) F. S. Dmochowskiego: «Wspomnienia od 1806 do 1830 r.». Warszawa 1858, str. 324.

Te gniewy, trzeba oddać sprawiedliwość, komu należy, wywoływał najczęściej sam gospodarz. Hr. Krasiński lubił takie widowiska, więc judził młodych przeciw starym, podburzał starych przeciw młodym, a wywoławszy sprzeczkę, wycofywał się z dyskusji, zacierał ręce i, zdaje się, trawił niezgorzej.

„Starzy, — powiada Siemieński, — widzieli zamach na świętości narodowe, jeżeli kto śmiał uwłaczać zasługom Krasickich, Trembeckich, Naruszewiczów i nowszych: Dmochowski, tłumacz Iljady, Osiński, Koźmian, Molski, Wężyk, Kropiński, Feliński, których uważano za kontynuatorów tego wieku odrodzenia... Przypominam sobie, z jaką litośną wzgardą cedzono przez zęby... nazwiska romantyków, obijające się o uszy starszych... Karczemną, podkądzielną poezją" nazywano poezję romantyczną... [1]) Szczególną złością wybuchał Koźmian:

Precz więc Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
Nasz Helikon za piecem, a muzy u bydła, —

wołał ten wytworny „klasyk" w wierszu do Morawskiego i przy każdej okazji, a nawet bez okazji wyrażał swój klasyczny gniew i miotał piorunami na wszystko, co tchnęło młodością, siłą, zapałem, co było nowe, świeże, oryginalne.

Obóz, nazywający się klasycznym, acz ze zdaniem swojem rzadko występował publicznie, miał moc i władzę, kierował sterem opinji, był potęgą, wyrokującą o powodzeniu książki i jej autora. W ten sposób poezja stawała się rzemiosłem, zabawą salonów, urozmaiceniem obiadów. Wielu wierszopisów, nie mają-

---

[1]) «Obóz klasyków» przez Lucjana Siemieńskiego, Kraków 1866, str. 20—21.

cych nic oryginalnego do powiedzenia, zdobywało poklask i uznanie, jeżeli tylko ich utwory nie przerażały błyskiem indywidualności, a nie rozsadzały obowiązujących rzekomo formuł i przepisów. Kto zaś czuł żywo, a pieśni swojej nie umiał zastosować do istniejących wymagań, tego stara gwardja literacka witała, jak wroga i skazywała na śmierć pod gradem szyderczych pocisków.

Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo.

Młodemu pokoleniu stawało się za ciasno w szrankach, które im zakreślali starsi, a nietolerancja względem każdego żywszego odruchu musiała budzić protest i bunt. Hasło do podjęcia walki dał Mickiewicz. Jego poezje, przyjęte wzruszeniem ramion w obozie klasycznym, przywitali młodzi zapaleńcy z entuzjazmem i zrozumieli ów daleki głos z Litwy, jako sygnał bojowy, wzywający młodzież do szeregu.

I zaczęli się szeregować.

Grono młodych przyjaciół schodziło się początkowo w kawiarni Brzezińskiej, później w historycznej Dziurce, a oprócz tego bliżej żyjące z sobą kółko odbywało zebrania u lubionego powszechnie dla zalet swego charakteru Bronikowskiego i w domu Mochnackich. W okresie pomiędzy 1825 a 1830 rokiem w zebraniach tych brali udział Zaleski, Goszczyński, Gosławski, Podczaszyński, utalentowany krytyk Żukowski, Chopin, Kamil i Maurycy Mochnaccy, Michał Grabowski, zniesławiony później Józafat Bolesław Ostrowski i wielu innych. W długich ożywionych dysputach na przeróżne tematy zaczęły się krystalizować niejasne początkowo pragnienia, coraz wyraźniej przedstawiał się cel i drogi, do celu tego wiodące. Duszą tych zebrań był Maurycy Mochnacki, niezwykle oczy-

tany i wykształcony, obdarzony mnóstwem talentów i gorącą wyobraźnią, wszechstronny i wytrawny w sądach, z tą samą łatwością dysputujący o filozofji, literaturze, muzyce, budownictwie, co o naukach przyrodniczych i medycynie lub polityce i sprawach społecznych. Ten żywy umysł interesował się wszystkiem i z przedziwną łatwością obracał się w najrozmaitszych dziedzinach wiedzy, na wszystko rzucając śmiały blask swej oryginalności. Mówił gorąco, żywo, namiętnie, porywał słuchaczów zarówno wymową, jak niepospolitą grą na fortepianie, czy to improwizując, czy też grając na cztery ręce z Chopinem.

Zaleski w wiele lat potem ze wzruszeniem wspominał te przyjacielskie zebrania, a mówiąc o wszechstronności Mochnackiego, takie mu wystawił świadectwo:

„Sława Maurycego Mochnackiego jako statysty i pisarza zaćmiła pamięć o niepospolitym jego talencie muzycznym. Owóż mistrzował on i jako fortepianista; był nieporównanym osobliwie w egzekucji arcydzieł Mozarta, Beethowena, Webera. Maurycy zamierzał ciągle podróż muzykalną po Europie. Później zabrakło mu czasu i cierpliwości; zaniedbał bardzo fortepian. Mawiał: „Co innego dziś nosim w umyśle i na sercu"... Namiętny, rzutki, podejmował się najróżnorodniejszych prac w dziedzinie wiedzy ludzkiej; z niesłychaną łatwością improwizował na wsze strony, porywając za sobą pokolenia całe nieudanym zapałem swoim, tudzież urokiem polszczyzny wskroś Skargowskiej. Właśnie w tym to czasie zaprzyjaźniliśmy się najściślej, chociaż znaliśmy się dawno w „Związku Patrjotycznym" [1]). Napisałem dlań na prośbę do

---

[1]) Zaleski mówi tu o związku Wolnych Braci Polaków.

Dziennika Warszawskiego, — Śpiew poety, Damiana Wiśniowieckiego. Śp. Maurycy po żmudach i nudach codziennej pracy, w biurach Izydy, to Kurjera Polskiego, rad przybiegał do mnie wieczorem na wytchnienie. „Nuże, — wykrzykiwał, — nuże daleko gdzieś na Powiśle, aby zachwycić coś w słuch z harmonji niebieskich sfer". Jak ze Stefanem, tak i z Maurycym na Powązkach, to na Bielanach przedumałem błogo wiele! o wiele nocy miesięcznych"... [1]).

Talent muzyczny Mochnackiego uczcił Zaleski i w znanym wierszyku:

Stefanie! serce mdleje —
Warszawscy dwaj muzycy —
Tych nocy czarodzieje —
Szopenek i Maurycy...

I jeszcze dla dokładniejszej charakterystyki jeden ustęp, tym razem z korespondencji Zaleskiego:

„Wczoraj, — pisał on do Witwickiego, — do godziny ósmej a raczej do dziewiątej byłem u Maurycego z Lutrem i Żukowskim. Najświetniejszej słuchałem dysputy, prawdziwie boskiej improwizacji o najwznioślejszych przedmiotach. Z płaczem musiałem ich pożegnać i całą noc marzyłem o Bogu, duszy, przeznaczeniu ludzkości"... [2]).

Z tym samym zachwytem mówi o Mochnackim i Wójcicki:

W małej komnatce Bronikowskiego „poznałem lepiej Maurycego Mochnackiego, i zacząłem jako myśliciela więcej jeszcze cenić, niż jako pisarza, którego

---

[1]) I. B. Zaleski. Pisma, T. IV, str. 86.

[2]) Korespondencja Józefa Zaleskiego, T. I, Lwów 1900, str. 36.

utwory pióra tak mnie zajmowały. Teraz podziwiałem w nim zajmującą a nieraz porywającą wymowę, szeroką przestrzeń jego poglądów, orle myśli. Gorącem słowem rozszerzał on sferę mojej wiedzy, i wskazywał nowe, nieznane mi obrazy i drogi, nie tylko w rzeczach literackich, ale obok tego głęboką znajomość spraw krajowych we wszystkich kierunkach"... [1]).

Ale skroś dym pochwalny przebłyskiwało czasem słowo niechęci dla podziwianego młodzieńca:

„Pomimo jednakże całego uznania dla jego wyższości, — ciągnie dalej Wójcicki, — nie mogłem obudzić w sobie dla niego zaufania, jakie miałem dla Bronikowskiego"...

A Podczaszyński w jednym ze swych listów do Leonarda Chodźki taką robi uwagę: „Niesprawiedliwie obwiniono Maurycego, on poczciwy i godzien twojej przyjaźni"... [2]).

A więc obwiniano Maurycego i echa tych obwinień dochodziły aż do Paryża. Można z tego wnosić, że pomiędzy Mochnackim a jego otoczeniem psuła się czasem harmonja. Lecz o co obwiniano Maurycego? Być może, iż miejsce, które miał w cenzurze, rzucało cień na jego młodość, być może, iż w tych nieporozumieniach grała rolę wielka ambicja i niezłomna pewność siebie, druzgocąca oponentów. To pewna, że acz Mochnacki cieszył się powszechnem poważaniem w gronie młodzi literackiej, mało z kim wchodził w ściślejsze i zażylsze stosunki. Miał dużo przyjaciół i więcej jeszcze wielbicieli, ale ta przyjaźń nie

---

[1]) «Kawa literacka w Warszawie». Warszawa 1873, str. 24.

[2]) List z d. 18 września 1827 r. Rękopis w bibljotece w Raperswilu.

wytrzymała prób, na które wystawiło ją życie. Do tych, z którymi serdeczniejsze łączyły go węzły, należeli Podczaszyński, Bronikowski, Goszczyński i Zaleski, ale i z tego grona tylko jeden Podczaszyński wytrwał przy swoim przyjacielu. W duszy Mochnackiego żarzył się nieustannie jakiś wewnętrzny niepokój, naruszający równowagę jego przedsięwzięć, jakaś niestałość i wypływająca z niej pogarda dla wszystkiego, co zostało dokonanem, a co w oczach otoczenia zyskiwało uznanie. Żywiołem Mochnackiego było nieustanne tworzenie i walka. Wrodzony duch buntu względem wszystkiego co się już przeżyło, jak to okaże się później, miał zczasem wytworzyć wkoło niego pustkę...

Wszyscy, co współcześnie żyli z Mochnackim, wystawiają mu świadectwo oryginalności.

A tą oryginalnością odznaczały się zarówno jego poglądy, jak przyzwyczajenia i cała powierzchowność. Gdy pracował u siebie w domu, przyjaciele zastawali go najczęściej leżącego na podłodze, pokrytej dywanem. Otoczony kłębami tytuniowego dymu, w tej ulubionej pozycji dumał nad książką lub snuł pasmo swych myśli. Wątły, wzrostu średniego, miał oczy żywe, bystre, skutkiem przyrodzonej wady patrzące nieco zukosa, nos orli, włosy bujne, aż do brwi spadające na czoło. Cała twarz o wyrazistych ostrych rysach, okolona zarostem, miała w sobie coś z wyniosłej zadumy drapieżnego ptaka. Zalet towarzyskich nie posiadał, a choć nieustannie stykał się z ludźmi, był, jak każdy szczery twórca, samotnikiem w głębi swojej duszy. Płomienny entuzjasta umiał innych porywać i przekonywać, ale sam przekonywać się nie dał, a zdania swego zawsze bronił zapamiętale. Stąd fama o jego niesłychanej ambicji. Kajetan Koźmian,

największy wróg literacki Mochnackiego, tak pisze o swoim przeciwniku:

„Był w mojem biurze i tam nie okazywał tych zdolności, które zabłysły w jego dziele; ale był to młodzieniec zawsze z przewróconą trochę głową, z sercem od młodu miotanem najgwałtowniejszemi namiętnościami, z ambicją bez granic”... [1]).

Słowom Koźmiana nie można przypisywać zbyt wielkiej wagi: ambicja Mochnackiego miała szlachetne podłoże, bo łączyła się zawsze z jakąś sprawą, której bronił, a w której słuszność wierzył niezachwianie. I ta głęboka wiara w połączeniu z oryginalnością poglądów wyróżniała go nawet śród ludzi niepospolitych i otaczała urokiem wyższości. I wyższość tę uznawało młode pokolenie działaczów i literatów, ale dla tego pokolenia przynajmniej czas jakiś istniały jeszcze wyższe instancje: Brodziński i Lelewel.

Oni to rozstrzygali spory pomiędzy Mochnackim a jego przeciwnikami i autorytetem swoim łagodzili sprzeczności.

Wpływ tych dwóch opiekunów młodzieży, acz nie trwał długo, był w swoim czasie wielki i dobroczynny.

O stosunku do nich z wielkiem wzruszeniem wspominał Zaleski:

Wspominasz bodaj noce —
Gdy na Powiślu sami
Bywało — tam w omroce
Polujem za pieśniami.

Błądzimy długo — długo —
Ja w tęsknot wiecznym męcie...
Stefanie! boży sługo,
Chuchnijno na nie święcie!

Patrz! cień się tam rozściela –
Brodziński duma zbliska...
Patrz! w oknie Lelewela
Lampka wieczyście błyska...

---

[1]) Pamiętniki Kajetana Koźmiana. Oddział III, Kraków 1865, str. 542.

I w wiele lat potem to samo wzruszenie zadźwięczy w słowach Zaleskiego, gdy wspomni lata młodzieńcze i stosunek do obu profesorów:

„Okna domu Lelewelowskiego na ulicy Długiej i Freta wychodziły naprzestrzał, wprost ku dwom oknom pokoju Maurycego koło Paulinów. Ile razy zacietrzewiliśmy się w rozmowie aż do poranka — brzęk szyb znaprzeciwka opamiętywał nas, pan Joachim zdaleka groził palcem. Brodzińskiego także płoszyliśmy nieraz w nocnych przechadzkach na Powiślu. Starsi wiekiem, poważni profesorowie Lelewel i Brodziński, acz obydwaj nie potakiwali marzycielstwu i zagorzalstwu młodych, byli jednak dla nas z uważaniem i miłością. Pod ich oto niejako błogosławieństwem rośliśmy i hodowali w Warszawie" [1]).

Jakąż rolę odgrywali ci dwaj ukochani przez młodzież profesorowie?

Brodziński nie należał bynajmniej do wielbicieli poezji niemieckiej i nowych prądów, które zaczynały się ujawniać w literaturze ojczystej, ale, idąc śladami Herdera, był w porównaniu do klasyków krytykiem postępowym. Rozprawy jego wnosiły świeże tchnienia w zatęchłą atmosferę istniejących przesądów. Wskazywał on na znaczenie pierwiastków ludowych w literaturze pięknej, zachęcał do studjowania poezji gminnej, a Zaleski i Goszczyński niejedno mają do zawdzięczenia autorowi popularnego „Wiesława". A jak Brodziński wpływał na młodzież w kierunku literackim, tak Lelewel urabiał poglądy polityczne. W rozmowach poufnych znakomity historyk wykładał swoje zapatrywania na położenie kraju i najbliższe zadania

---

[1]) J. B. Zaleski. Pisma IV, str. 86—87.

społeczeństwa. Jako uczony imponował młodzieży ogromem erudycji, jako obywatel i patrjota głęboki budził szacunek. Można powiedzieć, iż obaj profesorowie wyrąbywali okienka w murze obskurantyzmu i wskazywali przez nie widnokręgi szersze. Nie przeczuwali zapewne, że młodzież, wyjrzawszy na świat szeroki, nie zadowoli się ich poglądami, że porzuci swych przewodników i o własnych siłach pójdzie dalej, niż ich kochani mistrzowie, co więcej! że zwróci się przeciw obu. A jednak i Lelewel i Brodziński nie uniknęli tego losu: obaj byli zaatakowani przez kochającą ich młodzież: Brodziński, jako oportunista w literaturze, Lelewel, jako oportunista w polityce.

Hasło do tych ataków dał Maurycy Mochnacki...

* * *

W miarę tego jak Mochnacki rozglądał się po świecie i przez ustawiczne studja rozszerzał zakres swej wiedzy, budził się w duszy jego bunt przeciw wypowiadanym przez ówczesne powagi poglądom, przeciw kostniejącej myśli polskiej, przeciw miałkości ówczesnego życia, na które godziło się zawiedzione w swoich nadziejach starsze pokolenie. Rozmyślając o losach Polski, pragnął myśl polską wyrwać z ciasnego koła obowiązujących wyobrażeń, wnieść do dusznej atmosfery poryw nowych pragnień, dać wyraz płomiennej tęsknocie, co paliła się w piersiach młodych marzycieli. Zachciało mu się walki o nowe prawdy, o nowe ideały, o nową Polskę. Naturalnym odruchem takiego usposobienia musiała być działalność burzycielska. Z nienawiści do istniejącego stanu rzeczy zstąpił w podziemia rewolucyjne, z nienawiści do racjonalizmu wieku oświeconego zaczął wielbić

mistrzów niemieckich, propagujących siłę natchnienia i entuzjazmu. To też pomiędzy pracą polityczną a działalnością literacką Mochnackiego istnieje ścisły związek, wypływający z rewolucyjnego stanowiska względem ówczesnego życia. Zarówno dorobek literacki jak polityczny, który pozostawił po sobie znakomity pisarz, to jedne i te same rysy jego duchowego oblicza, jeden i ten sam wysiłek, skierowany ku temu samemu celowi.

Mochnacki walczył o nowy światopogląd, a rozumiał dobrze, że najpierw trzeba zburzyć istniejące kapliczki i oczyścić teren, na którym mógłby się wznieść gmach nowy.

Więc zaczął od burzenia, a walkę, którą zainicjonował na łamach pism warszawskich, nazwał „insurekcją literacką" [1].

Insurekcję tę rozpoczął w r. 1825, jako współredaktor Dziennika Warszawskiego, a trzeba dodać, rozpoczął uzbrojony w oręż nowoczesnej wiedzy. Ciekawy, czujny, już od paru lat żywo śledził ruch umysłowy, tętniący w Europie Zachodniej, przedewszystkiem zaś w Niemczech. Tam bowiem już od pół wieku dokonywała się widoczna przemiana, tam gmach pojęć o sztuce zmieniał się od fundamentów aż po same szczyty. Dzięki Winckelmanowi przestarzałe wyobrażenia o twórczości Hellenów ustępowały nowym, bliższym prawdy poglądom, tragedja francuska z całym balastem przepisów konwencjonalnych, poddana krytyce Lessinga, traciła długowieczny kredyt, a hasła

---

[1] Tak nazywał Mochnacki walkę z «klasykami». Nazwę tę powtarza w jednym ze swych listów do Leonarda Chodźki Michał Podczaszyński.

Herdera, wzywające do porzucenia wzorów starożytnych na rzecz pierwiastków narodowych, rozbrzmiewały coraz silniej i zwolna stawały się kanonem, obowiązującym piszącą rzeszę. Założenie „szkoły romantycznej" w początku XIX stulecia było prawdziwą klęską dla podminowanej już potęgi klasycyzmu, a choć walka w r. 1825 jeszcze nie ustała, zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę reformatorów i na placu boju o nowe prawdy hardo powiewały sztandary romantyzmu.

Mochnacki dotarł do Winckelmana, Lessinga i Herdera, lecz najpierw zapoznał się prawdopodobnie z pracami Augusta Wilhelma Schlegla i brata jego Fryderyka. Oni bowiem, jako założyciele szkoły romantycznej, największą w swoim czasie wywoływali wrzawę i najdzielniej szerzyli zapał dla nowych utworów. W pracach swoich Mochnacki zawsze z największem uznaniem wspomina obu braci, a uwielbienie dla Augusta Wilhelma Schlegla często wyraża w przymiotnikach: wielki, znakomity, a nawet genjalny. Mochnacki pierwszy otrząskał uszy czytelników z tem nazwiskiem [1]), a wprowadził je do swoich rozpraw z takim szumem i w kręgach takiego uznania, iż śmiało przypuszczać można, że oczom pisarza polskiego Schlegel najpierw odsłonił nowe horyzonty. W gruncie rzeczy wielbiony przez Mochnackiego autor był umysłem niepospolitym i talent pisarski w wysokim posiadał stopniu, ale na wyżyny genjalności nie wznosił się nigdy. Wiele z tego, co głosił, głosili przedtem nieporówna-

---

[1]) Zaznaczyć należy, że już na parę lat przedtem, bo w r. 1822 wspominał o Schleglu Mickiewicz w swej rozprawie: «O poezji romantycznej».

nie więksi poprzednicy lub filozofowie współcześni: Kant, Fichte, Schelling.

Filozofja romantyczna w Niemczech dążyła do pogodzenia uczucia z rozumem, nie ustanawiając zresztą wyraźnego przedziału pomiędzy temi pojęciami. Wzlot ku Bogu, przejęcie się religją, przeciwstawienie suchemu protestantyzmowi blasków katolicyzmu w epoce średniowiecza, wiara w siłę natchnienia, w twórczą moc entuzjazmu, w potęgę genjuszu, pogląd na rzeczywistość, jako na produkt indywidualnej myśli ludzkiej i wysiłków ducha ludzkiego, poza któremi nic nie istnieje, oto ogniwa w błyszczącym łańcuchu triumfujących w Niemczech poglądów.

„Średniowiecze świeciło przed oczyma romantyków nieskończenie piękną tęczą i przepychem barw fantastycznych. Naturalnie było w tem wiele złudzeń i swawolnej gry fantazji, jednak tą drogą odświeżała się sucha, racjonalistyczna atmosfera, stworzona przez wiek oświecenia, z drugiej zaś strony, zwrot ku pięknej przeszłości ojczystej przyśpieszał bez wątpienia odrodzenie narodowe Niemiec" [1]).

Schlegel niewiele nowego wniósł do tych poglądów, ale jako śmiały chorąży nowych wyobrażeń, istotnie odgrywał niepoślednią rolę: hasła, które w pismach swych lub z katedry rzucał, przelatywały całe Niemcy, często wywołując namiętne spory i wrzawę.

Do czego dążył i co głosił Schlegel?

Mistrz Mochnackiego, pogrążony głęboko w ideologji ówczesnych filozofów niemieckich, przejętej ich ideami, pragnący samoistnego odrodzenia Niemiec,

---

[1]) Piotr Bańkowski. Maurycy Mochnacki, jako teoretyk i krytyk romantyzmu... str. 34.

chciał wyzwolić poezję niemiecką z pod wpływów francuskich, a ponieważ pisarze francuscy wzorowali się na klasykach rzymskich, więc nie poprzestawał na krytyce klasycyzmu we Francji, lecz szedł dalej, sięgał do pierwowzorów i, zarzucając Rzymianom, że byli plagjatorami Greków, lekceważąco traktował cały dorobek piśmienniczy starożytnej Romy. W uprzedzeniach swoich posuwał się czasem aż do sekciarstwa, a choć walczył namiętnie z pseudoklasycyzmem, jednakże nie otrząsnął się całkowicie z pod jego nałogów: czyniąc pod wpływem Winckelmana ustępstwa na rzecz literatury greckiej jako narodowej, nie tylko nie targał pęt mitologii, ale wprost narzucał je poetom, dowodził bowiem, że bez pierwiastków mitologicznych poezja obyć się nie może. Jako przeciwnik „trzech jedności" wykazał odważnie słabe strony tej reguły w wykładach o literaturze dramatycznej; jako przeciwnik dramatu francuskiego sławił Calderona, przejął się uwielbieniem dla Szekspira, przetłumaczył siedemnaście jego dramatów i ze wspaniałym gestem cisnął je czytającej masie. Mówił gorąco, pisał podniośle, a w krytyce swojej nie poprzestawał na wykazaniu tak zw. zalet zewnętrznych omawianego dzieła, lecz rozumiejąc dobrze ścisły związek, zachodzący pomiędzy treścią a formą, sięgał w głąb utworu i duszy ludzkiej w nim poszukiwał. Grecy, twierdził, wynaleźli poetykę rozkoszy. Ich poezja była poezją posiadania, romantyzm zaś powinien być poezją przeczuć, pożądań i duchowej tęsknoty. Na sztukę zapatrywał się jako na najwyższy twór ducha ludzkiego, na artystów, jak na kapłanów i uprzywilejowaną kastę ludzkości.

Piórem i odczytami szerząc kult dla szkoły romantycznej, Schlegel szeroko rozgłosił swe imię. Anna Staël, zaznajamiając w r. 1813 ogół francuski z literaturą niemiecką, Schlegla wybrała sobie za przewodnika. Niebawem, dzięki Mochnackiemu, i w Polsce miał się stać sławnym.

Wielbiąc Schlegla, głównie może jako bojownika, wysoko dzierżącego ukochany sztandar, Mochnacki nie poprzestawał jednakże na jego pismach. Zwrócił się on i do współczesnych filozofów niemieckich, szczególniej zaś upodobał sobie Schellinga, rozmiłował się w jego filozofji przyrody i poglądach na sztukę. Schelling twierdził, że w dziełach poetyckich nie wszystko dzieje się za wiedzą artysty, że twórca wspierany jest przez siłę, jemu samemu nieznaną, że dopiero świadoma czynność artysty w połączeniu z tą siłą stwarza prawdziwe dzieła sztuki. Słynne określenie piękna, jako nieskończoności przedstawionej w sposób skończony, dążność do spojenia filozofji z literaturą, teorja przejścia od literatury do umysłowości, intelektualizm, objawiający się w przyrodzie, szukanie przesłanek, pozwalających traktować całą naturę jako umysłowość, potężna wyobraźnia niemieckiego filozofa, wyprowadzająca każdy byt z absolutu, odgraniczenie nieskończoności od skończoności zapomocą samopoznania, słowem, Schelling ze swoją żelazną logiką i wszystkiemi niekonsekwencjami, ze swoją fantazją, nauką i uczuciem, nie mniej, niż Schlegel pociągał Mochnackiego. Kant, Fichte, Hegel i Fryderyk Schlegel również nie byli mu obcy.

Ale Mochnacki nie ograniczał się na studjowaniu wspomnianych autorów i filozofji romantycznej. Sam tłumaczył Schillera, a tego ostatniego „Listy o wycho-

waniu estetycznem człowieka" głębokie uczyniły na nim wrażenie [1]). Schiller w pracach swych ubolewał nad upadkiem kultury nowożytnej, nad prozą czasów współczesnych, wielbił duchowe życie Grecji, rad uciekał od posępnej rzeczywistości, zamkniętej w kole doraźnych korzyści i na skrzydłach fantazji wzlatywał w krainę złudzeń, w świat cudów i wzruszeń poetyckich. Nie poeta winien być niewolnikiem życia rzeczywistego, ale poetyckie życie stawać się powinno wzorem dla rzeczywistości.

Mochnackiemu trafiły do przekonania śmiałe poglądy niemieckiego poety.

Ponadto znał dobrze Mochnacki dramaty Szekspira i utwory Goethego, zczasem wniknął w dzieła młodych romantyków niemieckich, Tiecka, Novalisa, Hoffmana, Schleiermachera, rozczytał się w Byronie, jednocześnie zaś śledził zapasy Anny Staël z absolutyzmem klasycyzmu we Francji, podziwiał zapał religijny tej pisarki, nie pozostał obojętnym na myśli Chateaubrianda, na jego walkę z retoryką i sztucznością, na jego uwielbienie natury i przejęcie się duchem chrystjanizmu. Znał dobrze i zwrot ku wiekom średnim i ten dreszcz mistyczny, który przebiegać zaczął dzieła Młodej Europy.

Dokładnie znający historję literatury polskiej, wykształcony na stylu takich pisarzy jak Kochanowski, Rej, Birkowski i Górnicki (pisarzów tych często Mochnacki wspomina), a przedewszystkiem Skarga, którego dzieła stale znajdowały się na jego stoliku, otrzaskany z hasłami, rozlegającemi się na Zachodzie,

---

[1]) Wpływ Schillera na Mochnackiego gruntownie wykazał Bańkowski. M. Mochnacki, jako teoretyk i krytyk... str. 44—47.

słowem, z dużą erudycją rozpoczynał Mochnacki swą pracę. Nie obce mu były i rozprawy pisarzów polskich, którzy się zajmowali estetyką. Znał dzieła Euzebjusza Słowackiego i z nich również korzystał, o ile natrafiał na poglądy, dające się pogodzić z teorją romantyzmu [1]. Tak więc z dużym zasobem wiedzy wstępował w szranki pisarskie. A prócz wiedzy wnosił do swej pracy umysł samodzielny, zapał i rozmach młodości.

Jakiż stan rzeczy zostawał w literaturze polskiej? Wprawdzie błysnął już genjusz Mickiewicza, zaczynali pisać Goszczyński, Zaleski i Malczewski, był Wiesław Brodzińskiego, ale ze wzburzonego morza nowych wyobrażeń i myśli wąziutki, zaledwie dostrzegalny strumyczek przemykał się przez piachy ojczystej ignorancji i wsączał się zwolna w świadomość czytelników. Koźmian i Osiński panowali jeszcze wszechwładnie, a wymagania pseudoklasyków miały moc obowiązującą.

O Mickiewiczu milczano, lub jako o półgłówku mówiono w salonach warszawskich, a rzecz godna uwagi! nawet Michał Grabowski, który w tym samym roku, co Mochnacki rozpoczął swój debiut, zarzucił twórcy Dziadów brak smaku i ślepe naśladowanie wzorów niemieckich. Jeden tylko Franciszek Grzymała, acz zarzucał poecie gminne wyrażenia i wykroczenia przeciw wersyfikacji, miał odwagę przyznać mu wielki talent i wyrazić zdziwienie, że dzieła Mickiewicza nie wywołały dyskusji w pismach warszawskich [2].

---

[1]) Po raz pierwszy wskazał na to w pracy swej Bańkowski. M. Mochnacki... str. 38, 162—3.

[2]) «Astrea», r. 1823. T. III.

Smutno przedstawiał się dorobek poetycki, ale stokroć smutniej krytyka literacka. Cóż bowiem istniało w zakresie teorji, nim pisać zaczął Mochnacki?

Istniała już rozprawa Mickiewicza, ale w rozprawie tej poeta, broniąc poezji romantycznej, dał tylko krótką jej historję, określił jej charakter i wskazał źródła, z których brała początek. Niewątpliwie było to dużo jak na ówczesny stan rzeczy, ale za mało, aby wzbudzić zainteresowanie szerszych kół czytelników, skoro tego zainteresowania nie wywołały nawet poezje genjalnego twórcy.

Pozostają tedy rozprawy Brodzińskiego.

Jakież było jego stanowisko?

Autor *Wiesława* nie był przeciwnikiem „romantyczności", ale i „klasyczność" miała w jego oczach swoje dobre strony. Brodziński nawoływał do samodzielności, a prawdy szukał pośrodku. W poezji francuskiej, którą czcili nasi pseudoklasycy, widział dużo dobrego smaku, wytworny styl, staranne wykończenie szczegółów, słowem, to, co z pewnem omówieniem, dałoby się określić jako artyzm, natomiast, mówiąc o utworach romantycznych, podniósł w nich dążność do posiłkowania się poezją gminną i za przykładem Herdera chciał widzieć w poezji pierwiastki narodowe. Ale zachęcając do oryginalności, rzucając hasło: „nie bądźmy echem cudzoziemców!" — nie zdawał sobie sprawy z doniosłości przewrotu, który dokonywał się na Zachodzie. W głośnej rozprawie *O klasyczności i romantyczności* pisał: „Niechaj między francuskimi i niemieckimi pisarzami zacięte wszczynają się walki, z których żaden ani wad swoich, ani piękności obcych uznawać nie chce; nam nie wypada trzymać się ślepo żadnej strony, ale przyzna-

jąc wady i korzyści obudwóch, pracować na własnem polu, przyswajając sobie to, co nam przystoi, lub pozbywając się tego, w czem na wzrost narodowej literatury nie można będzie rachować" [1]). Te niezbyt głębokie, lecz poczciwe rady, a dużo rad takich znajdziemy w rozprawach Brodzińskiego, świadczą, iż autor *Wiesława* nie ogarniał całkowicie przeciwieństw, jakie ujawniały się w zażartych walkach na Zachodzie, nie rozumiał, że tam nie chodzi o wady i piękności, ale o nowe prawdy, które nie dały się pogodzić ze staremi. Nie widząc tej różnicy, Brodziński nawoływał do porozumienia i zgody kosztem wzajemnych ustępstw. Był też połowiczny. Nie potępiał np. przepisów, ale i na wykroczenia przeciw nim pozwalał, a spory o klasycyzm i romantyzm uważał za bezcelowe. Spokojny, sielski, łagodnego usposobienia, wystrzegał się walki i nie widział konieczności, któraby do walczenia zmuszała.

Stojąc na takiem stanowisku, Brodziński nie mógł liczyć na powodzenie.

Jakoż klasycy oburzali się na niego, gdy mówił o przepisach, których naruszenie uważali za niesłychaną zbrodnię, gniewali się, gdy wychwalał poezję gminną, którą się brzydzili. A od zwolenników romantyzmu dzielił Brodzińskiego cały świat poglądów metafizycznych, których on się obawiał, lęk przed siłą entuzjazmu, przed szałem, przed tworami nieposkromionej niczem wyobraźni, przed wulkanicznemi wybuchami uczuć, które w tej postaci były mu obce.

Brodziński ani przeczuwał, że wywieszając sztandar umiarkowania, narazi się na ogień z dwu stron.

---

[1]) Pisma K. Brodzińskiego, 1872, Tom III.

Tak się jednak stać miało.

Ale nim wystąpił przeciw niemu Mochnacki, najpierw ryknął ze zgrozy obrażony klasycyzm. To Jan Śniadecki głos zabrał i stając na szańcu przepisów, ustanowionych na wieki wieczne przez Arystotelesa, Horacego i Dmochowskiego, wypalił z armaty najcięższego kalibru. Znakomity astronom i matematyk zacietrzewił się do tego stopnia, że zatracił miarę przyzwoitości. W jego umyśle, przyzwyczajonym do badań ścisłych, nie mogły się pomieścić uczuciowe i fantastyczne herezje, napotkane w poezjach Mickiewicza. Więc obsypał go gradem zarzutów, a nie darował i wyrozumiałości Brodzińskiego. Śniadecki postąpił sobie co najmniej bezceremonjalnie. Poezję romantyczną zmieszał z błotem, wydrwił duchy, upiory „gusła i wieszczby", zapewnił, że „wszystkie baby wiedzą dawno o tych pięknościach", nawet Szekspira kopnął, bo Szekspir nie czytał dzieł starożytnych, nie znał, oczywiście, Racine'a, nie posiadał „starannego wychowania i nauki". Wprawdzie i Villemain widział w Szekspirze „błazeństwa, pomieszane z okropnością", ale obok grubiaństwa dostrzegał i wielkość. Profesor wileński nie był tak dalece liberalny. „Romantyczność, — dowodził, — mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im duchy, znieśmy prawa nauki i rozsądku, żeby nie było prawidła do sądzenia nas! My szanujmy od dwóch tysięcy lat przepisane prawa, bądźmy im posłuszni, bo one wydały tak wielkich ludzi, jakich jeszcze nie urodziła i podobno nigdy nie urodzi romantyczność..." Wyobrażając, sobie, że prawa wydają wielkich ludzi, obrońca „rozsądku" cisnął gromami potępienia na „rozpasaną imaginacją" i radził

uciekać od „romantyczności", jako „od szkoły zdrady i zarazy..." [1]).

Nie wypełniając innemi nazwiskami przepaści pomiędzy Brodzińskim a Śniadeckim, śmiało powiedzieć można, że przed r. 1825 głosy ich były najjaskrawszemi przejawami konserwatyzmu i tolerancji względem nowego życia, budzącego się w literaturze ojczystej.

W takim momencie przełomowym, w chwili, kiedy klasycy uważali się jeszcze za niezwyciężonych, a prócz Mickiewicza ani jeden z poetów romantycznych nie zaznaczył się wybitniejszem dziełem, kiedy w dziedzinie krytyki literackiej stał na jednym krańcu samotny Brodziński, a na drugim wyrażający opinję większości Śniadecki, wystąpił na widownię „młodzieniec,— jak powiedział Koźmian, — zawsze z przewróconą trochę głową, z sercem od młodu miotanem najgwałtowniejszemi namiętnościami..."

Pierwszą pracą tego młodzieńca „zawsze z przewróconą trochę głową" była rozprawa: O duchu i źródłach poezji w Polszcze.

„W życiu narodów, — pisał Mochnacki, — jak w sercu pojedyńczego człowieka dwie są strony: jedna dotykalna, będąca ogniskiem zjednoczenia i wspólności we wszystkiem, co stanowi ich byt polityczny, druga wątek i osnowę niewidzialnego życia zawierająca". Pierwsza jest tłem historycznem, „druga czarownym okręgiem, w którym rozwijamy przędzę szlachetniejszych działań... Sąsiedzkie narody przez rozumowanie doszły do natchnień; metafizyczne pomysły odkryły im źródło odwiecznych prawd w poezji i sztuce..

---

[1]) «Dziennik Wileński», R. 1819, Tom I, str. 2–27.

Gałąź nauk metafizycznych, obejmująca teorję piękności, jej wzory i prawidła; krytyka rozsądna, nie skrzętnemu wytykaniu skaz w tworach imaginacji i natchnień, lecz sprawiedliwemu wymiarowi ich wartości poświęcona, nie były dotąd znane w Polsce" [1]).

W ten sposób niemal na samym wstępie zapowiadał Mochnacki nową erę w dziejach krytyki polskiej, a mówiąc o związku twórczości poetyckiej z metafizyką, rzucał wyzwanie nie tylko obozowi klasyków, ale i Brodzińskiemu, który tej krańcowości lękliwie unikał. Jeszcze większe herezje zawierał ustęp następujący.

„Są poświęcone w przyrodzeniu człowieka chwile, uroczyste igrzyska umysłu i duszy, w których myśl nasza, pogrążając się w otchłani bytu, toczy sępny wzrok po całej przestrzeni minionych i przyszłych czasów. Niepojęty skład umysłu potrzebuje dla ożywienia i wzmocnienia w sobie jednostajnym biegiem porządku zardzewiałych uczuć życia, przenieść się czasem do stanu wstrząśnień, który powszechnie entuzjazmem nazywamy. Pospolite zjawiska nie mogą uczynić zadosyć tej potrzebie; gdyż to, co pojmujemy, przestaje być już źródłem zadziwienia. Niezaprzeczona oczywistość najczęściej jest tylko spoczynkiem lub niedołężnością umysłu. Prawdziwym zaś jego żywiołem są natchnienia, świat idealny, kraina cudów i złudzeń, i to eteryczne dążenie, w którem indywidualność poety stopniami niknie i stopniami jednoczy się z W s z e c h o g r o m e m (Universum). Tylko te połyski genjuszu, ten wylew myśli, to wezbranie uczuć, ten uroczysty ton, którym coraz wyższe, coraz wspa-

---

[1]) «Dziennik Warszawski». R. 1825. Tom I, str. 129—132.

nialsze, coraz mocniejsze uniesienia duszy, do najwyższego jej działalności kresu malujemy, jest prawdziwą Poezją. Jej dzieła wypływają z jednego rzutu, na wzór czystego kryształu odbijają w dotykalnych kształtach odwieczne prawdy, to jest myśli i uczucia od bytu ziemskiego wyższe.

Chwile czystego, niestępionego wzroku duszy i głębokiej na ułomną połowę jestestwa niepamięci otwierają nam odwieczne źródła nieskończoności; światło i noc, szum wiatru kołyszącego wierzchołki starożytnych gajów; wesołość i rozrzewnienie; harmonja chórów i łoskot gromu: wszystko to rozwija w nas religijną tęsknotę. Myśl przenosi się do źrodeł czasu i przestrzeni, tajemnice niepojęte dla rozumu, nieokreślone zwyczajnem brzmieniem słów rozwiązuje uczucie: i tam dopiero, gdzie nie wystarczają zwyczajne rozumowania, mieszka niewątpliwa pewność siebie, gdzie ustają dowody, zaczyna się rzeczywistość w Poezji: natchnienie za sferą rzeczywistości, za sferą słów pomysły, za pomysłami wzruszenia..." [1]).

Wypowiadając te myśli, Mochnacki wysuwał na światło dzienne zagadnienia wagi pierwszorzędnej. Wołając, iż to, co pojmujemy, przestaje być źródłem podziwienia, a protestując przeciw zasklepianiu się w rzeczywistości, którą nazwał spoczynkiem i niedołężnością umysłu, odrazu stanął na przeciwległym krańcu istniejących pojęć. Wszystko bowiem, co wykraczało poza sferę zjawisk namacalnych, co nie dało się zmierzyć, obrachować, wysnuć z dowiedzionych pewników i zamknąć w granicach określonych, było obce duchowi pseudoklasycyzmu. Podłożem światо-

---

1) «Dziennik Warszawski». Tom 1, str. 137—139

poglądu, wyznawanego przez panującą większość, była pozytywna rzeczywistość. Metafizyka nie miała dostępu do poezji, przesiąkniętej racjonalizmem. W krainę cudów i złudzeń, w „świat idealny", który odsłaniał Mochnacki, nie podnosiły się myśli, przygwożdżone do ziemi. A on mówił o uniesieniach duszy, wskazywał poetom olbrzymią przestrzeń minionych i przyszłych czasów i stawał u wrót nieskończoności. W ten sposób targał wszystkie pęta, któremi usiłowano omotać poezję i wzbijał się na szczyty, na których krytyka polska nigdy przedtem nie przebywała. Ze szczytów tych przemówił nieznanym i zgoła niesłyszanym językiem: w przedziwnej formie zredagowany był ten pierwszy manifest budzącej się do życia młodości. Nawskroś oryginalne łączenie słów nadawało całej mowie odrębny ton i koloryt. A przytem wiosenne tchnienie wiało z każdego wiersza, każdy wyraz jawił się w obłokach młodzieńczego zapału, niósł z sobą nowe prawdy, nowe, niegłoszone dotąd w Polsce poglądy. Obok zapału był zarazem jakiś majestat w tej ulewie myśli, jakaś powaga, zmuszająca zarówno do podziwu jak zastanowienia.

Pomimo wszystko niewiele było w tej pracy oryginalności. Już przedtem w dziełach Schlegla, Schellinga i innych pisarzów niemieckich można było napotkać ustępy o poezji i nieskończoności, bardzo żywo przypominające wywód Mochnackiego. Siła natchnienia i entuzjazmu, tęsknota religijna, wywoływana zjawiskami przyrody, również były niejednokrotnie treścią prac autorów obcych. Mochnacki niewątpliwie bardzo dużo zawdzięczał rozległym studjom. Był dzieckiem swej epoki, wyznawał te same prawdy, ożywiony był tą samą wiarą, która zyskała szerokie

koła zwolenników na Zachodzie. Korzystał z dorobku pisarzy niemieckich, powtarzał nawet całe ustępy z „Listów o wychowaniu estetycznem" Schillera [1]), a to zemściło się na rozprawie. Już w samem określeniu istoty poezji tkwiła pewna jednostronność [2]).

Określenie to było nie tylko negacją wszystkiego, co o literaturze mówiono u nas przed Mochnackim, ale co więcej! stawiało niejako poza nawiasem poezji niemal cały dotychczasowy dorobek literacki. Mochnacki bowiem ukazywał wyżyny, na które tylko genjalni poeci i to w chwilach najwyższego natchnienia wznieść się umieli. Bo nawet nie do wszystkich dzieł genjalnych jego określenie poezji da się zastosować. Dusza poety wyraża się dwojako: albo w malowaniu świata i życia widzialnego, w odtwarzaniu

---

[1]) Wykazuje to dokonane przez Bańkowskiego zestawienie. M. Mochnacki, jako krytyk... str. 185.

[2]) Bańkowski zwraca uwagę w swej pracy, że Mochnacki określenie poezji zapożyczył nie od romantyków niemieckich, lecz od Euzebjusza Słowackiego, że korzystając z klasyka Schillera, z romantyka Schlegla, «skorzystał też i z pseudoklasyka Słowackiego». To bowiem, co Słowacki mówił o genjuszach, powiedział Mochnacki o prawdziwej poezji. Istotnie zbieżność myśli i wyrażeń, wykazana przez Bańkowskiego, usuwa wątpliwości co do źródła, z którego tym razem zaczerpnął Mochnacki. Trzeba tu przecież zauważyć, że nie Mochnacki poszedł za pseudoklasykiem, ale, jak świadczą choćby przytoczone przez Bańkowskiego słowa, pseudoklasyk Słowacki sprzeniewierzył się zasadom pseudoklasycyzmu. Słowacki pisał we wspomnianym ustępie: «genjusz zdaje się być natchnionym i niezdolnym oprzeć się swemu natchnieniu: wzrok za jednym rzutem ogarnia naturę, *nie trzyma się przykładu i wzoru, drogi jego i sposoby są nowe i nadzwyczajne, zgaduje tajemnice natury, dosięga prawd najwyższych*». W odniesieniu do poezji pseudoklasycy byli wrogami tego rodzaju poglądów.

uczuć i wzruszeń, dostępnych dla zwykłego spostrzegacza, albo też w natchnionych wybuchach, ukazujących bezpośrednio zawrotną głąb własnej istoty, tajemną treść własnego życia. Jeden i drugi rodzaj stwarza arcydzieła, jak np. Iljada, Pan Tadeusz, Herman i Dorota, a z drugiej strony Improwizacja Mickiewicza lub Prometeusz Goethego. Otóż tylko do takich, jak te ostatnie tworów z całem powodzeniem można zastosować wymagania Mochnackiego. W obu wspomnianych arcydziełach istotnie widzimy te połyski genjuszu, o których mówi Mochnacki, ten wylew myśli, „to wezbranie uczuć, ten uroczysty ton, którym coraz wyższe, coraz wspanialsze, coraz mocniejsze uniesienia duszy" dochodzą do „najwyższego kresu jej działalności", oba wypływają z jednego rzutu i „na wzór czystego kryształu odbijają w dotykalnych kształtach odwieczne prawdy, to jest myśli i uczucia od bytu ziemskiego wyższe", w obu indywidualność poetów „stopniami niknie i stopniami jednoczy się z Wszechogromem".

Ale rzecz wątpliwa, czy stawiając takie wymagania poezji, miał Mochnacki na myśli jakiś utwór genjalny. Przeczuwał raczej wichrowy pęd błyskawicowych myśli, miał chwile jasnowidzenia, słyszał łopot wieszczych skrzydeł, w szalonym locie wzbijających się tam, „gdzie graniczą Stwórca i natura". Zasłuchany w szum tych skrzydeł, tracił z oka długi szereg wspaniałych tworów natchnienia poetyckiego, tworów, które nic lub niewiele wspólnego miały z jego określeniem. Tak więc wpadał w jednostronność. Ale ta jednostronność miała swoje strony dodatnie: odrywała poetów współczesnych od opiewania zjawisk powszednich i pospolitych, wskazywała im olbrzymie obszary, po

których, jak dotąd przechadzał się tylko samotny genjusz Mickiewicza.

Jakkolwiek wielką doniosłość miały konstrukcyjne wywody Mochnackiego, to przecież jeszcze większe znaczenie posiadała jego rozprawa, jako taran, śmiało skierowany w mur przesądów, jakiemi pseudoklasycyzm ogradzał literaturę ojczystą. Młody szermierz godził w miejsca najsłabsze, jak gdyby jednym zamachem chciał wysadzić w powietrze nieprzyjacielską fortecę. Więc dotknąwszy sprawy przepisów, dowodził, że „narzucona forma, będąca dziełem ślepego mechanizmu", nie może zastąpić organicznego kształtu, który „wypływa z wewnętrznych części", porwał się nawet na powagę Laharpa i jego dzieło o literaturze nazwał zbiorem bezzasadnych rozumowań i wniosków, mieszaniną sprzecznych, powierzchownych i fałszywych o poezji i sztuce wyobrażeń. Oczywiście, zwrócił się przeciw wszelkiemu naśladownictwu, przedewszystkiem jednak przeciw naśladowaniu poetów francuskich i wykazując, do czego to naśladownictwo prowadzi, dał zwięzłą charakterystykę literatury, odkąd pamiętny w dziejach wiek Ludwika XIV rozpostarł swój wpływ i na naszej ziemi. Wprawdzie przyznawał, że śród pisarzów z końca XVIII i początków XIX stulecia jaśnieje kilka poważnych nazwisk, ale obok nich widział nieskończenie długi szereg mierności, a w całym tym okresie dostrzegł znaczne obniżenie ideałów, a nawet obrazę, wyrządzoną „majestatowi narodowości w poezji i w literaturze..."

„Przejęliśmy,—pisał,—tę lekką dworność, ów płochy ton w paryskich salonach kształcony, który jak we Francji tak i u nas silniej od wstrząśnień politycznych wpłynął na zmianę obyczajów, wkradł się

do literatury, do warsztatu artystów, sprawił zupełną rewolucję w umysłach. Poezja, której powołaniem jest świat tajemnic przyrodzenia i serca, sfera natchnień i entuzjazmu, przeniosła się do zgiełku towarzystw, hołdowała dumie możnych, a tak znieważona od swych wyrodnych kapłanów i czcicieli, zeszła na nędzne rymopisarstwo, wynikające poczęści z tak nazwanych prawideł dobrego smaku i przyzwoitości, w rzeczy zaś samej torujących obszerną dla mierności drogę, będących jej orężem i tarczą, wynalezionych na stłumienie genjuszu..." [1]).

Protestując przeciw wzorom francuskim, protestował w innem miejscu przeciw wszelkiemu naśladownictwu:

„Ktokolwiek pilnem okiem śledził dzieje nauk, przekona się. iż one wzajemnie się wspierały... Lecz nie można tego powiedzieć o tworach, będących raczej skutkiem uczuć i natchnień!... Genjusz Euklidesa, Newtona i Keplera korzystnie użytym, przywłaszczonym i zastosowanym być może w każdym wieku i w każdym narodzie. Lecz te uczucia, ten zapał cnót obywatelskich, to pragnienie sławy, które w sercu każdego Greka wzbudzały dzieła Eschyla i Sofoklesa, lub w obecności całej Grecji uwieńczone ody Pindara. a w ogólności wszystkie, które wypływają z ojczystych pamiątek i tradycyj, nie odrodzą się pod obcem niebem lub w wieku inaczej usposobionym" [2]).

Atakując w ten sposób klasyków, Mochnacki dobrze wiedział, iż będzie oskarżony o „zamach na

---

[1]) «Dziennik Warszawski». Tom I, str. 178—179.

[2]) «Dziennik Warszawski». Tom I, str. 188—189.

świętości narodowe". Ale raz wszedłszy na tę drogę, szedł nią konsekwentnie dalej i dotknął nawet Brodzińskiego. Zgodnie z autorem Wiesława twierdził, że literatura powinna być oryginalną i narodową, ale pojęcia te interpretował nieco inaczej, niż jego poprzednik. Literatura, zdaniem Mochnackiego, dlatego nie mogła być dotąd narodową, że „jej światło nie przedarło się do poziomych mieszkań, a tem samem nigdy nie przyczyniało się do rozszerzenia granic rozumu, do wykształcenia uczuć i imaginacji masy ludów". Tak więc literatura w tej interpretacji nie tylko powinna wypływać z ducha narodu, ale być „własnością narodową", własnością mas najszerszych. Stojąc na tak demokratycznem stanowisku, oczywiście nie zamierzał Mochnacki zniżać poezji do poziomu mieszkań prostaczych, lecz przeciwnie, do wysokości zrozumienia przejawów ducha twórczego poziom ten pragnął podnieść i w tem widział swoje powołanie, jako krytyk literacki.

Omawiając działalność Brodzińskiego, przyznawał, że on „pierwszy z Polaków zaczął rozumować nad poezją", i pierwszy „zadał cios olbrzymiej u nas powadze wzorów francuskich", ale zarzucał mu przesadne umiarkowanie i zbytnią ostrożność „w zachęcaniu młodzieży polskiej do kształcenia się na drodze, którą tegocześni niemieccy i angielscy pisarze ozdobili mnóstwem pomników ręką genjuszu wzniesionych" [1]).

Wszystkie te poglądy, uwagi i spostrzeżenia miały nieocenioną wartość: w atmosferę zatęchłych pojęć

---

[1]) «Dziennik Warsz.». Tom 1, str. 196.

wnosiły strugę świeżego powietrza i dyskusji literackiej nowe otwierały pola.

Oczywiście, młodzieńcza rozprawa miała wiele stron słabych.

Występując jako rzecznik natchnienia, przynosząc wolność poezji, Mochnacki sam sobie parokrotnie zaprzeczył.

A więc w jednem miejscu twierdził, że „starożytność słowiańska, mitologja północna i duch wieków średnich", — to właściwe „źródła romantycznej poezji w Polsce", a gdzieindziej poezji romantycznej czerpać kazał z „zasad chrześcijanizmu, połączonych z duchem rycerstwa, uczuciami honoru i szacunku dla płci pięknej..."

Dziwnie brzmią te zwroty!...

Pisarz, wskazujący poetom niezmierzone obszary nieskończoności, niebosiężne, niczem nieskrępowane uczucia, a w chwilę potem potrząsający klatką dla rozhukanego Pegaza, to zaprawdę kontrast dziwaczny... Czemże ten kontrast wytłumaczyć?... Otóż w tych zwrotach właśnie zemściły się na młodym pisarzu rozległe studja. Jeżeli w poprzednich wywodach można było dopatrzeć się uderzającej zbieżności z poglądami autorów niemieckich, to „mitologja północna", „duch wieków średnich", a przedewszystkiem „szacunek dla płci pięknej" świadczy, że Mochnacki nie dość krytycznie odnosił się do swych pierwowzorów. Jakoż tak było istotnie. Pisarze niemieccy tworzyli dziwną mieszaninę pojęć nowoczesnych z wyobrażeniami średniowiecza. Taki Jean Paul godził np. swe metafizyczne poglądy z tendencjami społecznemi, z serdecznem współczuciem dla uciśnionych i... średniowieczną galanterją dla dam. Zaś August Wilhelm

Schlegel, potępiając mitologję rzymską, agitował na rzecz mitologji greckiej, w niej bowiem widział pierwiastki, bardziej odpowiadające i zgodniejsze z duchem średniowiecznej i współczesnej poezji niemieckiej. Otóż Mochnacki, mówiąc o wiekach średnich, ulegał wrzawie, której echa rozbrzmiewały po wszystkich czasopismach niemieckich, a wprowadzając na miejsce mitologji rzymskiej „mitologję północną", szedł prawdopodobnie za uwielbianym Schleglem, którego teorję odpowiednio zmodyfikował [1]). Ale komukolwiek bądź zawdzięczał te zwroty, popełnił gruby błąd, gdyż ustanawiając granice dla poezji, zagradzał twórcom drogę na te wyżyny, które błyskawicą jasnowidzenia sam na chwilę odsłonił.

Jednakże mimo słabe swe strony rozprawa: O duchu i źródłach poezji w Polsce miała znaczenie historyczne.

W rozprawie tej ukazał się znakomity pisarz, jako pierwszy zdecydowany zwolennik i teoretyk nowego kierunku i rozpoczął nową erę w dziejach krytyki literackiej w Polsce.

Pierwszy ten występ Mochnackiego był zarazem erą w dziejach prozy polskiej. Takim językiem nikt jeszcze nie przemawiał. Dość zestawić pisma współczesne z pracą Mochnackiego, aby się przekonać, że wraz z nowemi pojęciami stwarzał on nowy język polski. Studja porównawcze wykażą kiedyś, co proza polska zawdzięcza Mochnackiemu, w jakim stopniu on ją zbogacił i wydoskonalił.

---

[1]) Niewłaściwość tę usprawiedliwiał jeszcze Mochnacki badaniami Czackiego, na którego się powołuje, a który pouczał, że narody zamieszkałe na całej przestrzeni ziem słowiańskich miały liczne stosunki z ludami północy.

Tak więc pierwszy debiut Mochnackiego acz wykazał dobitnie, że młody pisarz znajduje się pod silnym wpływem romantycznych pisarzy niemieckich, że ich poglądy powtarza, wypadł obiecująco.

Debiut ten nie wywołał wrzawy, ale nie przebrzmiał bez echa.

Odpowiedział nań bezimiennie Lelewel w Bibljotece Polskiej i odpowiedzią swą musiał nasunąć poważne refleksje autorowi rozprawy. Wytknął mu „mitologję północną" i zapytywał, jaką wyższość mają sagi skandynawskie nad mitologją grecką, jak pogodzić narodowość literatury polskiej z pojęciami, które Polakom są obce, wreszcie zwracał uwagę na niekonsekwencję, jaką popełnił autor, mówiąc, że żywiołem poezji powinien być świat idealny, a zarazem twierdząc, że natchnieniem twórczem nie rządzą przepisane prawa.

Uwagi te musiały zastanowić Mochnackiego, bo w późniejszych swych pracach nigdy już nie zalecał „mitologji północnej" i nie zamykał twórczości poetyckiej wyłącznie w świecie idealnym, w krainie cudów i złudzeń, choć zawsze protestował przeciw „prozaicznej rzeczywistości" i w omawianych utworach podnosił „cechy idealne". W następnym artykule [1]) pisał Mochnacki:

„Rozumować, jest to żyć. Tylko wtenczas żyjemy, kiedy świadectwo naszego bytu szukamy w myśli. Inaczej zniknęłaby różnica między życiem człowieka i rośliny. Mamy przykłady, że ludzie i całe narody żyją ostatniej żywotem".

---

[1]) Kilka myśli o wpływie tłumaczeń z obcych języków na literaturę polską. «Dzien. Warsz.». R. 1825. T. I.

Zwracał dalej uwagę, że użytek dzieł tłumaczonych, choćby wzorowych, jest zawsze wątpliwy i zachęcał do innego rodzaju tłumaczeń: a mianowicie utworów polskich na języki obce.

Zkolei w obszernych „Uwagach" nad poezją romantyczną zwrócił się przeciw śmiertelnemu wrogowi „romantyczności", a zarazem jednemu z największych autorytetów: Janowi Śniadeckiemu [1]).

Profesor wileński pierwszy rzucił romantykom rękawicę, a choć w swoim czasie zareagował na to Pamiętnik Warszawski, głos znakomitego matematyka był nieustannie przez klasyków cytowany i nadal uchodził za cios tak zabójczy, iż romantykom nie pozostało nic innego, jak złożyć broń i kapitulować.

Ten nowy artykuł rozwijał myśli, wypowiedziane w rozprawie poprzedniej, ale obok tego odpierał ciosy Śniadeckiego i kompromitował niektóre jego poglądy. Zaznaczywszy, iż poezje Mickiewicza są najlepszą odpowiedzią na wywody znakomitego profesora, Mochnacki zaatakował go następnie na posterunku,

---

[1]) St. Krzemiński w artykule swym o Mochnackim (Wiek XIX—Sto lat myśli polskiej. Warszawa, 1908, Tom IV) pisze: «Przypisywane zazwyczaj Mochnackiemu, a niepodpisane „Niektóre uwagi nad poezją romantyczną z powodu rozprawy Jana Śniadeckiego..." po głębszem wniknięciu nie okazują się pracą M-go». Twierdzenie to należy sprostować. W IV tomie «Dziennika Warszawskiego», którego egzemplarz posiadam, znajduje się spis rzeczy, a przy wspomnianym artykule figuruje nazwisko M-go, jako autora. Przy sposobności jeszcze jedno sprostowanie: artykuł, drukowany w «Kur. Polskim» Wypadki i ich kierunek nie jest, jak pisze p. Krzemiński, artykułem M-go, lecz ówczesnego zastępcy ministra skarbu Jelskiego. Tak przynajmniej pisze sam Mochnacki («Powstanie Narodu Polskiego» Poznań, 1863, Tom II, str. 267).

który Sniadecki uważał za niezdobyty, wytoczył mu bowiem proces nie o romantyzm, lecz o klasyczność.

„Jak pogodzić, — zapytywał Mochnacki, — znamiona upłynionej epoki, którą klasyczną nazywamy pod względem poezji, ze sztuką rymotwórczą Boilleau'a i Dmochowskiego, na której Jan Śniadecki zasadza swoje o klasyczności rozumienie?" I namiętnemu obrońcy prawideł taką Mochnacki wyrąbał odpowiedź: „Prawidła, te szczudła umysłowej niemocy partaczów, o których twórcza natura nie pamiętała, prawidła w poezji, w tej metafizyce czucia i imaginacji, w tej swobodnej dziedzinie natchnień, prawa Boilleau'a i duch starożytnych Greków! Jakaż rozległa niezmierzona przestrzeń dzieli te dwa wyobrażenia! Czyliż starożytność potrzebowała sztuki rymotwórczej ks. Dmochowskiego? Czyliż śmieszne przepisy poezji, w rozumieniu Jana Śniadeckiego klasyczność stanowiące, zdołają zniszczyć różnicę w charakterze ludzkości, w sposobie czucia i myślenia, różnicę nader ważną, bo zrządzoną biegiem czasu i cywilizacji?..."

„Wstyd jest pisać przeciw podobnym zdaniom"— wołał Mochnacki i, zostawiwszy na stronie Śniadeckiego, uderzył już na cały obóz klasyczny: „Jeżeli Wirgiljusz, jak pewna wieść niesie, pozwał Blumauera przed sąd Jowisza, oskarżając go o trawestowaną Eneidę, równie, a może i większe miałaby prawo cała grecka starożytność ująć się za znieważone piękności wzory, które dzisiejsi pseudo-klasycy, jej duchem nieożywieni, nie znając jej języka, lecz z drugiej dopiero ręki pożyczone, przez szkolnych komentatorów i francuskich teoretyków za Ludwika XIV przenicowane, ze znacznym jej powagi i sławy uszczerbkiem naśladować chcieli. Miałaby słuszne prawo za-

pytać się ich, dlaczego wywołują z grobów jej święte znamiona i poważają się nazywać klasycznem w poezji, co jest szczerą miernością i nieomylną cechą ich miłości własnej a oraz pozornem imieniem źle ubarwionej niemocy umysłowej"... [1]).

Pierwszy raz klasycy zostali tak gwałtownie zaatakowani i tak boleśnie dotknięci w swoich „najdroższych uczuciach". Mogło się zdawać, że te strzały Mochnackiego, istotnie mordercze, ośmieszające uroszczenia klasyków, wywołają w odpowiedzi istną kanonadę protestów. Nic podobnego. Klasycy gryźli najczęściej milczkiem, strzelali z za płotu, drwili między sobą z „pijanych parobków literatury", zabijali ich w opinji salonów, ale zdań swoich nie wynosili na rynek i ani myśleli stawać do walki w otwartem polu. Ci nowocześni Rzymianie mieli swoją specyficzną taktykę w stosunku do młodzieży, śmiało rozwijającej skrzydła do wysokich lotów.

Ale choć Mochnackiemu nie udało się wywołać walki, nowy artykuł jego ośmielał zwolenników romantyczności, a młodym poetom ułatwiał proces zerwania raz na zawsze z kajdanami wszelkich przepisów.

Współpracownictwo Mochnackiego w Dzienniku Warszawskim trwało tylko sześć miesięcy. Debiutujący pisarz, zapewne pod naciskiem rodziców porzucił pisanie artykułów literackich i do innej zabrał się pracy. Milczał rok zgórą.

Dopiero w r. 1827, powołany przez Bronikowskiego do redakcji Gazety Polskiej, na nowo wziął się do pióra i już znany w szerokich kołach młodzieży,

---

[1]) «Dziennik Warszawski», Tom II, str. 346—349.

znowu skierował swe burzące działo przeciw niewzruszonej twierdzy klasycyzmu.

Tymczasem i sytuacja zmieniła się nieco na korzyść romantyków.

Mickiewicz rósł w siłę i potężnym genjuszem raz po raz straszył hufiec klasyczny. Rozwinęli już szerzej swe skrzydła Malczewski, Goszczyński, Zaleski, niemal każdy miesiąc wzbogacał skarbiec poezji jakimś pięknym utworem, szydzącym z istniejących powag, urągającym wszelkim przepisom. „Szkoła zdrady i zarazy" robiła zastraszające postępy. Kto czuł żywiej i silniej, ten wypowiadał posłuszeństwo Janowi Śniadeckiemu i stawał pod sztandarem romantyzmu. Nawet młodzież ze Szkoły Podchorążych porwała się do pióra i za romantyczność jęła przelewać atrament. Podchorąży Godebski wraz z kolegami swymi: Kamilem Mochnackim i Żabą, zaczął wydawać Chwilę Spoczynku, jedno z tych pism, które broniąc dobrej sprawy, najgorszą oddają jej usługę. Dzielna młodzież znakomicie władała bronią, ale *suum cuique*, pisała po partacku, drukowała straszliwe, bo nad wszelki wyraz „romantyczne" ballady, umieszczała artykuły, zadając klasykom ciosy, które w przekonaniu autorów miały być ciosami śmiertelnemi, a przypominały raczej niezdarne pchnięcia bagnetów, przeszywających pustą przestrzeń. Już samo godło, które wymyślili wydawcy, wymownie świadczyło o ich „literackości". „Kto nie stąpa, nie zmorduje nogi, ale pewno nie zajdzie". To niewątpliwie trafne, acz niezbyt głębokie spostrzeżenie, mogło, jako hasło literackie, obudzić najzupełniej usprawiedliwioną wesołość.

Jakoż z wesołą pobłażliwością potraktował [1]) Mochnacki ukazanie się tego czasopisma. Gdy wydawcy Chwili Spoczynku zaprotestowali przeciw jego uwagom, Mochnacki wypalił im pełną ironji odpowiedź [2]), zapędzając młodocianych autorów do książek i studjów. Na nic się to nie zdało. Podchorążowie w dalszym ciągu pisali wiersze, pełne „romantyczności", i smalili artykuły, które o słabość mogły przyprawić romantyków, choć artykuły te przeciw klasykom najczęściej były skierowane i mimo swej niezdarności budziły gniew Koźmiana.

Ale obok tych niezdarnych żołnierzy romantyzmu zjawiali się szermierze poważni, jak Michał Grabowski, jak Jan Ludwik Żukowski, najwybitniejszy po Mochnackim ideolog nowego kierunku, niestety, wyrażający swe myśli w sposób ciężki, zawiły, co narażało go na napaści, które aż Mochnacki z właściwą mu żywością zaczął odpierać. Żukowski wszedł zczasem do Gazety Polskiej, jako stały współpracownik i acz nie podzielał wszystkich poglądów Mochnackiego, dzielnie mu sekundował. Zwrócił na siebie uwagę i Józafat Bolesław Ostrowski, chociaż w walce z klasykami nie odegrał poważniejszej roli.

Ożywiało się piśmiennictwo, wzmagało się zainteresowanie publiczności, tylko w obozie klasyków panowała cisza i nic się w nim nie zmieniało. Jak przed paru laty, tak i obecnie zbierali się klasycy w salonach i odgrażali się „romantyczności". Najgłośniej piorunował Koźmian.

---

[1]) «Gazeta Polska». R. 1827, z d. 10 stycznia.

[2]) «Gaz. Polska». R. 1827, z d. 16 stycznia.

Podczaszyński, wspominając w jednym ze swych listów do Chodźki o wybuchach tego gniewu, taką robi uwagę:

„Nie myśl jednak, żeby Koźmian tak śmiało powstawał w pismach. Piszą przeciwko romantyczności niektórzy młodzi, lecz sami starzy klasycy i Koź(mian) z nimi jeszcze nie umoczyli pióra w obronie swej sprawy. Gawędzą tylko, a jeśli im kto poradzi pisać, nie wstydzą się wyznać, że strach; bo Jan Śniadecki jedną tylko napisał rozprawę przeciw Roman(tyczności); Brodziński odpowiedział mu także jedną, a Mochnacki napisał pięć rozpraw za i jeszcze pogroził dziesiątkiem”... [1]).

Nie był jednak Kajetan Koźmian wrogiem nieszkodliwym. Bolały go strasznie zaczepki, a wrażliwość na nie rosła w miarę tego, jak romantycy czynili postępy. Z powodu niewinnej wzmianki, którą wyczytał w Chwili Spoczynku [2]), a która go osobiście dotykała, wpadł w taką złość, że, jak pisze Podczaszyński, „aż gorączki dostał, bał się pisać, ale skuteczniejszy sposób obmyślił; oto oskarżył autorów przed dyrektorem szkoły podchorążych, mówiąc: dopóki romantyczności bronili literaci, było pół biedy, ale teraz kto jej da radę, kiedy się schowała pod bagnety”... [3]).

Lecz szczególniejszy gniew i szczególniejszą zawziętość budził w Koźmianie „smorgoński poeta”. Mickiewicz, który, jak wyobrażał sobie ten wykwintny

---

[1]) List Podczaszyńskiego do L. Chodźki z d. 18 września 1827 r. Rękopis w Muzeum Narod. w Rapperswilu.

[2]) Była to wzmianka Godebskiego o «Florze Romantyczności». Chwila Spoczynku po Nr. 9 przestała wychodzić.

[3]) List do Chodźki z d. 18 września 1827 r. Rękopis w Rapp.

Rzymianin, gwałtem chciał się wedrzeć na Parnas i, kto wie, zająć może miejsce tuż obok takiego wieszcza, jak on sam, Kajetan Koźmian. Uwielbienie, z jakiem młodzież odzywała się o Mickiewiczu, wprawiało starego pisarza w drżenie i pozbawiało równowagi. A gdy w r. 1827 Podczaszyński przywiózł do Warszawy odbity w Paryżu portret Mickiewicza, Koźmian, dowiedziawszy się o tem, przekroczył granice przyzwoitości i w całym blasku obnażył swą „klasyczną duszę".

„Gniew Koźmiana nie miał prawie granic, — są słowa Podczaszyńskiego, — kiedy ja przywiozłem portret Mickiewicza. Całe grono znakomitych obywateli, literatów, urzędników i wojskowych usłyszało wtedy pamiętne słowa: biada nam, biada, już teraz robią portrety śmierdziuchów"... [1]).

Wytworne słowa Koźmiana wywołały oburzenie śród młodzi literackiej. Portrety Mickiewicza zaczęto odbijać w litografjach warszawskich, a niektóre z tych portretów zadedykowane były filarowi pseudoklasycyzmu, samemu Koźmianowi. W taki sposób zemściła się młodzież na niefortunnym pogromcy Mickiewicza [2]). W tym czasie pisał Lelewel do jednego ze swoich przyjaciół: „Koźmian i Ludwik Osiński, jak są Adamowi niechętni, trudno sobie wyobrazić. Co zazdrość nie może!" [3]).

A tymczasem, jakby na złość klasykom, pękała obojętność czytającej masy i coraz szersze koła z po-

---

[1]) Ibidem, podkreślone w oryginale.

[2]) List Lelewela do Malinowskiego z d. 23 stycznia 1828 r. Rękopis w Arch. Główn. w Warszawie.

[3]) Tamże.

dziwieniem śledziły rozwój poezji romantycznej. Niewątpliwie była to zasługa Mochnackiego. On to, objąwszy ster redakcyjny „królowej gazet", jak Podczaszyński nazywał Gazetę Polską, stawał w obronie młodych talentów, zmuszał społeczeństwo do czytania ich prac, odpierał ataki na „romantyczność" lub sam atakował jej przeciwników.

W ciągu tych kilku lat wsławił się Mochnacki jako pisarz wszechstronny, dla którego nie było niedostępnych tematów. Obok licznych artykułów, poświęconych filozofji i literaturze, dał cały szereg prac z najrozmaitszych dziedzin, nie wyłączając medycyny, walczył bowiem w imieniu jednego z lekarzy z całym wydziałem medycznym. Dziwnie też żywo brzmiały niektóre artykuły o fistułach, gangrenach, guzach workowatych, polipach itd. Zdobył też Mochnacki rozgłos w sferach muzycznych stolicy swemi sprawozdaniami z koncertów, sprawozdaniami, w których obok potężnego talentu pisarskiego przejawiał się wielki smak i niepoślednia znajomość rzeczy [1]).

O tej wszechstronnej działalności w tych słowach Podczaszyński informował Leonarda Chodźkę:

„Mochnacki niespracowany, to gra na fortepianie, to pisze nudną Izydę, dziennik gospodarski, to artykuł po artykule wali do Gaz. Polskiej w różnych materjach, a nawet w medycznych, pożyczając pióra swego doktorowi Koppenstaeter, który przeciwko ca-

[1]) Między in. pisał Mochnacki o Humlu, Sowińskim, Lipińskim, Chopinie. Temu ostatniemu, acz Chopin cieszył się już wielkiem uznaniem, on, zdaje się, pierwszy przepowiedział przyszłość. «Talent, — pisał M-cki w parę lat potem, — w samej rzeczy genjalny, godny podziwienia... Zaiste, daleko rozgłosi imię swoje, kto w młodych leciech tak zaczyna»... («Kurjer Polski». Rok 1830, str. 523).

łemu wydziałowi walcząc, zawsze wyszedł zwycięzcą". Dalej Podczaszyński tak mówi o pracy literackiej Maurycego i o jego stosunku do Ulissesa klasyków warszawskich, Osińskiego: „Filut Osiński, nie w ciemię go bito, jak postrzegł, że Maurycy jeździ a jeździ klasyków, zaprzyjaźnił się z nim serdecznie, daje mu bilety na teatr, zaprasza na swoje lekcje, a mój Maurycy wierzy, że to bezinteresowna przyjaźń i jak może oszczędza szanownego tłumacza Sroki Złodziejów [1]). Znaczną ja w nim postrzegłem odmianę i w miarę, im dłużej żyje, im więcej pisze i myśli, zimniej rezonuje o poezji i filozofji, a że wszystkie jego pisma są bezimienne, więc często bardzo sam teraz przeciw dawniej pisanym przez siebie artykułom zaostrza pióro"... [2]).

Zmiany, o których pisze Podczaszyński, polegały na tem, że Mochnacki wyzbywał się zwolna niektórych uprzedzeń, nadawał większą określoność swoim pojęciom, a zarazem coraz silniej ulegał wpływowi Schellinga. Ale nie zmienił kierunku, który wytknął w Dzienniku Warszawskim i szedł dalej obraną przez się drogą. A szedł zawsze na czele ówczesnej „Młodej Polski", był jej najwybitniejszym ideologiem i najżarliwszym obrońcą.

Jednym z pierwszych artykułów, który pomieścił w Gazecie Polskiej, a który wywołał niesłychaną wrzawę w świecie literackim, był artykuł o So-

---

[1]) Trzeba tu zaznaczyć, że ze swojej strony i Osiński oszczędzał romantyczność, a w wykładach swoich w przeciwieństwie do tego, co mówił w salonach, nieraz wykazywał dużo tolerancji względem poetów romantycznych.

[2]) List z d. 9 lipca 1828 r. Rękopis w Muz. Nar. w Rapperswilu.

netach Krymskich Mickiewicza. Aby zrozumieć doniosłość tego wystąpienia, trzeba sobie uprzytomnić, że Sonety, jak niemal wszystko, co Mickiewicz napisał, przywitała w prasie warszawskiej cisza wzgardliwej obojętności. Otóż głos Mochnackiego zagrzmiał w tej ciszy jak piorun, rozpalił namiętności i wzniecił istny pożar w umysłach.

A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że Sonety były w literaturze naszej zjawiskiem niezwykłem, że jeżeli nie zrozumieli ich zwolennicy Mickiewicza, to klasycy stracili nawet resztkę tego „rozsądku", na który ustawicznie się powoływali. Nawet najliberalniejszy w obozie tym Morawski wybuchnął gniewem. „Nie chwalę (sonetów),—pisał do Andrzeja Koźmiana, — bom się biedził, nimem zrozumiał; bom stokroć plunął, gniewał się i do djabła całe pismo rzucał, nakoniec zawsze mówię, że głupcy tylko mogą takie poezje za wzór młodym stawiać"... [1]).

Cóż dopiero mówić o Kajetanie Koźmianie!...

„Nie wiem, co w nich (sonetach) można znaleźć dobrego, — wołał ten „klasyk" w słynnym swym liście, unieśmiertelnionym przez Siemieńskiego,—wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze, niż wszystkie Marcinkowskiego płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy, Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych, który na przekór dobremu smakowi, gmatwaniną słów niepojętego języka niepojęte i dzikie

---

[1]) «Obóz klasyków» przez Lucjana Siemieńskiego. Kraków, 1866, str. 50.

pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony"... [1]).

Dopiero na tle takich pojęć z jednej strony, a z drugiej — na tle bezkrytycznego uwielbienia i panującej w prasie polskiej ciszy można ocenić artykuł Mochnackiego.

Artykuł ten świadczył, że nawet Mochnacki zaskoczony był S o n e t a m i. „W poezji Adama Mickiewicza wszystkiego dorozumiewać się trzeba", — pisał z powodu tych utworów. Dziś słowa te brzmią niezrozumiale, a dziwią tem bardziej, że wyszły z pod pióra Mochnackiego. Ale na usprawiedliwienie młodego krytyka trzeba dodać, że on nie zrażał się trudnościami, lecz w myśl Chateaubrianda, iż pogardzać tem, czego się nie pojmuje, jest to bardzo źle rozumować, rozumował dobrze.

„Jest to, — pisał, — szacowny zbiór najniepospolitszych piękności co do stylu poetyckiego i harmonji rymów, tudzież ze względu malownych obrazów, głębokich uczuć i poważnych myśli".

Przyznawał dalej, że sonety są tworem „kolosalnej imaginacji, miotanej burzą wspomnień śród fenomenów przyrodzenia".

Wreszcie, rozważywszy piękności poszczególnych sonetów, artykuł swój takim zakończył wnioskiem:

„Wszelkie wstrząśnienia w świecie literackim, w którym tak długo panowała cisza, są pożyteczne. Mickiewicz przerwał tę ciszę, wpłynął na opinję młodzieży, a jeżeli kiedy będziemy mieli literaturę i poezję oryginalną, — pisał Mochnacki proroczo, — jemu ją będziemy winni"... [2]).

---

[1]) Ibidem, str. 52—53.

[2]) «Gazeta Polska». R. 1827, str. 323.

I dorozumiał się krytyk, że Mickiewicz pierwszy u nas „stworzył prawdziwą poezję serca i duszy" i rozpoczął nową a świetną epokę w dziejach literatury ojczystej.

Teraz dopiero zaskrzypiały pióra.

Klasycy nie ogłosili swego zdania publicznie, ale w pewnym przynajmniej stopniu wyręczyli ich młodzi pisarze.

A więc w Bibljotece Polskiej odezwał się Dmochowski i, protekcjonalnie poklepawszy Mickiewicza po ramieniu, przeciwstawił mu prostotę Brodzińskiego, a jakby na większe urągowisko wystawić chciał samego siebie, wyraził przekonanie, że najpiękniejszym płodem poezji polskiej będzie Ziemiaństwo Koźmiana, poemat, którym przywódca pseudoklasyków warszawskich obiecywał sobie zabić romantyczność. Później zabrał głos Teodozy Sierociński i zarzucał autorowi Sonetów, że „wpada niekiedy w niezrozumiałość, wymuszenie, wykwintność (?) i przysadę myśli" [1]), wogóle zaś potraktował Mickiewicza, jak pedagog, karcący wybryki zdolnego, lecz niesfornego ucznia. Dostało się przy tej sposobności i Mochnackiemu. Ale nietylko Sierociński protestował przeciw wywodom Mochnackiego. Zwrócili się przeciw niemu i właśni czytelnicy i na łamach Gazety Polskiej, która dla wszelkich mniemań stała otworem, zaczęli atakować i Mickiewicza, i Mochnackiego. Wkońcu zabrał głos Brodziński i również zwrócił się przeciw Mochnackiemu, zarzucając mu niekonsekwencje, a przewidując najfatalniejsze skutki, jakie sprawi nieustanne targanie się na rozwagę i trzeźwość.

---

[1]) «Dziennik Warszawski», Rok 1829, Nr. 26.

Mochnacki nie pozostał dłużnym w odpowiedzi. „Onegdaj,—pisał w jednym z listów Podczaszyński,— wyszedł numer Dziennika Warszawskiego. Sierociński wystąpił tam z niezmiernie długim rozbiorem Sonetów; drasnął Mochnackiego, dał po palcach wszystkim krytykom. Mochnacki tak się zajędyczył, że po przeczytaniu jednem pociągnięciem pióra wywalił dwa arkusze odpowiedzi; a to jeszcze nie koniec, będzie ciąg dalszy, dalszy i jeszcze dalszy"...[1]).

Jakoż odpowiadał Mochnacki na prawo i na lewo: Sierocińskiemu sypnął garść szyderstw, a Brodzińskiemu poważnie tłumaczył, że „łagodne czucia" nie są „ostatecznym cywilizacji celem", jeżeli zaś poezja ma być mową serca, „to wielkość i szlachetność ludzkiego serca mierzy się dzielnością i ogniem jego uczuć"...[2]).

Artykuł o Sonetach nie należy bynajmniej do wydatniejszych prac Mochnackiego, ale ma ważne zna-

[1]) List Podcz-go z d. 18 września 1827 r. Rękopis w Muz. Nar. w Rap. Sierocińskiemu odpowiedział Mochnacki pod pseudonimem Cieplińskiego w «Gazecie Polskiej» z d. 23 września 1827 r. Pan Bańkowski, wspominając o wydanych przeze mnie «Pismach» Mochnackiego, twierdzi, że niesłusznie przypisałem Mochnackiemu ten artykuł, przyczem powołuje się na pominięte przezemnie świadectwo, a mianowicie na późniejszą wzmiankę tegoż Cieplińskiego, umieszczoną w «Gazecie Polskiej» z d. 20 listopada 1827 r. Otóż świadectwa tego nie pomijałem, przeciwnie, bardzo wyraźnie zwróciłem na nie uwagę. (Maurycy Mochnacki. Pisma... str. 89). Dowody p. Bańkowskiego nie są przekonywające. Nie można się zgodzić, by owa kilkuwierszowa odpowiedź była «kapitulacją» przed Sierocińskim. W każdym razie późniejsze kilkuwierszowe oświadczenie poczytać można raczej za gryzące szyderstwo Mochnackiego, niż za kapitulację. Sz. autor, który w pracy swej wykazał dużo przenikliwości, tym razem nie dostrzegł w «akcie skruchy», jak się wyraża, ogromnego lekceważenia, okazanego Sierocińskiemu.

[2]) «Gazeta Polska», R. 1827, str. 632.

czenie jako praca, która zapoczątkowała szerszą dyskusję o Mickiewiczu, przełamała obojętność i była pierwszym hołdem, złożonym przez krytykę polską Wieszczowi. Miała i tę jeszcze doniosłość, że roznamiętniła umysły i pobudziła opinję do wzięcia udziału w sporze o romantyzm i klasycyzm.

Odtąd Mochnacki korzystał z każdej okazji, aby rozniecić zapał dla utworów romantycznych, a zarazem wykazać płytkość i jednostronność współcześnie wydawanych sądów. Ataki jego stawały się coraz gwałtowniejsze, a czasem grzmiały, jak groźba.

„Nasze pola i pastwiska, a przynajmniej tu na Mazowszu są jak wiadomo piaszczyste; potrzeba więc, aby i poezja narodowa była tak płonna i czcza jak piasek, a przypadnie do smaku p.p. krytykom, co tak głośne rozwodzą żale. Ci panowie muszą być bardzo delikatnej kompleksji. Nie lubią zapału, głębszych uczuć, namiętności; nie lubią natchnionych myśli, bo to jest szał i mistycyzm szkodliwy rozumowi; ale zato podoba im się pewna łagodność w poezji, uprzejmość, a nadewszystko spokojność, zrozumiałość i serdeczność (strzały w stronę Brodzińskiego). Zdania nasze nie trafią do przekonania tych szczęśliwych mieszkańców ziemi, tych prawdziwych w sztuce życia mistrzów, co nie znają smutku i uniesień, nie lubią ich nawet w poezji, a na świat patrzą pogodnem okiem, jak zakochani dawnej Arkadji pasterze! Chwile ich niechaj błogo upływają! Lecz radzimy im, aby porzucili swarliwe sprzeczki z niespokojnymi romantykami, co pilnie szperają w tajemnicach natury, a na rzeczy rozumowi zakazane, bezpiecznie patrzą. Radzimy im, aby się mieli na ostrożności, bo pochmurne wejrzenia tych entuzjastów, prędzej czy pó-

źniej zepsują dobrą myśl i spłoszą wesołość z ich grona"... [1]).

Jeżeli więc dobrze przewidywał Brodziński, do czego doprowadzić może rozbudzanie zapału i kult dla entuzjazmu, to i Mochnacki miał pełną świadomość tego, do czego dąży i co prędzej czy później wypłoszy wesołość z grona mistrzów w sztuce życia i szczęśliwych mieszkańców tej ziemi. Pod osłoną rozpraw literackich toczyła się inna jeszcze walka i czuły to obie wojujące strony. Brodziński pisał wprost, że Mochnacki nie przewiduje chyba skutku, jaki na umysły młodzieży mieć mogą jego wywody: „inaczej niepodobna, aby tak źle życzył własnej ojczyźnie", a Mochnacki nową groźbą odpowiadając na to, wyraźnie dawał do zrozumienia, że przewiduje skutek i nie cofa się przed odpowiedzialnością.

To też walka, jaką toczył, obierając sobie za przedmiot literaturę, nie była bynajmniej walką wyłącznie literacką, lecz walką o cały światopogląd, walką o całą przyszłość narodu, o jego byt i niebyt.

*
* *

Do najważniejszych, a zarazem najobszerniejszych rozpraw, które Mochnacki zamieścił w Gazecie Polskiej, należy studjum p. n.: Myśli o literaturze polskiej i ocena Zamku Kaniowskiego.

W pierwszej z tych prac Mochnacki zastanawia się szeroko nad istotą piękna i wywód swój opiera na najnowszych zdobyczach filozofji niemieckiej. Powtarza więc za Schellingiem, że „sztuka powinna na-

---

[1]) «Gazeta Polska», R. 1827, str. 877. Artykuł p. n.: «Lekarz swego honoru».

śladować naturę", a artysta tworzyć, jak natura, która jest tylko wizerunkiem umysłu ludzkiego, tak jak umysł ludzki jest ze swojej strony wizerunkiem natury. Artysta powinien przejść od naśladowania zewnętrznych form w samej naturze i sztuce do naśladowania tej produkcyjnej siły, która sprawia, że „te formy egzystują i takie a nie inne mają wejrzenie". Oczywisty stąd wniosek, że taki tryb tworzenia usunie raz na zawsze z pod dyskusji wszelkie naśladownictwo, wszelkie spory o wyższość klasycyzmu nad romantyzmem. „Z takiego stanowiska uważając naśladownictwo natury, łatwo zgadniemy, że wistocie nie jest naśladownictwem, ale procesem twórczym, produkcyjnym, życiodajnym. Umiejmy naśladować naturę, a nie będziemy potrzebowali szukać wzorów dla siebie, bądź we Francji, bądź w Anglji, bądź w Niemczech, ani gonić za napowietrznemi ideałami" [1]).

Natchnienie uważał Mochnacki za początek i źródło poezji, głosił, że tylko przez natchnienie wyobrażenia nadzmysłowe w kształtach dotykalnych objawione być mogą. Forma jest martwa, duch tylko żywy i piękny. Ale tu zaczynały się piętrzyć trudności. „Dzieło z najpiękniejszych form zrobione, lecz w którem ani tchu życia niemasz, nikt zapewne pięknem nie nazwie". Ale mówiąc o pięknej formie, tem samem ożywiał ją Mochnacki „tchem życia", bo bez niego nie uznawał piękna. Brnął jednak dalej i stwarzał olśniewający labirynt.

„To, — pisał, — na czem rzeczywiście zasadza się piękność kunsztownego tworu, nie może być jego formą. Inaczej wypadałoby zwątpić o rzeczywistości mate-

---

[1]) «Gazeta Polska». R. 1828, str. 376.

matycznych prawie rozumowań. Piękność jest to coś więcej, niż forma. Piękność jest istotą; forma tylko określeniem, granicą tej istoty. Piękność jest sferą; forma tylko obwodem tej sfery. Piękność ma byt rzeczywisty, bezwzględny, bezwarunkowy. Jest to a b s o l u t u m w estetyce. Jest to tchnienie i wyraz bezprzestannie objawiającego się w materji niewidomego ducha"... [1]).

Tak więc doszedłszy do wniosku, że piękno, to absolut, Mochnacki pragnął ustanowić przedział pomiędzy duchem a materją. Schelling odgraniczył jedno od drugiego teorją samopoznania, ale granic samopoznania nie zakreślił. Schelling nie zadawalał już Mochnackiego. On własnej szukał drogi. Idąc za nim tą drogą, ma się chwilami wrażenie, że jeszcze jeden krok naprzód, jeszcze jedna błyskawica myśli, a filozof polski prześcignie swego mistrza, własnemi siłami przebije się przez gąszcz trudności, ustanowi przedział i ukaże piękno nagie, oddzielone od formy, a jednak wyczuwalne. Lecz złudzenie to sam Mochnacki rozwiewa. „A przeto, — konkluduje zaraz w dalszym ciągu, — dzieło martwe, chociaż z najpiękniejszych form złożone, nie jest piękne".

Znowu więc mamy to samo błędne koło, te same piękne formy, wytrawione z piękna, bo martwe, słowem, fałszywy wniosek, z fałszywego wyprowadzony założenia. Ale Mochnacki sam może spostrzega swój błąd, bo, włączywszy do poprzednich rozumowań natchnienie, formułuje nareszcie odpowiedź:

„Natchnienie w sztuce i poezji odrazu duszę stwarza z ciałem; niewidomą istotę z nią samą kojarzy,

---

[1]) Ibidem, str. 364.

myśl wiąże z formą. Albowiem niemasz w niem przedziału. Przedział tylko w czasie i przestrzeni być może, a natchnienie umieszczone jest za ich granicą... Myśl jest zasadą, a natchnienie najogólniejszym początkiem sztuk pięknych".

W artykule, „do którego powodem był Zamek Kaniowski", Mochnacki również zastanawia się nad istotą piękna i posuwa się o jeden krok naprzód. Teraz już wyraźnie stwierdza, że „nie jest w mocy naszej, żebyśmy się mogli patrzeć na piękność oderwaną od zewnętrznej postaci, wewnątrz której jako dusza w ciele ta piękność ma swoje mieszkanie". Tak więc istota piękna pozostać musi niezbadaną, ale ponieważ „piękność jest przyczyną, a w s z e l k a p r z y c z y n a d z i a ł a i w y w i e r a s i ę b e z p r z e s t a n n i e, tem samem więc r u c h główną piękności zasadą, jej najpierwszym warunkiem i żywiołem być musi"... [1]).

Pierwszy to raz do rozważań estetycznych u nas wprowadzono pojęcie ruchu, jako głównej zasady piękna. Nowością również był wyrażony w tym samym artykule pogląd na krytykę, jako na umiejętność, opartą na filozofji sztuki:

„Rozmaite charaktery piękności, jakie się na tworach kunsztownych ukazują, z tej właśnie przyczyny, że je umysł ludzki własną wykształca mocą, są najciekawszym i najpowabniejszym przedmiotem filozoficznych poznawań. Albowiem cóż nas bliżej obchodzić może, jeźli nie my sami, czyli to, co jest z nami tak nierozdzielnie spojone, co jest wypływem naszych usposobień i skutkiem naszej mocy? Jest więc este-

---

[1]) «Gazeta Polska». R. 1829, str. 75.

tyka z tego względu nie co innego, jeno teorja nadobnego misterstwa, — czy rozważa przymioty i własności twórczych władz umysłu naszego, czyli też wchodzi w roztrząsanie kunsztownych tworów i przenika do początkowych przyczyn, na których piękność sztuczna zależy. W pierwszym przypadku, że się wyrażę słowy Jana Pawła Richtera, uważaćby można tę naukę jako transcendentalną i niby matematyczną dźwięku teorją, która tony lutni poetyckiej na pierwiastki rozkłada, toż je wyraża liczbowemi znakami i oznacza stosunki między niemi zachodzące. W drugim zaś przypadku, kiedy roztrząsa płody kunsztownego dowcipu według prawideł teoretycznych, staje się estetyka k r y t y k ą. Z czego oczywiście pokazuje się, że krytyka jest praktyczną, czyli przystosowaną częścią estetyki; a tem samem, że kto pierwej nie zgłębi i myślą nie pojmie filozoficznej teorji kunsztu, ten umiejętnym krytykiem płodów cudzego dowcipu być nie może"... [1]).

Określając w ten sposób krytykę, Mochnacki pozostał wiernym Schleglowi, a szedł o wiele dalej, niż Michał Grabowski, który twierdził, że krytyk powinien oddać t y l k o uczucia i wrażenia, prześcigał zarazem Brodzińskiego, który nie lekceważył filozofji, zastosowanej do rozbiorów dzieł sztuki, ale uważał badania te za przedwczesne.

M y ś l i o l i t e r a t u r z e p o l s k i e j i rozprawa, której powodem był Z a m e k K a n i o w s k i, dają już wyraz poczuciu zwycięstwa, jakie zwolna odnosił romantyzm. W drugiej z tych rozpraw Mochnacki dziwi się ironicznie, że klasycy nie rzucili się na poemat

---

[1]) «Gazeta Polska». R. 1829, str. 81.

Goszczyńskiego, pomimo, że jest to utwór pełen okropności, że zaczyna się od rozmowy puszczyków, od rozmowy, której przedmiotem jest wisielec na szubienicy, skrzypiącej za lada wiatru powiewem! Cóż za pyszny temat dla drwin i szyderstw, jakież pole dla harców klasycznych, ileż powodów do załamywania rąk nad upadkiem poezji, nad zanikiem dobrego w literaturze smaku!

I świszczącym biczem sarkazmu smaga Mochnacki ową krytykę, która do uprzykrzenia „prawiła o guście", chociaż w niej samej pełno było niesmaku, która „nie uczyła, lecz zawstydzała", a przeto „w żadnym względzie nie czyniła zadość swemu powołaniu". Najbardziej zaś winował ją o to, że „nigdy nie zgadując ducha i nie wnikając w całość, z szczegółów, z pojedynkowych drobnostek wartość dzieł szacowała".

Tej krytyce słusznie przypisuje Mochnacki smutny los Marji Malczewskiego, o której wspominano z politowaniem, a która „po wszystkie czasy będzie najświetniejszym literatury naszej zaszczytem", tej krytyce zarzuca wszystkie opaczne sądy i wszystkie niedostatki, co omal nie przyniosły zginienia naszemu piśmiennictwu. Przy tej sposobności raz jeszcze rozprawia się z narzucanemi poetom przepisami, opartemi na doświadczeniu wieków. Tysiąca komentarzy doczekał się Homer. Do gruntu „przetrzęsiono" Iljadę i Odysseę, ale niechże kto spróbuje skorzystać z ogromu tych materjałów krytycznych i na ich podstawie napisać epopeę, a przekona się, jak nieużyteczne mu będą owe materjały. Mochnacki nie lekceważy postrzeżeń krytycznych, zwraca tylko uwagę, że nawet gruntowna znajomość zasad, dróg i sposobów, jakich

używał genjalny poeta, nie wystarczy nigdy do stworzenia genjalnego dzieła.

Szermierz romantyzmu domaga się, aby krytyka wnikała w intencje autora i z tego stanowiska dzieło rozważała. To przecież nie wystarcza. Krytyk sam musi odczuwać piękno i być tego piękna czcicielem. Im więcej posiada zapału, tem łacniej dostrzeże piękności, o których często nie wiedział poeta, tworzący swe dzieło w porywie natchnienia.

Streściwszy w przepyszny sposób „fantastycką i śmiałą" treść Z a m k u K a n i o w s k i e g o, Mochnacki w myśl wygłoszonych zasad stara się wyrozumieć intencje poety, a zarazem bardziej uderzające piękności utworu przełożyć na język dostępniejszy, język swej wspaniałej prozy. Następnie zastanawia się, do jakiej kategorji poetów zaliczyć autora Z a m k u. Zdaniem Mochnackiego — i tu odbiega on od poglądów wypowiedzianych w rozprawie o duchu i źródłach poezji w Polsce,—dwa są rodzaje poezji. Albo poeta snuje myśl swoją z samego siebie, nie bacząc na świat zewnętrzny, albo zapomina o własnej indywidualności i dokłada starań, ażeby jego twory miały istnienie tak odrębne i niezależne, jak mają je twory w przyrodzeniu. W pierwszym wypadku poezja jest l i r y c z n a (subjektową), w drugim — p l a s t y c z n ą, czyli s n y c e r s k ą (objektową). „W pierwszym razie poeta jest filozofem, w drugim — więcej sztukmistrzem obrazowym". Goszczyńskiego zalicza Mochnacki do kategorji ostatniej, zwracając uwagę, że poeta ten nie tak barw i pędzla malarskiego używa, jak raczej dłóta. Postacie i grupy w jego poemacie to nie malowidła, ale posągi.

Krytyk nie zamyka oczu na „przywary w stylu wysłowienia", przyznaje, że są w poemacie usterki zboczenia, mówi o widocznym pośpiechu, z jakim autor dzieło swe kończył, ale pomimo te słabe strony zalicza Zamek Kaniowski, podobnie jak Marję Malczewskiego, do „prawdziwych ozdób literatury naszej", do dzieł, któremi piśmiennictwo ojczyste słusznie chlubić się może.

Takiemi drogami trafiał Mochnacki do szerszych kół czytelników, pobudzał je do poznania utworu, a autorowi Zamku, podobnie jak Mickiewiczowi i Malczewskiemu, pierwszy wyznaczał zaszczytne w piśmiennictwie polskiem miejsce. Tak później odda w Kurjerze Polskim [1]) sprawiedliwość Bohdanowi Zaleskiemu.

Wiek mija od śmiałych występów Mochnackiego. Zmieniały się nieraz poglądy na zadania i obowiązki krytyki, ale wyśmiewanych i wyszydzanych poetów czas nie ruszył z owych miejsc zaszczytnych, które im na Parnasie polskim pierwszy wyznaczył Mochnacki.

*

* *

Pomimo nieustannych porażek klasycy nie dawali za wygraną. Koźmian nie składał broni. Jak mógł, szkodził poezji romantycznej. Wydrwiwał ją w listach do przyjaciół, wyśmiewał w salonach, pobudzał przyjaznych mu pisarzy, by stawali do walki z rozwydrzeniem „śmierdziuchów". W swoim czasie przyczynił się do zamknięcia Chwili Spoczynku, obecnie rozmyślał nad tem jakby znienawidzoną mło-

---

1) Kurjer Polski z d. 25 czerwca. R. 1830. Artykuł p. n. «Melitele».

dzież pozbawić „Gazety". Tymczasem Mochnacki klęskę za klęską gotował swym wrogom. Kiedy teatr ogłosił zamiar wystawienia Macbeta w przeróbce Ducisa, śmiały szermierz groźnie zapowiedział, że pomści wyrządzoną Szekspirowi zniewagę [1]).

Ta zapowiedź ośmieliła czciciela Szekspira.

W Dzienniku Powszechnym ukazał się szereg artykułów, w których niemiłosiernie schłostano i niefortunnego przerabiacza dzieł szekspirowskich, i kierownictwo teatru. Zagrożonemu Ducisowi przyszedł z odsieczą sam Osiński, a Osińskiemu pośpieszył z pomocą Dmochowski [2]). Na nic się to nie zdało, bo oto Mochnacki, spełniając swoją zapowiedź, wystąpił w szranki bojowe i stanął w obronie godności teatru stołecznego. Zapytywał o przyczyny, dla których scena polska szuka w mętach tego, „czego w czystem źródle dostać można". I wykazał, że „zarówno jest niepodobna napisać drugą Iljadę, jak drugiego Macbeta".

Wyśmiewany Ducis padł haniebnie.

Pióro Mochnackiego było bronią straszliwą. Młodziutki pisarz, pisząc rozprawy filozoficzne, drukując pełne erudycji krytyki, zamieszczając sprawozdania teatralne i sprawozdania muzyczne, coraz bardziej ciążył na życiu kulturalnem Warszawy.

Nic dziwnego, że „królowa gazet", przyczyniając się do ożywienia publicystyki, budziła coraz większy gniew w obozie klasycznych zacofańców. Kajetan Koźmian intrygował, jak umiał, a umiał niezgorzej. Nadużywając wysokiego stanowiska w ministerstwie

---

[1]) «Gazeta Polska» Nr. 122, R. 1829.

[2]) Obszerniej pisze o tem Bańkowski, str. 94–97.

spraw wewnętrznych, ścigał Gazetę Polską represjami, nakładał na nią kary i w ten sposób dążył do tego, by zmienić znienawidzony kierunek buntowniczego dziennika. Jakoż celu dopiął. Właściciel „Gazety", niejaki Gębka, uderzany raz po raz w swą czułą kieszeń, przeszedł w połowie 1829 roku na podwórko swoich prześladowców. Koźmian celu dopiął. Organ bojujących romantyków stał się twierdzą klasycyzmu.

Ale uciecha Koźmiana nie trwała długo.

W dniu 1-ym grudnia 1829 r. ukazał się nowy dziennik. Był to Kurjer Polski, założony przez Adolfa Cichowskiego. Do redakcji Kurjera weszli Mochnacki, Bronikowski, Żukowski, Grabowski wraz z innymi współpracownikami Gazety. Z nowego siedliska „zdrady i zarazy" posypały nowe na klasyków pociski. Obóz starego Koźmiana znów zadrżał w swoich posadach. Nadaremnie fali romantyzmu starano się zbudować przeszkody i tamy. I nadaremnie pojękiwała wyszydzana teraz Gazeta Polska, że Kurjer już z własną zadziera matką. Okrutna młodzież nie tylko wyparła się rzekomej matki, ale nie szczędziła jej najzłośliwszych przycinków.

I znowu królował Mochnacki.

Domagając się poszanowania dla rodzimej twórczości, torując w dalszym ciągu drogę utworom romantycznym, wypędzając z teatru ducha pseudoklasycznego, walcząc z plejadą Sierocińskich, Osińskich, Dmochowskich, stawał się coraz bardziej nieubłaganym bojownikiem o nowe prawdy. Gdy odezwał się pojednawczy Brodziński, wystąpił przeciw Brodzińskiemu. Z powodu uwag, w których autor Wiesława przestrzegał młodych poetów przed zbytniem rozkieł-

zaniem fantazji i zalecał umiarkowanie, Mochnacki odpowiedział mu wręcz, iż wprowadza na Parnas policję. „Krytyki powołanie, — pouczał Brodzińskiego, — jest wcale inne, ona jest pochodnią historji. Służy ku lepszemu wyrozumieniu ducha narodów, ku wydatniejszemu odcieniowaniu ich właściwości, lecz na poetów żadnego nie wkłada przymusu. Ci mają inną krytykę, z nieba, tej tylko słuchają. Poetyka genjuszu jest w jego inspiracji" [1]).

Filozofja sztuki dla krytyków, lecz dla artystów niczem niekrępowana, bezwzględna wolność! — oto było hasło, które coraz częściej powtarzał. W ten sposób powstała i „sztuka dla sztuki", która jest sama w sobie celem, „która tak dalece jest wolna i we własnym świecie zamknięta, iż pod żadnym względem nie godzi się jej uważać za środek ku osiągnięciu jakiegokolwiek celu"... [2]).

Powoli wszystkie te pojęcia wywalczały sobie prawo obywatelstwa i walka z klasykami traciła swój pierwotny charakter: argumenty coraz częściej zastępowało szyderstwo. Romantyzm triumfował — i zadanie Mochnackiego dobiegało do końca. Z fortecy klasycyzmu pozostały już tylko opustoszałe ruiny, śród których znękany Koźmian kończył swoje Ziemiaństwo. Insurekcja literacka miała się ku końcowi, przychodził czas na pracę twórczą. Zrozumiał swe zadanie Mochnacki. Spojrzał wstecz, jednym rzutem oka ogarnął swą żmudną kilkoletnią pracę, przebiegł krytyczną myślą olbrzymią przestrzeń swych niezliczonych artykułów, rozejrzał się w osiągniętych zdoby-

---

1) «Kurjer Polski». R. 1830, Nr. 145.
2) «Kurjer Polski». R. 1830, Nr. 91.

czach i postanowił zaprowadzić w nich ład i dać syntezę swej działalności. Uważał, że będzie skompromitowany jeżeli trwałe, pozbawione cech dorywczych dzieło nie uwieńczy jego usiłowań.

W ten sposób powstała praca O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym.

Rozpatrując tę pracę, koniecznie trzeba mieć na uwadze, że jest ona tylko pierwszym tomem wielkiego przedsięwzięcia, a więc nie może być uważana za ostatnie słowo znakomitego pisarza. O zamiarze swoim tak pisze Mochnacki: „Nie będę roztrząsał pism uczonych Polaków, ani dzieł polskich artystów dla ocenienia ich wartości, bo to właściwie do krytyki należy. Zamiarem moim jest: zbadać ducha i przeniknąć do istoty polskiego narodu w ojczystej literaturze". I zamiar ten podkreśla kilkakrotnie, to mówiąc, że chce „w dostatkach piśmiennych narodu zeznać jego myśl własną, toż charakter, postać moralną i kształt cywilizacji", to znowu zbadać, „jaka władza, jakie usposobienie najwyraźniej objawiło się w literaturze"... W ten sposób Mochnacki uprzedzał teorję Taine'a, który w kilkadziesiąt lat potem podjął się tego samego zadania. Jest jednak ogromna różnica pomiędzy obu myślicielami. Pisarz francuski w swej „Filozofji sztuki" starał się wykazać, że każde dzieło uwarunkowane jest pewną całością, a mianowicie ogólnym stanem ducha i panujących w danej epoce obyczajów, że każdy stopień cywilizacji wytwarza grupę dzieł sztuki, które mu odpowiadają. Na tej podstawie Taine wyprowadzał dzieła sztuki z ich otoczenia, wykazywał na nich wpływ rasy, klimatu i obyczajów. Mochnacki podjął się zadania trudniejszego, bo z lite-

ratury chciał snuć wnioski o „kształcie cywilizacji” i „istocie ducha narodowego”. Lecz konsekwencje tych dwu metod prowadziły do jednego i tego samego celu, a mianowicie do wykazania ścisłego związku pomiędzy dziełami sztuki a całokształtem życia. Oczywiście Taine szedł inną drogą, korzystał z późniejszych o wiele zdobyczy naukowych, oparł swoje wywody na obserwacji i doświadczeniu, podczas gdy Mochnacki potępiał „fanatyczną wiarę w doświadczenie” i uważał, że „przez empiryzm skamieniała umiejętność w polskiej literaturze”...

Ale zaznaczając tylko mimochodem tę łączność pomiędzy Taine'm a Mochnackim, podkreślić należy, że gdy Taine wypowiedział swe myśli do końca, Mochnacki przerwał swą pracę w połowie, a raczej, nie ogłaszając drukiem drugiego tomu swojego studjum, nie dał możności ocenienia, w jaki sposób zamiar swój wykonał. Tomu pierwszego sam nie uważał za dzieło skończone i prosił, aby jego „pisemko” traktować chciano, „jako zarys, jako plan obszerniejszego dzieła, a nie za same dzieło”. Otóż można się tylko domyślać, że „samem dziełem” był tom drugi, że dopiero w tym tomie zastosował Mochnacki filozoficzną teorję kunsztu do omawianych dzieł sztuki, co rzadko czynił przedtem w swych licznych artykułach, a czego nie dokonał i w ostatnim rozdziale swej książki, dając znakomitą charakterystykę utworów Malczewskiego, Mickiewicza, Zaleskiego i Goszczyńskiego. To też pracę *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym* rozważać należy, jako syntetyczne ujęcie w jedną całość zasad, wypowiedzianych przez Mochnackiego w licznych, poprzednio już drukowanych

artykułach. W dziele tem spotykamy tę samą, dawniej już wyrażaną pogardę dla empirycznego scholastycyzmu XVIII wieku, a zarazem tę samą wiarę w potęgę myśli i natchnienia, nieskrępowanego żadnemi więzami, żadną a priori powziętą teorją.

Odpowiadając na pytanie, co „rozumieć trzeba przez literaturę", Mochnacki raz jeszcze przeciska się przez gąszcz teoryj niemieckich filozofów natury i najczęściej idzie za światłem, zapożyczonem u Schellinga:

„Wszędzie natura przemawia do człowieka. Pełno tych znaków w przyrodzeniu. Możnaby jeszcze to roznoszenie się na dwoje uważać jako słabą i niejako instynktową dążność natury do refleksji; a przynajmniej owe igrzyska natury, owe fantastyckie przeobrażenia zdają się być godłem intelektualnej władzy człowieka, którą refleksją zowiemy, która sprawuje, że możemy mieć uznanie samych siebie w naszem jestestwie".

Schelling twierdził, że ostatecznym celem wszelkiej nauki przyrodniczej jest przejście od natury do umysłowości, a za doskonałą teorję poczytywał tę, która do umysłowości sprowadziłaby całą naturę. Podług niemieckiego filozofa najwyższy stopień rozwoju osiąga natura w ostatecznej refleksji, ta zaś refleksja jest niczem innem, jak człowiekiem lub, ogólniej mówiąc, rozumem.

Otóż i Mochnacki niemal dosłownie wywody te powtarza: Wszystko zmierza w naturze „do myśli, do pojęcia, które samo siebie pojmuje, rozumie. Patrzmy na świat: któż przodkuje wszelkim jestestwom? Człowiek. Któż jest człowiek? Ostatnie ogniwo łańcucha stworzeń. Przeto jest częścią natury, częścią jednej całości. Człowiek ma myśl, ma pojęcie. Zatem i na-

tura tę myśl mieć musi — z samej konieczności i konsekwencji logicznej rozumowania. Myśli ona naszą myślą i sama siebie naszem pojmuje rozumieniem. W człowieku jako cząstce całości swojej przychodzi do refleksji”... Rozwijając tę myśl, twierdzi Mochnacki, że „jedynie człowiek staje się refleksją natury, reprezentantem całego przyrodzenia, i wszystkich na świecie stworzeń”. Ale i człowiek musiał jak natura przejść przez rozmaite szczeble rozwoju, nim doszedł do samowiedzy. Toż samo narody. Otóż w dalszych swych wywodach dochodzi Mochnacki do wniosku, że jak natura w człowieku, tak „naród jedynie tylko w literaturze ma swoją refleksję”. Oczywiście, iż po takiem orzeczeniu terminowi „literatura” nadaje Mochnacki najrozleglejsze znaczenie:

„Przez literaturę, — powiada, — potrzeba rozumieć systema tych nauk, tych umiejętności, tych wszystkich razem tworów ludzkiego umysłu, a raczej systema tych działań i poruszeń myśli, które mają najbliższy i bezpośredni związek z cywilizacją i duchem narodu”...

Stąd ostateczny wniosek: literatura jest uznaniem się narodu w jestestwie swojem.

Takiem uznaniem się narodu w jestestwie swojem nie była literatura, oparta na wzorach klasycznych. Pisarze z epoki Stanisława Augusta, „stosując ku naglącej potrzebie czasu obywatelskie, poczciwe chęci i starania swoje, z obcej ziemi, z pod obcego nieba rozszerzali w Polsce wyobrażenia i pojęcia nakształt postronnej monety, nieznanym stemplem cechowanej. Ta moneta chyżym krążyła obiegiem. Z obcym rozumem, z obcemi wyobrażeniami wcisnęły się do nas obce uczucia, zwyczaje. Zmieniono stroje, szaty. Po większej części wzmogliśmy się cudzą iścizną. Wszystko

było postronne: kształt, postawa, ułożenie. Ten cały gmach oświecenia nie wspierał się w przeszłym wieku i nie był umocowany na historycznej posadzie. Najbardziej zaś w literaturze poetyckiej przecięty został związek z przeszłością. Ta literatura, będąca „kopją kopji, przeobrażeniem przeobrażenia", wyrażała ducha, „który nie był duchem narodu". Spadkobiercy tej literatury nie wznieśli jej na stopień wyższy. Dopiero Brodziński, — i tu oddaje Mochnacki sprawiedliwość swemu przeciwnikowi, — „zaczął mądrze, głęboko rozmyślać", uczynił krok stanowczy, „p r z e c z u ł poezję narodową i we własnem sercu ją wynalazł". Poeci romantyczni poszli jeszcze dalej. Oni chcieli mieć „swój rozsądek estetyczny", „swoją imaginację". Oni to „chcieli obraz malarski roztrąconego jestestwa w zwierciadlanem pokazać przeźroczu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą jak płomień wzniecił, rozpalił. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminął czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych stóp kobiecych i misternie trefionych kędziorów. Do górniejszego wznieśli się lotu. Ten gdzie indziej zmierzał. Do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów i piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich ręku, zabrzmiała! Żałośne i tęskne ich pienie, nakształt dumań samotnika, co po długiej niebytności, z burzy świata, z rozdartem sercem wraca do domu, nieznany, ledwie postrzeżony, a choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go nie rozumie"...

Tak więc przynosił romantyzm wyzwolenie, a naród przejrzał i uznał się w jestestwie swojem dopiero w literaturze romantycznej.

Przypisując taką olbrzymią doniosłość romantyzmowi, Mochnacki zakończył pierwszy tom swego dzieła rozpatrzeniem najcelniejszych utworów doby ostatniej. Malczewski, Mickiewicz, Goszczyński i Zaleski raz jeszcze uczczeni zostali jako zwiastuni nowych świtów i heroldowie lepszej przyszłości narodu. Nie był Mochnacki bezwzględnym ich chwalcą, ale ostatnie stronice jego dzieła zagrzmiały jak triumfalna fanfara.

— „Pisarze nasi, — wołał, — poszli za natchnieniem własnego talentu! Z gruzów przeszłości wydobyli porządek poetycki, historyczny, ojczystą rozbłyśniony nadzieją i blaskiem... Dzisiejsza poezja polska wyraża myśli i idee dziewiętnastego wieku; oddaje cześć miejscowym pamiątkom; natchnienie swoje zasila podaniem i wiarą ludu, tej nawzajem niosąc wspomożenie!”...

* * *

Rozpatrując chronologicznie puściznę literacką, pozostawioną przez Mochnackiego, dostrzeżemy w działalności jego trzy fazy. Pierwsza z nich przypada na czas, kiedy prócz Mickiewicza romantycy stawiali pierwsze swe kroki, kiedy ich poglądy były jeszcze niejasne, nieskrystalizowane, a myśli błąkały się pomacku. Mochnacki wskazywał wówczas świat idealny, „krainę cudów i złudzeń”, wprowadzał poetów w kręgi nieskończoności i kazał im zgłębiać jej tajemnicę. Te pierwsze występy, pod silnym wpływem autorów niemieckich pisane, były wspaniałemi porywami entuzjazmu, ale nie miały cech zupełnej świadomości autora: na szczytach, które wskazywał, nie umiał się jeszcze utrzymać. W następnej fazie nadawał już większą określoność swoim wskazaniom, a w miarę

tego, jak skarbiec poezji romantycznej zbogacał się nowemi utworami, stawał się ich tłumaczem i krzewicielem. W obu tych fazach, szeroko rozpostarłszy swój sztandar, najczęściej sam jeden zwycięsko odpierał nieprzyjacielskie ataki, a jednocześnie podkopywał i burzył ów mur więzienny, w jakim pseudoklasycy chcieli zamknąć twórczość poetycką. W fazie ostatniej, gdy romantyzm zatriumfował na całej linji, z burzyciela stał się budowniczym i na ruinach pseudoklasycyzmu zakładał nowe fundamenty, ustalał nowy pogląd, już nie na romantyzm lub klasycyzm, lecz na literaturę, jako na dziedzinę, w której wyraża się niepożyty duch i siła żywotna świadomego swych dążeń narodu. Mochnacki pierwszy zaznajomił społeczeństwo polskie z poglądami oświeconego zachodu, a twierdząc, że myśl europejska zatrzymała się przed rogatkami warszawskiemi [1]), czynił nadzwyczajne wysiłki, aby tę myśl przez rogatki przeprowadzić i zyskać dla niej prawo obywatelstwa w zacofanej stolicy Polski!

Przez cały ten czas szedł zawsze na czele, zawsze zajmował placówkę, wysuniętą najdalej. Z krytyków młodego pokolenia pomagali mu w tej pracy Michał Grabowski i Jan Ludwik Żukowski, ale pierwszy nie zawsze dotrzymywał kroku, a drugi, mętny i zawiły w wyrażaniu swych myśli, nie mogąc dorównać przyjacielowi ani ognistą wyobraźnią, ani polotem, z konieczności poprzestawał na skromnej, mało wydatnej roli. Ze starszych jedyny Brodziński mógł być uważany za współzawodnika, ale jeżeli autor Wiesława „przeczuwał poezję narodową”, to Mochnacki

[1]) «Kurjer Polski». R. 1830, Nr. 104 z d. 19 marca.

ją c z u ł i o olbrzymią przestrzeń wyprzedził znakomitego profesora.

Doba ówczesna znała dwa szczyty: na jednym z nich stał Mickiewicz, na drugim — Mochnacki. Czem pierwszy był w poezji, tem drugi w krytyce. Mickiewicz rozpalał wspaniałe słońce poezji romantycznej, Mochnacki na to słońce ślepym otwierał oczy i, sam wielbiąc wspaniałe zjawisko, innych do wielbienia zmuszał.

Zadanie było nielada.

W czasach, kiedy największy poeta polski nawet w oczach ludzi oczytanych, mających pretensje do wykształcenia lub też jak Jan Śniadecki istotnie wykształconych, uchodził za półgłówka, kiedy M a r j ę Malczewskiego traktowano jako nędzną ramotę, kiedy od romantyzmu radzono uciekać jako od „szkoły zdrady i zarazy”, wywalczenie uznania dla nowych utworów zdawało się niepodobieństwem. Ale w pokonywaniu niepodobieństw leżała siła Mochnackiego. Niezrażony ciągłemi atakami i niepowodzeniem, znakomity krytyk dzień po dniu, niezmordowanie, niestrudzenie uprawiał grunt pod zasiew nowych myśli i swoją pracą, swoim zapałem, talentem, wiedzą zmuszał społeczeństwo do brania żywego udziału w wielkiem dziele odradzania się ducha polskiego. I dokonał rzeczy niepodobnych. Obronił „szkołę zdrady i zarazy” i nakazał dla niej szacunek. Straszna broń szyderstwa, trzymana zawsze w pogotowiu, powstrzymywała największych wrogów romantyzmu i zmuszała ich do milczenia. Pienił się Koźmian, irytował Morawski, szydził Osiński, lecz nikt z tej kapliczki zacofania nie odważał się publicznie wypędzać złego ducha z Parnasu. Nawet Ullisses-Osiński szanował cięte pióro mło-

dego zapaleńca i, drwiąc w salonach z „romantyczności”, z szacunkiem odzywał się o niej z katedry. Ale Mochnacki nie poprzestawał na trzymaniu w szachu swych najzawziętszych nieprzyjaciół. Gdy na widnokręgu literackim zajaśniała nowa gwiazda, on pierwszy uderzał w dzwon triumfalny, a uderzał z taką mocą, że dźwięki tego dzwonu po całej Polsce huczały.

On pierwszy złożył należny hołd Mickiewiczowi, pierwszy z krytyków polskich zawołał, że Mickiewicz stworzył „poezję serca i duszy”, że się od Mickiewicza poezja polska zaczyna. On pierwszy zstąpił do grobu zapomnienia, w który wtrącono dzieło Malczewskiego i wnet talent uśmiercony ożył i zadrgał w tysiącach serc i przeszedł na własność narodową On pierwszy wskazał talenty takich poetów, jak Goszczyński, Zaleski, i zapewnił im życie, tak jak zapewnił je Malczewskiemu. On to w owej epoce niósł przed narodem „oświaty kaganiec” i zmuszał całe pokolenie do podążania za sobą. On to upowszechniał piękno, dźwigał ogół na wyżyny sztuki, oświecał ciemnych, uczył rozumieć nierozumiejących i wskazał drogę, jak czynić poezję narodową, jak wszczepiać ją w serca mas.

Nie ujrzał światła dziennego drugi tom jego pomnikowej pracy o literaturze, ale i te myśli, które dał poznać, przedziwną moc życia zawierają w sobie. Przeszły one przez całe stosy ksiąg i pism emigracyjnych, wsiąknęły w dziesiątki rozpraw, artykułów i studjów literackich, a przywalone dorobkiem umysłowym całych dziesięcioleci, do dziś dnia pozostały żywe, świeże, nęcące, jak żywym i świeżym jest zapał młodości. Zdania, wypowiedziane w dziele o literaturze,— że zacytuję tu słowa Chmielowskiego, — „stały się na

długo ewangelją naszej krytyki; powtarzane w recenzjach i podręcznikach historji literatury przeszły niejako na własność narodową" [1]). Niczego więcej nie mógł żądać Mochnacki. Wprawdzie w naszych „historjach literatury" bardzo często spotyka się zdanie, że on „ustalił" pogląd na literaturę, ale zdanie to jest konwenansem. Mochnacki nie tylko nie ustalił takiego poglądu, ale idąc zawsze o staję naprzód przed swojem społeczeństwem, był pierwszy, który wzgardził swojem dziełem i w tem nawet nikomu nie dał się uprzedzić. Zczasem, już na emigracji, jednem pociągnięciem pióra przekreśli wszystkie swe prace literackie. „Poezja rewolucyjną być nie może! [2]) — napisze zawiedziony w swoich nadziejach. A później jeszcze wyrzeknie się Schellinga, rzuci klątwę na niemiecką filozofję przyrody, drwić będzie z walki klasyków z romantykami, szydzić z samego siebie i zarówno klasyków jak romantyków nazwie śmiesznemi sektami [3]). Po straszliwej klęsce, jaką był upadek powstania, na obcej ziemi, śród swarów i kłótni tułaczów, wobec ogromu nieszczęścia te walki literackie zmaleją w oczach Mochnackiego. Groza rzeczywisto-

---

[1]) «Dzieje krytyki literackiej w Polsce». Warszawa 1902, str. 191.

[2]) Artykuł o rewolucji w Niemczech z czerwca 1833 r. Pisma rozmaite, str. 258.

[3]) Być może, że to jest powodem, dla którego drugi tom o literaturze nie ujrzał światła dziennego. Jak widać z listów M-go, ten drugi tom był napisany i przygotowany do druku. W jednym z listów Mochnacki pisał: «Miaskowski wziął w opiekę swoją rękopism mój drugiego tomu dzieła o literaturze polskiej. Proszę tedy Papę o przesłanie mi tego rękopismu i kilku egzemplarzy pierwszego tomu o literaturze».

ści oddali go o dziesiątki lat od porywów młodości, od wzlotów w krainę złudzeń i cudów. Na tle posępnej doli tułaczej, wobec nieszczęść skrępowanej łańcuchami carskiemi ojczyzny, okropnym zgrzytem wydadzą mu się te turnieje, w których sam był mistrzem nad mistrze.

Ale w okresie, kiedy z literatury ojczystej biła łuna romantyzmu, Mochnacki ani przeczuwał kresu, u którego się zczasem zatrzyma. Targając wszystkie więzy i wszystkie nakazy „mniemanych mistrzów rozsądku", rzucając hasła bezwzględnej wolności, walczył nietylko o nowe prawdy literackie. Bój toczył się o światopogląd, o stosunek do całokształtu życia, do kwestji bytu lub niebytu narodu. Zmianom w literaturze towarzyszyły zmiany w głębiach życiowych: wraz z zamachami na klasycyzm literacki przygotowywał się zamach na „klasycyzm", panujący w życiu.

Rozumiało to dobrze starsze pokolenie, a Brodziński nie stanowił wyjątku. Ludzie, co myśleli z trwogą o wypadkach, przygotowywanych przez obóz romantyczny, przestrzegali społeczeństwo przed czającem się w romantyzmie niebezpieczeństwem. Już w styczniu 1828 roku Mochnacki, chcąc osłonić romantyków przed podejrzeniami władzy, odpierał ataki pisarzy, którzy, nie bacząc na położenie ówczesne, nie tylko zbyt jasno i zbyt przejrzyście stawiali sprawę, ale z wyraźną przesadą posądzali romantyków o wywrotowe intencje, a nawet o wyznawanie zasad jakobinizmu.

Mochnacki zapewniał wówczas, że romantycy nie myślą o teraźniejszości, że poezja romantyczna nie ma nic wspólnego z duchem czasu, że jej dziedziną jest daleka przeszłość, że pomiędzy teorją estetyczną uczonych a polityką żadnego niema powinowactwa, że

„wolność, równość i niepodległość literacka" jest w odniesieniu do romantyków niestosownem wyrażeniem [1]).

Wywodami takiemi mógł uśpić czujność cenzury, nie zdołał przecież wprowadzić w błąd zaniepokojonych rodaków, lepiej niż cenzura wiedzących, co sądzić o intencjach młodzieży. Zresztą nie chodziło mu o to. Wolność, równość, niepodległość to były istotnie zasady, które młodzież, krocząca pod sztandarem romantyzmu, pragnęła wcielić w życie. I całą siłą serc młodych przyzywała ową chwilę, która do jawnej walki o drogie ideały pozwoli jej wystąpić.

Jakoż gdy chwila ta nadeszła, romantycy z pełnej piersi wydali okrzyk triumfu i odsłonili drugą stronę swojej działalności. A stało się to oczywiście już po wybuchu powstania.

„Szkoła romantyczna, — wołał później organ romantyków, — wzywając naukowej rewolucji, wzywała i politycznej. Wolność, prawda, wiara, coraz dzielniej przez najwyrachowańszy despotyzm wygładzane, prześladowane, zbrodniczemi ogłaszane, znalazły schronienie, znalazły swój wielki zakres działalności, a może i prawdziwe znaczenie w wyobrażeniach o sztuce, o piękności, o literaturze. Nie mogąc mówić o zewnętrznej, obywatelskiej, politycznej wolności, mówiliśmy o wolności ducha, o wolności sztuki"... [2]).

A tę mowę o wolności właściwie rozumiało ówczesne pokolenie i zarówno w poezji Mickiewicza, jak w artykułach Mochnackiego słyszało potężny zew do czynu i do walki o wolność zupełną. Jakoż bojowym

[1]) Artykuł bez tytułu. «Gazeta Polska» z d. 24 stycznia 1828 r.

[2]) «Nowa Polska», Nr. 1 z d. 5 stycznia 1830 r.

okrzykiem zakończył Mochnacki działalność literacką. Pracę swą o literaturze kończył w ostatnich dniach pamiętnego listopada, a gdy pisał przedmowę, było już po wybuchu.

„Czas nareszcie przestać pisać o sztuce. Co innego zapewne mamy teraz w głowie i w sercu. Improwizowaliśmy najśliczniejsze poema Narodowego Powstania! Życie nasze już jest poezją. Zgiełk oręża i huk dział. Ten odtąd będzie nasz rytm i ta melodja",— wołał Mochnacki i, wsłuchany w trzask pękających lodów i przesądów światło ćmiących, odłożył swe niezrównane pióro, by nigdy więcej nie wrócić do pracy literackiej. Świtająca „jutrzenka swobody" zastała go pod sztandarem insurekcji politycznej.

Jego dzieło literackie już wtenczas było dokonane...

Naród uznawał się w jestestwie swojem...

III.

W SPISKU PODCHORĄŻYCH.

Czas nareszcie przestać pisać o sztuce!

Jakby wstępem do tych słów była działalność Mochnackiego w nowej organizacji spiskowej, która miała odegrać niezapomnianą rolę w historji wybuchu listopadowego. Towarzyszyła bowiem „insurekcji literackiej" energiczna praca w nowych sprzysiężeniach, w podziemnem królestwie romantyków politycznych. Byli to ci sami ludzie, co budzili ducha słowem pisanem lub tego słowa zwolennicy, jeden i ten sam obóz, natchniony wspólnością dążeń, ożywiony tą samą wiarą, nadzieją i tęsknotą. Młode pokolenie na wszystkich polach wspierało się wzajem. Zdala od oczu śledczych obnażały się dusze, przemawiały na głos pałające serca,—i pomiędzy poezją a życiem niknął przedział i życie wcielało się w poezję, a poezja w życie...

Rozbicie Towarzystwa Patrjotycznego nie powstrzymało młodzieży od dalszych działań konspiracyjnych. Strumień spiskowy krętą wstęgą wił się dalej w podziemiach i, szukając sobie dróg nowych, nowe zataczał kręgi i nowe tworzył organizacje. Śród tych organizacyj najwydatniejszym był spisek w szkole pod-

chorążych. Ironja chciała, że tę uczelnię wojskową powołał do życia w. książę Konstanty i umieścił tuż pod swoim bokiem, w jednej z oficyn pałacu łazienkowskiego.

Podchorążowie rekrutowali się z pośród młodych żołnierzy, którzy w szeregach zdobyli dobrą konduitę i dosłużyli się stopnia podoficerskiego. Młodzież ta, uważana za pupilów w. księcia, nie interesowała społeczeństwa, a opinja nie podejrzewała jej nawet o żywienie jakichkolwiek wznioślejszych uczuć. Z drugiej strony i w. książę nie przypuszczał na chwilę, by jego własne dzieło toczył rak rewolucji. W takich warunkach podchorążowie mogli spokojnie przygotowywać się do zrobienia niespodzianki i w. księciu, i własnemu społeczeństwu. Już Chwila Spoczynku, w której tak niezręcznie, po wojskowemu bronili „romantyczności", świadczyła, że poza mustrą i koszarami są jeszcze inne sprawy, które ich interesują. Jakoż tak było istotnie. Interesowali się podchorążowie literaturą i walką klasyków z romantykami, ale jeszcze bardziej zajmowała ich walka z bronią, którą nieporównanie lepiej władali, niż piórem. O tej walce często gawędzili ze sobą. W roku 1828 na wieść o wojnie rosyjsko-tureckiej silniej zabiły młode serca i zapał owionął głowy. Podchorążowie już wtedy zaczęli snuć dalekie plany, naradzać się szeptem i marzyć o powstaniu zbrojnem.

Niebawem marzenia te znalazły ujścia w tajnem sprzysiężeniu.

Twórcą i duszą tego sprzysiężenia był Piotr Wysocki, podporucznik grenadjerów gwardji, a zarazem instruktor w szkole podchorążych. Młody oficer o płomiennej głowie i jasnej pięknej duszy ożywiony był

temi samemi uczuciami, które paliły się w piersiach jego słuchaczów. Należał on do tych rzadkich ludzi, u których ukochanie ideału idzie w parze z hartem, poświęceniem i odwagą prawdziwie bohaterską. Niestety, obok tych wielkich zalet posiadał Wysocki i braki. Miał sporo uporu w dążeniu do celu, lecz nie miał potężnej woli, ani umysłu twórczego, ani tej przenikliwej myśli, która nakształt błyskawicy wybiega z czasu teraźniejszego i odsłania ciemnie przyszłości. Dzielny ten człowiek, stworzony na wykonawcę, pozbawiony był przymiotów, wymaganych od przewodnika. Na usprawiedliwienie jego należy powiedzieć, że nie dążył do tej roli. Nie próżność, nie ambicja, lecz okoliczności raczej wyniosły go na przodujące stanowisko. Wykładając taktykę wojskową w szkole podchorążych, zbliżył się do swoich uczniów. Łatwy w obejściu, uprzejmy, szlachetny, szybko zjednał sobie w szkole sympatję i szacunek. Zczasem podchorążowie zaczęli ubóstwiać swego instruktora i patrzeć w niego, jak w tęczę. Wspólność celu zbliżyła słuchaczów do nauczyciela.

Dnia 15 grudnia 1828 roku w mieszkaniu Wysockiego zebrało się, jak on sam opowiada, przypadkiem kilku podchorążych, a mianowicie: Paszkiewicz, Dobrowolski, Karśnicki, Łaski i Gurowski. W przyjacielskiej pogawędce o położeniu politycznem Królestwa młodzi ludzie doszli do przekonania, że jedynie środki gwałtowne, rewolucyjne mogą zmienić postać rzeczy. Wyłoniła się myśl utworzenia związku wojskowego. W plany te zostali nazajutrz wtajemniczeni inni podchorążowie, znani ze swego sposobu myślenia: Kamil Mochnacki, Poniński i Seweryn Cichowski. Na tem zebraniu projekt wcielił się w czyn, —i ośmiu

podchorążych z podporucznikiem na czele utworzyło sprzysiężenie tajne.

Rota przysięgi, którą podówczas spiskowcy podpisali, rzuca charakterystyczne światło na Wysockiego. Jeden z punktów tej przysięgi nakazywał „połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie, gdy tego będzie potrzeba, w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej" [1]. Chodziłoż Wysockiemu jeno o ustawę konstytucyjną? Trudno przypuszczać, aby myśl jego nie sięgała dalej, była to raczej ostrożność, a jak przypuszcza Rettel, „bojaźń zastraszenia ciaśniejszych umysłów", a jeszcze prawdopodobniej, niedokładne uświadomienie sobie ostatecznego celu. Ale brak takiej świadomości był złym znakiem, ujawniał bowiem nieprzygotowanie polityczne organizatora związku.

Jednakże nadspodziewanie szybko związek rósł w znaczenie i siły...

Przy pomocy oficerów Paszkowicza, Przedpełskiego i Nowosielskiego, Wysocki wciągnął do spisku sporą liczbę oficerów, służących w gwardji i saperach, a przez nowe znajomości wszedł w stosunki z oficerami innych pułków. Wzrastająca siła spisku taką otuchą i wiarą natchnęła gorętszą młodzież, że już w kilka miesięcy po utworzeniu spisku, bo w marcu 1829 r. postanowiono rozpocząć powstanie. Wtajemniczono w zamiary swe Niemcewicza. Stary weteran z pod sztandarów Kościuszki pochwalił gotowość młodzieży, ale oświadczył, że czas działań jeszcze nie przyszedł. A posłowie Małachowski, Zwierkowski i Trzciński, którzy rów-

---

[1]) «Pamiętnik Piotra Wysockiego o Powstaniu 29 listopada 1830 r. Paryż, Tom II, str. 12.

nież o tych zamiarach wiedzieli, wpłynęli na odroczenie wybuchu do maja, w tym bowiem miesiącu miała się odbyć w Warszawie koronacja cesarza Mikołaja na króla polskiego i tę chwilę uważali posłowie za odpowiedniejszą do rozpoczęcia kroków stanowczych.

„Zaniesiemy petycję do tronu, — mówili posłowie Wysockiemu, — będziemy żądali jawności posiedzeń izby, wolności druku, uchylenia komitetów śledczych itd., a jeśli otrzymamy odpowiedź odmowną, szczególniej w razie aresztowania posłów, natenczas poprzyjcie bronią skargi i zażalenia nasze"... [1]).

Wówczas to powstał w spisku zamiar, który uwiecznił Słowacki w Kordjanie. Podczas koronacji postanowili podchorążowie dokonać krwawego aktu i czynem tym rozpocząć akcję zbrojną. Ale plan ten nie doszedł do skutku i wybuch powstania znowu został odłożony. A tymczasem coraz większa liczba osób wiedziała o istnieniu związku i egzystencja jego stawała się głośną. Cała stolica szeptała o rewolucji

---

[1]) Barzykowski powiada, że myśl o tak zw. spisku koronacyjnym nigdy podchorążym nie postała w głowie. Twierdzi on, że dopiero na emigracji bajkę tę wymyślił Adam Gurowski, a Mochnacki powtórzył ją bezkrytycznie. Tymczasem M-cki dwukrotnie mówi o spisku, jako o fakcie dobrze mu wiadomym, a raz zaznacza, że sam tę myśl wznowił i poddał ją Wysockiemu. Potwierdzenie istnienia spisku znajduje się także w artykułach Al. Łaskiego («Pamiętnik Emigracji», broszury: Bolesław W. i Władysław III), który należąc do związku od chwili jego zawiązania, dobrze był w zamiary i plany spiskowców wtajemniczony. Nadto mówi o spisku koronacyjnym Seweryn Goszczyński («Noc Belwederska». Paryż. Wydanie III, str. 15—17), pisze Zaliwski («Pielgrzym Polski» z d. 15 lutego 1833 r.), wspomina Leonard Rettel (Przedmowa do «Pamiętnika Piotra Wysockiego». Paryż. Tom I, str. 21), wszyscy trzej członkowie związku, wszyscy odgry-

i przygotowanym wybuchu. W takich warunkach organizacja wojskowa w każdej chwili mogła ulec rozbiciu. Przychodziły momenty wielkich niebezpieczeństw i rozterek wewnątrz samego spisku. Sprawa posunięta była za daleko, aby można było się cofnąć, a nieustanne przeszkody demoralizowały związkowych, budziły szemranie i protest. Lecz Wysocki nie zrażał się niczem. Napastowany przez niecierpliwych, przekładał im konieczność zwłoki, w wątpiących podnosił ducha, a zobojętniałych zagrzewał do wytrwałości. Dzięki jego energji i hartowi związek nie tylko się nie rozpadał, ale rósł w siły i utrwalał się w swoich zamiarach. Na czoło związku wysunęli się Wysocki, Urbański i Zaliwski. Oni to kierowali przygotowaniami, mającemi poprzedzić wybuch powstania.

Obok tej organizacji wojskowej istniało jeszcze ognisko cywilne, złożone przeważnie z literatów, którzy na swoją rękę propagowali ideały, przyświecające spiskowi Wysockiego. W drugiej połowie 1830 roku

---

wający w nim wybitniejszą rolę. Ślady istnienia spisku znajdujemy nadto w «Kilku wspomnieniach» Ludw. Orpiszewskiego. Barzykowski świadectwu Gurowskiego przeciwstawia świadectwo Wysockiego, który w relacji swojej o działaniach związku («Kurjer Polski», R. 1830, Nr. 357) nic o spisku koronacyjnym nie wspomina. Oczywiście, wysnuty z tego wniosek, że spisek nie istniał, jest wnioskiem dowolnym. Wysocki mógł mieć słuszne powody, by na początku powstania nie przyznawać się do tego rodzaju zamiarów. Nic dziwnego również, że na emigracji wypierał się tego spisku Gustaw Małachowski, piastujący w czasie powstania urząd ministra spraw zagranicznych. Małachowski, na co słusznie zwraca uwagę Kucharzewski (M. Mochnacki, str. 33), «miał aż nadto wiele powodów moralnych i politycznych do wypierania się wszelkiego udziału w tym szalonym planie».

weszli oni w ściślejsze stosunki organizacyjne z Wysockim i jego towarzyszami.

Młodzież ta miała dwa swoje organy: Kurjer Polski, wydawany przez Adolfa Cichowskiego, i Dziennik Powszechny, który redagował Adam Chłędowski. W pierwszym głównymi współpracownikami byli Mochnacki, Żukowski, Bronikowski, w drugim — Nabielak, Moraczewski i Józafat Bolesław Ostrowski. Największem powodzeniem, dzięki artykułom Mochnackiego, cieszył się Kurjer Polski, a liczba jego prenumeratorów, jeśli wierzyć Wójcickiemu, wynosiła w owym czasie 5,000. Warunki ówczesne nie pozwalały tym pismom wypowiadać się otwarcie, ale skroś sito cenzury przedostawały się czasem artykuły, które treść właściwą zawierały w aluzjach i dwuznacznikach. Lecz w r. 1830, z powodu nieustannych pogłosek o mającej wybuchnąć rewolucji, osłabła gorliwość urzędnicza i doszło do tego, że cenzura „dziennikarzom naszym, jak Mochnackiemu, Chłędowskiemu i Żukowskiemu tłumaczyła się", jeśli coś wykreśliła, a pisarze nasi, — opowiada Rettel, — niemało strachu napędzali cenzorom „obiecując im swoją protekcję, gdyby rewolucja wybuchła, nie zaręczając jednakże za skutek, bo rozdrażnienie przeciwko nim opinji było bez granic. Najwyrachowańszym, najobrotniejszym i najdowcipniejszym zarazem w pociechach tego rodzaju, bywał zawsze Maurycy Mochnacki" [1]).

Nie przestawał on walczyć z klasykami, ale do krytyk, do polemik, do wywodów filozoficznych coraz

---

[1]) Leonard Rettel. «Zamiast przedmowy» do «Pamiętnika Wysockiego», str. 24—25

częściej wplatał zwroty, które odnosiły się nietylko do literatury. Wyszydzając gust publiczności warszawskiej, pisał:

„Jest więc rzeczą oczywistą, że w Warszawie, dla przypodobania się publiczności, wymyślono finansowe systema maleńkich rzeczy, systema drobnostek. Wszystko chcianoby pokazać w minjaturze, każdą rzecz zmniejszyć, w nic zamienić! Wielka szkoda, że nie można wystawić maleńkiej Warszawy, Warszawy w minjaturze, np. za Pragą, albo za Jerozolimskiemi rogatkami! Ale wtenczas trzebaby życzyć sobie, aby cudzoziemcy patrzali na nas przez szkło powiększające"... [1]).

Odrywając myśl polską od pełzania po nizinach małych spraw i małych interesów, chciał ją wznieść wyżej, ku górnym szlakom, ku zagadnieniom wielkim, godnym wielkich umysłów. W świetnym, pełnym głębokich uwag, a do dziś dnia aktualnym artykule „O mistycyzmie", wytoczył proces domorosłym opiekunom ducha polskiego, strzegącym go przed zamachami filozofji niemieckiej, przed wnikaniem w głąb spekulacyj i rozmyślań metafizycznych.

„Niechaj się nikt nie trwoży! — woła Mochnacki, — nie zabrniemy tak daleko w przepaścistą otchłań myślenia! Nie zachorujemy na metafizykę. Próżne starania, niepotrzebne zabiegi! Kto nas bliżej poznał, niechaj się raczej obawia, żebyśmy nie weszli w inny błąd tamtemu przeciwny: to jest, żebyśmy zbyt przezornie, wystrzegając się wszystkiego, co tu nad Wisłą zowią ciemnem, zawiłem i mistycznem, nie odwykli od poważnego rozmyślania i samotnych dumań, a ży-

[1]) Kurjer Polski z d. 17 grudnia 1829 r. Pisma.. str. 454.

cie nasze nie stało się wkońcu podobne strumieniowi prędkiemu, który jest jasny, śklany, przezroczysty, ale dlatego tylko, że jest... płytki... Już teraz w naszej polskiej umiejętności wszystko na wierzch wypłynęło... Gołe blichtry w mowie, w pisaniu próżnomówstwo! Duch rozproszony! Rozprawie namysłu, a rozumowaniu loiki nie dostaje. Pobudki do tego marne! Nigdzie ani mocy, ani konsekwencji. Płomień zapalonej wiązki suchego chróstu lub słomy, co błysnąwszy, strzeli w górę i zgaśnie w jednem oka mgnieniu: to nasz entuzjazm do nauk i we wszelkiej innej sprawie! Bańka przelotnem rozdęta tchnieniem, to nasza umiejętność! Brzęczenie motylego owadu, kiedy, wyroiwszy się, leci przez powietrze, lub dźwięk niestrojny kilkunastu bijących razem dzwonów, a raczej dzwonków, lanych z różnego kruszcu na różną miarę: to podobno gwar tutejszych gazet i dzienników!... Nie pojmujemy samych siebie ani w minionem, ani w obecnem jestestwie"...

Czasem pisał jeszcze wyraźniej. W gorących jego słowach publiczność coraz wyraźniej mogła słyszeć wezwanie do czynu [1]). Takiem wezwaniem był artykuł p. t.: Czas teraźniejszy.

„Jak zaczną ludzie wmawiać w czas teraźniejszy, — dowodził Mochnacki, — że jest takim a nie innym; jak zaczną go z jednej strony posądzać, obwiniać, oskarżać, a z drugiej chwalić i wielbić; jak zaczną samych siebie stosować do tego w działaniu, w mówieniu, a najbardziej w pisaniu, tak nakoniec zdziałają czas takim a nie innym. Stosujmy się do czasu, do okoliczności, jak mówią. Czemuż nikomu nie wpadnie

[1]) Kurjer Polski z d. 14 kwietnia 1830 r. Pisma... str. 483—4.

w głowę: że ten czas i te okoliczności są naszym własnym utworem? Że nie my jesteśmy dziećmi czasu, ale że przeciwnie, czas z naszej woli rodzi się i że w naszej jest władzy kierować jego kołami?" [1]).

W ten sposób Mochnacki nawoływał społeczeństwo do nieulękłego spojrzenia w oczy rzeczywistości i do wzięcia się z tą rzeczywistością za bary. „Czas i charakter czasu stwarza mocna wola", — wołał i płomiennem słowem zachęcał do mierzenia sił na zamiary, do wypowiedzenia walki istniejącym okolicznościom. I ukazując oczom współczesnych czas teraźniejszy, starał się zbudzić i wywołać z jego otchłani piorun mocnej woli.

Wezwania takie były odblaskiem atmosfery spiskowej i przygotowywały pojętne umysły do mających się niebawem rozegrać wypadków. Ale nietylko słowem sekundowała młodzież literacka działaniom Wysockiego. W początkach r. 1829 Wysocki wprowadził do spisku Ostrowskiego, a ten poznał Wysockiego z Mochnackim [2]), Mochnacki zaś wprowadził natychmiast do sprzysiężenia swoich przyjaciół. W ten sposób siły związku powiększyli. Ksawery Bronikowski, Seweryn Goszczyński, Nabielak, Żukowski, Franciszek Grzymała, a oprócz nich Dębiński, Dunin i Kormański. Wraz z tą „literaturą" wtargnęło do spisku ożywienie, ale zaczęły się również niesnaski i spory, a na ich tle silniej zarysowały się wybitniejsze indywidualności.

---

[1]) «Kurjer Polski», R. 1830, Nr. 130.

[2]) M-cki opowiada, że do spisku podchorążych wprowadził go brat Kamil. Widocznie zawiodła go pamięć, bo raport Wysockiego, pisany 9 grudnia 1830 r., a więc wkrótce po wybuchu, inaczej to przedstawia.

Jedną z wydatniejszych śród tej młodzieży postaci był trzydziestokilkuletni podówczas Ksawery Bronikowski, umysł jasny, charakter prawy, publicysta miary przeciętnej, ale niepośledni konspirator. Należał on już poprzednio do licznych związków, które tworzyły się śród młodzieży, stał wraz z Heltmanem i Piątkiewiczem na czele Wolnych Braci Polaków, wydawał Dekadę Polską, przeszedł przez więzienie karmelitów i wyszedł z niego czysty, niezłamany na duchu, niezachwiany w swoich przekonaniach. Doświadczony, otrzaskany z pracą konspiracyjną, energiczny, ujmujący otoczenie słodyczą charakteru i taktem, Bronikowski wnosił do rozpraw zdanie wyrobione, powagę i ład. Dbał nietylko o wyrobienie jednomyślności, lecz troskał się również o spoistość i sprawność całej organizacji. Jego czynności, energji, roztropności, — pisał w kilkadziesiąt lat potem Goszczyński, — można śmiało przypisać, że związek stanął wkrótce na stopie wystąpienia w otwartem działaniu" [1]).

Cennym nabytkiem był również Ludwik Nabielak, rówieśnik Mochnackiego, z zawodu prawnik, z zamiłowania badacz starożytnych pieśni słowiańskich. Poeta, literat, ale lepszy myśliwy, niż literat, znakomity strzelec, charakter trochę zawadjacki, temperament szalony, serce ogniste. Nabielak był wychowańcem uniwersytetu lwowskiego, i mieszkał w Galicji, ale wieści o gotującej się w Królestwie rewolucji przygnały go na wiosnę 1830 r. do Warszawy. Wstąpiwszy do redakcji Dziennika Powszechnego i jako tako zapewniwszy sobie byt, Nabielak rzucił się w odmęt życia stolicy, zapoznał się niebawem z całą falangą

[1]) «Noc Belwederska», Część I, str. 38.

młodych gazeciarzy, artystów, poetów, zaprzyjaźnił się ze wszystkimi i wszystkich podbił swojem junactwem. „Uderzającą była postać pana Ludwika, wzrost wyniosły, krzepko zbudowany; rysy twarzy pociągłe i regularne, oko wydatne, głos donośny, silnie basowy; oblicze czerstwe, ruchy udatne: wszystko stanowiło w nim wielce urodnego mężczyznę. Był to wedle ludowego a dosadnego wyrażenia „tęgi chłop", my dodamy i „piękny chłop" [1]). W tem pięknem ciele mieszkała dusza harda, serce dla przyjaciół miękkie, ale w razie potrzeby nieustraszone. Ten „tęgi chłop" miał odwagę, posuniętą do ostatnich granic szaleństwa, a nie znał takich przedsięwzięć, na jakieby się nie ważył...

Obok Mochnackiego najbliższym przyjacielem Nabielaka był Seweryn Goszczyński, zapadający czasem w ponure zamyślenie, gwałtowny, zawzięty, w twardej szkole nędzy materjalnej zahartowany jak najpyszniejsza stal. Autor Zamku Kaniowskiego, dzięki Mochnackiemu, słynął już jako poeta, ale słynął też z tęgości charakteru, żelaznej woli i siły fizycznej, która jak u Nabielaka szła u niego w parze z niepohamowaną niczem odwagą. Goszczyńskiemu już w chłopięcych latach marzyły się czyny wielkie, bohaterskie. Na wieść o wybuchu powstania w Grecji, młodziutki podówczas poeta popalił swoje poematy i postanowił podążyć na plac boju, by wziąć udział w walce wyzwalającego się narodu. Pieniędzy na podróż nie miał, ale to go nie zrażało. Ruszył w świat piechotą o żebranym chlebie, dostał się w ten sposób na Ukrainę i szedł do Odessy, w nadziei, że tam uzyska pieniądze

---

[1]) «Kawa literacka w Warszawie» przez K. Wł. Wójcickiego, Warszawa, 1873, str. 14.

i dostanie się statkiem do Grecji. Nadzieje zawiodły — i Goszczyński przez siedem lat z rzędu tułał się po świecie, włócząc się od chaty do chaty, szukając zarobku, rozmyślając o Grecji i nowych poematach. Powróciwszy do Warszawy, przywiózł ze sobą bogate doświadczenie. Życie tułacze i walka z nędzą wyrobiły w nim wytrwałość, stanowczość i hart. Ale obok tych przymiotów ujawniał Goszczyński pewną niecierpliwość: dusza jego pałała żądzą czynu, a nagromadzona energja wypowiadała wojnę trzymającej ją w żelaznych kleszczach woli. Goszczyński i Nabielak wnosili do związku śmiałość czynu, gotowość do najhazardowniejszych przedsięwzięć, pierwiastki gorącej wiary i zapału.

Przeciwstawieniem i antytezą tych dwu ludzi był jakgdyby przypadkowo do kompanji tej zabłąkany, Józafat Bolesław Ostrowski [1]), kreatura, jak się okazało później, nikczemna, tchórzliwa, przewrotna. W owym czasie trzymał Ostrowski na wodzy ohydne skłonności, które doprowadzić go miały na emigracji aż do szpiegostwa, ale już wówczas obnażył haniebnie duszę tchórza. Jeden z Belwederczyków, Leonard Rettel w następujących wyrazach maluje Ostrowskiego: „Był to umysł najrozleglejszego objęcia, bystry i przenikliwy, pracowity i cierpliwy, niepospolitej wiedzy, niemałej nauki, ale bez żadnej inicjatywy: potrafił on w innych wmówić, ale nigdy w siebie, że był myślącym głęboko człowiekiem, dlatego, że rozumiał wszystko,

---

[1]) Ostrowski podpisywał się zwykle: J. B. Ostrowski. Gadon nazywa go Józefatem Bolesławem; Wł. Mickiewicz Janem Bolesławem, prof. Askenazy raz Janem, drugi raz Józefatem. On sam podpisywał się czasem na emigracji: Józafat Bolesław.

że chwytał cudze pojęcia, streszczał je wybornie i oryginalną potrafił nadać im formę; ale za wiele miał światła, aby nie czuł swojej niemocy i nie bolał nad nią; z drugiej strony zanadto był dumnym, aby użytecznym i prostym stał się wulgaryzatorem; prawda, że i nie tego po nim spodziewali się ludzie. Za to mistrz niezrównany, gdzie o ujemną chodziło stronę, krytyk bez miłosierdzia, czemu żółciowa dopomagała organizacja, uderzająca przedewszystkiem za pierwszem spojrzeniem na tę postać. Co najbardziej go upokorzało i bolało, był to zupełny brak odwagi, chociaż za to z piórem w ręku, w swoim pokoju, do niepospolitego dochodził zuchwalstwa... Miał jednakże ludzi, którzy szczerze przywiązywali się do niego i umiał ich kochać mimo tego, że nieraz mówiono żartem, że ma gotowy w zanadrzu na nich artykuł. Było coś kobiecego w tej naturze, roztapiało jego duszę nieraz jedno słowo serdeczne, wtedy nie taił swoich wad i ułomności, ale na nieszczęście nigdy w tem uczuciu wytrwać nie mógł i w godzinę potem unikał tych, którym się tak szczerze przed chwilą wylewał... Niecharakterność jego wszystkich mocno drażniła, mało ludzi podobnego doznawało pobłażania"... [1])

Oprócz tej garstki z innych osób pomagali związkowym ks. Puławski, znany kaznodzieja, widzialny później w dniach powstania i Adam Gurowski, którego Ignacy Domejko nazywa „prawdziwą potworą". Istotnie Gurowski miał skończyć tak samo, jak Ostrowski, tylko że swoim cynizmem przewyższał tego ostatniego. Hrabia z urodzenia, miał Gurowski „światowe wychowa-

---

[1]) Leonard Rettel: «Zamiast Przedmowy» do Pam. Wysockiego, str. 11—12.

nie, światowe grzeczne ujęcie i twarz dosyć szlachetną, choć zimną i choć był jednooki. Z wielką łatwością mówił kilku językami i okazywał niepospolite zdolności w wysłowieniu się; umiał ująć, obałamucić i zdradzić, kogo chciał. W salonach był na wielką skalę arystokratą, w klubach, czem chcesz: radykalnym komunistą i terrorystą" [1]). Ale w owym czasie Gurowski nie wzbudzał podejrzeń, a udziałem w spisku koronacyjnym i swoją determinacją zyskał szacunek i uznanie. Któż mógł przypuścić, że ten sam człowiek rzuci z czasem klątwę na całą swą przeszłość, wyrzeknie się swej narodowości, wydrwi cynicznie wszelkie uczucia patrjotyczne, wyszydzi w swoich broszurach powstanie, ciśnie grom na wszystko, co tylko było w Polsce piękne i szlachetne, a potem zacznie sławić despotyzm i w końcu przejdzie na służbę Paskiewicza.

Wszyscy ci ludzie mieli jednak swoje zasługi w spisku i wszyscy odegrali wybitniejszą rolę w życiu Mochnackiego.

Wspomnieć należy jeszcze o Janie Ludwiku Żukowskim, głowie otwartej i uzdolnionej, młodzieńcu popędliwym, namiętnym, lecz czystym i prawym. Głęboko wykształcony i oczytany, reprezentował on w związku pierwiastki intelektualne, przynosił ze sobą zdanie przemyślane i sąd wytrawny. Był autorem owianej duchem czasu cennej książki: O p a ń s z c z y ź n i e. Śmierć podczas powstania przecięła pasmo jego życia i nie pozwoliła się rozwinąć jego zasobom umysłowym, rokującym najświetniejsze nadzieje...

Tak więc wraz z młodzieżą literacką różnorodne elementy znalazły się w spisku.

---

1) «Pamiętniki Ignacego Domejki». Kraków, 1908, str. 115.

A w tym splocie najsprzeczniejszych charakterów, namiętności, wad, przywar i zalet wyróżniała się jaskrawo postać Maurycego Mochnackiego. Smutne przejścia, lata zawodów i rozczarowań wyrobiły w nim pewien sceptycyzm. Nie był on już tym uczniakiem, który ongi na wzgórzach dynasowskich przebudowywał świat cały i zaprzysięgał zemstę tyranom. Ufność dziecięca uleciała z jego serca. Miał zapał, zachował swój temperament namiętny i dziki, zapalał się i wybuchał, jak dynamit, ale nawet w chwilach największego uniesienia nie przestawał widzieć jasno i rozumować logicznie. Jego myśl biegła zawsze w przyszłość, przewidywała konsekwencje każdego kroku i z tych konsekwencji jak z kłębka nici wysnuwała daleko sięgające wnioski. To też zdanie jego padało czasem jak czarna plama na różowe tło, rozsnute przed rozmarzonemi oczyma spiskowców. Śród tych wszystkich ludzi, nie wyłączając Wysockiego i Zaliwskiego, on najgłębiej rozumował i przewidywał najtrafniej. Niezawsze jednak umiał przekonać towarzyszów. Jego wystąpienia cechowała już wtedy niezłomna pewność siebie, dochodząca do zuchwalstwa. Niesłychanie wrażliwy na najlżejszą opozycję, umiał oponentów zdruzgotać, ale nie zadawał sobie trudu, aby ich zjednać dla swego zdania. Olśniewał, ale niezawsze pociągał, budził podziw, ale niezawsze zdobywał sympatję. To też gdy mówił, zdanie jego niezwykle jasne, logiczne, miało w sobie jakąś nieprzystępność, jakiś chłód wysokich szczytów górskich. A ta wyniosłość, z jaką wyrzucał z siebie każde słowo, często wywoływała odpór, a nawet zawziętość jego przeciwników. Ale o tych nie dbał. Już wtedy miał dość wiary w siebie, aby stanąć na czele. Mógł

być wodzem, pionkiem być nie chciał. Gdy mu zarzucano, że ma niesłychaną ambicję, wtedy uśmiechał się szyderczo i nietylko temu nie przeczył, ale dowodził, że ambicja jest jedną z koniecznych zalet każdego działacza. Całe otoczenie przyznawało mu wyższość, lecz tę wyższość trzeba było umieć wyzyskać na terenie czynów, trzeba było utwierdzić ją swą nieustającą zabiegliwą, niczem niezrażającą się wolą. Tymczasem wola Mochnackiego miała swe nadzwyczajne zadziwiające wybuchy, po których następowało zniechęcenie i opad energji. Niepowodzenia nie zrażały go, gotów był porwać się na każdą potęgę, lecz w zwalczaniu drobnych ukłuć, małych uroszczeń i małych ambicyjek nie posiadał na dalszą metę wytrwałości. W dodatku w stosunku z ludźmi objawiał pewną fantastyczność, niby żył ze wszystkimi blizko, niby miał samych przyjaciół, ale w gruncie rzeczy prócz Podczaszyńskiego, który go wielbił i jak brata młodszego strofował, prócz brata Kamila, z którym w parę lat potem silniejsze, niż wspólność krwi połączyły go węzły, nie umiał zjednać sobie serc i w sercach tych panować. Pomiędzy rewolucjonistami a Mochnackim stał posępny cień jego przeszłości. Na wzajemnym stosunku mściło się pismo karmelickie, mściło się urzędowanie w cenzurze. Rewolucja nie mogła na szczyty wynieść człowieka, któremu z punktu widzenia rewolucji można było najokropniejsze uczynić zarzuty.

Do spisku podchorążych wniósł Mochnacki swój plan i swoje własne widzenie rzeczy. Twierdził, że nie dość jest rozpocząć powstanie, lecz przed rozpoczęciem trzeba jeszcze przygotować wszystko, aby powstaniu zapewnić powodzenie. Przedewszystkiem więc należy utworzyć rząd, któryby nadał pożądany kie-

runek wypadkom. Otóż takiemu postawieniu sprawy sprzeciwiali się dwaj ludzie, stojący wraz z Urbańskim na czele sprzysiężenia: Wysocki i Zaliwski.

Podporucznik Zaliwski, człowiek rzutki, energiczny, wykazywał dużo przedsiębiorczości, dużo samochwalstwa i dużo usposobienia do intryg. Spiskowym mówił nieustannie o swych wysoce rozgałęzionych stosunkach, a Niemcewicz, Czartoryski, Chłopicki, gen. Stanisław Potocki nieustannie byli na jego ustach. Nie tylko te osobistości, ale i wiele innych, równie wpływowych miał rzekomo zjednać dla rewolucji. Wygadany, wiele mówiący o sobie, stał się w związku powagą, a ambicja, nieusprawiedliwiona wyższemi uzdolnieniami, szeptała mu nieustannie, że on jeden nadaje się do kierowania spiskiem i wszystkimi jego ruchami. Zaliwski podobnie jak Mochnacki niczyjej wyższości uznać nie chciał, Mochnackiego nie lubił, uważał go za niebezpiecznego rywala i zdaniom a ambicji jego, zazwyczaj swoje zdanie i swoją ambicję przeciwstawiał. Ale obok tego oponenta przeciwnikiem planów Mochnackiego był i Wysocki [1]).

Ten ostatni, jak twierdził potem Mochnacki, obawiał się, że rząd, powołany do życia przez sprzysię-

---

[1]) Agaton Giller w swym artykule «Piotr Wysocki na Syberji» twierdzi, iż Wysocki wypowiedział następujące słowa: «Dziwię się, że Maurycy mógł mi zrobić zarzut, że nie myślałem o powstaniu nowego rządu. Na kilka miesięcy przed 29 listopada mówiłem w tej kwestji z Maurycym i zapytywałem go, czyby nie wszedł do rządu. Odpowiedział mi, że nie, a może z obawy, żebym mu nie powtórzył znów mojej propozycji, unikał mnie i już się ze mną nie widział, aż po dokonanem powstaniu». Oświadczenie to nie jest zgodne z rzeczywistością, i albo Wysockiego po wielu latach zawiodła pamięć, albo jego słowa Giller niedokładnie powtórzył. W swoim raporcie, pisanym 9 grudnia 1830 roku, a więc w cza-

żonych, wywoła reakcję śród społeczeństwa i zwróci ogół przeciwko tym, co rozpoczęli kroki powstańcze. Miał też Wysocki być przeciwnikiem rządu. Lecz twierdzeniom Mochnackiego Bronikowski zaprzeczył kategorycznie.

„Zaprzeczam jakoby spiskowi nie byli myśleli o władzy, którąby niezwłocznie po zdziałanem powstaniu, kierunek onego wzięła... Byłoby to... krzywdzić Wysockiego, przypuszczając, że, biorąc na siebie główną w powstaniu rolę, o ustanowieniu władzy nie pomyślał... To było owszem jego nieustanną myślą i o to ciągle przypominał... Na usilne naleganie przyrzekł nareszcie Lelewel znieść się w tym względzie z Pacem, Władysławem Ostrowskim i Niemojowskimi" [1]).

Być więc może, że Wysocki również myślał o utworzeniu rządu, ale nie ulega kwestji, że rząd był osią nieporozumień i sporu. Bo jeśli nawet naczelnik spisku myślał o ustanowieniu władzy, to miał na myśli Paca, Lelewela, Niemojowskich, ale nie pomyślał o tem, aby ze spisku władzę taką wyłonić. A o to przedewszystkiem chodziło Mochnackiemu. Tymczasem Wysocki nie wierzył, aby rząd, złożony z kilku młodych oficerów i literatów, mógł nadać popular-

---

sie, kiedy W-cki świeżo miał ostatnie wypadki w pamięci, wspomina on kilkakrotnie o działalności M-go przed samem powstaniem i o stosunkach swoich z M-ckim na kilka dni przed wybuchem listopadowym. Zresztą gdyby istotnie W-cki propozycję taką uczynił M-mu, wiedziałby o tem niewątpliwie i Bronikowski. Tymczasem Bronikowski pisze o rządzie, złożonym z Niemojowskich, Paca, Ostrowskiego i Lelewela. Polemizując z M-ckim, byłby mu przypomniał i tę propozycję, gdyby była M-mu uczyniona.

[1]) «Kronika Emigracji». Tom III. Paryż 1835, str. 307.

ność sprawie, pociągnąć za sobą lud, zniewolić do słuchania wojsko, którem dowodzili starzy, szeroko słynący generałowie.

— Któż nas zna? — zapytywał Mochnackiego i tem pytaniem odpierał jego projekty. Ale Mochnacki nie dawał za wygraną.

— „Cóż stąd, — odpowiadał, — że nas teraz nikt nie zna w kraju, ale czyliż nie damy się wszystkim poznać przez samo zaczęcie rewolucji? A po zaczęciu rewolucji czyliż pierwsze kroki rządu, złożonego z nas spiskowych, nie uczynią nas natychmiast wielkimi i znanymi całemu światu? Wystawcie sobie wrażenie, które sprawimy na umysłach przez uwięzienie w. księcia, przez rozbrojenie jego gwardji, przez rzucenie jednej kolumny wojska do Litwy i zajęcie Wilna, przez rzucenie drugiej kolumny do Brześcia i poruszenie Wołynia? Jeżeliby te pierwsze kroki, te pierwsze nadzwyczajne czyny nie uczyniły nas głośnymi i popularnymi w narodzie, to zapytuję was, cóż jest w stanie nas wsławić? Jeżeli naród nie zaufa tym wielkim czynom, jeżeli nie zaufa naszej energji, naszej śmiałości, czemuż nakoniec ufać będzie?"... Dalej starał się przekonać Wysockiego i tych, co jego zdanie podzielali, że „władzę w pierwszej chwili choćby dlatego tylko należało mieć w ręku, żeby ją zdać komu innemu, jeśliby tego wymagały naglące okoliczności, że inna jest rzecz zostawiać ją na bruku, a potem się po nią schylać, lub wydzierać ją tym, co ją pierwsi uchwycą, inna zaś przyjść z gotową rzeczą i targować się o nią"... [1]).

---

[1]) M-cki. «Powstanie Narodu Polskiego». Tom I, str. 383—384.

Ale ani Wysocki, ani inni spiskowi nie podzielali tych poglądów, Zaliwski je ośmieszał, nikt zaś nie czuł się na siłach, by wziąć na siebie odpowiedzialność, o jakiej myślał Mochnacki. On jeden czuł się zdolnym do objęcia władzy. Pozostawała tylko otwartą kwestja, czy rząd, o jakim myślał, miał szanse powodzenia, czy mógł liczyć na powagę i posłuch? Barzykowski, późniejszy członek Rządu Narodowego, znający niezaprzecznie nastrój ówczesnego społeczeństwa, taką na to daje odpowiedź:

Wysocki był „tylko podporucznikiem, a ani wojsko, ani naród jego nie znał, o nim nie słyszał, nie miał więc ani imienia, ani wiary, ani zaufania. Na jego głos niktby nie powstał i naród nie powierzyłby mu swych losów. Gdyby na czele rządu był stanął, powstanie w kilka godzin byłoby końca dobiegło, bo nikt nie byłby do niego przystąpił... [1]).

A trzeba dodać, że członek rządu był jeszcze na Wysockiego niezmiernie łaskaw, o innych spiskowcach, szczególniej zaś o Mochnackim, któremu nie szczędzi w swojem dziele wszelkiego rodzaju zarzutów, odzywa się nieporównanie złośliwiej:

„Jeżeli Wysocki nie mógł władzy ująć i władzą stać się, tem mniej inni związkowi, jak Zaliwski, Mochnacki i tym podobni, boć ci jeszcze podrzędniejsi byli. Oni mogli tylko władzę sponiewierać, ale nie podnieść ją i piastować" [2]).

A jednak trzeba było posiadać tylko energję, jaką czuł w sobie Mochnacki, aby wbrew zdaniu Barzy-

---

[1]) Barzykowski. «Historja powstania listopadowego», Poznań 1883. Tom I, str. 317—318.

[2]) «Historja powstania listopadowego». Tom I, str. 318.

kowskiego opanować sytuację i władzę piastować. Odwaga, sprężystość i siła, są to przymioty, które nakazują respekt, budzą posłuszeństwo, do świętej zmuszają uległości. Czuł to doskonale ten sam członek Rządu Narodowego. To też zdaniu Barzykowskiego można przeciwstawić zdanie tegoż Barzykowskiego, gdy zapomniawszy o „ludziach zarozumiałych a bez sumienia", a mając na uwadze tylko siłę, w ten sposób o kilkadziesiąt stronic dalej się odzywa:

„... Czyliż Wysocki i Zaliwski byli przez kogokolwiek ograniczeni, lub zatrzymani, nie mieliż najobszerniejszego pola do działania? Wolno im było wszystko zrobić i stać się panami sytuacji. Zaczęli, niechby byli i kończyli, niechby na czele wojska i ludu wytoczyli się ku Belwederowi, naprzeciw w. księcia, niechby go byli roztrącili i rozproszyli, a wtenczas ich rozkazy z Belwederu wydane, stałyby się świętymi i przez wszystkich byłyby słuchane"... [1]).

Tak więc Barzykowski, przewidywał sytuację, w której rozkazów młodzieży słuchałby jak świętych, w której te rozkazy przez wszystkich byłyby słuchane. Otóż tę samą sytuację przewidywał Mochnacki, a zaraz w pierwszych dniach powstania, mimo, iż sprzysiężeni postępowali wbrew jego planom, mimo, że okoliczności były nieprzyjazne, przekonał ówczesność, że ludzie potężniejsi, niż Barzykowski muszą się z nim liczyć. To też powiedzieć można, że jedynie jego plan, urzeczywistniony śmiało i odważnie, mógł ocalić rewolucję od wszystkich błędów chwiejności i niezdecydowania, od kaprysów przypadku i niespodzia-

---

[1]) «Historja powstania listopadowego». Tom I, str. 336.

nek, na których zdradliwe fale puszczano powstanie. Ale Wysocki z dziecinną naiwnością, właściwą ludziom, o kryształowych duszach, lecz niezbyt głębokich umysłach, sądził, że wystarczy dać sygnał, aby poruszyć utajone siły i wygrać bitwę zwycięską. Zdanie Wysockiego podzielała młodzież, podtrzymywał krzykliwie Zaliwski, a ogół sprzysiężonych nie wątpił, że we właściwym czasie ludzie popularni wysuną się na czoło i nadadzą sprawie kierunek, który wskazywał Mochnacki.

Wówczas Maurycy usunął się ze sprzysiężenia. Napastowany przez natrętów, zamykał przed nimi drzwi, a z Wysockim zerwał stosunki. Rozgoryczony, zagniewany zamknął się w sobie. Podczaszyński bawił już podówczas w Paryżu, więc jedynie przez brata Kamila i Seweryna Goszczyńskiego podtrzymywał związek ze światem. Oprócz nich w owym czasie odwiedzał jeszcze Maurycego kolega jego ze szkolnej ławy, Aleksander Wielopolski, ale ten, jak opowiada Goszczyński, milczał zazwyczaj „z dyplomatyczną powagą" i okrywał się nią jak nieprzeniknioną opończą. Mochnacki zaś zwątpił całkiem w powodzenie sprawy, nieudolnie zaczętej, a gdy od towarzyszów słyszał, iż rzecz zadaleko jest posunięta, aby można było się cofnąć, gdyż to cofnięcie naraziłoby ludzi, najbardziej w spisku zaangażowanych, nie wahał się twierdzić, że lepiej się cofnąć, niż zaczynać źle.

— „Nie robi się powstania, — mówił on, — dlatego, aby ocalić kilku ludzi, którzy się przedwcześnie posunęli zadaleko; lepiej jest poświęcić kilku, aniżeli samą narodową sprawę"... [1]).

---

[1]) L. Rettel. «Zamiast przedmowy»—Pam. Wysockiego, Tom I, str. 18.

Gdy jednak gruchnęła po stolicy wieść, że car Mikołaj ma przybyć do Warszawy, Mochnacki, uwierzywszy w pogłoskę, udał się do Wysockiego, aby go przekonać, że należy wznowić myśl, którą podjęli spiskowi podczas koronacji. Wysocki pochwalił zamiar, a wówczas Mochnacki przestał nalegać na ustanowienie rządu, wierzył bowiem, że powstanie może przybrać postać, jakiej już żadna siła kontrrewolucyjna nie będzie mogła zmienić. I myśl ta w ciągu dni kilku znowu paliła się w głowach podchorążych. Niebawem jednak, widząc, że urzeczywistnienie tych zamiarów jest niemożliwe, Maurycy usunął się znowu i przestał brać udział w naradach.

A tymczasem coraz więcej materjału palnego zbierało się w spisku. Latem 1830 r. pułki, konsystujące na prowincji, obozowały pod Warszawą. Dzięki temu agitacja została ułatwiona i wszyscy trzej naczelnicy wydziału wojskowego Urbański, Zaliwski, Wysocki żywiej zaczęli się ruszać. Niemal wszystkie pułki miały wkrótce swoich przedstawicieli w związku, a liczba sprzysiężonych oficerów dochodziła dwustu. Niespokojność ogarniała umysły: w spisku kłębiło się jak we wnętrzu wulkanu. Szkoła podchorążych największą objawiała niecierpliwość. Wypadki w Belgji, a zwłaszcza rewolucja lipcowa we Francji do najwyższego stopnia podnieciła umysły, temperatura w spisku podniosła się ogromnie, myśl o czynie zajęła wszystkich. Zaczęto się zastanawiać nad terminami, a do ich przyspieszenia parł ze szczególną mocą Nabielak. Ale nieprzewidziane przeszkody zmuszały Wysockiego do odkładania wybuchu, co znowu narażało cały związek na wielkie niebezpieczeństwa, a śród sprzysiężonych budziło niechęć i gniew. Niejedno musiał w owej

chwili przecierpieć Wysocki, gdyż głównie przeciw niemu skierowane były zarzuty. Szczęśliwie przecież przetrwał on wszystkie burze wewnętrzne i odważnie zbliżał się do celu.

Tymczasem nieustanne pogłoski o wybuchu rewolucji zbudziły czujność policji. W listopadzie 1830 roku sytuacja sprzysiężonych była w najwyższym stopniu krytyczna. Zaczęły się aresztowania. Jeden z uwięzionych studentów wyznał tyle, iż śród więźniów znaleźli się niebawem bardzo czynni członkowie związku, jak Mejzner i Ludwik Wołowski. Wkrótce potem aresztowany został Urbański. Strach padł na spiskowców, a obawa wzmogła się do najwyższego stopnia, gdy do śledztwa pociągnięci zostali Wysocki i Zaliwski, a dowództwo nad szkołą podchorążych, odebrane pułkownikowi Olędzkiemu, przeszło w ręce gen. Trembickiego.

Popłoch zapanował śród sprzysiężonych. Jednostki tchórzliwsze zaczęły opuszczać szeregi. Pierwszym zaś był Ostrowski, który tak się przeraził, że mówił tylko o aresztowaniach, dawał odwiedzającym go rady, jak się mają podczas śledztwa zachowywać, ale o niczem więcej słyszeć nie chciał i od wszystkiego umywał ręce. Narobił on w owym czasie niemało kłopotu czynniejszym działaczom, bo żadnych zobowiązań nie wypełniał, na schadzki się nie stawiał, a przed napastującymi go towarzyszami pokornie przyznawał się do strachu i pokornie znosił zarzuty, jakich mu szczególniej popędliwy Żukowski nie szczędził.

Wkrótce skończyły się aresztowania. Kilku spiskowych, a między nimi Urbański zostało uwolnionych. Zaliwski i Wysocki po złożeniu zeznań również odzyskali wolność. Pomimo to sytuacja była groźna, bo po mie-

ście coraz głośniej krążyły wieści o rewolucji, a choć w. książę nie dawał temu wiary, każda godzina, każda minuta mogła policję na nowe naprowadzić tropy i zbudzić jej czujność. Lecz przezornego Nowosilcowa nie było już w Warszawie, a w. książę Konstanty, alarmowany przez wiele lat z rzędu widmem rewolucji, tym razem nie wierzył zatrważającym pogłoskom.

Ale Wysocki i wszyscy wybitniejsi członkowie spisku rozumieli, że termin ostateczny się zbliża, że struny dłużej przeciągać nie można. Więc zaczęły się ostateczne przygotowania i rozdawanie ról. W ostatniej chwili zaszła okoliczność, która omal nie popsuła całego planu. Wysocki bowiem nie chciał, aby podchorążowie dokonali napadu na Belweder, a sił innych do rozporządzenia nie było. Wysocki powodował się tutaj poczuciem honoru wojskowego, który młodzieży wojskowej nie pozwalał nastawać na Konstantego. Ta obłędna logika rzuca charakterystyczne światło na przywódcę spisku!

Popchnąć na brata carskiego innych, dopomódz im w napadzie, to nie sprzeciwiało się honorowi, na to się godził Wysocki. Ale podnosząc broń przeciw carowi, nie chciał uderzyć na jego brata, bo choć ten brat był tyranem, piastował przecież godność naczelnego wodza wojsk polskich. Ta „rycerskość” Wysockiego stwarzała wielką trudność, gdyż obezwładnienie Konstantego było koniecznością, wynikającą z całego planu działania. Sytuację uratował Nabielak. Zapewniwszy sobie pomoc Goszczyńskiego, podjął się uformowania oddziału cywilnych i poprowadzenia tego oddziału na pałac w Belwederze. W ten sposób

ostatnia trudność została pokonana — i Wysocki mógł przystąpić do dzieła.

Mochnacki, zawiadomiony o tych ostatecznych przygotowaniach, choć zdania swego nie zmienił i w pesymizmie trwał, choć do końca twierdził, że dzieje się źle, pospieszył towarzyszom swoim z pomocą i wziął najżywszy udział w gorączkowej pracy sprzysiężonych. Na rozkaz Wysockiego zawiadomił Lelewela o zamiarach spisku i dnia 21 listopada przygotował im schadzkę w bibljotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk. O wskazanej godzinie przyszli do bibljoteki Wysocki, Bronikowski i Zaliwski. Wysocki wtajemniczył profesora w stan i siły spisku. Lelewel odpowiedział, iż nie wątpi, że 40,000 wojska (na które liczył Wysocki), pociągnie za sobą cały naród i zachęcił sprzysiężonych do czynu. Jakoż po naradzie postanowiono rozpocząć powstanie 28 listopada.

Pozostało zaledwie kilka dni, które wypełniła w najwyższym stopniu naprężona czynność. A „w tych kilku dniach, — powiada w swoim raporcie Wysocki, — najczynniej sprawie narodu służyli: Ksawery Bronikowski, Ludwik Nabielak, Seweryn Goszczyński, Anastazy Dunin, Maurycy Mochnacki, J. L. Żukowski i Włodzimierz Kormański, w celu skoncentrowania sił potrzebnych do rozpoczęcia wybuchu".

Ale naznaczony termin z powodu nowej nieprzewidzianej przeszkody znowu uległ odwłoce. Mochnacki powrócił do przerwanych zajęć i zabrał się do pióra. Dnia 29 listopada zrana odwiedził go Seweryn Goszczyński i zastał zagłębionego w pracy. Drukował wtedy, — opowiada Goszczyński, — „swoje dziełko o literaturze polskiej, a w tej chwili pisał rozdział o muzyce polskiej, który miał zamknąć dzieło, ale kiedy

mu zapowiedziałem, że dziś wieczór zaczynamy nieodmiennie, — przyjął tę wieść z oznaką radości, przekreślił natychmiast wielkimi pociągami pióra na krzyż kilka stronic już zapisanych.

— „Zostawmy to na później, — zawołał, — a teraz natychmiast biegnę do szaserów. Mówił tu o strzelcach konnych gwardji, z których kilku oficerami był w stosunku i liczył na ich współdziałanie w powstaniu"... [1]).

A wieczorem tegoż dnia wszyscy cywilni, wprowadzeni do spisku przez Ostrowskiego (prócz niego samego), zajęli wyznaczone im posterunki. Goszczyński i Nabielak stanęli na czele kilkunastu śmiałków, co mieli uderzyć na Belweder, Wysocki skierował swe kroki ku szkole podchorążych, a na Starem Mieście pod dowództwem Bronikowskiego zeszli się Ludwik Żukowski, Anastazy Dunin, Maurycy Mochnacki, Michał Dębiński, Włodzimierz Kormański i wielu innych, a pomiędzy nimi najpopularniejszy śród ludu Starego Miasta, znany ze swych zasad republikańskich, patron Józef Kozłowski, wesołek i dowcipniś, głowa tęga, stary konspirator, wsławiony zachowaniem się w klasztorze Karmelitów na śledztwie, podczas którego wykazał nieugiętość granitu, a przebiegłość i dowcip starego lisa. Podczas gdy szkoła podchorążych pod dowództwem Wysockiego powinna była zaatakować koszary jazdy rosyjskiej, oddział Nabielaka runąć na Belweder, młodzież pod komendą Bronikowskiego miała poruszyć lud Starego Miasta.

Zwykły wygląd dnia tego miała Warszawa. Nic nie zapowiadało poważniejszych wypadków i niczego

---

[1]) «Noc belwederska» przez Sew. Goszczyńskiego, cz. II, str. 6.

nie spodziewały się tego dnia wyższe sfery stolicy. Wprawdzie tu i ówdzie dygnitarze państwowi, wyżsi urzędnicy, generałowie i oficerowie znaczniejszych stopni bąkali o rewolucji, ale pogłosek, kursujących po mieście, nie brali zbytnio do serca. Spokój w. ks. Konstantego uśmierzał obawy, jeśli je kto żywił. Tylko młodzież wszelkich fachów i zajęć, studenci, rzemieślnicy, krawcy, szewcy, ślusarze, kowale, głównie mieszkańcy Starego Miasta z ust do ust podawali sobie denerwujące wieści, lecz prężąc się w najwyższem zdenerwowaniu, zachowywali wszystkie pozory spokoju. Zwykły wygląd dnia tego miała stolica. Ale oto wieczorem huknęły strzały pod arsenałem, poruszył się wzburzony lud na Starem Mieście i okrzyk: do broni! gruchnął w ciemnościach. A na froncie ratusza rozbłysnął napis:

Witaj, jutrzenko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!

To romantyzm rozsadzał więzy życia, przemawiał teraz głosem wojennej wrzawy i śpiewał pieśń czynu mieszkańcom stolicy. Zerwała się na równe nogi cała ludność Warszawy, a środkiem miasta ciągnęła już szkoła podchorążych i krwawymi śladami znaczyła swą drogę...

Powstanie było rozpoczęte...

IV.

WALKA Z LUBECKIM.

Powstanie było rozpoczęte...

Serce Polski uderzyło żywiej i silniej, ale wnet zatrzymało się jakgdyby niepewne, strwożone. Rumieniec życia, który tak niespodzianie ukazał się na obliczu stolicy, zagasł wraz z nocą, a blady świt wschodził w tumanach niepewności. Umilkły strzały, przycichła wrzawa wojenna, zamarły ulice. Tylko niepokój tłukł się o mury kamienic i trwoga wyzierała zza każdego węgła. Senną ciszę przerwał dopiero huk wystrzałów na Krakowskiem Przedmieściu. To uzbrojone mieszczaństwo zaatakowało szaserów i skłoniło ich do odwrotu. Tu i owdzie zaczęły się utarczki z forpocztami wojsk rosyjskich, ale nic nie zapowiadało stanowczych wypadków. Jakgdyby w letarg zapadła stolica. Wojsko, stojące w pogotowiu wojennem, nie ruszało do nowego ataku, a w. ks. Konstanty, zgnębiony i niezdecydowany, otoczył się armją rosyjską, lecz również trwał w bezczynności i jakby zamarł w przenikaniu zamiarów Warszawy. „Przez cały dzień 30 listopada, — pisał w kilka dni potem jeden ze świadków dni owych,—największa panowała względem dalszego działania niepewność” [1]).

---

[1]) «Patrjota», Nr. 2 z d. 2 grudnia 1830 r.

Co przedsięwziąć?

Wszyscy zadawali sobie to samo pytanie i wszyscy, założywszy ręce, czekali na dalsze wypadki. Widocznem było, że na dwa obozy podzieliła się Warszawa, za i przeciw powstaniu, ale w obu panowało niezdecydowanie. Wszakże na czoło tych stronnictw już w pierwszych dniach powstania wysuwali się szybko dwaj ludzie, jako rzecznicy dwu przeciwnych sobie opinij, obaj dzielni, sprężyści, obaj świadomi swych dążeń, obaj nieugięci w kroczeniu do zakreślonego celu. Jakoż dwie postaci, jak dwa posągi wyrosły wkrótce ponad tłum, miotany chwiejnością i niezdecydowaniem. W szeregach przeciwnych powstaniu senatorów, generałów, wyższych urzędników, w licznem gronie ludzi, ubolewających nad „smutnymi wypadkami wczorajszego wieczora", w sferach, zaskoczonych znienacka wybuchem, rozległ się głos księcia Lubeckiego i zbudził zamarłą wolę. Potężny książę-minister natchnął ufnością wyższe warstwy stolicy, skupił wkoło siebie wybitniejszych obywateli i, wziąwszy na swoje barki cały ciężar odpowiedzialności, wyciągnął ręce po władzę.

Ale jednocześnie na drugim krańcu społecznym powstawał jego przeciwnik, równie ambitny i śmiały, obdarzony myślą niezwykle jasną i przenikliwą, a nasycony gniewem, jak dynamitem.

Tym przeciwnikiem był Maurycy Mochnacki.

Władza, jak to przewidywał w swoim czasie, leżała „na bruku" i oto zbliżał się moment, o którym nieustannie mówił spiskowym, a którego obawiał się najbardziej, moment pochwycenia władzy. Schylił się po nią wszechwładny minister, ale zaledwie ujął w swe ręce ster rozbitej nawy rządowej, gdy wpoprzek jego

usiłowaniom stanął Mochnacki. Niewidzialny dotąd na szerszej arenie publicznej, znany zaledwie w świecie artystyczno-literackim i podziemiach spiskowych, młody literat wybłysnął nagle, jak krwawa żagiew gniewu rewolucyjnego i tą nową postawą zdumiał nawet najbliższe otoczenie. Mochnacki pierwszy śród spiskowców dostrzegł, w jakim celu władzę bierze Lubecki i na ten widok uniósł się niepohamowaną wściekłością. Jego wola, skuta dotychczasowymi warunkami życia, zaczęła się prężyć i rozrastać, a w głowie dojrzewał plan śmiały, iście rewolucyjny. Mochnacki postanowił ster, trzymany przez Lubeckiego, strzaskać, rząd, który minister zbudził do życia, stopić w płomieniach rewolucji i na ruinach tego rządu inną ustanowić władzę.

Dwaj przeciwnicy dostrzegli siebie szybko i oto zawrzała między nimi walka, jedna z najciekawszych walk wewnętrznych w dziejach powstań polskich. Obaj nie zrażali się niepowodzeniem, obaj posiadali wielką energję, obaj, acz inne mieli widoki, narazie do jednego zdążali celu: do władzy. Obaj rozumieli, że cokolwiek się stanie, najpierw walka o władzę rozegrana być musi. Lubecki, zasobny w bogate doświadczenie, rozważny, zaufany w swój talent dyplomatyczny, szedł do celu śmiało, ale ostrożnie, ważył każde słowo i panował nad każdym krokiem. Z wprawą wytrawnego gracza nie unosił się, lecz obliczał, a jak przystało na wielkiego męża stanu, pozostał zimnym, niewzruszonym. Tymczasem Mochnacki, daleki od dyplomacji, w biały dzień rozwinął sztandar nieubłaganej wojny i z szalonym temperamentem, z wściekłością rozpaczy w mężnem sercu jął atakować placówkę, na której usadowił się minister. Stary

się ze sobą dwie moce: z jednej strony wielka rozwaga i wielkie doświadczenie, z drugiej — rozhukana namiętność i wrzący szał młodości. Dwie silne wole, oparte na różnolitych pierwiastkach psychicznych, wyrosły na przeciwległych krańcach i bez wypowiadania walki zrozumiały swoje przeznaczenie.

Obaj przeciwnicy zasługują na bliższą uwagę.

Książę Lubecki miał za sobą bogatą przeszłość, a nim zaskoczyły go wypadki listopadowe, był niewątpliwie najpotężniejszą osobistością w Królestwie Kongresowem. Swoją świetną karjerę rozpoczął w armji Suworowa, pod którego dowództwem walczył przeciw wojskom francuskim i legjonistom polskim. Był następnie gubernatorem grodzieńskim, zasiadał później w Rządzie Tymczasowym Królestwa Polskiego, później jeszcze należał do składu komisji likwidacyjnej, która po Kongresie Wiedeńskim regulowała wzajemne obrachunki Rosji, Austrji i Prus. Na tem stanowisku jako zręczny finansista zwrócił na siebie uwagę cesarza Aleksandra. W r. 1821 został mianowany ministrem skarbu. Od tej chwili rósł w znaczenie i wpływy. Bystry, trzeźwy, orjentujący się szybko, pracowity, dokładny, zyskał z czasem całkowite zaufanie Aleksandra, a po jego śmierci opanował następcę i stał się jego ulubieńcem. Do jakiej zażyłości Mikołaj dopuścił swego faworyta, świadczy o tem fakt, że upoważnił Lubeckiego do wypowiedzenia, ile razy zajdzie tego potrzeba, słów takich, jak: „Nikołaj, ty wriosz!”... [1]). Łask tych nie zdobywał Lubecki pochlebstwem, ani wyrzeczeniem się własnego zdania, lecz rozumem, taktem, bystrością, a przedewszystkiem

---

1) «Polityka Lubeckiego» napisał Stan. Smolka. T. I, str. 422.

lojalnem postępowaniem i darem przezierania ludzi, z którymi miał do czynienia. Rozglądał się on w duszach ludzkich, jak we własnej kieszeni i jak w kieszeni często później w nich gospodarował. Lojalny w każdym calu względem Petersburga, lekceważył sobie opinję kraju, ale nie był bez zasług i to poważnych zasług wobec własnego społeczeństwa. Z inicjatywy ministra skarbu powstało Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Bank Polski. Jego również dziełem był Sąd Sejmowy, zwołany wbrew w. księciu i Nowosilcowowi, z którym nieustannie walczył, trzeba dodać, zawsze z dobrym skutkiem. Czego chciał Nowosilcow, tego nie chciał zazwyczaj Lubecki i, jeżeli mógł pognębić swego przeciwnika, nie wychodząc z granic lojalności, to czynił to zwykle z ogromną satysfakcją. Dużą zasługą Lubeckiego było również wielkie zwycięstwo, które odniósł w Petersburgu nad rosyjskim ministrem skarbu Kankrynem i jednym z najpotężniejszych ludzi w Rosji ówczesnej, Arakczejewem, zwycięstwo, które odwróciło od Królestwa klęskę ekonomiczną z powodu zamknięcia granic Rosji dla wywozu towarów polskich na dotychczasowych warunkach cłowych [1]). Ale obok tych jaśniejszych kart w historji swojej karjery, miał Lubecki karty ciemne, ciążące na jego pamięci. Przedewszystkiem gospodarka jego budziła szemranie i gniew. Objąwszy skarb pusty, nie zaniedbał niczego, aby poprawić stan finansów, ale w środkach nie przebierał. Ustanawiał nowe akcyzy, zaprowadzał monopole, wreszcie nie licząc się zupełnie z zamożnością kraju, jął egzekwo-

---

[1]) Szymon Askenazy. Z działalności Lubeckiego. Dwa stulecia, str. 385—389.

wać wszystkie zaległości skarbowe, cofając się kilkadziesiąt lat wstecz. „Od czterdziestu lat wszystko poruszonem zostało, wszystkie księgi skarbowe wydobyto i co tylko w podatkach, w ciężarach publicznych, w ofiarach patrjotycznych ku obronie ojczyzny nakazanem było, teraz nanowo odgrzebano. Wszystkie administracyjne, sądowe, cywilne, kryminalne palety, nakazy, napomnienia i kary, wszystkie opłaty stempla wyszukano i wydobyto. Żądano od podatkujących kwitów opłaty, a gdzie takowych okazać nie było można, kazano płacić powtórnie.. Był to, — powiada Barzykowski, — prawdziwy rabunek, łupież fiskalna, wpłynęły znaczne sumy, ale społeczność zubożono" [1]). Niejeden grzech miał na sumieniu minister skarbu. Nietylko wyciskał z ludności więcej, niż wycisnąć się dało, ale brał również udział w komisji, która ograniczyła jawność sejmowania, a opinja publiczna ministra skarbu wręcz o autorstwo tego artykułu oskarżała. Wogóle Lubecki konstytucji nie szanował, uważając, że ona jest tylko przywilejem panującego, nie zaś obywateli, więc gdy ustawy konstytucyjne stawały mu na drodze, to bezceremonjalnie je deptał.

Kajetan Koźmian, najżarliwszy wyznawca i obrońca „klasycyzmu" w literaturze, a więc zwolennik „realizmu" w polityce, takie świadectwo wystawił Lubeckiemu:

„Być wiernym sługą i pożytecznym cesarza, jego ufność i względy dla siebie skarbić, w niczem się jego woli nie narzucać, samowolnie w Polsce postępować i przez zarząd w Polsce skarbu, usłać sobie drogę do owładnienia skarbu państwa rosyjskiego,

---

[1]) «Historja powstania listopadowego». Tom I, str. 118.

to, zdaje się, było ostateczną jego ambicją i prawdziwym jego systematem"... [1]).

Szczęście Polski widział minister skarbu w połączeniu Królestwa z Cesarstwem, a jak zapewnia Barzykowski, myśl o niepodległości nigdy nie postała w głowie ministra. To, co zarzucają Koźmian i Barzykowski, to zarzucali mu wszyscy, ale Lubecki, zaufany w swe siły, szedł śmiało w wytkniętym kierunku. A w miarę tego, jak rosło jego znaczenie, stawał się coraz bardziej wyzywającym. Doszło do tego, że w Petersburgu liczyli się z nim najwyżsi dygnitarze państwowi, liczył się sam Mikołaj, a w Warszawie bał go się w. książę Konstanty, bał się Nowosilcow. Tego ostatniego aż ciarki przechodziły po skórze, gdy musiał walczyć z groźnym przeciwnikiem. Stary krętacz, osiwiały we wszelkiego rodzaju matactwach, tracił pewność siebie, ile razy zwracał się przeciw niemu Lubecki. To też w gruncie rzeczy minister skarbu odgrywał nieporównanie większą rolę, niż ta, która wypadała mu z urzędu. Trzęsąc Nowosilcowem, trzymając w kleszczach żelaznej woli w. księcia, Lubecki zajął tak wybitne stanowisko, że nic poważniejszego bez jego wiedzy dokonać się nie mogło.

Obok wszystkich swoich wad i zalet posiadał jeszcze minister skarbu wielki talent polemiczny oraz dowcip, którym bez umiarkowania bryzgał w oczy swoim przeciwnikom. Nawet wobec gniewu Mikołaja nie tracił zimnej krwi i przytomności umysłu, a że dowcip miał zimny, szyderczy, przejawiający się zgoła

---

[1]) «Pamiętniki Kajetana Koźmiana». Oddział III. Kraków, 1865, str. 270–1.

nieoczekiwanie, więc z wszelkich dysput i sporów wychodził zazwyczaj zwycięsko. Barzykowski opowiada, że kiedy Lubecki z pismem dyktatora stanął w obliczu Mikołaja, car, wziąwszy do ręki kopertę i dostrzegłszy na niej pieczęć, wyobrażającą orła polskiego, wybuchnął gniewem. „Co znaczy ten herb?” — żywo zapytał stojącego przed nim ministra. A Lubecki odparł z najzimniejszą krwią, że jest to ten sam herb, który podczas koronacji w Warszawie, widział na guzikach cesarskiego munduru [1]. Ta nieoczekiwana odpowiedź tak miała stropić Mikołaja, że zamilkł i po chwili dopiero podjął nanowo rozmowę.

Taki człowiek, jak Lubecki nie mógł pozostać bezczynnym, gdy zaskoczyła go rewolucja. Ale czy rzeczywiście go zaskoczyła? Czy nic przed 29 listopada nie wiedział o przygotowywanym wybuchu? Zaliwski upewnia, że minister skarbu najdokładniej był wtajemniczony w zamiary spiskowców i podobno już we wrześniu pytał dwuznacznie Zaliwskiego: co w wojsku słychać? Zaliwski udał, że nie rozumie pytania. Wówczas, — są słowa Zaliwskiego, — „wyrzuciwszy mi moją nieszczerość, zaczął wymieniać wszystkie nasze zamiary, tak w czasie koronacji jak i teraz... Zamiary wasze, — miał mówić Lubecki, — są wielkie i szlachetne, oddacie największą przysługę ludom Europy, a nawet i niewdzięcznym tronom... lecz kraj na największe nieszczęścia narazicie, a może i sami zginiecie z nim razem, jednak ja wam przeszkadzać nie będę i, jeżeli będziecie trwali w swem przedsięwzięciu, o tyle pomogę, o ile będę mógł” [2].

---

[1]) «Hist. powst. list.». Tom II, str. 81.

[2]) «Pielgrzym Polski» broszura Załuski z d. 15 lutego, 1833 r.

Świadectwa Zaliwskiego należy przyjmować zawsze z największą ostrożnością. Nieprawdopodobnem jest, aby Lubecki, przezorny w najwyższym stopniu, nawet w razie chęci dopomożenia spiskowcom, zdradził się z tem przed Zaliwskim. Ale rozmowa o spisku nie jest niemożliwa i sam fakt, że Lubecki wiedział o zamiarach młodzieży, jest bardzo prawdopodobny. Wiedział o nich Nowosilcow, wiedział Szaniawski (obaj w porę umknęli z Warszawy), wiedział, choć wiedzieć nie chciał i w. ks. Konstanty, a to, co oni wiedzieli, musiał wiedzieć i Lubecki. Na kilka lat przed wybuchem mógł on nie wierzyć w istnienie tajnych stowarzyszeń i twierdzić, że to Nowosilcow „wymyśla sprzysiężenia" i „maluje djabła na ścianie" [1]), lecz gdy ów „djabeł" zeszedł ze ściany, musiał baczniejszą poświęcić mu uwagę. Ale jakiekolwiekbądź miał wiadomości o spisku, rewolucja zastała go całkiem nieprzygotowanym. Całą noc z 28 na 29 listopada minister spędził przy łożu umierającego syna. Dnia 29 syn umarł i minister skarbu, pogrążony we własnym bólu, ani wiedział, ani przeczuwał, co się w mieście święci. Dopiero późnym wieczorem wpadł do jego mieszkania Małachowski z okrzykiem: rewolucja! Ocknął się Lubecki, otrząsnął się ze zgryzot i, oddaliwszy się od zwłok dziecka, wyszedł do dalszych komnat, aby stanąć na stanowisku. Czas był najwyższy. Cały świat cywilny, spłoszony wystrzałami, walił do pałacu ministra skarbu. Spieszyli tam wybitniejsi obywatele, senatorowie, posłowie, wyżsi urzędnicy, a nawet wielu wojskowych biegło do Lubeckiego, by się czegoś dowiedzieć, zasięgnąć rady lub

---

[1]) «Polityka Lubeckiego». Tom I, str. 410.

schronić się pod jego opiekuńcze skrzydła. A Lubecki, przyszedłszy do siebie, ze zwykłą mu energją jął badać sytuację, rozpytywać, wysyłać gońców we wszystkie strony miasta. Podobno jednem z jego pierwszych pytań było, czy rząd rewolucyjny już funkcjonuje. Wiadomość, że takiego rządu niema, dała mu do myślenia. Najpierw w opinji jego obniżyła się wartość polityczna sprawców wybuchu, a po drugie, sytuacja nie przedstawiła mu się jeszcze tak groźną, aby rewolucji nie można było skręcić karku. W każdym razie, wobec tego, iż żadna władza nie funkcjonowała, można się było pokusić bez wielkiego ryzyka o jej pochwycenie. Tą myślą powodowany jeszcze tej nocy uczynił Lubecki dwa kroki. Przedewszystkiem udał się do Sobolewskiego, prezesa Rady Administracyjnej i przekonał go, przy pomocy Czartoryskiego, że Radę należy niezwłocznie zwołać. Następnie przekonał Radę, że wobec rozgrywających się wypadków powinna przybrać do swego grona ludzi, którzy w oczach ogółu cieszyli się lepszą opinją, niż sam minister skarbu i jego koledzy w Radzie. Był to krok nielegalny, bo prawo mianowania nowych członków Rady przysługiwało wyłącznie cesarzowi, ale Lubecki wolał się zaasekurować od rewolucji, a odpowiedzialność za ten krok postanowił zepchnąć na w. księcia, jeśliby zaszła potrzeba. Radę Administracyjną prócz Sobolewskiego i ministra skarbu składali między innemi: Mostowski, Grabowski, Rautenstrauch, Fredro, Kossecki. Otóż na wniosek Lubeckiego zostali zaproszeni Pac, Radziwiłł, Niemcewicz, Kochanowski i Chłopicki. Wszedł do Rady i ks. Adam Czartoryski, który w ostatnich czasach tylko formalnie był jej członkiem, gdyż wi-

dząc, że ten organ nie może działać konstytucyjnie, przestał na posiedzenia Rady uczęszczać.

Wszyscy nowi członkowie Rady cieszyli się popularnością, a wybór ich dobrze świadczy o przezorności ministra. Sam niepopularny, zasłaniał swoje działania dobrą opinją nowych kolegów i przynajmniej w pierwszej chwili zabezpieczał się od rewolucji, a względem Petersburga wypełniał swoją powinność.

Następnie wraz z ks. Czartoryskim udał się Lubecki do Belwederu. W. książę obu wysłańców przyjął jak najgorzej, ale nie mogąc się na żaden krok zdecydować, o niczem nie chciał wiedzieć, na nic się nie zgadzał, ale przeciw niczemu nie protestował.

Jakoż Lubecki, mając w ten sposób rozwiązane ręce, sam zaczął działać, a owoce tej działalności już na drugi dzień oceniała stolica.

Dnia 30 listopada nowy rząd wydał odezwę w imieniu cesarza Mikołaja.

„Polacy! — głosiła odezwa, — równie smutne jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora i nocy spowodowały rząd do przybrania do grona swojego obywateli znanych ze swych zasług i do odezwania się do was. W. ks. cesarzewicz wojskom rosyjskim wszelkiego działania wzbronił, gdyż sądzi, że rozdwojone umysły Polaków, Polacy sami skojarzyć powinni. Czy Polak we krwi bratniej ma broczyć broń własną?... Własnem umiarkowaniem jedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaści, nad którą stoicie, wróćcie zatem do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech przeminą z nocą, która je pokrywała"...

Lud stolicy wiedział o zmianie w składzie Rady Administracyjnej, nim czytał tę odezwę i wiadomość o nowym rządzie przyjął z zadowoleniem. Ks. Czar-

toryski cieszył się sympatją, Niemcewicz dawał rękojmię prawości nowego rządu. Chłopickiego zdawna żywioły rewolucyjne przeznaczały na wodza rewolucji, Pac był popularny, a na Radziwille i Kochanowskim nie ciążyły żadne zarzuty. Ale odezwa, wydana w imieniu cesarza i króla, wywołała niepokój. Umysły przenikliwsze nie mogły wątpić na chwilę, że nowy rząd chce stłumić powstanie w zarodku. Więc gorętsze elementy zebrały się na drugi dzień przed siedzibą Rady i zaczęły hałasować przeciw Lubeckiemu, Rautenstrauchowi i Kosseckiemu. Wkrótce potem zjawiła się delegacja poselska i zażądała, aby z Rady usunięci zostali członkowie, nie posiadający zaufania ludności. Lubecki wiedział, o kogo chodzi, ale nie dawał za wygraną. Znając dobrze psychologję Rady, powiedział, iż w każdej chwili może się usunąć. Ale przeciw temu zaprotestowali Czartoryski i Niemcewicz, i w razie usunięcia się Lubeckiego zagrozili własną dymisją. Radę opuścili Rautenstrauch i Kossecki, a pozostali członkowie zajęli się uformowaniem wydziału wykonawczego, który miał decydować o wszystkiem, a tylko w sprawach, nie wymagających natychmiastowego załatwienia, mógł się zwracać do całego składu Rady.

Był to więc nowy, drugi z rzędu rząd. I znowu Lubecki w formowaniu tego rządu wykazał, że jest graczem nielada. W skład wydziału wykonawczego powołani zostali z dawnych członków Rady: Lubecki, Czartoryski, Radziwiłł, Kochanowski, Chłopicki, z senatu wszedł Leon Dembowski, a z posłów Władysław Ostrowski, Gustaw Małachowski i... Lelewel. Wejście tych nowych członków sam Lubecki nazwał zrewolucjonizowaniem rządu. I aby się utrzymać

na stanowisku, nie mógł zrobić inaczej. Delegacja poselska i nastrój ludu zaświadczył wymownie, że powaga rządu jest zachwiana, że obecność Czartoryskiego i Niemcewicza już nie wystarcza ludowi. Aby nie być zmiecionym przez wzmagające się wzburzenie, trzeba było powagę Rady podnieść w oczach stolicy. Dokonać tego mogły tylko nazwiska, które w uszach ludu miały dźwięk rewolucyjny, a takiem było nazwisko Ostrowskiego, przedewszystkiem zaś nazwisko Lelewela. To Lubecki wiedział i dlatego postanowił wciągnąć profesora do rządu. Książę-minister rozumiał doskonale, że Lelewel, cieszący się niesłychaną popularnością, jest jego wrogiem politycznym, ale jako zręczny dyplomata wolał takiego wroga mieć przeciw sobie w rządzie, niż za plecami. W Radzie mógł Lelewela skrępować swoją przewagą, swoją bystrością, swojem mistrzostwem djalektycznem, wiedział zresztą, że w istniejącym składzie Rady Lelewel nie będzie miał za sobą większości, a od Lelewela, stojącego poza Radą, mógł się spodziewać kroków, których następstw ani przewidzieć, ani obliczyć było niepodobna.

Zręczny manewr Lubeckiego przynosił mu korzyść podwójną: podnosił w oczach stolicy powagę rządu, a rewolucji odbierał sztandar, około którego mogła się skupić.

Jakoż Lelewel wpadł w zastawione sidła, ale czy wpadłszy, nie zorjentował się w sytuacji?

Trudno to przypuścić.

Lelewel znał dobrze ludzi, składających rząd, ale równie dobrze, a może lepiej jeszcze znał koła rewolucyjne. Otóż całe postępowanie Lelewela świadczy, że nie ufał on rewolucyjności pierwszego, ale zarazem wątpił w siłę drugich. I oczywiście zdawał sobie

sprawę z całej dwuznaczności swojego stanowiska. To jednak pewna, że działał w przekonaniu, iż na stanowisku swojem odda usługi krajowi. Celem Lelewela było zjednoczenie sił. Mając ten cel na widoku, dążył do tego, aby z jednej strony zrewolucjonizować rząd, a z drugiej — upamiętać najskrajniejsze żywioły i wytworzyć jedność. Wiedział, iż ciężar, który bierze na siebie, może go zdruzgotać, ale się nie cofnął: zgodnie ze swojem założeniem był w rządzie rewolucjonistą, a śród rewolucjonistów członkiem rządu. W tej grze stawiał na kartę wszystko i dzień po dniu, godzina po godzinie przeżywał momenty straszliwej tragedji osobistej. Narażony na ogień z dwu stron, płonął jeszcze bardziej od wewnętrznego ognia, gorzał od smutków i rozterek własnych, od niemożności urzeczywistnienia swojego ideału. Ale zahypnotyzowany swą myślą, szedł wytkniętą drogą i, acz wszyscy zarzucali mu niekonsekwencję, on do końca powstania pozostał konsekwentnym i, możnaby powiedzieć, tragicznym w swojej konsekwencji...

Bądźcobądź od chwili, gdy na wniosek Lubeckiego Lelewel zajął miejsce w Radzie Administracyjnej, rewolucja straciła w nim swego przewodnika.

Ale gdy Lubecki tak zręcznie podnosił autorytet Rady i manewrami swymi zwyciężał piętrzące się trudności, nieznany mu jeszcze przeciwnik, Maurycy Mochnacki również rozwijał gorączkową czynność i gotował się do skoku.

Po nocy 29 listopada w obozie rewolucyjnym najwyższy zapanował chaos. Wysocki, dopełniwszy swego dzieła, zniknął z powierzchni, — i rewolucja, straciwszy impet, zatrzymała się na pierwszym kroku. Mimo iż wojsko stało pod bronią a lud wrzał i przy

pomocy żołnierzy ucierał się z oddziałami, wysyłanymi przez adjutantów w. księcia Konstantego, widocznem było, że powstanie, pozbawione przywódców, omdlewa z każdą godziną. Odezwa Rady Administracyjnej podniosła energję ulicy, ale po chwilowem wzburzeniu znowu w szeregach rewolucyjnych zapanowała bezczynność.

Tylko Mochnacki nie zasypiał sprawy. On jeden nie uległ urokowi nazwisk Czartoryskiego, Niemcewicza i Paca, on jeden nie był olśniony Chłopickim, który w tych dniach stał się bożyszczem Warszawy. Mochnacki widział, że Radą Administracyjną kieruje doświadczona ręka i odgadł natychmiast, że to jest ręka Lubeckiego. Cel marzeń Mochnackiego, rząd rewolucyjny, 30 listopada nie mógł już być ustanowiony. Ale nie mogąc odrazu ustanowić rządu, Mochnacki postanowił wytworzyć przynajmniej potężny ośrodek rewolucyjny, któryby w najbliższej przyszłości wyłonił z siebie rząd. Natchniony tą myślą zwrócił się do swoich przyjaciół, a znalazłszy u nich poparcie, przystąpił do dzieła i jął agitować na rzecz założenia zbrojnego klubu rewolucyjnego. Znalazłszy wszędzie posłuch, postanowił już samemu aktowi założenia klubu nadać charakter jawny i uroczysty. Przedewszystkiem więc na miejsce pierwszego zgromadzenia przeznaczył ratusz, najpierw dlatego, że było to miejsce oficjalne, a po drugie, że sam fakt wtargnięcia do ratusza nadawał niejaką barwę zgromadzeniu i oswajał lud z myślą o innym rządzie. Poświęciwszy dzień cały na agitację, wieczorem dnia 1-go grudnia o omówionej godzinie podążył na punkt zborny. Stawili się i jego przyjaciele polityczni: Bronikowski, Nabielak, Mejzner, Dunin, Żukowski, Józef

Kozłowski, Franciszek Grzymała, przybyła garść wojskowych i mnóstwo osób cywilnych. Nowozamianowany prezydent Węgrzecki przy pomocy wiceprezesa banku Henryka Łubieńskiego usiłował zapobiedz zbiegowisku, ale Mochnacki odrazu ukazał Węgrzeckiemu swoje pazury i osadził go na miejscu.

Postępowanie Rady Administracyjnej, — odpowiedział wyniośle na protest prezydenta, — postępowanie Rady, „która nie przestaje działać w imieniu Mikołaja, która się waha na obie strony, wkłada na prawdziwych patrjotów obowiązek porozumienia się między sobą końcem odwrócenia niebezpieczeństw, grożących upadkiem sprawie narodu"... [1]).

Nadaremnie Węgrzecki powoływał się na swoje siwe włosy i krzyczał, że w Radzie prawi zasiadają mężowie. Nadaremnie protestował przeciw nielegalnym obradom w miejscu jego urzędowania. Harde odpowiedzi Mochnackiego zmusiły go do milczenia— i zgromadzeni rozpoczęli obrady. Agitacja przygotowała grunt, i obrad żaden rozdźwięk już nie zamącił. Zebrani jednogłośnie postanowili utworzyć zbrojny klub rewolucyjny pod nazwą Towarzystwa Patrjotycznego. Następnie ukonstytuowano prezydjum. Przedewszystkiem postanowiono wydrzeć Radzie Administracyjnej męża opinji, Lelewela, i acz profesor był nieobecny, obwołano go jednomyślnie prezesem. Wiceprezesem został Bronikowski, zastępcą wiceprezesa — Mochnacki [2]), sekretarzem — Franci-

---

[1]) «Powstanie Narodu Polskiego w roku 1830 i 1831» przez Maurycego Mochnackiego. Poznań 1863, tom II, str. 88.

[2]) Idę tu za zdaniem Barzykowskiego: Mochnacki w swoim dziele nic nie wspomina, jakoby już w pierwotnym klubie piastował urząd wiceprezesa.

szek Grzymała. W końcu posiedzenia postanowiono zebrać się nazajutrz w salach redutowych i o założeniu klubu zawiadomić wojsko i lud.

Resztę nocy poświęcił Mochnacki agitacji i drukowaniu odezwy, którą podpisał własnem imieniem i nazwiskiem, a w której płomiennemi słowy wzywał „ziomków" do walki o swoje prawa, a zarazem i do „usunięcia od rządu ludzi nieudolnych, zaprzedanych"... [1]). Dnia 2 grudnia od samego rana był na nogach. Przyjaciele jego również nie zasypiali sprawy. Wzburzony lud słuchał mówców i widocznem było, że w razie potrzeby nie odmówi im swego poparcia.

Tegoż dnia Rada Administracyjna wysyłała deputację do w. księcia. Do deputacji należeli ks. Czartoryski, ks. Lubecki, Wł. Ostrowski i Lelewel. Wieści o tej deputacji szybkie i lotne jak jaskółki krążyły po całej stolicy, wywoływały nowe zamieszanie i chaos, ale z tego chaosu coraz wyraźniej wyłaniał się potwór podejrzenia i gniewu. Kipiała ulica i z tłumów, odprowadzających deputację, obok życzeń i przestróg coraz częściej wynurzały się groźby i łyskały jak obnażone sztylety.

Mochnacki szybko się zorjentował i postanowił wyzyskać sytuację. Burza się zbierała i pioruny wisiały w powietrzu, chodziło o to, aby z klubu rozpocząć kanonadę. Okoliczności sprzyjały temu zamiarowi. O naznaczonej godzinie sale redutowe zapełniły się doszczętnie. Wszyscy, których oburzało postępowanie Rady Administracyjnej, a więc niektórzy członkowie Sejmu, wielu oficerów i urzędników, pro-

---

[1]) «Pierwsza odezwa do mieszkańców Warszawy» przez Maurycego Mochnackiego. W dniu 2 grudnia 1830.

fesorowie, studenci, rzemieślnicy, ludzie bez określonych zajęć i ludzie bezimienni, przeważnie mieszkańcy Starego Miasta, słowem, tłumy stawiły się na wezwanie. A wszyscy przybyli uzbrojeni w pałasze, karabiny, pistolety, wszyscy przyszli ożywieni duchem protestu, groźni, butni, gotowi na każdy sygnał ruszyć do ataku. Klub tryumfował. Sale redutowe nie mogły pomieścić wszystkich, więc tłum stał na ulicy i czekał, jaki koniec wezmą obrady. A w salach od samego początku gorąca zapanowała atmosfera. Na stół, z którego uczyniono naprędce mównicę, wchodzili kolejno uzbrojeni mówcy i, dając folgę wrzącym w piersiach uczuciom, po raz pierwszy od wielu lat, wypowiadali na głos swoją wiarę polityczną. Słowa pękały jak granaty; jeśli wzruszenie więziło jakiś wyraz w gardle, to wymowny ruch karabinem dopowiadał reszty, a entuzjazm słuchaczów, wyrażany szczękiem oręża, świadczył, iż mowa została zrozumiana.

A zaledwie Bronikowski, jako przewodniczący zagaił obrady, wnet liczne głosy zaczęły wywoływać Mochnackiego. Czytano jego płomienną odezwę, wiedziano, że poprzedniego dnia starł się z Węgrzeckim, przeczuwano w młodym trybunie siłę, spodziewano się od niego planu i wskazówek. Wezwania brzmiały coraz głośniej, aż wreszcie cała sala zaczęła się domagać przemówienia Mochnackiego.

Wówczas Maurycy poprosił o głos i stanął na mównicy.

Po raz pierwszy miał przed sobą tak liczne audytorjum, po raz pierwszy miał przemawiać do tłumu. Ale już wchodząc na trybunę, czuł się orłem i śmiało rozwijał skrzydła do wysokiego lotu. A kiedy zoba-

czył setki pałających oczu, utkwionych w siebie, kiedy się przekonał, że ci wszyscy ludzie od niego oczekują sygnału, poczuł w sobie moc i zrozumiał, że nadeszła chwila decydująca. Znakomity pisarz był znakomitym mówcą. Sam się zapalał i namiętną wymową porywał słuchaczów. „Kiedy,—opowiada jeden z tych, co nieraz słyszeli Maurycego, — kiedy Mochnacki zabierał głos, usta jego buchały płomieniami wymowy, oczy iskrzyły się ogniem uczucia, niekiedy szyderski uśmiech wyrażał pogardę dla tych, co go nie pojmowali" [1]). A w chwilach, kiedy w ciągu jednej minuty przeżywa się całe miesiące, wymowa jest potęgą. Tę potęgę rzucił Mochnacki tłumowi i w jednej chwili ujarzmił całe audytorjum. Śród głębokiej ciszy rozwijał on swój pogląd na istniejący stan rzeczy i, przygotowawszy odpowiednio słuchaczów, zbliżał się konsekwentnie do ostatecznych wniosków.

Jakiż plan miał Mochnacki?

Ideą jego ani na chwilę nie przestał być rząd rewolucyjny. Widząc, że oburzenie w stolicy wzrasta, a zarazem dostrzegając, że lud oczekuje jakiegoś stanowczego kroku od klubu, Mochnacki jeszcze przed rozpoczęciem zebrania postanowił zaproponować dnia tego, aby zgromadzenie wybrało ze swego grona komisję, którąby ustanowiła Rząd Tymczasowy. W akcie tym widział najlepszy sposób obalenia Rady Administracyjnej. Ale koledzy, którym myśl swoją powierzył, uznali, że to krok zbyt śmiały, — i Mochnacki, ulegając perswazjom najbliższych, zdecydował się myśli tej nie wypowiadać. Nie wyrzekł się jednak swojej idei, a już pierwsza mowa świadczy, że przygoto-

---

[1]) «Północ». Rok 1835, Nr. 7 z d. 8 kwietnia.

wywał grunt, na którym mógłby w dniach najbliższych nową ustanowić władzę. Mowę tę, trwającą godzinę, a słuchaną w skupieniu coraz głębszem, zakończył następującymi wnioskami:

„Aby się zgromadzenie uorganizowało i uznało za nieustającą reprezentację ludu warszawskiego, tudzież aby z grona swego wyznaczyło natychmiast deputację, udać się mającą do Rady Administracyjnej, dla przedłożenia jej imieniem ludu żądań następujących:

1) aby się Rada Administracyjna rozwiązała;

2) aby Rząd Tymczasowy był natychmiast postanowiony;

3) aby generał Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz uderzenia na gwardję carewicza, wzięcia w niewolę jego samego i oddania w zakład polskiemu ludowi"... [1]).

W końcu zaś rzucił Mochnacki już nie wniosek, lecz hasło, które głęboko zapadło w serca ludu, które później długie lata zajmowało wszystkich, co badali dzieje powstania: oto pierwszy w przytomności rozgorączkowanego tłumu zawołał, że nie z w. ks. Konstantym w Warszawie, lecz z Petersburgiem w Wilnie układać się należy.

Mową swoją uczynił wrażenie potężne. Wszystkie wnioski, które proponował, przyjęto jednogłośnie. Zapał zgromadzonych wzrósł i temperatura rewolucyjna znacznie się podniosła. Mochnacki zrobił swoje, osiągnął cel zamierzony, a zarazem znalazł się na szczycie opozycji i w jednej chwili stał się człowiekiem publicznym.

---

[1]) «Powstanie Narodu Polskiego». Tom II, str. 99.

Tryumf Mochnackiego zachęcił innych. Więc wymowny, dowcipny, zjadliwy, a popularny śród ludu Starego Miasta adwokat Józef Kozłowski zażądał, aby ministrowie cesarza Mikołaja, a w ich liczbie i Lubecki oddani zostali pod straż. Po Kozłowskim wszedł na mównicę Ludwik Nabielak, przywódca młodzieży, co uderzyła 29-go na Belweder i postawił wniosek, aby Rząd Tymczasowy upoważnił obywateli do urządzania powstań w całym kraju. Przemawiał później Bronikowski, potem Żukowski i wielu innych, a wszystkie wnioski przyjmowane były jednogłośnie. W końcu jeden z mówców zaproponował, aby Rada Administracyjna, jeżeli nie rozwiąże się natychmiast, przyjęła do swego składu kilku członków klubu, których sam klub wybierze. I ten wniosek został przyjęty. Ale wniosek ten nie leżał w planach Mochnackiego: on chciał zburzyć, ale bynajmniej nie zamierzał modyfikować Rady Administracyjnej, więc taki projekt psuł jego zamiary. Jednak nie protestował już, by do panującej harmonji nie wnosić rozdźwięku.

Gdy skończyły się debaty, zebrani przystąpili do wyboru deputacji. W skład jej powołani zostali: dwaj Mochnaccy, Maurycy i ojciec jego Bazyli, a dalej Bronikowski, Nabielak, Dunin, Grzymała, Dobrogojski, Szwarce, Słubicki i Gaszyński. Deputacji wręczono instrukcję, która w ośmiu punktach streszczała przyjęte przez klub wnioski — i delegowani opuścili sale redutowe. Za deputacją wysypał się cały klub, z klubem połączył się lud uliczny i olbrzymi tłum, jak spieniona fala popłynął przez plac Krasińskich do gmachu, w którym obradowała Rada Administracyjna. Czterej członkowie Rady zdawali właśnie sprawę ze swojej bytności w Wierzbnie u w. księcia, gdy dano

znać, że deputacja Towarzystwa Patrjotycznego chce rozmówić się z Radą. Członkowie Rady postanowili nie przyjmować deputacji, aby zaś pozbyć się natrętów, wyprawili do przyległej sali, do której zdążyli już wtargnąć delegaci, kasztelana Kochanowskiego. On miał wysłuchać klubistów, umitygować ich i odprawić z kwitkiem. Liczono na sędziwy wiek kasztelana, na jego białe włosy, na jego zasługi i powagę. Ale deputacja nie chciała mówić z Kochanowskim. Wszczęła się sprzeczka, podczas której delegaci klubu zbliżali się coraz bardziej ku drzwiom, za któremi obradował rząd. Kochanowski, są słowa Mochnackiego, bronił tych drzwi, „jak siwy Cherubin, postawiony u straży politycznego Edenu". Ale drzwi otworzył Władysław Ostrowski — i w ten sposób deputacja niemal przemocą wtargnęła do sali obrad. Widok klubistów nie zapowiadał nic dobrego. Wpadli do sali w płaszczach, wpadli groźni, zbrojni i odrazu zajęli postawę wyzywającą.

Stropili się tym widokiem członkowie rządu i zerwali się z krzeseł, aby stawić czoło nawałnicy. Jeden Mostowski siedział na swem miejscu nieporuszony, a obok niego Lubecki najmniejszego nie zdradzał zdenerwowania. Natomiast Lelewel, prezes klubu i członek rządu, był bodaj najbardziej strapiony i prawdopodobnie dopiero w tej chwili zrozumiał po raz pierwszy swoją tragedję.

Jeden z deputowanych w słowach układnych i grzecznych zaczął wskazywać niebezpieczeństwo, na jakie Rada Administracyjna swoją chwiejnością naraża kraj cały. Potem kapitan Dobrogojski zwrócił się do ks. Czartoryskiego i w najprzyzwoitszych słowach zaklinał go, aby dla ratowania ojczyzny przedsięwziął kroki

stanowcze. Po nich dopiero głos zabrał Mochnacki i, błyskając swemi skośnemi oczyma w stronę Lubeckiego, jął przedstawiać żądania klubu. A wszystko, co mówił, „wypowiedziane było, — według relacji Barzykowskiego, — „w duchu rewolucyjnym i jakobińskim (?), w formie rubasznej i gwałtownej" [1]). Osłupieli dygnitarze, widząc przed sobą młodzika, który do prześwietnego zgromadzenia przemawiał, jak kapral, strofujący żołnierzy, ale bardziej, niż forma musiała zdumieć Radę treść przemówienia.

Twórca klubu zaczął od tego, iż w gwałtownych słowach oświadczył, że układy z w. księciem do niczego doprowadzić nie mogą, gdyż ci, co z poświęceniem swych głów zaczęli rewolucję, upaść jej nie pozwolą, że twórcy 29 listopada odwołali się do ludu stolicy, który w tej chwili z bronią w ręku siedzibę Rady otacza, wreszcie podniesionym głosem zawołał, że lud o nic nie prosi, lecz żąda, — i tu, rozwinąwszy papier, odczytał instrukcję klubu.

W odpowiedzi na tę namiętną mowę zabrał głos ks. Czartoryski i z wrodzoną uprzejmością odpowiedział deputacji, że niektóre żądania klubu są niemożliwe do przyjęcia, przedewszystkiem zaś przytrzymanie w. księcia, który właśnie na wszystko się zgadza i wszystko obiecuje puścić w niepamięć. Usłyszawszy to, Mochnacki zakipiał. Odpowiedź Czartoryskiego była żagwią płonącą, ciśniętą na zgromadzone prochy. Gniew zawrzał w młodej duszy. Czując siłę w sobie i za sobą, wzburzony i porwany gniewem, młody trybun wybuchnął uniesieniem.

---

[1]) «Hist. powst. list.». Tom I, str. 375.

— „To są żarty, mości książę! — zawołał. — My nie powstaliśmy dla przyjmowania łask i warunków w. księcia... Niechaj tedy rząd nie gra komedji, która się bardzo tragicznie zakończyć może albo dla powstania albo dla jego nieprzyjaciół i wątpliwych stronników!" [1]).

Ostatnie słowa zwrócił Mochnacki do Lubeckiego. Chciał z nim rozpocząć dyskusję, ale minister nie dał się sprowokować i cały czas milczał. Natomiast inni członkowie rządu nie mieli zimnej krwi Lubeckiego. Zerwał się najpierw poruszony do żywego Chłopicki, z furją zwrócił się ku wyjściu i, trzasnąwszy drzwiami, opuścił zebranie. Radziwiłł i Małachowski podali się natychmiast do dymisji, a sędziwy Niemcewicz wystawił swą pierś i wołał, aby zbrodniarze, co przyszli rząd wymordować, ugodzili najpierw w jego serce. Inni członkowie Rady Administracyjnej również byli poruszeni, tylko Lubecki nie tracił zimnej krwi i zachowywał się z nieodgadnioną obojętnością.

Po chwili dopiero zaczęli mówić Ostrowski i Czartoryski, zapewniając deputację, iż żądania klubu rząd weźmie pod uwagę.

Poselstwo było skończone.

Deputacja zaniosła odpowiedź ludowi i zmieszała się z tłumem, a śród członków Rady zapanowała najwyższa konsternacja. Małachowski i Radziwiłł twierdzili, że Radzie nie pozostaje nic innego, jak rozwiązać się. Ale inaczej na rzecz całą zapatrywał się

---

[1]) Barzykowski powiada, że słowa, które cytuje Mochnacki, są o wiele przyzwoitsze, niż te, które wypowiedział wobec Rady Administracyjnej. Wszędzie jednak, gdzie przytaczam słowa własne M-go, idę za jego własną relacją.

Lubecki. Już choćby dlatego, że klub żądał rozwiązania Rady, on był temu przeciwny, wiedział bowiem dobrze, iż nie należy czynić tego, czego żądają przeciwnicy. Ale wiedział i to, że nie jest panem wypadków, że każda godzina może przynieść nową niespodziankę, a rozumiał, że bywają chwile, w których trzeba iść z falą, jeżeli się nie chce być przez tę falę zniesionym, co oczywiście nie przeszkadzało, by później w miarę okoliczności sprzyjających, ujarzmiać rozhukane żywioły i w końcu rzucić je sobie pod nogi. Zgodnie z tem mniemaniem postanowił Lubecki posunąć się aż do ostateczności. Najpierw więc przekonał Radę, że rozwiązanie jej byłoby krokiem fałszywym, następnie zgodził się na pierwszą lepszą, pełną frazesów odpowiedź, którą Ostrowski wystosował pod adresem klubu, bo do odpowiedzi tej nie przywiązywał najmniejszego znaczenia, a potem czekał już świtu i wiadomości o postawie wojska. Nazajutrz zrana, dowiedziawszy się, że gen. Szembek przyprowadził swój pułk do stolicy, że inne pułki, rozmieszczone na prowincji, również do Warszawy ściągają, zaniepokoił się o w. księcia i natychmiast ostrzegł go listownie o niebezpieczeństwie, radząc, aby coprędzej uchodził.

Później poszedł do banku i, jeżeli wierzyć Grzymale, przedzierzgnął się w „rewolucjonistę"...

„Słyszałem, — opowiada Franciszek Grzymała, — kilkakrotnie z ust księcia Lubeckiego, słyszało wielu innych rodaków w pierwszych dniach powstania, jak on żarliwie wykładał swoje pojęcia o rewolucji, o potrzebie najenergiczniejszego działania, a nawet pójścia na Litwę. Ale — otóż to nieszczęsne ale zawsze miał na pogotowiu; tem to zręcznie używanem ale i obfi-

tym zapasem sofizmów wszystko paraliżował"... Jednak dzięki tym rozmowom zyskał nawet pewną popularność. W banku,—mówi Grzymała,—„wszyscy się kupili, tam żądano objaśnień o wypadkach; przynoszono wiadomości, rozmawiano z ministrami, grożono im, dyskutowano z nimi, a najczęściej te pracowite spory odbywał książę Lubecki. Krew zimna, zwięzła wymowa odznaczały jego dyskusje"... [1]).

Te dyskusje nie przeszkadzały Lubeckiemu porozumieć się z członkami rządu co do dalszych działań. Przybycie pułku Szembeka do stolicy, podniecało rewolucję i z tem należało się liczyć. A więc przedewszystkiem wbrew odpowiedzi, danej klubowi we wczorajszej redakcji Ostrowskiego, zaczął przekonywać kolegów, że w razie ostateczności trzeba będzie przyjąć do składu Rady kilku klubistów. Nie wątpił, że w ten sposób zdoła jeszcze uratować rząd, działający w imieniu Mikołaja. To był jego cel na dzień dzisiejszy, bo planów na jutro w istniejących warunkach układać nie mógł. Dopóki jednak okoliczności pozwalały, chciał być lojalnym względem Petersburga. Przekonawszy Radę Administracyjną, jął baczyć pilnie, co robi klub i działań ulicy z oczu nie spuszczał. Przychodził mu na myśl Mochnacki, którego postanowił, jeśli tylko zajdzie tego potrzeba, zawezwać do zasiadania w rządzie, ale oczywiście po to, by przy pierwszej sposobności zmiażdżyć zuchwałego młodzika, a następnie wskazać mu właściwe miejsce, naturalnie w odpowiedniej od siebie odległości. Ale Mochnacki musiał mu zaimponować. Był niesłychanie pewny siebie, brutalny, zuchwały, ale ta zuchwałość miała swój

---

1) «Sybilla Tułactwa Polskiego». Paryż, 1834, str. 53.

styl, a na tem znał się książę-minister. W mowie młodego trybuna brzmiały akcenty, które dawały do myślenia, a w całem wystąpieniu był gest, budzący szacunek. Ten młody człowiek stanowczo mógł się okazać niebezpiecznym. Tylko że Lubecki nie lękał się niebezpieczeństw, a sama propozycja przyjęcia do grona Rady tego samego zuchwalca, co tę Radę wczoraj znieważył, już dowodziła odwagi ministra. A jednak mimo całą dziwaczność propozycji, członkowie rządu zgodzili się na tę ostateczność. Ufali rozumowi Lubeckiego, to rzecz niewątpliwa, ale prawdopodobnie obawa przed nowem wtargnięciem Mochnackiego na czele „jakobinów", jak się wyrażał Niemcewicz, również przyspieszyła decyzję. Chwila była groźna, a członkowie rządu na spory i dyskusje nie mieli już czasu.

Istotnie na dobre rozgorzało dnia tego ognisko rewolucji.

Atmosfera na posiedzeniu klubu przesycona była rewolucyjnym zapałem. Zjawił się dnia tego w klubie i Lelewel. Jako prezesa przywitano go grzmotem oklasków, ale znakomity historyk zmroził słuchaczów swojem przemówieniem. Prezes klubu przemawiał jako członek rządu, a więc zalecał umiarkowanie i starał się usprawiedliwić postępowanie Rady. Słowa Lelewela, zdaniem Mochnackiego, „były prawdziwą klęską dla kształcącej się potęgi ludu, dla partji rewolucyjnej, która go na czele tego ludu mieć chciała. Ze strony Lelewela byłoż wtedy co naturalniejszego, jak rozwiązać w klubie rząd stary, pokazać osobom, co go wspierały, kły ostre, nawet drapieżne i natychmiast wytknąć obrotowi rzeczy jedyną drogę zbawie-

nia, jaka się nastręczała"... [1]. Istotnie mógł to zrobić Lelewel, ale słowa jego nie miały tak wielkiego znaczenia, jakie im przypisuje Mochnacki Mowy następnych mówców zatarły szybko wrażenie, wywołane głosem profesora i temperatura rewolucyjna znowu się podniosła.

Generał Szembek był dnia tego bohaterem.

On pierwszy połączył się z rewolucją, a był najwybitniejszą osobistością, która jawnie pobratała się z klubem. Na rękach wniesiono go do sali i na rękach musiano go wnet wynieść, bo tysiączne tłumy stały na ulicy i chciały brać udział w naradach. Więc zgromadzenie przeniesiono pod gołe niebo, na ulicę. Gen. Szembek wszedł na stojący tam przypadkowo wóz drabiniasty i z tej zaimprowizowanej trybuny donośnym głosem oświadczył ludowi, że brygada jego wejdzie za chwilę do miasta. Wówczas zerwała się burza entuzjazmu. Tryumfalne okrzyki, złączone w jeden potężny grzmot, przeszyły powietrze i napełniły wiarą zrewolucjonizowaną stolicę. Klub doszedł w tej chwili do szczytu swojej potęgi, miał za sobą całe miasto, mógł rządzić Warszawą. Zaledwie Szembek zeszedł z wozu, kolejno ukazywać się na nim poczęli inni mówcy i miotali piorunami oburzenia w Radę. A lud grzmotem oklasków odpowiadał na to i gotował się do powtórzenia wczorajszego ataku. Nawoływania, aby pójść do banku, grzmiały coraz goręcej i coraz gwałtowniej.

Ale Lubecki dnia tego z oka nie spuszczał ulicy.

W chwili, kiedy do najwyższego stopnia wzburzony tłum chciał już ruszać do banku, na wozie

---

1) «Powstanie Narodu Polskiego». Tom II, str. 111—112

drabiniastym ukazał się Władysław Ostrowski. Widok członka rządu na tej mównicy rewolucyjnej wywołał sensację. Zrobiła się cisza. Wówczas Ostrowski oświadczył, że Rada Administracyjna zgodnie z żądaniami klubu wzywa czterech jego członków do zasiadania w rządzie. I w uciszony tłum jak strzały armatnie padły cztery nazwiska: Bronikowski, Mochnacki, Plichta, Machnicki. W jednej chwili jakgdyby na skinienie laski magicznej płomienie rewolucyjne przygasły. Skonały słowa gniewu na ustach wzburzonego ludu — i ulica ucichła.

Lubecki czuwał i dobrze wybrał moment.

A Mochnacki odrazu zrozumiał i ocenił ten manewr. W tym tłumie może on jeden wiedział, o co Lubeckiemu chodzi. Wściekłość opanowała młodego trybuna. Już mu się zdawało, że minuty Rady Administracyjnej są porachowane, gdy nagle obłok jego marzeń rozwiał się, jako dym na wietrze. Głuchy bunt wezbrał w piersiach młodzieńca, ale podniósł rzuconą rękawicę i ze strasznym gniewem na pobladłych ustach udał się na posiedzenie rządu. Chwila — i oko w oko stanęli dwaj groźni przeciwnicy: Lubecki i Mochnacki.

Zaczęło się posiedzenie wobec nowych członków, prócz Machnickiego, który nie wiedział zapewne o swej nominacji, a może korzystać z niej nie chciał.

Zaraz na wstępie Mochnacki zwrócił się przeciw Lubeckiemu i oświadczył, że książę-minister nie posiada zaufania ludu. Lubecki, wiedząc, iż ma oparcie w Czartoryskim i Niemcewiczu, zaczął mówić o dymisji. Zaprotestowali przeciw temu inni członkowie— i dyskusja potoczyła się dalej. W protokóle urzędowym znajduje się następujący urywek tej dyskusji:

„Mochnacki czyta projekt co do nieoddalania się urzędników i zaczyna go od (wyrazów): Rząd Tymczasowy...

Lubecki: Niema decyzji, aby był Rząd Tymczasowy...

Mochnacki: Nie występujmy już na widok publiczny z Radą Administracyjną; nie ma ona ufności"...[1]).

Ale Mochnacki dużo więcej powiedział ministrowi, niż to wnosić można ze strzępów protokólarnych, wręcz mu bowiem oświadczył, że dopóty nie wejdzie do rządu, dopóki w nim zasiada minister skarbu i inni ministrowie cara Mikołaja.

„Naród, — powiedział na zakończenie, — jest oburzony przeciwko księciu ministrowi, rewolucja własnego rządu potrzebuje, w imieniu króla działać nie może!..." [2]).

Słowa te wywarły zamierzony efekt. Cios, który Mochnackiemu zadał Lubecki, był odparty, a cięcie wymierzone po mistrzowsku. Teraz ministra nie mogły już uratować komplimenty Czartoryskiego i Niemcewicza. Czuli to wszyscy, a sam Lubecki najlepiej. Wszakże to on zawezwał do zasiadania w rządzie niepohamowanego trybuna ludu i sam ściągnął piorun na swoją głowę. Trzeba było znieść konsekwencję własnej przezorności. Lubecki zrozumiał to wmig — i natychmiast zgłosił swoją dymisję. Za jego przykładem poszedł zaraz Mostowski, a choć inni członkowie nie wypowiedzieli się jeszcze, było już jasnem, że Rada Administracyjna przestała istnieć.

---

[1]) Protokóły posiedzeń Rady Administracyjnej... Rocznik T-wa Histor.-Liter. Poznań, 1872, str. 451.

[2]) M-cki «Powstanie Nar. Polskiego». Tom II, str. 114.

Cel Mochnackiego został osiągnięty. Twórca klubu mógł obwieścić ludowi swój tryumf, ale powstrzymał go od wyjścia zwyciężony minister, ten sam minister, który zwyciężał Arakczajewa, Kankryna, który trząsł Nowosilcowem i rządził w. księciem Konstantym. Lubeckiego w najwyższym stopniu musiała zaintrygować osobistość Mochnackiego. Chciał mu się przyjrzeć i przejrzeć, chciał go wybadać. Więc odwołał na stronę swojego wroga, siadł z nim na kanapie i wszczął dyskusję. Niestety, nie zachowały się szczegóły owej rozmowy, ale słowa Dembowskiego, świadka tej sceny, rzucają na nią snop jaskrawego światła.

„Tegoż dnia, a raczej tej nocy, — opowiada Dembowski,—Mochnacki, zasiadłszy na kanapie z księciem Lubeckim, kilka godzin rozmawiali, a kiedy mieliśmy się na spoczynek udawać" i gdy Mochnacki opuścił salę posiedzeń rządowych „książę Adam zapytał Lubeckiego:

— Nad czem tak długo radziliście?

Na co książę Lubecki odpowiedział:

— Z tego wszystkiego, com od Mochnackiego słyszał, powziąłem przekonanie, iż ma zamiar mnie powiesić"... [1]).

---

[1]) Leon Dembowski: «Moje Wspomnienia». Petersburg 1902, str. 55. Dembowski powiada, iż rozmowa ta prowadzona była tego samego dnia, którego delegacja Rady Adm. jeździła do Wierzbna. Należy przypuszczać, że pamięć zawiodła Dembowskiego. Trudno bowiem przypuszczać, aby Mochnacki po wyjściu z deputacją klubu, wrócił na posiedzenie rządu, wiedząc, iż wszyscy są na niego w najwyższym stopniu oburzeni. Rozmowa ta musiała odbyć się nazajutrz, gdy M-go zawezwano do zasiadania w rządzie. Skądinąd wiadomo, że po wyjściu deputacji Rada Adm. zastanawiała się szeroko nad tem, co odpowiedzieć klubistom, a oczywiście przy naradach tych M-cki nie mógł być obecnym.

Wyraziwszy w ten sposób swoją życzliwość ministrowi, Mochnacki opuścił Radę Administracyjną.

Mógł tryumfować.

Zwycięstwo jego istotnie miało wszelkie pozory świetnego zwycięstwa: Rada Administracyjna przestała istnieć, a książę Lubecki, uważany za duszę kontrrewolucji, został powalony. Twórca klubu ujrzał przed sobą drogę bezpieczną, a na końcu tej drogi widział już spełnienie życzeń rewolucji. Twórca klubu się mylił. Lubecki, nie będąc w rządzie, nie przestał oddziaływać na rząd, a nad klubem i jego twórcą wzniósł teraz topór swojego gniewu. Ci dwaj ludzie na jedną chwilę nie przestawali paraliżować swoich czynności. Dwie najtęższe głowy, dwie najsilniejsze wole skazane były na nieustanną walkę w dniach najważniejszych, bo w dniach, które decydowały o dalszych losach powstania i przyszłości kraju. Obaj schylili się jednocześnie po władzę, „leżącą na bruku", obaj byli jej bliscy i, wydzierając ją sobie, znowu rzucili ją na bruk.

Nazajutrz ukazała się odezwa Rady Administracyjnej o jej rozwiązaniu i pierwsza proklamacja Rządu Tymczasowego, którą podpisali Czartoryski, Kochanowski, Pac, Dembowski, Niemcewicz, Ostrowski i Lelewel. Nazwisko Lubeckiego nie figurowało na odezwie rządu, ale w tym rządzie i dla klubistów nie było już miejsca.

Teraz Mochnacki zwrócił się przeciw Rządowi Tymczasowemu. Lubecki zniknął z widowni, ale co było dziwniejsze, zniknął z listy członków rządu i generał Chłopicki, bożyszcze wojska, ulubieniec całej stolicy. Wprawdzie Chłopickiego jeszcze Rada Administracyjna mianowała wodzem naczelnym i generał

nominację tę zatrzymał, ale jego nieobecność w składzie rządu była faktem uderzającym. W tem krył się jakiś zamiar. Myśl Mochnackiego zaczęła pracować. I nagle przed oczyma twórcy klubu wyrosło nowe widmo reakcji: Chłopicki. Nazwisko popularnego generała istotnie wiązało się już w tych dniach z pojęciem dyktatury, a brak tego nazwiska w nowym rządzie i tymczasowość tego rządu pozwalała przypuszczać, że Chłopicki przeznaczony jest do odegrania jakiejś poważniejszej roli. Salony warszawskie już mianowały go dyktatorem, a głuche wieści, krążące po mieście, potwierdzały tę nominację. Jakież stanowisko wobec powstania zajmował popularny generał? Wiedziała cała Warszawa, że w nocy 29 listopada, Chłopicki, znajdujący się w teatrze, nie pozwolił aresztować oficerów rosyjskich, że, stojąc na czele wojska, nie przeszkodził uchodzić w. księciu Konstantemu, wiedziało sporo osób, że w najobelżywszych słowach odzywał się o sprawcach wybuchu, że wybuch ten uważał za nieszczęście, wiedzieli członkowie rządu, a przedewszystkiem wiedział Lubecki, że generał jako dyktator uczyni wszystko, aby potężną dłonią pochwycić cugle rewolucji i osadzić ją na miejscu. Niesłychana popularność generała ułatwiała mu to zadanie. I oto nagle Mochnacki dojrzał nowe niebezpieczeństwo. Chłopicki był na wszystkich ustach, otaczał go nimb bohaterstwa, witały szmery uznania, wyciągały się doń ręce, jako do zbawcy ojczyzny. Tłum był ślepy na zachowanie się swego ulubieńca, który niczem nie usprawiedliwiał pokładanych w nim nadziei. Tłum stworzył sobie miraż i miraż ten wcielił w Chłopickiego. Gwardja akademicka pod dowództwem prof. Lacha Szyrmy niemal modliła się do bo-

hatera zpod Epili i Saragossy. Przypomniano sobie jego czyny wojenne i opinję Sucheta, przypomniano sobie, że Chłopicki opuścił szeregi wojskowe, aby nie służyć pod w. ks. Konstantym, — i gdziekolwiek generał się ukazał, tam spotykało go uwielbienie. Jego mundur i szlify generalskie, zdobyte w armji Napoleona, mówiły masom nie o układach, lecz o walkach i świetnych zwycięstwach na przyszłych polach bitew.

Ale Mochnacki nie dał się porwać urokowi, jaki roztaczał Chłopicki. Skroś kadzidlane dymy pochwał i zachwytów młody trybun widział istotne oblicze popularnego męża i wiedział, co o nim sądzić. Twórca klubu nie zawahał się ani chwili i postanowił zaatakować nietylko Rząd Tymczasowy, ale i Chłopickiego strącić z piedestału.

Powodzenie oślepia, a dotychczas istotnie niezwykłe powodzenie towarzyszyło Mochnackiemu. Podeptał Radę Administracyjną, powalił Lubeckiego, a miał za sobą siłę klubu i opinję ulicy. Więc ufny w swą moc i gwiazdę szczęścia żwawo przystąpił do nowego zamachu. Pospieszył na posiedzenie klubu, by tam jeszcze silniejsze, niż dnia poprzedniego wywołać wzburzenie i przy pomocy tłumów zamiar swój urzeczywistnić. A tak był pewny siebie, że o zamiarach swoich nie uprzedził przyjaciół, nie wtajemniczył w swe plany nawet Bronikowskiego, nic nie przygotował, aby zapewnić sobie powodzenie.

W swem zaślepieniu zapomniał, że klub nie jest organizacją ściślejszą, że do sal redutowych każdy ma prawo wstępu, że na zebrania klubu uczęszczają nietylko rewolucjoniści. Zapomniał i o Lubeckim. A tymczasem Lubecki pamiętał i o Mochnackim, i o klubie, i o charakterze zgromadzeń w salach redutowych.

I właśnie, kiedy Mochnacki spieszył na posiedzenie, by zadać śmiertelny cios nowemu rządowi i Chłopickiemu, książę-minister przy pomocy Aleksandra Wielopolskiego i możnej rodziny Łubieńskich, z pomocą przyjaciół, bliższych i dalszych krewnych, znajomych, klientów, podwładnych, protegowanych, wypełniał sale redutowe swoją publicznością.

A twórca klubu, przyszedłszy na posiedzenie, ani przypuszczał, co się święci. Pewny siebie, wszedł na trybunę, krytykował nowy rząd i, unosząc się coraz bardziej, zaczął oskarżać ludzi z „imionami historycznemi", dowodzić, że osobistości, noszące te imiona, dozwalają uchodzić w. księciu i są w otwartem przymierzu z nieprzyjaciółmi kraju.

Szmer niezadowolenia przebiegł audytorjum, ale płomienny mówca nie zważał na to.

— „Nie ufajmy, — wołał, — imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze. Generał Chłopicki nie dopełnia swego obowiązku!..."

Teraz szmer przerodził się w jawny protest, rozległy się sykania, krzyki, głosy oburzenia. Ale młody trybun szedł nieopatrznie dalej i ani myślał się cofać. Krzyki rozogniały go tylko, a gdy wzrosły do tego stopnia, że trudno było mówić, mówca wybuchnął, jak rozsadzona mina i w uniesieniu, nie znającem granic, zawołał na całą salę:

— „Mości panowie, Chłopicki zdradza rewolucję! Przyszedłem tu oświadczyć wam, że się usuwam od władzy, która naród stawia nad przepaścią. Dokończmy to, cośmy zaczęli, idźmy znowu, idźmy wszyscy razem z bronią i postanówmy rząd rewolucyjny!"... [1]).

---

[1]) M-cki. «Powst. Nar. Polsk.», Tom II, str. 128.

Zaledwie przebrzmiały te słowa, stała się rzecz całkiem przez Mochnackiego nieprzewidziana. Sala zatrzęsła się od oburzenia. Na głowę mówcy, niby ulewa ciężkich kamieni posypały się tysiączne obelgi. Rozległy się ogłuszające okrzyki, świst, tupot, szczęk szabel, a z tego piekielnego tumultu raz po raz wydostawały się pojedyńcze słowa, w których młody trybun najwyraźniej słyszał groźbę śmierci.

To gniew Lubeckiego przemówił.

Mochnacki, który wyobrażał sobie przed chwilą, że tylko krok jeden dzieli go od władzy, zaskoczony znienacka, ogłuszony przeraźliwym rykiem zgromadzenia, ani rozumiał, co się z klubem stało, ani wiedział, jakim sposobem stanął nagle w obliczu niebezpieczeństwa. A sytuacja z każdą chwilą przedstawiała się groźniej. Hałas rósł, wzmagał się, potężniał, a okrzyki śmierci grzmiały coraz gwałtowniej. Mochnacki zeszedł ze stołu, który był w klubie mównicą — i stanął naprzeciw burzy. Cała sala mu wygrażała. Lecz oto na opuszczonym przez trybuna stole ukazał się Albert Grzymała, — i szalejące żywioły ucichły na chwilę. Ale mowa Grzymały pogorszyła tylko położenie Mochnackiego. Mówca ten dowodził, że ustąpienie w. księcia przyniesie krajowi korzyści, zliberalizuje Rosję i zjedna w niej Polsce stronników. A tłum słuchał i potakiwał mówcy. Teraz dopiero spostrzegł się Mochnacki, że inni ludzie wypełniają dnia tego sale redutowe, że zamiast przyjaciół ma przed sobą tłum zdecydowanych wrogów. Rewolucjoniści stanowczo byli w mniejszości, nie mogącej przeciwdziałać stronnikom Lubeckiego. Pomimo to Mochnacki postanowił spróbować jeszcze siły swej wymowy i bronić się do ostatka. Więc przerwał Grzymale i zamierzał mu

oponować. Nadaremnie. Tłum nie chciał już słuchać trybuna.

Niewątpliwie publiczność, wypełniająca salę, wierna była wskazaniom Lubeckiego, ale również nie ulega kwestji, że Mochnacki, znieważając majestat Chłopickiego, znieważył i samą publiczność. Oburzenie jej było szczere i wielu wahających się, czyją trzymać stronę, porwało za sobą.

Sytuacja pogorszyła się jeszcze, gdy po Grzymale zabrał głos zręczny adwokat Wojciech Wołowski i frazesami, które od wieków w Polsce chętny znajdowały posłuch, słówkami o jedności i zgodzie zaczął zwalczać wywody Mochnackiego. Wołowski, jakgdyby Mochnacki nie chciał jedności, przedstawił go jako warchoła, myślącego jedynie o wyniesieniu samego siebie, przeciwstawił mu „bohatera" Chłopickiego, osiwiałego w bojach generała, męża, zasłużonego ojczyźnie i uroczyście zapewnił zgromadzonych, że rząd działa rewolucyjnie. Kończąc swą mowę, powołał się na Bronikowskiego i zażądał, aby wiceprezes klubu potwierdził jego słowa.

Wówczas liczne głosy zaczęły wywoływać Bronikowskiego.

Mochnackiemu mogło się wydawać, że jest uratowany, że dziwny traf, powołujący do głosu w tej uroczystej chwili współtowarzysza i współmyśliciela mimo wszystko przeważy szale opinji, zmieni całkiem sytuację i obuch śmierci, wiszący w powietrzu, na inną skieruje głowę. Bronikowski był jednym z jego najbliższych przyjaciół. W ciągu kilku lat obaj szli razem, ręka w rękę. Poznali się jeszcze w związku Wolnych Braci Polaków, należeli do spisku Wysockiego, kilka lat z rzędu pracowali wspólnie w Ga-

zecie Polskiej i w Kurjerze Polskim. W nocy 29 listopada jeden i ten sam posterunek zajęli na Starem Mieście, razem założyli klub i razem szli na czele deputacji atakować w Banku Radę Administracyjną. Mnóstwo wspomnień i tysiące wspólnych myśli łączyło ich z sobą. A Bronikowski znaczył w tej chwili wszystko.

Mógłże Mochnacki zwątpić w przyjaciela? Niezawodnie otucha musiała wstąpić w jego serce, gdy ujrzał na trybunie swojego kamrata, gdy wszystkie oczy zawisły na ustach Bronikowskiego, a w sali stało się cicho, bardzo cicho...

Ale był to dla Mochnackiego dzień niespodzianek.

Bronikowski zaledwie był powrócił z banku, w którym przed chwilą słyszał mowę Lubeckiego wobec kilku członków rządu i Lelewela.

„Czy dobrze, czy źle będzie dla Polski, — mówił minister, — że rewolucja wybuchnęła, to skutek pokaże; ale kiedy już tego, co się stało, cofnąć nie można, powinniśmy jako Polacy starać się, aby rewolucja zwyciężyła. Mamy wojsko, pieniądze, gubernje polskie, sprzyjające powstaniu, mamy za sobą wiele nadziei zagranicznej pomocy; nie powinniśmy więc rąk opuszczać, ale działać. W rewolucji nadewszystko trzeba działać szybko; zatrzymywać się w niej, jest to samo, co się cofać. Powinniśmy iść naprzód; Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina, powinny być teatrem naszych działań; Królestwo Polskie powinno być naszą rezerwą i dostarczać innym prowincjom broni, instruktorów, pieniędzy, ludzi. Jedna bitwa wygrana może nas zaprowadzić dalej, niż się spodziewać możemy; ale na-

dewszystko potrzeba nam rządu energicznego i szczerych chęci"... [1]).

Czy słowa Lubeckiego zawierały jakiś sens ukryty, czy miały jakiś cel, tylko ministrowi wiadomy i czy rzeczywiście w formie tak stanowczej i rewolucyjnej wyrzeczone zostały, to rzecz inna, ale Bronikowski uwierzył naraz w ministra jak w Pana Boga i gotów był w tej chwili bronić rządu. Otóż powołany nagle do głosu, a naprędce powiadomiony o przedmiocie obrad, zapomniał o klubie, o Mochnackim, o swojej roli wiceprezesa, tylko uszy miał pełne słów Lubeckiego. W takiem usposobieniu wygłosił mowę, której wywód można streścić w trzech słowach: rząd działa rewolucyjnie... [2]).

Po tej przemowie burza wybuchła ze zdwojoną siłą. Wówczas Mochnacki z karabinem w ręku wdarł się na mównicę i ostatnim wysiłkiem rozpaczy próbował ratować siebie, klub i sprawę, którą klub reprezentował. Lecz na nic nie zdały się te wysiłki. Szalejący tłum nie dopuścił go do głosu. Mochnacki widział dokoła siebie wzburzenie, nad którem nie miał już władzy.

Zbliżała się chwila krytyczna.

Tłuszcza miotała wymysłami. „Oszczerca, terrorysta, Robespierre polski!" — grzmiało w całej sali.

---

[1]) «Kronika Emigracji Polskiej». Paryż 1835, tom III, str. 213—314 (Ksaw. Bronikowski: «Sprostowanie niektórych szczegółów, tyczących się klubu patrjotycznego w Warszawie»). To, co Bronikowski mówi, potwierdza w opowiadaniu swojem Grzymała.

[2]) Mochnacki powiada, iż oświadczenie swe poparł Br. słowem honoru, lecz Bronikowski w artykule swym kategorycznie temu zaprzecza.

Śród piekielnej wrzawy oficerowie, przysłani przez Lubeckiego, dobyli szabel i, torując sobie drogę do trybuny, szli na Mochnackiego z groźnym okrzykiem. A akademicy, chcąc powiększyć zamieszanie, zaczęli gasić świece i dogorywające lampy.

— „Zginiesz, zginiesz, zginiesz!" — rozlegało się w ciemnościach [1]) i tłum skłębił się, jak czarny potwór gotowy do skoku. Jakieś ręce wyciągnęły się ku mównicy i zmiotły Mochnackiego ze stołu, czyjś bagnet przylgnął mu do piersi. Śmierć zajrzała w oczy osaczonemu zewsząd trybunowi. Na szczęście, w tym krytycznym momencie przedarło się do Mochnackiego grono przyjaciół, odepchnęło napastników i, korzystając z ciemności, wyprowadziło zagrożonego towarzysza na dziedziniec.

Mochnacki był uratowany, ale klub padł pod ciosem, wymierzonym przez Lubeckiego. Mochnacki mógł teraz już tylko o własnym myśleć ratunku, bo sprawy uratować było nie sposób. Lecz nie o sobie myślał w takiej chwili. Powalony na ziemię, zdeptany, upokorzony, zabity moralnie, osaczony przez ludzi, którzy go chcieli rozsiekać, nie zwątpił jeszcze o sobie i nie wyrzekł się ideału, który mu przyświecał. Ledwie z życiem uchodził z posiedzenia klubu, w uszach dzwoniła mu jeszcze groźba śmierci i niby zatrute strzały goniły go obelgi gawiedzi, ale w głowie powstawał już plan nowy, jak wszystkie jego plany, zuchwały, a nawet jeszcze zuchwalszy, niż poprzednie. Cierpiąca bez miary ambicja rozpalała w twórcy klubu energję i rozżarzała ją w pożar nienawiści. Lubecki! ku niemu teraz biegły wszystkie myśli Mochnackiego

---

[1]) «Polak Sumienny» z d. 5 grudnia 1830 r.

i jak drapieżne ptaki zatrzymywały się nad głową ministra. Lubecki, mimo, że podał się do dymisji, nie założył rąk bezczynnie, lecz ścigał swojego wroga, był wszędzie. Niewidzialny i niesłyszalny patrzał tysiącem oczu, przemawiał tysiącem gardzieli, błyskał bagnetem i szablami. Lubecki zabił klub. To było jasne. Lubecki ściągnął z piedestału swego przeciwnika i cisnął go w błoto pogardy. To również nie ulegało wątpliwości. I o cokolwiek zaczepił Mochnacki myśl swoją, cokolwiek wziął pod uwagę, wszystko zaczynało się od Lubeckiego i na Lubeckim kończyło. Więc straszna zawziętość skłębiła się w piersiach i blady gniew wezbrał w mężnem sercu trybuna. Raz jeszcze postanowił dać odpowiedź Lubeckiemu, ostatni raz!...

I oto na drugi dzień zrana dopadł konia i jak płomień pomsty pomykał ulicami Warszawy. Zatrzymywał się przed oficerami, namawiał ich, aby generała Szembeka okrzyknęli wodzem naczelnym, agitował śród wojska, przystawał przed gromadzącym się na ulicach ludem, a gdzie się ukazał, tam wzniecał bunt, szerzył protest, zapalał uczucia gniewu. Słuchaczom przedstawiał po swojemu stan rzeczy, wskazywał na uchodzącego swobodnie w. księcia, szarpał Chłopickiego i wzgardą obrzucał ministrów, a przedewszystkiem Lubeckiego. Namiętnego mówcę słuchano chętnie, a tu i ówdzie obiecano mu pomoc. Wówczas Mochnacki, pokrzepiony na duchu, popędził na ulicę Orlą, na której pod gołem niebem obozowała szkoła podchorążych. Miał śród nich wielu przyjaciół, miał brata Kamila, który wywierał na kolegów wpływ duży. Liczył na niezadowolenie, panujące w szkole. I nie zawiódł się. Gorąca młodzież inaczej wyobrażała sobie pierwsze

dni powstania i działalność Chłopickiego. Mochnacki umiał wyzyskać panujące tu niezadowolenie. Przypomniał podchorążym ich czyny w pamiętną noc 29 listopada, przedstawił Lubeckiego jako potwora, który powagę „Czartoryskiego, Niemcewicza i innych patrjotów przeciw powstaniu obraca", wreszcie oświadczył, że „jeżeli szkoła, która zaczęła rewolucję, nie zbawi jej w tej zaraz chwili wielką energją, wszystko niepochybnie wróci do dawnego porządku". Namiętna mowa trafiła do przekonania młodzieży. Podchorążowie, nie pytając, o co chodzi, nabili karabiny i stanęli w ordynku.

Mochnacki ruszył na czele szkoły do banku. Teraz już nie wątpił, że ma w swych rękach potężnego przeciwnika...

Ale zaraz na Lesznie podchorążowie spotykają swego instruktora. Mochnacki oznajmia Wysockiemu, że idą do banku i prosi go, aby objął nad szkołą dowództwo. Wysocki zaczyna się wahać. Wtedy Mochnacki, chcąc uspokoić przyjaciela, wyznaje mu otwarcie swój cel i powiada, że chodzi tylko o to, aby pewien mózg finansowy prysnął „pod sklepienia bankowe" i zreflektował „mózgi mniej zatwardziałe". Ale te „uspokajające słowa" działają na Wysockiego, jak uderzenie pioruna i w jednej chwili rozpraszają jego wątpliwości. Przerażony do najwyższego stopnia, klęka on na bruku przed szeregiem i woła, że droga do banku po jego, Wysockiego, trupie prowadzi. Ten krok natychmiast odniósł skutek, — szkoła posłuszna swemu ukochanemu instruktorowi powróciła na stanowisko.

Mochnacki pozostał sam.

I teraz dopiero uczuł się bezsilnym. Zawiedli go przyjaciele: na skraju przepaści postawił go Bronikowski, a gdy chciał się ratować, Wysocki nie podał mu ręki. Dziwnie los naigrawał się z młodego bojownika. Wczoraj stał jeszcze na szczytach, dziś głęboko był zanurzony w błocie pogardy; przed chwilą wyobrażał sobie, że życie Lubeckiego ma w ręku, a niebawem dostrzegł, że to Lubecki nóż trzyma na jego gardle.

Teraz zwątpił w sprawę i już tylko nad własnem położeniem zaczął się zastanawiać. Niebawem miał się przekonać, że położenie to jest bardzo tragiczne.

Lubecki dnia tego również nie próżnował. Klientela ministra rozniosła po całem mieście wieść o wczorajszem posiedzeniu klubu i nie oszczędzała słów, aby w najczarniejszych barwach przedstawić strasznego jakóbina. Z drukarni ministra skarbu wyszedł w świat nowy dziennik p. n. „Polak Sumienny" i ostrymi zarzutami godził w Mochnackiego, podając do wiadomości ogółu, że twórca klubu był podwładnym Szaniawskiego i pracował w biurze cenzury.

„Klub, utworzony w sali redutowej, stał się mimo woli pewnej fakcji, która się starała za jego pośrednictwem podburzać umysły dla wyniesienia swych członków, nowym dowodem jedności zdań w naszym narodzie",—pisał „Polak Sumienny" i energicznie ujmował się za Chłopickim: „Okrzyki nieukontentowania i pogardy zmusiły M. Mochnackiego do milczenia, gdy śmiał płochym swoim głosem targać się na nienaruszoną sławę tego męża, który jako naczelny wódz ma nas do zwycięstwa prowadzić... Niech nie sądzi, że miejsce, które miał w cenzurze, nadało mu monopolium światła. Niezgrabne i śmieszne są jego kroki,

równie jak zamiary, do których się przyznaje, szkodliwe dla dobra kraju. W jego umyśle łączy się żądza niespokojności z chęcią naśladowania Dantona i Robespierr'a" [1]).

Jednocześnie ukazały się dwie odezwy gwardji akademickiej, potępiające Mochnackiego w sposób bezwzględny, stanowczy. Jedna z tych odezw głosiła: „Gwardja honorowa, złożona z młodzieży uniwersytetu, ma obowiązek ogłosić publicznie", że z Maurycym Mochnackim „żadnego udziału nie ma i nie podziela zdań jego, a szanując prawo i Rząd Tymczasowy, ma najwyższe zaufanie w osobach tenże rząd składających i na jego rozkaz wszędzie pójdzie. Ponieważ... Maurycy Mochnacki zapisanym był w kampanji 10 gwardji naszej, zostaje z niej wymazany" [2]). W innej odezwie, wystosowanej do Chłopickiego, akademicy obiecywali utopić „oręż w piersiach każdego zuchwalca, który się poważy ubliżyć najwaleczniejszemu z walecznych"...

Artykuł „Polaka Sumiennego" i odezwy akademików były pastwieniem się nad bezbronnym działaczem, ale zawziętość przeciw niemu była tak wielka, a pogłoski, krążące o nim tak straszne [3]), że czyniono wszystko, aby raz na zawsze unieszkodliwić zuchwalca. Na domiar nieszczęścia tegoż dnia gen. Chłopicki posprzeczał się z gen. Krukowieckim i sprzeczkę tak

---

[1]) «Polak Sumienny» Nr. 1, 2, 3, 4 (N-ra te zostały wydane razem) z d. 5-go grudnia 1830 r. Na wzmiankę o cenzurze odpowiedział M-cki listem, umieszczonym w rozdz. II.

[2]) «Gazeta Polska» Nr. 323 z d. 6 grudnia 1830 r.

[3]) Zdaje się, że Lubecki zdążył przejrzeć i akta sprawy M-go i wiadomość o jego memorjale rozgłosić. Ale w żadnem z pism ówczesnych z tych dni nie znalazłem o tym memorjale wzmianki.

wziął do serca, że czując się słabym położył się do łóżka. Wnet rozgłoszono po mieście, że to Mochnacki wtargnął do mieszkania generała i nazwał go zdrajcą. Chłopicki dostał apopleksji, Chłopicki niebezpiecznie chory! Chłopicki dogorywa!—wołali akademicy i trwogę rozsiewali w stolicy. Teraz wszyscy zaczęli się oburzać i odgrażać szaleńcowi, aż od okrzyków zawrzała Warszawa. Prof. Lach Szyrma, dowódca akademików, otoczył dom, w którym mieszkał Mochnacki, zabrał jego papiery, a nie znalazłszy przestępcy w mieszkaniu, złożył sąd na ulicy i zaocznie skazał go na śmierć. Tłumy powtórzyły ten wyrok i groźba śmierci leciała z ulicy w ulicę. Tysiące oczów szukało sprawcy nieszczęścia, tysiąc bagnetów i szabel groziło straceńcowi. Wzburzenie doszło do takiego natężenia, że lud warszawski, ten sam lud, który w klubie oklaskiwał swego trybuna i jak tryumfatora prowadził go parę dni temu do banku, ten sam lud, podniecony odezwami, wzburzony mnóstwem pogłosek, krążących o Mochnackim, zaczął w kilku punktach stolicy wznosić szubienice dla wczorajszego ulubieńca.

A Mochnacki, opuszczony przez wszystkich, słyszał tę wrzawę i widział, że fatum nieubłagane ciągnie go w przepaść. Duch w nim zamarł, skuliła się jego wola, z serca uleciało męstwo. Już nie umiał wykrzesać z siebie mocy. Postanowił się bronić, napisał nawet kilka odezw, ale nie miały one w sobie akcentów przekonywujących. W jednej z nich protestuje, jakoby obraził Chłopickiego, a następnie tak pisze:

„Młodzieży! imieniem ojczyzny wzywam was, nie dawajcie wiary fałszom, z istoty wytrawionym. Nie osławiajcie Towarzystwa Patrjotycznego. Potrzebne

są takie zgromadzenia w każdej rewolucji. Należy je tylko tak uorganizować, żeby Rząd Tymczasowy wspierały i zapał, skoncentrowany w stolicy, po całym rozszerzały kraju. Rząd tymczasowy jest historyczny: zdobią go wspomnienia i osoby historyczne; wszystko to budzi zaufanie w Polakach. Z tego potrzeba korzystać i coraz głośniej rozszerzać popularność i sławę tych osób. Ale polityka Rządu Tymczasowego jak na teraz jest i powinna być ostrożna, przezorna, niewybadana. Co innego towarzystwa i kluby patrjotyczne! Te jawniej, śmielej i energiczniej postępować mogą. Mogą uprzedzać życzenia Rządu i działać z wielkim dla kraju pożytkiem. Tę myśl należy dobrze zrozumieć... Schodząc z trybuny słyszałem z kilku stron wyrazy: Zginiesz! zginiesz! zginiesz! Polacy! niechaj nie powiedzą postronni, żeśmy przywykli do milczenia, i że w długiej niewoli osłabły nerwy i organy słuchu naszego, że teraz drżą na dźwięk szczerego i śmiałego głosu. Niech żyje generał Chłopicki! Niech żyje Rząd Tymczasowy, ale niech także żyje wolność druku, wolność mówców Towarzystwa Patrjotycznego!" [1]).

Obok tej odezwy, zatytułowanej: Odwołanie fałszywych pogłosek ogłosił jeszcze oświadczenie, w którem protestuje, jakoby otrzymał misję wypowiedzenia Chłopickiemu słów obelżywych.

„Jabym się nie podjął podobnej misji. Towarzystwo Patrjotyczne ma w głębokiej czci i poważaniu dostojnego męża, doświadczonego wodza, kochanego w narodzie bohatera. Na nim wszyscy zasadzamy nadzieję powodzeń oręża polskiego. Nic łatwiejszego

---

[1]) «Polak Sumienny» z d. 5 grudnia 1830 r.

jak rozgłaszać teraz fałszywe pogłoski i narażać nieprawdą na niebezpieczeństwo życie osób, chcących je poświęcić, ale dla pożytku dobra powszechnego"...[1]).

Odezwy te ukazały się niemal jednocześnie z odezwami, które szarpały cześć Mochnackiego...

Jakże mizerną, jakże niegodną trybuna rewolucji była taka obrona! Członkowie klubu sarkali na „dostojnego męża", a on sam „kochanego w narodzie bohatera" okrzyknął wobec tłumów zdrajcą! Jakże fałszywie musiały dźwięczyć w uszach rewolucjonistów te wiwaty na cześć Chłopickiego, te wszystkie frazesy o uprzedzaniu życzeń władzy, o zaufaniu do „osób historycznych", którym dnia poprzedniego odmawiał wszelkiego do ufności prawa! Jakże niezgodną z charakterem żołnierza rewolucji była ta uprzejmość względem Rządu Tymczasowego, który wczoraj usiłował zburzyć, a który dzisiaj obiecywał wspierać w Towarzystwie Patrjotycznem!...

Jak widać z tych odezw, Mochnacki, spadłszy ze szczytów powodzenia, nie umiał się zachować na nizinach zawodów i rozczarowań. Wielki jako tryumfator, nieporównany w walce, był bardzo pospolity w upadku. Jako zwycięsca miał gest i styl, jako zwyciężony sam dobrowolnie odzierał się z uroku wielkości. Gdybyż, pisząc te odezwy z ukrycia, bryznął w nich pianą wściekłości lub spokojnie, jako mąż stronnictwa stwierdził swą klęskę, gdybyż przynajmniej do końca zachował swój sztandar, niesplamiony małodusznym kompromisem i, nie mogąc się bronić, milczał!... Niestety, w owej chwili musiał Mochnacki we własnych oczach widzieć się nieszczęsnym, małym,

---

[1]) «Patrjota», Nr. 5 z d. 5 grudnia 1830 r.

musiał znajdować się w tym stanie rozprężenia moralnego, jak ongi w klasztorze karmelitów, kiedy po badaniach śledczych wracał do samotnej celi.

A jeśli łudził się, że te „odwołania", w których nie miał czego odwoływać, uratują go w opinji, to tegoż dnia jeszcze czekał go zawód.

Opuściwszy ukrycie, które znalazł u jednego z przyjaciół, a w którem widocznie nie czuł się bezpiecznym, wyszedł na miasto i okryty pożyczonym płaszczem, przemykał się przez wzburzone ulice Warszawy. Ale pod tym samym gmachem, do którego miał wkroczyć na czele podchorążych, jako posłaniec śmierci, dojrzał go i otoczył tłum roznamiętniony [1]). Śmierć zajrzała w oczy pojmanemu. Ale podwoje banku były gościnnie otwarte. Więc choć w banku rezydował śmiertelny wróg Lubecki, Mochnacki, unosząc życie, wpadł do pokojów księcia-ministra. Zaiste, role tych ludzi zmieniały się jak w dramacie. Kilka godzin temu, Mochnacki szedł do tego samego gmachu, aby rozstrzelać Lubeckiego, a teraz oto wchodził, by własne życie oddać pod jego opiekę.

I oto znowu oko w oko stanęli dwaj straszni przeciwnicy: scena godna pióra wielkiego poety!...

Na szczęście dla Mochnackiego, jego wróg był gentlemanem i miał swój styl. Chciał zabić moralnie swego przeciwnika, a gdy celu dopiął i zamiast potężnego trybuna rewolucji ujrzał naraz przed sobą upokorzonego młodzieńca, zrozumiał swą rolę.

---

[1]) Idę tu za opowiadaniem Mochnackiego i jego matki. Dembowski opowiada, że Mochnacki był aresztowany i przyprowadzony do Banku.

— „Jak niebezpieczno jest, panie Mochnacki, tak wysoko latać" [1]), — powiedział delikatnie i natychmiast jako gościnny gospodarz z całą uprzejmością wprowadził do swych komnat niezwykłego gościa.

A wzburzona ulica nie przestawała wygrażać szaleńcowi.

W komnatach księcia Lubeckiego „szaleniec" czuł się bezpiecznym...

---

[1]) Listy M. Mochnackiego, str. 322.

V.

W GOŚCINIE U MINISTRA — TOWARZYSTWO PATRJOTYCZNE – NOWA POLSKA.

Mury bankowe chroniły go od gniewu rozjątrzonych tłumów. Mógł teraz z całym spokojem myśleć o niebezpieczeństwach „wysokiego lotu", o przyczynach upadku, o śmierci, grożącej mu ze strony tych, których był rzecznikiem i o ocaleniu przez tego, którego chciał rozstrzelać. Dziwił go zapewne minister, ale więcej jeszcze musiał go zdumiewać ten tłum, z którego zbiorowej piersi wydarł tajemne życzenia i wcielił w swoje gromkie słowo. Chciał zatrzymać w Warszawie w. księcia Konstantego, rozbroić jego gwardje, pchnąć natychmiast silny oddział wojsk polskich na Litwę, rozrzucić żagwie buntu po całej ziemi polskiej i rozniecić pożar, któregoby żadna siła nie mogła opanować. Tego chciał i lud Warszawy, o tem marzyli podchorążowie, spiskowcy, rewolucjoniści, wojsko. Ale w tej masie on jeden wierzył niezachwianie w możność zwycięstwa. On jeden czuł się zdolnym dobre chęci zamienić w czyn. Więc pragnął wyrwać władzę z rąk dostojników, co nie umieli się wznieść nad potępienie „smutnych wypadków" historycznej nocy, co nawoływali do spokoju, i byli bez-

czynni, kiedy należało działać błyskawicznie, kiedy niepokój należało szerzyć. Mochnacki zapłonął gniewem i porwał się do walki, a w tej walce pomagały mu tłumy, te same tłumy, które teraz wznosiły dla niego szubienice...

Czemże zasłużył na stryczek? Jakiż popełnił występek? W czem zbłądził?...

Oto jak sam później powiadał, biegł do władzy „nagle, n a d t o n a g l e i dlatego bez skutku". Ale nietylko niepohamowany pośpiech był przyczyną upadku. Porażka Mochnackiego głęboko tkwiła w nim samym. Pędził naoślep jak wichura, kłębami swojego zapału oczarował i porwał za sobą masy, i oślepiony tryumfem, przestał zważać na nie. Jego myśl jasna i przenikliwa, a chybka jak lot strzały, wyprzedzała wypadki. Nie dostrzegał, że za tą myślą nie podążają masy, że przestrzeń, dzieląca go od wyobrażeń ulicy, powiększa się nieustannie. A gdy się opatrzył, był już sam. A gdy chciał powrócić do swojej armji, ta przywitała go okrzykami śmierci...

W swojem P o w s t a n i u N a r o d u P o l s k i e g o powiada Mochnacki, że to Lubecki obruszył na niego całą stolicę. I tak było niewątpliwie, ale przewaga ministra wyrosła na błędach, które popełnił jego przeciwnik. Mochnacki zbytnio ufał sobie, a tak był oszołomiony swojem powodzeniem, że ani się spostrzegł, iż oskarża rząd przed jego zwolennikami. I nieopatrznie zarzucił Chłopickiemu zdradę. To była lekkomyślność, która nie mogła się nie zemścić. Bo Chłopicki nie był zdrajcą. Uwielbiany generał z przekonania potępiał rewolucję i zdania swego nie taił. Wprawdzie masy nie wiedziały o tem i w bohaterze z pod Saragossy upatrzyły sobie męża opatrznościo-

wego, Mochnacki zaś swoim bystrym wzrokiem przeszył nawskroś intencje wodza i pierwszy je odgadł. Ale na intencje te rzucił światło fałszywe. W dniach owych było niebezpiecznie krytykować Chłopickiego, a cóż dopiero zarzucać mu zdradę! Mochnacki źle zabrał się do rzeczy. To też zamiast kogokolwiek przekonać, wywołał powszechne oburzenie. Znieważając Chłopickiego, znieważył majestat całej opinji stołecznej.

I to go ostatecznie zabiło.

Zaledwie kilka dni trwała ta walka, ale przez ten krótki czas fala rewolucyjna na sam szczyt wyniosła Mochnackiego. W tych kilku dniach niewidziany przedtem na arenie publicznej młodzieniec tak potężnie uderzył w zbiorową pierś społeczeństwa, iż zbudził w niej uczucia, dławione w ciągu lat całych. On to rozkołysał morze niepokoju i podniósł nastrój stolicy. On usunął od steru wszechwładnego ministra, wpłynął na zmiany w Radzie Administracyjnej i zatrząsł Rządem Tymczasowym. On ze zdradliwej sieci dyplomatycznej na jasną wodę wyprowadzał dzieło listopadowe, a rzucając hasło wkroczenia na Litwę, nadał barwę polityczną powstaniu...

W ciągu tych kilku dni popełnił kilka błędów, ale wykazał nielada odwagę i złożył świadectwo tej prawdzie, że „czas i charakter czasu stwarza mocna wola". Padł w końcu, ale upadek jego stał się faktem historycznym. Wraz z jego upadkiem padł klub, zniknęły z powierzchni elementy rewolucyjne — i natychmiast „porządek" zapanował w stolicy. A fala, która Mochnackiego zmiotła z widowni, z jego piersi brała swój początek, — i w tem tkwi tragiczny pierwiastek upadku. Z ognia, który wzniecił własnemi rękoma,

z płomieni i dymów rewolucji wyłonił się potwór reakcji i w biały dzień wychodził na rozżarzony bruk miasta.

To był ostateczny rezultat jego usiłowań...

Ale i reakcja musiała mieć swoje granice, a trybun ludu mógł się pocieszać w swoim upadku, że tryumfująca idea jego, granice te zakreśliła. Po zdarzeniach, które wstrząsnęły Warszawą, po dniach nadzwyczajnego zapału i zwycięstwach ulicy, dalsze ubolewanie nad „smutnymi wypadkami" groziło już niebezpieczeństwem. A Chłopicki nie był mężem, który odpowiadał wymaganiom chwili. Mochnacki to rozumiał. Więc patrząc w przyszłość, mógł się nie wyrzekać wysokiego lotu, mógł czekać wydarzeń, które pozwolą mu wypłynąć na widownię i odegrać rolę, do jakiej czuł się zdolnym. Ale tymczasem zmuszony był wsłuchiwać się w szum burzy reakcyjnej, w łoskot klątw i złorzeczeń, któremi go ścigano, a które nie ustawały na chwilę. Sklepienia bankowe chroniły go od tej ulewy wymysłów, ale wystarczyło przerzucić gazety, aby się przekonać o nastroju stolicy.

A nastrój zmienił się szybko. Fala reakcyjna rozlała się szeroko i nie mogło ulegać najmniejszej wątpliwości, kogo wyniesie na swoim grzbiecie. „Rozsądek i umiarkowanie, — pisał nazajutrz jeden z popularniejszych w Warszawie dzienników, — niechaj wszelkim naszym towarzyszą czynnościom. Lecz żeby te czynności były jędrne, przeważne, stanowcze, do jednego zgromadźmy je środka. Wszakże mamy mężów, którzy przez swoje życie publiczne słusznie pozyskali ufność całego narodu i słusznie ją dotąd posiadają. Mamy dziś pośród nas drugiego Kościuszkę, mamy Chłopickiego, biegłego wojownika, prawego Polaka,

męża, pełnego cnót obywatelskich... Mąż ten zna w całej obszerności wysokie powołanie swoje teraźniejsze; jemu ufajmy, w nim wszelką naszą władzę zjednoczmy; w nagłych wypadkach oddajmy mu władzę dyktatorską, niech będzie naczelnikiem narodu”... [1]).

Tak więc człowiek, w którego Mochnacki godził jako w jedną z głównych podpór reakcji, pasowany został na drugiego Kościuszkę. W dzielnym żołnierzu, lecz najgorszym polityku, w bohaterskim generale, lecz małej wiary Polaku widziano jedynego zbawcę, przygotowywano dla niego władzę, jakiej nigdy w tym kraju nikomu dobrowolnie nie ofiarowano. I tegoż dnia jeszcze, Chłopicki, otoczony świetnym sztabem, wyjechał na Plac Broni i tam wobec zgromadzonego wojska oraz nieprzeliczonych mas ludu ogłosił swą dyktaturę. Szalona radość zapanowała w Warszawie.—„Sprawa nasza ocalona, dnia wczorajszego generał Chłopicki ogłosił się dyktatorem!” — wołały nazajutrz dzienniki. I cieszyła się stolica, cieszył się kraj cały, jakgdyby w piersiach tego dyktatora istotnie biło serce ojczyzny.

A wraz z entuzjazmem i wiwatami na cześć Chłopickiego dochodziły uszu więźnia i echa oburzenia, które wystąpieniem swem wzniecił. Pisma warszawskie za przykładem Polaka Sumiennego nazywały go teraz „byłym członkiem cenzury”, a Gazeta Polska, jeszcze przed rokiem organ „członka cenzury” w wyrafinowany sposób objawiała mu swoją odrazę: „Czemuż, niestety! między nami jeszcze ziemia nie pochłonie zuchwalców, co ważą się targać

---

[1]) «Gazeta Polska» Nr. 322 z d. 5 grudnia 1830 r.

podejrzliwą myślą, buntowniczem rozumieniem na ster i świętość osób, w których ręku i władzy życie, majątki, myśli nawet nasze składamy?... Czemu ta hydra niecnoty, płaszczykiem dobrego myślenia pokrywająca się, nie znajdzie posłańca bogów, któryby jej wskazał prawdziwe przeznaczenie i zbawczą dłonią, jak stróża wędrownej Ino, nie zeszle w krainy piekieł, gdzie zdradne dusze potępieńców Targowickich w bezdennych jęczą czeluściach. Młodzież śmie dyktować kierunek wodzom, tylekroć na polu zwycięstwa laurową uczczonym gałązką. Zapamiętały młodzieniec najdroższe chwile wodza naszego zatruwa goryczą. Biada mu w późne pokolenia, przekleństwo nasze na głowie jego niech ciąży!" [1]).

— Precz z klubami! — wołano w całem mieście i nawet piosnka zrodziła się na bruku stolicy:

Precz z klubami! precz z klubami!
Kiedy radę mamy!
Wszak orężem, nie językiem
Wolność odzyskamy [2]).

Niejedną gorzką godzinę musiał Mochnacki przedumać pod „sklepieniami banku". Te smutne chwile samotnych rozmyślań urozmaicał tylko uprzejmy gospodarz. Pamiętał bowiem książę-minister o swoim gościu i nieraz do późnej nocy wiódł z nim dysputy. Lubecki z wzrastającym podziwem patrzał na Mochnackiego i ze zdumieniem słuchał jego wywodów. Minister, nieporównany djalektyk, niezwyciężony w dyskusji, może po raz pierwszy w życiu natrafił na gracza, który i w szermierce na słowa na krok mu nie

---

[1]) «Gazeta Polska» Nr. 322 z d. 5 grudnia 1830 r.
[2]) «Zbiór pism rozmaitych». Warszawa 1830, Nr. 7.

ustępował. Ale i Mochnacki z równym podziwem patrzał na swego przeciwnika: dwa przeciwległe bieguny były jakgdyby zdumione swoją bliskością. A jak biegunowo różne były poglądy tych dwu szczególnych zapaśników, tak różną była i broń, którą ze sobą walczyli. Zuchwałość Mochnackiego trafiała na mur rozwagi, chłód Lubeckiego roztapiał się w ogniu uczucia. Ale przenikliwość obu była ta sama, ale dowcip trafiał na dowcip, precyzja mierzyła się z precyzją — i w tym szczególnym pojedynku nie było zwycięzcy, ani zwyciężonego. Niestety, szczegóły tej szermierki zaginęły dla potomności, utrwalił się tylko podziw wzajemny. Lelewel opowiada, że Mochnacki znalazłszy schronienie „w pokojach tego samego ministra, który na niego całą oburzył stolicę... długo i długo w noc, z tymże ministrem w szklanym pokoiku rozmawiał, a minister, całą gębą minister, mając myszkę w łapce, wyszedł na salę rządową w najwyższej dla niego admiracji:

— To to człowiek! jakie zdanie, jakie przenikliwe widzenie! jak głębokie pojęcie! nie znałem go!...

Kłęby dymu z tureckiego cybucha przydusiły resztę myśli i podziwu Lubeckiego”...[1]).

Mochnacki również wyraża swój podziw, ale nie wystawia ministrowi pochlebnego świadectwa:

„Jako jeniec rewolucji,— pisał w kilka lat potem,— miałem sposobność poznać bliżej księcia Lubeckiego, w którego domu się ukrywałem. Postępował on sobie ze mną najuprzejmiej i rozmawiał po kilka godzin. Przekonałem się, że nie było nadeń zręczniejszego

---

[1]) Joachim Lelewel. Polska odradzająca się... Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 171—2.

człowieka w Polsce, ale zarazem więcej upartego w swem systemie, które zależało na tem, żeby dobro kraju naszego całego opierać na najściślejszym związku z Cesarstwem. Starałem się go przekonać, że powstaliśmy w chwili wielkiego osłabienia" Rosji, „temu wierzyć nie chciał. Mówiłem mu, że potęga nasza, gdyby razem powstały ziemie zabrane, jest tak wielka", że Rosja „zostałaby wyrzucona przez to samo z Europy. Zwracałem szczególniej uwagę jego na rolę, jaką gra zabór pruski w systemie politycznem państwa rosyjskiego. Na to milczał. Gdy mu wspomniałem, że powinniśmy byli w. ks. Konstantego zatrzymać, ogłosić cesarzem w Warszawie „i z jego odezwami ruszyć do Litwy, — natenczas odstąpił o kilka kroków odemnie [1]). — Był to zawsze minister, — i tylko minister Mikołaja, człowiek niepospolity, ale nie Polak" [2]).

Gościna u ministra trwała zaledwie dni kilka. Drogi dwu przeciwników rozchodziły się—i Lubecki, w którym tkwiło coś z wierności sołdata suworow-

---

[1]) Takie zachowanie się Lubeckiego byłoby najzupełniej wytłómaczone, jeżeli prawdą jest, co mówi Forster: «Zaraz po wybuchu powstania w roku 1830, ks. Lubecki jeździł do w. ks. Konstantego, nim tenże opuścił Królestwo, i starał się cesarzewicza namówić do postawienia się na czele wojska polskiego i ogłoszenia się królem polskim, czego w. książę stanowczo odmówił. To miało być główną przyczyną tego zimnego przyjęcia, jakiego doznał u dworu w Petersburgu książę Lubecki, kiedy się tam w celu negocjacji i załatwienia rzeczy w drodze porozumienia udał». Forster dodaje, że wiadomość tę otrzymał «od osoby zupełnie wiarogodnej i mogącej z dawnego położenia swego być o tem dokładnie poinformowanej». («Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830—1831» — skreślił Karol Forster. Berlin, 1873, str. 39).

[2]) M-cki «Powstanie Narodu Polskiego». Tom II, str. 134.

skiego, zamiast myśleć o wysyłaniu wojsk na Litwę, utwierdzał się w zamiarze wyjazdu do Petersburga.

Polak Sumienny, tłoczony w drukarni hankowej, a więc zasługujący na wiarę, gdy chodzi o poglądy Lubeckiego, pisze, że minister skarbu wobec licznego grona poważnych obywateli w ten sposób sformułował swoje zdanie o przyszłości powstania:

„Trojaki koniec może wziąć nasza rewolucja: albo zupełne powiedzenie się tejże, jeżeli podobna rewolucja powstanie w Rosji...[1]) albo zupełna zguba narodu, jeżeli w walce ulegnie; albo nakoniec naród może zyskać zapewnienie wolności i konstytucji, jeżeli z otwartością uda się do monarchy i przekona go, że powstanie nasze było tylko wypadkiem obrony naszych osób i obrony naszych praw gwałconych"...[2]).

Ta ostatnia perspektywa miała najwięcej widoków w oczach ministra. Więc podjął się misji „przekonania" cesarza Mikołaja i „zapewnienia narodowi wolności i konstytucji". I zgodnie z tem postanowieniem wyjechał do stolicy nad Newą. „Spiskowi, — ironizował później nie bez pewnej racji Mierosławski, — dali się wyprowadzić w pole przez Lubeckiego, kuglarza i alchemika, który przed powstaniem majątki krajowe zamieniał w papier przeźroczysty, a teraz powstanie samo, zamknąwszy całe w maleńki pulares, zawiózł je ekstrapocztą do Petersburga"... [3]).

Wówczas i Mochnacki musiał opuścić komnaty bankowe, a zarazem pomyśleć o nowem schronieniu.

---

[1]) Pogłoski o wybuchu rewolucji w Petersburgu nieustannie krążyły po mieście...

[2]) Dodatek do Nr. 6 «Polaka Sumiennego» z d. 7 grudnia 1830 r.

[3]) «Noworocznik Demokratyczny». Paryż 1843, str. 241.

Ukrył się w domu rodziców, ale spłoszył go stamtąd krzyk uliczny i obawa, że tłum wzburzony może się wedrzeć do mieszkania. Chłopicki jako dyktator panował wszechwładnie, a gwardja akademicka pod dowództwem Lacha Szyrmy, nie zapomniała jeszcze o „utopieniu sztyletu w piersiach szaleńca". Za ciasną stała się dla twórcy klubu stolica. Więc ratując się, postanowił wyjechać na Wołyń [1]), ale dotarł tylko do Lublina i tu rozpoczął agitację. Lecz widocznie gwiazda jego powodzenia zagasła, bo gdy na zgromadzeniu w jakiejś traktjerni wygłosił mowę, powstała taka wrzawa i tumult, jak na ostatniem posiedzeniu klubu rewolucyjnego w Warszawie. I Mochnacki znowu tylko dzięki zamieszaniu wyśliznął się szczęśliwie i raz jeszcze cało uniósł swą głowę.

Ta wycieczka nie trwała długo, bo już 14 grudnia widzimy znowu Mochnackiego w Warszawie [2]).

---

[1]) Mochnacka zapewnia, że to ks. Czartoryski i marszałek Ostrowski wyprawili M-go na Wołyń, aby tam zaniósł iskry powstania. Rzecz b. mało prawdopodobna, aby, jak pisze M-cka, była to «ukartowana chęć pozbycia się niewygodnego jasnowidza», bo Czartoryski miał środki prostsze, a na takim pośle, jak M-cki, nie mógł polegać. Natomiast jest rzeczą prawdopodobniejszą, że M-cki wyjechał z namowy Lelewela, który, jak opowiada Dembowski, wysyłał w owym czasie zaufaną młodzież na Wołyń i Litwę, aby namawiać korpusy litewskie i oddziały gen. Sackena, konsystujące na Wołyniu, do połączenia się z powstaniem.

[2]) Wprawdzie Mochnacki w swojej historji powstania twierdzi, że przez cały czas trwania dyktatury nie był w Warszawie, ale najwidoczniej pamięć go zawiodła, bo pod przedmową do swojego dzieła nakreślił: «Pisałem w Warszawie, dnia 14 grudnia 1830 r.». Grudniową datę nosi również jego «pierwsza broszura»; w grudniu również odbywały się zebrania w redakcji «Kurjera Polskiego», na które M-cki wraz z bratem Kamilem przychodził.

Uwaga stolicy, w inną zwrócona stronę, nie pozwalała teraz na zajmowanie się założycielem Towarzystwa Patrjotycznego i rozpamiętywanie przeszłości. Mochnacki mógł odetchnąć swobodniej i pomyśleć o dalszem działaniu. Na widowni szerszej obawiał się jeszcze ukazywać, ale niebawem znalazł teren, na którym swobodnie mógł zasady swoje wyłuszczać. Terenem tym stała się redakcja „Kurjera Polskiego, w której odbywały się osobliwsze zebrania. Schodziła się tam młodzież zpod jednego znaku, a więc Żukowski, Nabielak, Kamil i Maurycy Mochnaccy, Zaleski, Goszczyński, Wysocki i inni, przychodził Bazyli Mochnacki, Lelewel i Ulisses klasyków warszawskich, Osiński, przychodzili znani przywódcy opozycji sejmowej bracia Bonawentura i Wincenty Niemojowscy, Alojzy Biernacki, Ludwik Jelski, wszyscy ministrowie lub zastępcy ministrów, wszyscy kandydaci na najwyższe urzędy i dostojeństwa, ludzie wielkiego znaczenia i wpływów. Niemojowscy, stojący na czele zwartej i karnej partji kaliskiej wsławili się opozycją na Sejmie w r. 1818, a popularność ich wzrosła niesłychanie, kiedy w dwa lata później, za ich głównie przyczyną Sejm odrzucił projekty rządowe. Zwolennicy literatury francuskiej, i „klasycyzmu" w literaturze, w polityce szli za światłem głośnego podówczas w Europie pisarza francuskiego, Benjamina Constant. Przejęci liberalizmem swojego mistrza, uważali za najwyższy i najdoskonalszy ideał ustroju państwowego monarchję konstytucyjną, a parlamentaryzm — za jedyną właściwą broń walki. Konstytucjonalizm tak przeżarł ich umysły, że wszystko, co się w pojęciu tem nie mieściło, wykraczało poza sferę rozumowań braci Niemojowskich. Wybuch listopadowy pochwalali

obaj, ale obaj starali się umotywować go pogwałceniem praw konstytucyjnych i w ten sposób uczynić powstanie legalnem. Niemojowscy za nic nie chcieli wyjść poza granice konstytucji. Osobliwsza to była logika! Powstanie i konstytucja, napad na Belweder i legalność!... Pojęcia te nie mogły pomieścić się w głowach młodzieży i na zebraniach w redakcji Kurjera, którym przewodniczył zwykle Wincenty Niemojowski, wszczęły się spory. Mochnacki, stoczywszy kilka batalji z Niemojowskimi, wyniósł z tych dyskusyj pogardę dla całej ich partji i od tej pory stał się zawziętym przeciwnikiem „polityki kaliskiej". Niebawem ustały zebrania w redakcji Kurjera i młodzież, opuściwszy to pismo, zaczęła rozmyślać o wydawaniu własnego organu. A nim myśl ta została urzeczywistniona, Mochnacki za pomocą pism ulotnych usiłował oddziałać na opinję.

Dnia 24 grudnia ukazała się jego broszura p. t.: „Co rozumieć przez rewolucję w Polszcze" [1]).

W broszurze tej wykazywał znakomity pisarz różnicę pomiędzy rewolucją lipcową i belgijską a po-

---

[1]) «Pierwsza broszura Maurycego Mochnackiego: Co rozumieć przez rewolucją w Polszcze». Broszura (nieobjęta pięciotomowem wydaniem pism M-go), jak wskazuje sam tytuł, miała być pierwszą. Prawdopodobnie jako broszurę zamierzał wydać M-cki i artykuł swój, pisany 30 grudnia, lecz drukowany w Nowej Polsce dopiero 3 marca 1831 r. (artykuł ten również nie jest objęty wydaniem zbiorowem). W artykule tym, rozszerzając myśl, wypowiedzianą w pierwszej broszurze, pisał, że «noc 29 listopada zmieni i przekształci naturę stosunkow politycznych na północy Europy. Tak, — pisał, — rozumieć potrzeba kolosalną myśl polskiego powstania, które silny powiew od zachodu rozwieje w pożar nigdy nieugaszony. W tem tylko rozumieniu pojmie i usankcjonuje Europa polską rewolucję».

wstaniem polskiem. Pierwsze miały na celu zmiany wewnętrzne, natomiast „ideą naszej rewolucji jest byt polityczny narodu". Ale Mochnacki rozumiał, że walce o ten był polityczny muszą towarzyszyć hasła, zgodne z wyobrażeniami liberalnemi społeczeństw zachodnich. „Od dnia dzisiejszego przewaga wyobrażeń liberalnych, przewaga rządu konstytucyjnego w Europie nie podlega żadnej wątpliwości. Taka jest moc naszego popędu, taka siła przykładu, taki duch wieku! Rodacy! z tego tylko punktu uważajcie piękną sprawę rozpoczętą w nocy 29 listopada! Tem tylko rozumieniem trzeba pojmować rewolucję w Polsce... W tem tylko rozumieniu Europa roztrząsać, cenić i wspierać będzie wspaniałe dzieło naszego odrodzenia politycznego"...

Jednakże kładąc nacisk na „duch wieku" i konieczność liczenia się z „wyobrażeniami liberalnemi", Mochnacki nie zastanawia się, w jakich uchwałach i czynach ten „duch wieku" powinien się wyrazić. To też broszura wbrew zapowiedzi w tytule ma raczej charakter wezwania, niż teoretycznej rozprawy. A wezwanie to dymi młodzieńczym zapałem i wiarą w zapału potęgę. W każdem słowie czuć pulsowanie krwi wrzącej, namiętnej, w każdem słowie jak djament lśni nadzieja zwycięstwa. Wiedział dobrze Mochnacki, jakie siły obruszył na siebie naród polski, wiedział, jaka chmura ciągnie na Polskę z północy, ale jednocześnie jak w ewangelję wierzył w moc tego ducha, o którym mówił Mickiewicz, że „wojska tworzy i uzbraja". I czuł tego ducha w sobie, i chciał go przelać w żyły rodaków, chciał ich natchnąć męstwem, chciał rozpętać w całym kraju odwagę szaleństwa i stworzyć mur obronny, o który rozbiłyby

się zastępy nieprzyjaciół. Z gniewem spostrzegał, że nic nie robi się w kraju, aby podnieść ducha publicznego i z tego gniewu rodziły się przedziwne słowa energji, zachęty, entuzjazmu:

„Tak jest! niezliczone i dobrze we wszystko zaopatrzone zastępy” nieprzyjacielskie „pokonamy tą mocą ducha, której żadna siła nie zwycięży, jeśli się rozszerza, wzmaga, rozwija. Stolica jest ogniskiem rewolucji, jest ogniskiem ducha, którego nie rozwieje żadna przeciwność... W Warszawie do tego punktu trzeba e g z a l t o w a ć duch publiczny, duch rewolucyjny, duch powstania, żeby iskry z tego nieustającego i ciągle podsycanego płomienia pryskały i rozpraszały się na wszystkie strony... Litośnie trzeba wstrząsać ramionami, kiedy mędrkowie nasi” rozprawiają teraz, „sarkając na entuzjazm, wywołując m o d e r a c j ę i umiarkowanie. Nazywają oni zapaleńcami i t e r r o r y s t a m i tych, którzy pracują w duchu rewolucji, dla rozniecenia jej w pożar nieugaszony i niestłumiony żadnym przeciwnego wiatru powiewem, póki bytu politycznego nie uzyskamy. Liliputy i Pigmejczycy polskiego powstania mniemają zapewne, że rewolucja jest tylko drugim aktem lichego dramatu ich życia. Nie wiedzą, że rewolucja jest umiejętnością”...

Wiedział dobrze Mochnacki, że w walce, która była nieuchronna, nietylko siły brutalne walczyć ze sobą będą i rozumiał, że szanse zwycięstwa jedynie siła moralna może zrównoważyć. Rewolucja jest umiejętnością! Brzmiało to jak śmiały paradoks, ale nie było paradoksem w ustach Mochnackiego. On u m i a ł robić rewolucję, a w pierwszych dniach powstania przed całą stolicą zdał egzamin z tej umiejętności

i pouczył przyszłe władze, jaką drogą kroczyć powinny, jeśli chcą wzbudzić w masach wiarę, bez której niemasz zwycięstwa! On jeden rozumiał znaczenie pierwszych kroków w początkach rewolucji i wiedział, że od tych kroków zależeć może powodzenie sprawy. Tymczasem spostrzegał, że wszystko powraca do dawnego trybu, wszystko niemal dzieje się po dawnemu, a „przynajmniej nie tak się dzieje, jak się dziać powinno". Więc buntował się przeciw temu i gorącą krwią pisał swoje odezwy, ale jakiż wpływ mógł teraz wywrzeć na masy?

Na czele rewolucji stanął człowiek, który tą rewolucją gardził, który wierzył w siłę argumentów Lubeckiego, lecz zwątpił całkiem w siłę polskiego oręża. Dyktator, zimny jak bryła lodu, mroził entuzjazm stolicy. I właśnie wtedy, kiedy z pod pióra Mochnackiego sypały się słowa zapału, jak skry, Chłopicki czynił wszystko, aby opinję nie do wojny, lecz do układów przygotować. Pochmurnem wejrzeniem gasił dyktator przebłyski wojowniczego nastroju, słowami zniechęcenia starał się wpoić w ludność przekonanie, że wojna z Rosją jest niemożliwa. Z żołnierską otwartością, która mu zaszczyt przynosi, niejednokrotnie oświadczał, że władzę objął jedynie dla poskromienia anarchji, lecz o wojnie nie myśli. Ale Rząd Tymczasowy, otaczający dyktatora, czynił wszystko, aby te poglądy nie przedostawały się do wiadomości publicznej. Członkowie rządu łudzili się, że gdy układy zostaną zerwane, a zegar dziejowy wydzwoni godzinę walki, wówczas w tym uwielbianym generale obudzi się stary lew napoleoński i innym przemówi głosem. Tę samą nadzieję żywili członkowie Sejmu i nim 18 grudnia rozpoczęli obrady, prosili Chłopickiego.

aby piastował nadal swą władzę dyktatorską. Chłopicki uległ prośbom, ale gdy Sejm uznał powstanie za narodowe, „drugi Kościuszko" wybuchnął gniewem i złożył dyktaturę. Przestraszeni posłowie znowu zaczęli błagać dyktatora, aby cofnął swe oświadczenie. Więc opinja trwała w błędzie, a nieporozumienia pomiędzy Sejmem a Chłopickim rosły i jak wiatr igrały z władzą, przenosząc ją z rąk do rąk, od Sejmu do Chłopickiego i od Chłopickiego do Sejmu. Lecz oto w początkach stycznia 1831 r. przyjechał z Petersburga wysłany na zwiady adjutant dyktatora, podpułkownik Wyleżyński i przywiózł listy ministra sekretarza stanu Królestwa, w których minister w imieniu Mikołaja karcił ostro Radę Administracyjną, a zarazem dziękował Chłopickiemu za utrzymywanie porządku. Teraz struna przeciągnięta pękła — i Chłopicki ukazał swoje właściwe oblicze, dotąd osłaniane wstydliwie przez Rząd Tymczasowy, a później przez utworzoną na jego miejsce Radę Najwyższą Narodową. Gdy zwołani członkowie Rady po przeczytaniu listów oświadczyli się za wojną, dyktator rozkazał zwołać Sejm, a sam dnia 18 stycznia złożył ostatecznie swą władzę i zniknął z widowni.

Zgroza ogarnęła Warszawę.

„Drugi Kościuszko" spadł nagle z piedestału uwielbienia i runął w błoto pogardy. Cała stolica miotała weń obelgami, — i opinja, wierna logice opinji, mściła się teraz za swój własny błąd na Chłopickim, jak niedawno mściła się na twórcy klubu za to, że on pierwszy przeniknął zamiary dyktatora i rzucił słowo z d r a j c a na sześć tygodni przedtem, nim to samo straszne słowo zerwało się z ust stolicznego tłumu.

Pierwszy akt maskarady rewolucyjnej został ukończony.

Wówczas i Mochnacki uczuł się bezpiecznym. Oburzenie, które w swoim czasie wywołał, zgasło jak świeca zdmuchnięta. Przestano cześć jego szarpać po gazetach, a w obozie rewolucyjnym przypomniano sobie, że to on pierwszy targnął się na całą potęgę dyktatora. Zaczęto się oglądać za przenikliwym młodzieńcem. Lecz nie potrzebowano go szukać: zaledwie Chłopicki złożył dyktaturę, Mochnacki wypłynął na powierzchnię i, hardo podnosząc głowę, znowu wzniósł sztandar nieubłaganej wojny z kontrrewolucją. Władzę piastował teraz Sejm. Więc cała uwaga Mochnackiego jak chmura nad Sejmem zawisła.

„Od samego początku, — pisał Mochnacki już później na emigracji, — od nocy 29 listopada wszystkie pierwiastki kontrrewolucji były s e j m o w e. Nowa Rada Administracyjna, improwizowana przez Lubeckiego, była frakcją Sejmu. Frakcją Sejmu był wydział wykonawczy, który prosił o amnestję" w. ks. Konstantego. „Frakcją Sejmu był Rząd Tymczasowy, który zakwestjonował powstanie, który rewolucję poddał pod decyzję izb, w zamiarach, jak widzieliśmy, nie najprostszych. Frakcją Sejmu było grono, otaczające i wspierające dyktatora do 18 grudnia. Frakcją Sejmu była deputacja, której Chłopicki 17 grudnia oświadczył swoje wyznanie wiary s t a ł e i n i e o d m i e n n e, która jednak to wyznanie zataiła przed narodem. Frakcją Sejmu byli ludzie, którzy 20 grudnia s c i e n s e t v o l e n s występną dla ojczyzny dyktaturę przedłożyli i zbałamucili opinję, reprezentację, naród, Europę. Frakcją Sejmu była Rada Najwyższa, świadoma wszystkiego, co dyktator zamierzał; frakcją Sejmu

była deputacja czuwająca nad dyktaturą, bezczynna, milcząca, niedopełniająca żadnego z obowiązków poruczonej sobie kontroli. Jednem słowem, w Sejmie tym, utworzonym przed powstaniem, miały swoją podporę, wziętość, źródło wszystkie ułomności, wszystkie występki polityczne, które gubiły interes kraju, które go zatrzymały w jednem mieście, które połowę sił narodu już zmarnowały. Wszystko złe, co się stało, poszło z Sejmu i wróciło do Sejmu, tego ojca, patrona i dziedzica Rady Administracyjnej, wydziału wykonawczego, Rządu Tymczasowego, dyktatury"... [1]).

Tak pisał Mochnacki na emigracji, a choć nie wszystko złe, co się stało, poszło z Sejmu, było rzeczą bardziej niż wątpliwą, aby słaby Sejm urodził silną władzę. Posłowie, podzieleni na obozy, złożeni z elementów sprzecznych, nie dawali żadnej rękojmi, że działania ich, zgodnie z potrzebami chwili, będą sprężyste, szybkie, dzielne, że nagrodzą stracone chwile i sprawie powstania nadadzą pożądany rozpęd. Więc Mochnacki postanowił przynaglić Sejm, zastraszyć posłów, stworzyć siłę, której członkowie obu izb musieliby się podporządkować, lub zginąć, by ustąpić miejsca silniejszym. Siłę tę widział w masach stołecznego ludu. Ten lud sam przez się stanowił materjał palny, chodziło tylko o to, aby go zogniskować, rozgrzać, zapalić i poprowadzić do szturmu. Potrzebne było ognisko, które rozdmuchałoby w pożar drzemiące niezadowolenie i namiętności. Doświadczenie nabyte wskazywało, że takiem ogniskiem może być klub. Wprawdzie Mochnackiego w klubie spotkał najstraszniejszy zawód, ale nie widząc innej drogi, zdał się

---

[1]) M-cki. «Powstanie Narodu Polskiego». Tom II, str. 337—338.

na los szczęścia i postanowił wskrzesić zabite przez Lubeckiego Towarzystwo Patrjotyczne. Zadanie było trudne, ale okoliczności sprzyjały zamiarom. Obóz rewolucyjny zgodnie podziwiał teraz rozum i przenikliwość Mochnackiego, oglądał się za nim. zatęsknił nagle do jego mów płomiennych, do wrzawy sal redutowych, do walki z reakcją. Więc wystarczyło, że się pokazał, aby opustoszały słynne kawiarnie Marysi i Honoratki, w których podczas panowania dyktatora gromadzili się spiskowcy, wystarczyło, że się odezwał, aby dawna armja wyszła za nim na ulicę.

Mochnacki z przedziwną szybkością pchał naprzód wypadki.

Już 19 stycznia, a więc nazajutrz po upadku dyktatury zapełniły się szczelnie sale redutowe i trybun ludu wchodził na tę samą mównicę, z której przed sześcioma tygodniami zegnały go okrzyki śmierci. Jakże zmieniła się sytuacja! Oto zaledwie ukazał się oczom zgromadzonych, gdy sale zadrżały od oklasków. Zepchnięty w błoto działacz dźwigał się do góry, rósł w oczach tłumu i czuł, że rośnie. Oklaski nagradzały go za prześladowanie i oczyszczały z zarzutów. Myśl Mochnackiego dojrzała w masach i ci sami ludzie, co wznosili dlań szubienice, witali go teraz, jak triumfatora. Ten jeden moment mógł go wiele nauczyć, mógł jego przenikliwym oczom odsłonić psychologję tłumu i wskazać nowe drogi działania.

Maurycy Mochnacki, — pisze Nowa Polska, — „po długiem prześladowaniu przyjęty z najwyższemi oklaskami, wystawił potrzebę i cele Towarzystwa, uspokajając lękających się, ażeby nie przybrało charakteru znanych klubów francuskich. Dowodził, że nasza rewolucja nie ma nic wspólnego z rewolucją

francuską, której celem była zmiana stosunków towarzyskich, gdy nam przeciwnie idzie o odzyskanie niepodległości"... [1]).

Nie wykluczał Mochnacki ze swego programu „zmiany stosunków towarzyskich", ale, być może, zastraszony hałasami, które wywołał klub pierwotny, obawiał się, aby straszny w oczach rządzącej większości „jakóbinizm" nie zabił w zarodku Towarzystwa. W każdym razie nie był to wyłącznie oportunizm. Mając przedewszystkiem na widoku cel polityczny, Mochnacki nie lekceważył reform społecznych, ale mniej się niemi zajmował i nawet wtedy, kiedy straszył Sejm „rewolucją socjalną", nie teoretyzował i, jak okaże się później, nie stworzył programu społecznego. A tym razem poprzestał na gorącem wezwaniu zebranych do skupienia sił w celu stworzenia potęgi moralnej, któraby radziła o dobru ojczyzny, paraliżowała zabiegi reakcji i, budząc ducha rewolucyjnego, nadała pożądaną barwę i bieg pożądany wypadkom.

Nazajutrz Towarzystwo Patrjotyczne już było ukonstytuowane, miało swój organ wykonawczy. Obrano prezesa i czterech wiceprezesów. I znowu na pierwszą z tych godności wyniesiono Lelewela. Wprawdzie profesor złożył już dowód, że nie odda się całkowicie na usługi partji rewolucyjnej, ale klubowcom chodziło o głośne imię i sztandar, o popularność i powagę, a pod tym względem nikt z Lelewelem nie mógł się mierzyć. Pierwszym wiceprezesem jednogłośnie obrany został Mochnacki, drugim, dzięki jego agitacji, — poseł Roman Sołtyk, trzecim — Bronikowski, czwartym — ksiądz Puławski, osobistość bardzo popularna śród

---

1) «Nowa Polska». R. 1831, Nr. 18.

młodzieży akademickiej, doskonały mówca, człowiek zdolny, lecz ogromnie niespokojny, pełen ambicyjek i namiętności, które w początkach istnienia Towarzystwa okrywał sutanną, niby owczą skórą. Ten pozornie potulny księżulek o wyglądzie baranka miał chytrość lisa i kły odyńca. Mógł się stać niebezpiecznym, a nawet strasznym gdyby nie jakaś wrodzona ociężałość oraz niechlujne lenistwo, które powstrzymywało go w zapędach i wracało z wytkniętej drogi. Na sekretarzy powołano Michała Dębińskiego i Tadeusza Krępowieckiego, kasjerem został Tomasz Czaban. Obok nich zapisali się do Towarzystwa Patrjotycznego, nie przyjmując na razie żadnych godności, ludzie znani już poprzednio ze swojej działalności, jak Adam Gurowski, brat podchorążego Józefa, ten sam, którego Domejko nazywał „prawdziwą potworą", Jan Czyński, człowiek utalentowany, obok Krępowieckiego jeden z najradykalniejszych członków klubu, umysł rzutki, zapalczywy, natura złożona z tylu pierwiastków dobrych, co złych, ksiądz Szynglarski, drugie, lecz nieporównanie lichsze wydanie księdza Puławskiego, ksiądz Gacki, ksiądz Tęsiorowski, a dalej posłowie Zwierkowski, Tymowski, Trzciński, a przedewszystkiem Roman Sołtyk, na którego Mochnacki liczył najwięcej, jako na człowieka o przekonaniach zdecydowanych, a więc mogącego w Izbie poselskiej oddać nieocenione usługi.

Towarzystwo Patrjotyczne miało i swój tajemny komitet, o którym stolica nie wiedziała, a który w gruncie rzeczy stanowił o sile Towarzystwa, nadawał mu właściwy sens i znaczenie. Komitet ten znosił się z ludnością Starego Miasta, zawiązywał stosunki z cechami, agitował śród rzemieślników, kraw-

ców, szewców, stolarzy i stwarzał potęgę uliczną, o której marzył Mochnacki. Na czele tego komitetu stanęli dwaj ludzie o tęgich głowach i płomiennych sercach: Józef Kozłowski, popularny śród ludu warszawskiego radykał, i dzielny Artur Zawisza, obaj niestrudzeni agitatorzy, obaj ludzie hartu i poświęcenia.

Statut Towarzystwa, wypracowany później, składał się aż z 34 artykułów, ale statut ten nie zabezpieczał organizacji spójności [1]. Jeden z członków klubu, J. N. Janowski pisał później, że zebrania Towarzystwa Patrjotycznego były „perjodycznemi zbiegowiskami ludu", na które „dzierżyciele władzy i wszelkiego rodzaju kontrrewolucjoniści jak na pierwotny klub nasyłali swoich zwolenników, aby działania jego paraliżować. Stąd większa część członków miała, jak mawiał Józef Kozłowski, dwie głowy: jedną w Towarzystwie, drugą poza Towarzystwem" [2]).

---

[1]) O celach T-wa w ten sposób informuje statut: «Art. 1. Celem Towarzystwa Patrjotycznego jest objawiać publicznie opinję w rzeczach, dotyczących sprawy rewolucyjnego powstania Polski, radzić o dobru ojczyzny i utrzymywać ducha narodowego, jako najdzielniejszą w wolnych krajach siłą moralną. Art. 2. Gdy cele te powinny być celami wszystkich kraju naszego obywateli, życzeniem przeto T-wa P-go w Warszawie jest, aby na całej ziemi polskiej podobne T-wa istnieć i w stosunkach z niem pozostawać mogły». Art. 3 zapowiadał nieograniczoną liczbę członków, którzy pisemnie musieli się zobowiązać do popierania celów T-wa, dalsze artykuły dotyczyły organizacji wewnętrznej, sposobu obrad i t. d. Formalistyka w T-wie była ogromna. Dość powiedzieć, iż zczasem liczbę wiceprezesów powiększono do ośmiu, ustanowiono czterech sekretarzy, czterech podsekretarzy, radę, złożoną z 21 członków, Komitet Porządkowy i t. d. («Przegląd dziejów polskich». Poitiers, 1839, str. 132—134).

[2]) «O początku demokracji polskiej». Paryż, 1862, str. 7.

Z doświadczenia wiedział Mochnacki, ile złego taka „druga głowa" może uczynić, ale nagromadzona energja domagała się działań błyskawicznych, a czas naglił. Oto już Sejm mianował Radziwiłła wodzem naczelnym i miał przystąpić do wyboru członków nowego rządu. Bitwę Sejmowi należało wydać zaraz, z siłami, jakie były, inaczej wypadki mogły wziąć obrót całkiem niezależny od woli Mochnackiego. Tak niewątpliwie rozumował wskrzesiciel Towarzystwa Patrjotycznego i zaledwie Towarzystwo powstało, on już szykował się do skoku. Miał znowu za sobą tłumy, miał popularność, czuł się mocnym, pełnym energji i życia. A temperament niósł go jak fala wzburzona, a przez twórczą głowę niby błyskawice przelatywały pomysły, plany, projekty, a skłębiona wola prężyła się jak łuk ze stali, naciągnięty do strzału. Żądza czynu i walki znowu przenikała całe jestestwo Mochnackiego i zamieniała go w burzący pocisk.

W takim stanie ducha, we dwa ognie postanowił zaatakować Sejm. Miał bowiem za sobą oprócz Towarzystwa i dziennik: Nową Polskę, która ukazała się już 5 stycznia, a w której niczem niekrępowany mógł rozwijać swoje zasady.

Nowa Polska była organem młodzieży, częściowo znanej ze spisków tajnych, częściowo z udziału w „insurrekcji literackiej", częściowo z działalności na jednem i na drugiem polu, lecz „głównymi odznaczającymi się założycielami Nowej Polski był Adam Gurowski i Maurycy Mochnacki. Pierwszy dostarczył funduszów na wydawanie dziennika, drugi nic prócz bogactwa swojego talentu"... [1]). W Nr. 1 jako

---

[1]) «Demokrata Polski». Tom II, str. 186.

redaktorzy wymienieni zostali: Joachim Lelewel, Piotr Wysocki, Kaźmierz Brodziński, Bazyli Mochnacki, J. B. Ostrowski, Walenty Zwierkowski, Adam Gurowski, Maurycy Mochnacki, J. B. Zaleski, Ludwik Nabielak, Jan Ludwik Żukowski (ten ostatni podpisywał pismo jako redaktor odpowiedzialny); Aleksander Kaźmierz Puławski, Kamil Mochnacki i Wojciech Kazimirski. Później nieco przybył Goszczyński i kilku innych. W wieńcu tych nazwisk jaskrawo odcinało się nazwisko Brodzińskiego, ale też wplątane było jak gdyby przypadkiem. Autor Wiesława czuł się nieswojo w takiem towarzystwie i pismem, zwróconem do redakcji, prosił, aby go wymazano z listy redaktorów. Brodzińskiego musiało zrazić napisane krwią i płomieniem słowo wstępne, w którem młodzi redaktorzy wyprowadzali swój rodowód z romantyzmu i legitymowali się Mickiewiczem:

„Dziennik Nowa Polska jest polityczny i naukowy. Już namieniono, że szkoła romantyczna, wzywając naukowej rewolucji, wzywała i politycznej... Organem tej politycznej i naukowej rewolucji, organem mniemań, wzywających śmiałego działania i zupełnego przeistoczenia naszej ojczyzny, ma być dziennik Nowa Polska"... Słowo wstępne wykładało dalej teorję romantyzmu, zwracało uwagę, że utwory najwybitniejszych poetów romantycznych „ożywiają wielkie namiętności, najokropniejsze wstrząśnienia; nad ich umysłem krąży nieprzerwanie mara o zemstę wołającej Polski i widmo naszej rewolucji... Mickiewicz ogłosił Wallenroda, zapowiedział ujarzmionym ziomkom, że lud nieszczęśliwy oprócz pieśni i pamiątek ma jeszcze miecz Archanioła. Zrozumieliśmy to uroczyste, to wielkie, to okropne naszym" nieprzy-

jaciołom „wyznanie. Porzuciliśmy księgi, a miecz Archanioła w naszym zabłysnął ręku”... [1]).

Te słowa świadczą, że Nowosilcow dobrze wiedział, co pisał, kiedy w swym tajnym raporcie do w. księcia Konstantego mówił o strasznem niebezpieczeństwie, jakiem grozi państwu Konrad Wallenrod Mickiewicza. „Cel (poematu), — są słowa Nowosilcowa, — polega na tem, aby rozpłomieniać gasnący patrjotyzm, rozżegać nienawiść, przygotowywać przyszłe wypadki, uczyć współczesne pokolenie być obecnie lisem, aby je zczasem przemienić w lwa” [2]). Nowosilcow dobrze rozumiał intencje romantyzmu i teraz z triumfem mógłby się powołać na słowo wstępne Nowej Polski! Ale kiedy pieśń Mickiewicza, jak pieśń Tyrteusza napełniała młode piersi zapałem, kiedy stawała się hasłem i komendą bojową, — wielki twórca tej pieśni, samotny a daleki od wrzawy powstańczej, błąkał się śród ruin Rzymu i upadał pod ciężarem zwątpień, pod brzemieniem trwożnych przeczuć i rozterek. Nie przypuszczał zapewne, że w takiej chwili słowo jego wcielało się w czyn, zaczynało żyć w połysku bagnetów, w ostrzach lanc i szabel, w wylotach dział, doprowadzanych do sprawności bojowej. Wieszcz zwątpił, ale pieśń mówiła za niego i jak ptak

---

[1]) «Nowa Polska» Nr. 1 z d. 5 stycznia 1831 r. Słowo wstępne pisał prawdopodobnie M-cki, ale znać na niem i pazurek J. B. Ostrowskiego. O drukowaniu artykułów decydowano na zebraniach redakcyjnych. Wtedy prawdopodobnie i «Ibuś» dorzucił swoje trzy fałszywe grosze: obok teoretyków romantyzmu Mochnackiego i Żukowskiego figuruje także skromnie nazwisko «Ibusia», jako najwybitniejszego szermierza romantyzmu.

[2]) «Ruskij Archiw: Konrad Wallenrod (Matieriały iz archiwa Nowosilcowa»). Rok 1908, zesz. I, str. 70.

swobodny leciała teraz po całej Polsce, muskała swem skrzydłem pokolenie Wallenrodów, budziła je na nowe życie, na walkę, na śmierć ofiarną i bohaterstwo!

Do głębi duszy przejął się tą pieśnią Wallenrod-Mochnacki i jął tłumaczyć ją na język polityczny. Bogata była prasa ówczesna [1]) i dzielne pióra miała Nowa Polska, ale gdy w kapeli rozlicznych głosów odezwał się głos Mochnackiego, cała stolica poznała wnet mistrza nad mistrze. Takim językiem w publicystyce polskiej nikt jeszcze nie przemawiał: nowe wyobrażenia wcielały się w nieśmiertelne pomniki prozy polskiej, w kształty i dźwięki, jakich nikt przed Mochnackim nie tworzył. Pióro jego rozbłysło, jak łuna, zagrzmiało, jak burza. Piorunami pisał Mochnacki. W słowo wkładał teraz kipiący swój gniew, i swoją żądzę czynu, i swoją namiętną, rozhukaną młodość. W całym kraju słyszano to straszne słowo-czyn. Na dźwięk jego wściekłość ogarniała obóz Koźmianów politycznych, włosy jeżyły się na głowie napastowanych, a z ust spływały przekleństwa.

I w wiele lat potem ze zgrozą przypominano sobie artykuły Mochnackiego.

„Rosła zuchwałość, zostawiona bez żadnego powściągu, — skarżył się Franciszek Wężyk. — Zjawione

---

[1]) Bogactwo prasy ówczesnej istotnie jest zdumiewające! W Warszawie wychodziły podówczas Gazeta Warszawska, Gazeta Polska, Kurjer Polski, Kurjer Warszawski, Polak Sumienny, Merkury, Dziennik Powszechny, Orzeł Biały, Nowa Polska, a oprócz nich krótkotrwałe wydawnictwa, jak organ Wielopolskiego Zjednoczenie, jak wydawany przez Bronikowskiego Wolny Polak, jak dziennik Patrjota, Podchorąży, Niepodległość i t. d. Ruszyła się i prowincja: w Kaliszu ukazał się Dziennik Wielkopolski, w Lublinie Kurjer Lubelski, w Płocku Goniec Polski i t. d

dość świeżo pismo p. n.: *Nowa Polska* było przytułkiem dla wszystkich, co tylko chcieli uwłaczać rządowi i najrozsądniejszym zasadom" [1]). Opinje inne stokroć gorsze świadectwo wystawiają i *Nowej Polsce* i Mochnackiemu. Zdaniem Barzykowskiego, pismo to nie poszanowało „ani religji, ani cnoty, ani reputacji, ani honoru", a „co tylko złość, zawiść, namiętność, rozkiełznanie, oszczerstwo i kłamstwo mogą", to „*zaraz z początku* obfity odpływ miało w *Nowej Polsce* znaleźć. „Literatura nasza nic podobnego nie znała" [2]), — opinjuje Barzykowski. Gdybyż te słowa nie odnosiły się do *początków* tego dziennika, gdybyż nie ciążyły na pamięci Mochnackiego, możnaby je wytłumaczyć. Ale dziś dość przeczytać dwanaście artykułów Mochnackiego, bo tyle ich tylko wydrukował w *Nowej Polsce*, i zestawić z temi artykułami opinję Barzykowskiego, aby się przekonać, iż ta opinja, o ile dotyczy Mochnackiego, jest nawskroś kłamliwa. To pewna, że Mochnacki nie posiłkował się ani oszczerstwem, ani kłamstwem, że nie szarpał niczyjego honoru i nie powodował się zawiścią. Nie! Mochnacki nawet w odpowiedzi na nikczemne zarzuty nie porywał się do broni, którą często walczyli z nim przeciwnicy, lecz bił w nierozum polityczny, obnażał obskurantyzm i krwawo szydził z niedorzeczności, jakie lęgły się w mózgach poczciwców, i w świetle prawdy ukazywał nędzę moralną, i nicość nazywał nicością. Skądże taki straszny wyrok historyków, żyjących współcześnie z Mochnackim? Oto prawdę, przerażającą prawdę wydzierał on z łona

[1]) «Powstanie Królestwa Polskiego», Kraków 1895, str. 48.
[2]) «Historja powstania listopadowego», Tom II, str. 84.

przyszłości i cały ciężar swego proroctwa ciskał na głowy dzierżycieli władzy, na głowy posłów Wężyków, Barzykowskich i wszystkich, co brali ster powstania w nieudolne ręce, a nie mogli zrozumieć, że „w rewolucji trzeba być rewolucjonistą" (słowa Mickiewicza), że dziełu rewolucyjnemu tylko głowy rewolucyjne przewodniczyć mogą. A w świetle słów Mochnackiego potężniał ogrom zadania i malały figurki mężów, skądinąd zacnych i zasłużonych, ale niedołężnych i nieodpowiednich na swojem stanowisku. Tego nie chcieli zrozumieć ówcześni sternicy opinji i przerażeni własnym obrazem, miotali przekleństwem w tego, co ich oświecał i proroczym głosem do upamiętania pragnął przyprowadzić.

To było jedyną zbrodnią Mochnackiego jako redaktora Nowej Polski!...

Ale na częściowe usprawiedliwienie Barzykowskiego trzeba dodać, że z biegiem czasu Nowa Polska przeszła pod wyłączny kierunek J. B. Ostrowskiego.

Tchórzliwy „Ibuś" opuścił swą kryjówkę, gdy pierwsze fale rewolucji opadły i spokojny o własną skórę, również zapragnął być czynnym. Więc zjawił się w redakcji nowego organu. Przyjęto go, bo z piórem w ręku kat był okrutny, a prócz wrodzonego tchórzostwa nic mu podówczas nie można było zarzucić. Otóż Ibuś na dobre zagospodarował się w dzienniku, a gdy wszyscy redaktorzy pociągnęli na plac boju, Żukowski zaś dogorywał na suchoty, Ostrowski opanował pismo. I teraz dopiero poczuł się w swoim żywiole. Niehamowany przez nikogo, puścił cugle swoim namiętnościom, zaczął smalić na prawo i na lewo, prażyć nie tylko przeciwników politycznych, ale i osobistych nieprzyjaciół, a nawet ludzi,

którzy nigdy mu nic nie zawinili, co zresztą mało go obchodziło, byle tylko pisać i krytykować, krytykować bez miłosierdzia, miary i upamiętania! Wprawdzie Ibuś osłaniał swe artykuły ideą, ale walcząc dla samej walki, nieraz mijał się z prawdą, nieraz przekraczał dozwolone w polemikach granice.

Wspomnieć jeszcze należy i o innym redaktorze Nowej Polski, Adamie Gurowskim...

Co związało tego człowieka z Mochnackim?

Gurowski podziwiał niewątpliwie talenty swego przyjaciela, a w wysokim stopniu posiadał zdolność zjednywania ludzi. I on podobnie jak J. B. Ostrowski był naturą, której nikczemności nikt podówczas przewidzieć nie mógł. Cynizm swój pokrywał rezolutnością, wymową, a pewny siebie, ustosunkowany, ujmujący, bystry, o wyrobionem, jak się mogło zdawać, zdaniu, stanowił siłę, która nie była do pogardzenia. Gurowski ujął Mochnackiego, jak ujął wielu innych i prawdopodobnie bawił się poza plecami towarzyszów. Być może zresztą, że ta „prawdziwa potwora” miała w swej duszy jakieś szlachetniejsze instynkty. Gurowski zdobywał się na porywy bezinteresowności, która tylko na jego korzyść mogła podówczas przemawiać.

„Obywatel woj. kaliskiego, Adam Gurowski, — głosi jeden z ówczesnych dokumentów, — uznał przed regentem Engelke akt urzędowy w swem i rodzeństwa swego imieniu, mocą którego nadał na własność wieczystą po 24 morgi ziemi, wrąb na opał i pastwisko każdemu z włościan swych dóbr, który w obecnej wojnie walczyć będzie za wyjarzmienie ojczyzny”... [1]).

---

[1]) «Annales Polonaises» par Leonard Chodźko. Styczeń 1831. Muz. Nar. w Rapperswilu.

Nie przypuszczał Mochnacki i nikt z ówczesnych przyjaciół Gurowskiego nie mógł przypuścić, że ten ofiarny patrjota przedzierzgnie się w kilka lat potem w renegata i szpiega...

Bądź co bądź zarówno Towarzystwo Patrjotyczne, jak i Nowa Polska miała w swym składzie żywioły różnolite, zgoła nieobliczalne, a przytem niezaprawione do walki, którą Mochnacki zamierzył rozpocząć...

Ale śmiały trybun nie cofał powziętych postanowień.

Udał się do Lelewela i jął mu przedstawiać swój pogląd na Sejm. Lecz prezes Towarzystwa Patrjotycznego był posłem i uważał, że istnienie Sejmu nie przeszkadza istnieniu Towarzystwa, że te dwie instytucje mogą działać wspólnie i uzupełniać się wzajem. I Roman Sołtyk podzielał zdanie Lelewela. A masy nic nie miały do zarzucenia Sejmowi, przeciwnie, odkąd reprezentacja poselska uznała powstanie za narodowe, popularność Sejmu wzrosła. Ludność nie zdawała sobie sprawy, że w chwili, kiedy grunt zapada się pod nogami, nie można kierownictwa ratunkiem powierzać stu kilkudziesięciu osobom o różnych sposobach myślenia i rozbieżnych poglądach. Ogół nie wysnuwał z najbliższej przeszłości wniosków na przyszłość, nie sięgał w dal, którą przenikał Mochnacki, nie widział niebezpieczeństwa, które wyłaniało się z tajemniczych mroków czasu przyszłego i jak krwawy upiór świeciło klęską całemu pokoleniu. Ale nadaremnie Mochnacki przedzierał mgły i straszne widmo wskazywał najbliższym. Nikt go nie rozumiał. Ludzie, na których najwięcej liczył, odmawiali mu swojej pomocy, a Towarzystwo Patrjotyczne nie wiedziało nawet o swojem przeznaczeniu, nie miało ani ambicji

swego twórcy, ani sił, aby porwać się na Sejm i odebrać mu władzę.

W takich warunkach prowadzona walka nie rokowała zwycięstwa.

Ale Mochnacki wbrew wszystkiemu raz jeszcze pokusił się o stworzenie rządu rewolucyjnego. Ta myśl mu przyświecała, gdy zaprzysiągł sobie rozpędzić posłów, a przynajmniej zgnębić ich i nakłonić do swojej własnej woli. Ta myśl rozpłomieniała w piersiach jego energję i nagliła do rzucenia Sejmowi rękawicy. A decyzja Mochnackiego była szybka, jak błysk miecza. Więc już 22 stycznia rozpoczął walkę i na zebraniu Towarzystwa Patrjotycznego zaproponował wysłanie do Sejmu adresu z uwiadomieniem o założeniu Towarzystwa. Adres, proponowany przez Mochnackiego, był lakoniczny i cel klubu streszczał w jednem zdaniu: „Celem stowarzyszenia naszego jest rozszerzać, oświecać i wykształcać opinję publiczną, toż doskonalić publiczny rozsądek w rzeczach, dotyczących naszego powstania" [1]). Ten adres przyjęto jednogłośnie i, zgodnie z wnioskiem Mochnackiego, postanowiono przesłać w dniach najbliższych Sejmowi.

Pierwszy strzał był zręczny i celny. Doskonalenie publicznego rozsądku i kształcenie opinji nie mogło się podobać większości posłów. Któż bowiem reprezentował opinję, jeśli nie Sejm? Kto, jeśli nie Sejm miał doskonalić rozsądek publiczny? Posłowie zorjentowali się wmig i nim otrzymali adres, głośno jęli wyrażać swoje oburzenie. Posłowie przeczuli jakieś tajemne zamiary klubu, zrozumieli, że to „gnia-

---

[1]) «Nowa Polska», R. 1831, Nr. 20.

zdo demagogów" pod przywództwem „Robespierra polskiego" wkracza w atrybucje Sejmu. Więc ten i ów z gorętszych członków Izby nie tail swego gniewu i niedwuznacznie odgrażał się zuchwałym klubistom, gdyby adres ośmielili się przesłać.

Wówczas otucha wstąpiła w serce Mochnackiego. Cieszyło go to oburzenie, a im więcej słyszał pogróżek, tem bardziej był zadowolony. Mochnacki obawiał się wzgardliwej obojętności posłów, ale nie oburzenia, bo ono było najlepszym dowodem, że Sejm l i c z y s i ę z Towarzystwem, że nie cofa się przed walką. Ale Mochnacki nie zdawał sobie sprawy, że ci, co uchwalali adres, nie przypuszczali, do jakiego efektu zmierza uchwalony wniosek. Gra Mochnackiego nie była zrozumiana przez Towarzystwo. I tu zaczynało się powikłanie, pierwszy węzeł w tragicznym splocie nieporozumień. Towarzystwo szło za komendą, ale szło, jak machina. Czy nie widział tego Mochnacki? Może się łudził, że go rozumiano, może liczył na to, że w ostatniej chwili zrozumiany będzie, może polegał wyłącznie na swych własnych siłach, dość, że szybkim krokiem zbliżał się do mety: już na następnem posiedzeniu Towarzystwa Patrjotycznego dolał oliwy do ognia i zaproponował dołączenie do adresu petycji. Petycją nazwał Mochnacki nowy swój pocisk, ale w petycji o nic nikogo nie prosił, lecz żądał, „ażeby Sejm polski stargał uchwałą swoją wszystkie ogniwa i wszystkie zerwał stosunki pomiędzy narodem polskim i rządem rosyjskich władców" przez: uznanie niepodległości narodu w granicach 1772 r. oraz „uznanie imperatora Mikołaja i jego następców za odpadłych... od tronu polskiego, a ten tron za wakujący". Punkt trzeci domagał się rozwią-

zania przysięgi, czwarty—powołania do Sejmu reprezentantów ze wszystkich ziem dawnej Polski.

„Petycja” kończyła się następującemi słowy:

„Dostojni mężowie! tem tylko zrozumieniem i w tym duchu pojmują prawi Polacy narodowe powstanie. Weźcie w światły wasz rozmysł tę ważną prawdę, że i Europa, a szczególniej mocarstwa, sprzyjające naszej sprawie, w takim tylko kształcie i w tym duchu pojmują rewolucję polską... Uznajmy najpierw samych siebie wielkim potężnym narodem, a wszyscy, nawet nieprzyjaciele nasi uznawać i poważać nas będą. Otrzyjcie, dostojni reprezentanci polskiego ludu, z starej pleśni wszystkie krzywdy i dolegliwości nasze tą jedną uchwałą, — uroczystą, jak jest uroczysty zapał w sercach waszych rozniecony, mocną i niezłomną, jak jest mocna i niezłomna prawda ludów,— poważną, jak jest poważną wasza mądrość i wasza rada, — a śmiałą, jak jest śmiały duch polskiego rycerstwa!”... [1]).

Osobliwsza to była petycja!

Ze słów śmiałych i dzielnych przezierał majestat i uroczysta powaga, wynurzały się myśli, których dotąd nikt nie ośmielił się głośno wypowiedzieć, a które „poważnej mądrości posłów” niedwuznacznie wskazywały drogę. Mochnacki pierwszy domagał się uchwał, które wszelki odwrót czyniły niemożliwym, pierwszy wypowiadał życzenia, które wyprzedzały zamiary Sejmu i były dopełnieniem nocy 29 listopada! To też petycja miała charakter manifestu, a mimo pozornej ufności do reprezentantów narodu, dźwięczała groźbą i zapowiedzią walki.

---

[1]) «Nowa Polska», Nr. 21. Petycja ta nie jest objęta pięciotomowem wydaniem pism M-go.

Towarzystwo Patrjotyczne uchwaliło dołączenie do adresu i petycji, ale znów nie zdawało sobie sprawy, do czego ten nowy krok zmierza. Większość sądziła, że petycję wysyła się po to, aby ją Sejm przyjął, Mochnacki zaś nie łudził się na chwilę, aby posłowie tak łatwo poddali się pod dyrektywę klubu i nie na przyjęciu, lecz na odrzuceniu petycji dalsze budował plany. Nie mógł jednać uprzedzać wypadków, nie mógł mówić o tem na zebraniu Towarzystwa, bo w ten sposób odsłoniłby grę swoją nie tylko wobec sprzymierzeńców, ale i wobec atakowanych.

Więc czekał na skutek, a tymczasem rozegrały się dwa wypadki w stolicy, mające ze sobą pewien związek i wpływ na los petycji. Dnia 25 stycznia Towarzystwo Patrjotyczne urządziło obchód żałobny na cześć rewolucjonistów rosyjskich: Pestela, Rylejewa, Bestużewa, Murawjewa i Kachowskiego. Członkowie gwardji akademickiej nieśli na ramionach czarną trumnę, na której spoczywał wieniec laurowy, przepleciony trójkolorowemi wstęgami. Na pięciu tarczach wyryte były nazwiska rewolucjonistów, a na żałobnem wezgłowiu jaśniała trójkolorowa kokarda, rewolucyjne godło wolności międzynarodowej. Orszak żałobny tworzyła gwardja honorowa i nieprzeliczone tłumy ludu. Orszak ten, płynąc majestatycznie środkiem Krakowskiego Przedmieścia, zatrzymał się przy kolumnie Zygmunta, naprzeciw okien, za któremi obradowali posłowie. Wówczas Adam Gurowski, inicjator tej manifestacji, w czapce czerwonej z białem piórem wszedł na podnóże kolumny i wygłosił rewolucyjną mowę do tłumów. Następnie orszak posunął się do cerkwi i po odprawionem tam nabożeństwie, przeciągnął Długą, Miodową, Senatorską i przez

plac Saski wrócił do sali Towarzystwa Patrjotycznego.

Manifestacja odbyła się w spokoju, ale zatrwożyła wyższe sfery stolicy i wpłynęła na doniosłe postanowienie Sejmu. Bo właśnie w chwili, kiedy orszak żałobny zatrzymał się przy kolumnie Zygmunta, posłowie radzili nad aktem detronizacyjnym. Widok tłumów wpłynął na niektórych wahających się jeszcze posłów i tegoż dnia Izba przyjęła zredagowaną przez Niemcewicza uchwałę, która ogłaszała światu, iż naród polski „na Sejm zebrany" oświadcza, że jest „niepodległym ludem" i że ma prawo dowolnie rozporządzać koroną polską.

Obchód żałobny spopularyzował Towarzystwo Patrjotyczne, ale jednogłośna uchwała posłów dodała nowego uroku Sejmowi. Działalność tych dwu nieprzyjaźnie względem siebie usposobionych instytucyj popłynęła na chwilę jak gdyby jednem łożyskiem. Obchód mimowolnie nadawał barwę uchwale, a uchwała pogłębiała znaczenie obchodu.

Nazajutrz, 26 stycznia Sejm postanowił przystąpić do utworzenia nowego rządu. Przed przystąpieniem do tych czynności, które w najwyższym stopniu przykuwały uwagę obradujących, zaczęto czytać adres Towarzystwa Patrjotycznego. Ale zaledwie przebrzmiały pierwsze słowa, gdy w izbie poselskiej rozległy się okrzyki:

— Precz z petycją! precz z Towarzystwem!...

Wzburzenie było tak silne, że ani Lelewel, prezes Towarzystwa, ani wiceprezes Sołtyk nie ośmielili się stanąć w obronie adresu. W ten sposób wnioski Mochnackiego utonęły we wzgardzie sejmowej, zostały podeptane, zelżone.

Stało się więc, jak autor adresu i petycji przewidywał: Sejm objawił pogardę Towarzystwu Patrjotycznemu.

Na ten moment czekał Mochnacki. Wojna została wypowiedziana i zkolei Towarzystwo miało odpowiedzieć Sejmowi. Wprawdzie Mochnacki nie przewidywał, że Sejm uchwali akt detronizacyjny i w ten sposób podniesie swój autorytet. Ale się nie zawahał i jak ongi rzucił się na Radę Administracyjną, na Rząd Tymczasowy, na Chłopickiego, tak teraz z tą samą odwagą postanowił zmierzyć się z nową potęgą. Wiedział dobrze, na co się naraża, ale podniósł rzuconą rękawicę. Sejm zdobył nową popularność dzięki aktowi detronizacyjnemu, więc przedewszystkiem ten akt trzeba było skompromitować i ukazać w nim małoduszność obradujących posłów. Pozornie pomiędzy uchwałą sejmową a żądaniami, zawartemi w „petycji" Towarzystwa, nie było wielkiej różnicy: uwalniając naród od wierności, Sejm unieważniał przysięgę, a oświadczając, że naród jest niepodległy i dowolnie rozporządza koroną, ogłaszał tem samem „tron za wakujący". Ale uchwała wywiedziona była z konstytucji, ale w jakich granicach należało rozumieć „niepodległość", ale czy na tronie wakującym nie mógł zasiąść dawny władca, o tem wszystkiem nic nie mówiła uchwała. Więc przedewszystkiem z tych niedomówień skorzystał Mochnacki i w Nr. 27 Nowej Polski pomieścił swój słynny historycznej doniosłości artykuł p. n.: Nowa własność języka polskiego.

Artykuł był jadowity, a ostry jak topór kata.

„Dotychczas mniemano, — pisał Mochnacki,—jakoby tylko w języku francuskim bardzo wiele pisać

i mówić można było bez treści, czczemi frazesami, odpowiadającemi potrzebie rozmów salonowych lub dyplomatycznych układów. Lecz izby sejmujące przekonywają wzmiankowaną uchwałą, że i polskiemu językowi, który po wszystkie czasy słynął z swej treściwości, ta własność służy..."

I w nielitościwych słowach wykazawszy całą dwuznaczność uchwały, zwrócił się do posłów i wołał jak prorok-pogromca:

„Wobec was, wobec całej Europy, w obliczu nieba i ziemi oświadczam wam, żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie, nie zrodzili. Dobrymi, poczciwymi ludźmi jesteście, jesteście nawet dobrymi Polakami, lecz nie wiecie tego, co czynić w obecnej chwili!"...

Łatwo wyobrazić sobie, jakie wrażenie musiały słowa takie uczynić. Reprezentanci narodu, poważani mężowie, znani patrjoci, najczęściej ludzie dobrej woli, ludzie poczciwi, mający każdy zosobna swoją wartość i swoje zasługi, lecz wszyscy razem niedołężni, usłyszeli prawdę, którą miała potwierdzić historja, i zgromieni zostali jak dzieci, które nie wiedzą, co czynią. I któż śmiał przemawiać tym głosem pogromcy? Jakiś młody szaleniec, nie mający względów ani na siwiznę, ani na zasługi, ani na dobre imiona, ani na powagę reprezentacji, jakiś demagog i jakóbin, terrorysta i Robespierre polski.

„Jedną wam radę podaję,—wołał ten straszny człowiek, — złóżcie namiestniczą narodu władzę, powróćcie do nicestwa, z którego was napróżno wyrwać chciała rewolucja. Uznajcie tem wspaniałomyślnem zrzeczeniem się samych siebie za ludzi zdatnych do wszystkiego, ale nie do tej roli, którą wam los jakby przez ironję, przez szyderstwo i naigrawanie poruczył"...

A na zakończenie wołał Mochnacki:

„Trzeba zwołać kongres narodowy, bo ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!”...

I nic boleśniejszego, ani okrutniejszego nie można było powiedzieć. Mówić posłom o ich nicestwie i żądać, aby na własnej skórze wypisali sobie „wspaniałomyślnie” patent nieudolności, to już było czemś więcej, niż obrazą, to było krwawą obelgą, to było dekretem śmierci dla Sejmu.

Ale, rzecz prosta, wiedział Mochnacki, że artykułem nie można powalić Sejmu, że ten wyrok, który ogłosił w Nowej Polsce, musi wykonać jakaś siła realna. Więc tę siłę usiłował sworzyć. I tegoż dnia rozpoczął w Towarzystwie Patrjotycznem agitację. Wszedłszy na trybunę, w ostrych słowach „krytykował decyzję Sejmu, który, wierny regułom martwej już konstytucji, nie chce wiedzieć o żadnych zgromadzeniach. I czemże jest, — wołał, — czem jest ta tyle razy gwałcona konstytucja?... Czyliż my sami w dniu 29 listopada, mieliśmy wzgląd jaki na poszarpany świstek wiedeński? Przestańmy udawać się do Sejmu, czekajmy nowego rządu, jemu przełożenia nasze czynić będziemy” [1]). Ale nadaremnie chciał wzniecić zapał i zapalić do swojej myśli słuchaczów, do myśli, której zapewne Nowa Polska nie oddała dokładnie w krótkiem sprawozdaniu, a która musiała zmierzać do obalenia Sejmu. Nadaremnie pomagał mu Gurowski, Miklaszewski i kilku innych członków Towarzystwa. Nastrój słuchaczów nie sprzyjał mówcom. Namiętne słowa padały jak kamienie, rzucane w nieruchome jezioro. Towarzystwo nie rozumiało

---

[1]) «Nowa Polska» R. 1831, Nr. 32.

swego wodza, nie dało się zagrzać i porwać. Więc jak wnosić można ze sprawozdania, płomienne słowa gasły na ustach trybuna, a serce przenikało lodowate zniechęcenie.

Mochnacki nie mógł zrozumieć Towarzystwa, które na okazaną mu przez Sejm wzgardę nie umiało się zdobyć na godną odpowiedź, a Towarzystwo nie odczuło doniosłości momentu. Nici, łączące przywódcę z tłumem pękły—i wódz znowu pozostał sam.

Zawiodło Mochnackiego Towarzystwo, ale nie zawiodło go świetne pióro. Artykuł, który wydrukował w Nowej Polsce, rozegrzmiał jak piorun i w całym kraju wywołał echa. Najpierw prasa stoliczna uderzyła na alarm. Oburzył się Polak Sumienny, oburzyła się Gazeta Polska, nawet Dziennik Powszechny, rewolucyjny Dziennik nazwał wystąpienie Mochnackiego grubiańskiem. A organ partji kaliskiej pisał:

„Wczorajszy numer Nowej Polski przejął wszystkich dobrze myślących niesłychaną grozą. Ze wzdrygnieniem czytano najwyuzdańsze obelgi na Sejm, na dostojnych reprezentantów narodu. Co tylko zjadliwość i grubiaństwo wyzionąć mogą, wszystko się w tem potwornem piśmie znajduje. Już nawet i ojcowie ojczyzny, już mężowie, którzy tak szczerze podparli sprawę narodową, poświęcili jej majątki swoje, poświęcić gotowi życie; mężowie, co się unieśmiertelnili wielkiemi i śmiałemi aktami, aktami historycznemi... nie uszli przecie od zapaleńców zniewagi... Cóż więc pozostanie nam świętego? Komuż oddamy losy nasze? O nieszczęśliwa ojczyzno!” — biadał literą N podpisany autor (prawdopodobnie jeden z Niemojowskich) i domagając się „sądów i kar na przewrotnych”,

niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że „Nowa Polska tak postępuje, jakby nią palec nieprzyjazny Polsce kierował” [1]).

A posłowie, przeczytawszy artykuł Mochnackiego, wpadli w szał gniewu i zaraz nazajutrz w sali poselskiej zakotłowało się, jak w mrowisku. Blada wściekłość miotała najgłośniejszymi krzykaczami i z ust ich wyrywała nikczemne obelgi. Jan Ledóchowski, poseł znany ze swej awanturniczości i donośnego basu, krzyczał, że artykuł Mochnackiego uwłacza „honorowi i powadze całej izby. Nie można, — wołał Ledóchowski, — inaczej i godniej na tę bezimienną i szkaradną potwarz odpowiedzieć, jako milczeniem pełnem wzgardy. Wywiedzieć się jednak należy o przyczynach i zamiarze podającego, który zapewne sam będąc wyrodnym Polakiem, niezgodę i nieufność między całym narodem a izbą wprowadzić usiłuje. Ruble rosyjskie i talary pruskie pobudziły go bezwątpienia do przedsięwzięcia takowego kroku. Musi to być jedna z tych dusz bezwstydnych” przez nieprzyjaciół „zostawionych, by burzyć i rozdwajać” [2]).

Inni posłowie domagali się urwania głowy jadowitej hydrze, a wszyscy byli poruszeni, zagniewani, wzburzeni, wszyscy odgrażali się i sarkali. I po całym kraju poszedł ten huczek, po całej Polsce odzywać się począł przeciągły syk protestu.

Artykuł, — pisze Barzykowski, — „żywe oburzenie wywołał w stolicy i na prowincji i Sejm odebrał od wszystkich władz obywatelskich, jako też od wojska

---

[1]) «Kurjer Polski», Nr. 405 z d. 28 stycznia 1831 r.

[2]) «Kurjer Polski», Nr. 406 z d. 29 stycznia 1831 r.

liczne adresy, w których zapewniały go o zupełnem zaufaniu i posłuszeństwie dla niego" [1]).

Jak w swoim czasie jedno słowo „zdrajca" podniosło przeciw Mochnackiemu całą Warszawę, tak w obecnej chwili po całym kraju rozlewała się fala oburzenia.

A Towarzystwo Patrjotyczne milczało i nie zdobyło się na żaden gest, nie przybrało nawet groźnej postawy, nie uczyniło nic, aby czoło stawić wzburzeniu.

„Wtedy to,—pisał później Mochnacki,—zwątpiłem o partji rewolucyjnej; zwątpiłem o zbawieniu ojczyzny; postanowiłem opuścić Towarzystwo, którem już gardziłem, bo lekko wzniosło wzgardę sejmową, i od tego momentu aż do upadku sprawy nie miałem w niem żadnego udziału"... [2]).

I rzeczywiście usunął się Mochnacki, ale widocznie pamięć go zawiodła, gdyż nie od tego momentu, lecz, jak świadczą protokóły zebrań, nieco później, gdy ostatecznie się przekonał, że na Towarzystwo liczyć nie może. Ale ta „lekkość", z jaką klub zniósł wzgardę sejmową, pobudziła go do napisania prośby o dymisję. Przyłączył się do niego Adam Gurowski i obaj pod adresem Towarzystwa Patrjotycznego wystosowali list, w którym za powód swego ustąpienia przytaczali „nieukontentowanie Sejmu z okoliczności wiadomego artykułu, umieszczonego w *Nowej Polsce*, której są najczynniejszymi współpracownikami. To

---

[1]) Barzykowski. «Hist. Powst. List.» Tom II, str. 182. Sąd uwolnił «Nową Polskę» od odpowiedzialności, nie znajdując w inkryminowanym artykule cech przestępstwa.

[2]) Powstanie Narodu Polskiego». Tom II, str. 346.

nieukontentowanie mogłoby, uważali oni, ściągnąć niechęć Sejmu dla Towarzystwa, szkodliwą jego rozwijaniu" [1]).

Ten list zrobił swoje.

Odczytano go na posiedzeniu Towarzystwa 28 stycznia. Dnia tego przewodniczył zgromadzeniu przyjaciel Mochnackiego, poseł Roman Sołtyk. Ale Mochnacki nie miał szczęścia do swoich przyjaciół. Zawiódł go Lelewel, Bronikowski, Wysocki, a teraz przyszła kolej na Sołtyka. Mogąc jako poseł, śmiało ująć się za przyjacielem, Sołtyk nie wyszedł z roli posła i oświadczył na wstępie, że aczkolwiek „Towarzystwo obrało sobie Nową Polskę za dziennik urzędowy, ten artykuł jest mu zupełnie obcym"... [2]).

Wtedy „druga głowa", o której mówił Kozłowski, śmielej się podniosła i gdy odczytano list Mochnackiego i Gurowskiego, na sali rozległy się rzęsiste oklaski. Zdawać się mogło, że Towarzystwo wyrzeka się ostatecznie swojego twórcy. Aliści stała się rzecz niespodziewana. Znalazł się śmiałek, niejaki Chrząszczewski, którego nie przestraszyło ani potępienie, wyrażone przez przewodniczącego, ani oklaski, rozlegające się na sali. Zabrał głos i zażądał, aby jego również wykreślono z listy członków, ponieważ solidaryzuje się z potępionym artykułem. Odpowiedział mu pomruk niechęci, ale Chrząszczewski niezrażony niczem nie traci pewności siebie.

— Żegnam Towarzystwo! — woła hardo i zwraca się ku wyjściu.

---

1) «Nowa Polska», R. 1831, Nr. 37.
2) «Nowa Polska», R. 1831, Nr. 37.

Odpowiada mu burza oklasków: dekret ostatecznego potępienia dla wszystkich zwolenników artykułu. Naraz zrywa się Kuszel i woła, że oklaski biją nie członkowie Towarzystwa, lecz jego wrogowie, nasłani przez kontrrewolucję. Następuje chwila zamieszania, podczas której Miklaszewski stawia wniosek, aby Towarzystwo wybrało deputację i poleciło jej prosić ustępujących członków o cofnięcie swego oświadczenia. Kto inny żąda, aby natychmiast zarządzono głosowanie i Towarzystwo większością 46 głosów przeciw 7 uchwala nie przyjąć dymisji [1]).

W ten sposób Mochnacki odniósł moralny triumf w Towarzystwie, ale przebieg zebrania musiał go nowym smutkiem napoić i nową przesycić goryczą. To zebranie wymownie zaświadczyło, jak słabe i kruche było jego dzieło, jak łatwo tem dziełem mogli kierować kontrrewolucjoniści. I z takiemi siłami chciał zburzyć Sejm i na tak sypkim gruncie budował swoje nadzieje! A jednak w duszy Mochnackiego musiało tkwić jakieś przywiązanie do tego nieudolnego Towarzystwa, bo dał się przeprosić i raz jeszcze, ostatni raz usiłował ożywić Towarzystwo, wzniecić w niem wiarę we własne siły i zaprawić do walki.

Dnia 29 stycznia Sejm ustanowił Rząd Narodowy, złożony z czterech członków i prezesa. Tym ostatnim został książę Czartoryski, a członkami Wincenty Niemojowski, Teofil Morawski, Stanisław Barzykowski i Lelewel. Czartoryski z Barzykowskim szli swoją drogą, Niemojowski z Morawskim, obaj kaliszanie, stanowili inną grupę, a Lelewel pozostał do końca sa-

---

[1]) Cała ta scena, tak niezmiernie charakterystyczna dla T-wa P-go, opisana została przez «Nową Polskę».

motnikiem w rządzie i nie harmonję, lecz dysonanse wnosił na posiedzenia.

Możnaż się było spodziewać, że taki rząd odpowie swemu zadaniu?

Mochnacki przestał się łudzić. Oceniał szlachetne usiłowania ludzi, składających władzę naczelną, nie wątpił w ich czyste intencje, wystawił im nawet piękne świadectwo w jednym ze swych artykułów, ale nie umiał ukryć niepokoju, jakim ta władza go przejmowała. Jak gdyby czytając w duszy księcia Czartoryskiego, pisał Mochnacki proroczo, iż prezes rządu będzie się starał walczyć „dzielnością opinji ledwo nie całej publiczności europejskiej", ale „w razie wielkiego nieszczęścia, z pod ziemi burzy rewolucyjnej nie wezwie dla zatrwożenia nieprzyjaciela i w głąb Rosji zatrząśnienia, rozkiełznania społecznego nie poniesie". I obawiał się „słowiańskości" księcia i przestrzegał, aby „żaden Polak nie wierzył w utopję słowiańską", bo ona zmierza do tego, „żeby i pamięć przepadła jako kiedy byliśmy narodem"...

Trwoga Mochnackiego wzrosła, gdy nowy rząd pierwsze swe kroki osłaniać jął tajemniczością.

Więc na jednem z posiedzeń Towarzystwa Patrjotycznego „obywatel Maurycy Mochnacki obstawał za jawnością zupełną działań rządowych... Nieufność,— wołał,—potrzebna jest w rewolucji. Rząd niech zdaje sprawę z działań swoich, naród wiedzieć powinien, jak z nim chcą postępować!" [1]).

Ta ostatnia faza walki, walki z Rządem Narodowym trwała bardzo krótko. Towarzystwo Patrjoty-

---

[1]) «Nowa Polska» R. 1831, Nr. 54 z d. 27 lutego, omawiający posiedzenie T-wa z d. 4-go lutego.

czne coraz jawniej wykazywało swą niemoc i coraz głębiej zanurzało się w apatji. Więc Mochnacki zerwał ostatecznie z Towarzystwem i przestał dlań pracować. Nowemu rządowi nie ufał, ale nie mógł myśleć o stoczeniu z nim poważniejszej batalji. Zbliżała się chwila stanowcza. Armja Dybicza wkraczała już do kraju i dramat dziejowy przenosił się ze stolicy na osłonione tajemnicą pola życia i śmierci.

Znakomity pisarz zrozumiał nowe przeznaczenie. Odrzucił precz swe niezwyciężone pióro i porwał za karabin.

* *
*

Jeden z najcięższych zarzutów, jakie w owym czasie czyniono Nowej Polsce i Mochnackiemu, wywołało hasło „rewolucji socjalnej". Tak redaktor Nowej Polski nazywał zmiany, od których w znacznej mierze uzależniał wynik powstania. Niewinną wydaje się dzisiaj ta rewolucja socjalna. Nie tylko bowiem nie ogarniała całokształtu zbiorowego życia i nie przebudowywała społeczeństwa od fundamentów po szczyty, ale daleką była nawet od ideałów, które przyświecały ideologom francuskim w zwycięskich dniach Wielkiej Rewolucji. Dążenia społeczne Mochnackiego mieściły się całkowicie w granicach reformy włościańskiej. Reforma ta zaczynała dopiero żyć. Miała za sobą doświadczenie, osiągnięte przez Staszica, Brzostowskiego, Chreptowicza, a choć i w epoce, poprzedzającej powstanie, gorętsze serca i wybitniejsze umysły niejednokrotnie usiłowały spełnić swój obowiązek obywatelski, jednakże warunki, w jakich znajdowało się Królestwo, paraliżowały te usiłowania. Noc 29-go zaświeciła jak zorza i dla mas siermiężnych. Doj-

rzalsza część społeczeństwa zrozumiała swoje zadanie i jęła zastanawiać się nad kwestją włościańską. Ale poglądów skrystalizowanych jeszcze nie było i najdzielniejsze głowy pracowały dopiero nad stworzeniem programu. Na czoło rzeczników tej wielkiej reformy, mającej dać Polsce miljony nowych obywateli, wysunęli się dwaj ludzie: Jan Olrych Szaniecki i Lelewel. Pierwszy najwyraźniej formował swój pogląd i projekty swoje wcielał w kształty konkretne.

„...Potrzeba—pisał Szaniecki—zainteresować lud rzeczą, a nie słowy; potrzeba stan, w jakim się znajduje, zmienić na lepszy. Nieśmy mu zniesienie poddaństwa, pańszczyzny, wolność zarobkowania, własność gruntową, bezwarunkową, wynagrodzenie niewłaścicielom... Przestańmy być bracią szlachtą, a bądźmy bracią Polakami"... [1]).

Był to program najwyraźniejszy, na jaki w p o c z ą t k a c h powstania zdobyła się myśl demokratyczna w Polsce [2]).

Nawet Lelewel nie szedł wówczas tak daleko, jak Szaniecki.

Znakomity profesor miał głównie na uwadze „zasłużone rycerstwo", jak nazywał włościan, którzy zaciągali się do szeregów. Wprawdzie reformy tej nie uważał za nagrodę, jak większość sejmowa, bo, jak

---

[1]) «Dziennik Powszechny» z d. 6 stycznia 1831 r.

[2]) Podkreślam słowo w p o c z ą t k a c h, ponieważ chodzi mi o czas, w którym i Mochnacki zabierał głos w sprawie włościańskiej. Później sprawę tę rozważano wszechstronniej, zwłaszcza gdy Olrych Szaniecki powołał do życia T o w a r z y s t w o P r z y j a c i ó ł L u d u, a kilku członków Towarzystwa Patrjotycznego założyło T o w a r z y s t w o P o l e p s z e n i a S t a n u W ł o ś c i a n.

pięknie powiedział, usługa, oddana ojczyźnie, „nie wynagradza się niczem, tylko własnem wewnętrznem uczuciem", ale mimo to przekonanie, życzeniem jego było „obdarzyć wojskowych własnością ziemską czystą, bez żadnego opłacania czynszu lub służebnego ciężaru... tak, iżby mógł ją sprzedać, darować. „Ale— pisze Lelewel — „wracając do zniesienia pańszczyzny i oczynszowania włościan, jak najszczerzej pragnę, aby to nie tylko w dobrach narodowych, ale i obywatelskich nastąpić mogło. Sądzę jednak, że żadna w to ustawa mieszać się nie powinna, tylko własne obywatelskie przeświadczenie... Ale się lękam, czyli to da się zaprowadzić. Obawa moja wynika nie z tego, żeby się obywatele właściciele ziem mieli tej odmiany wzdragać, ale że sam lud wiejski nie w jednem miejscu nie podejmuje się opłacania czynszu: będzie wolał przy nałogowem odrabianiu pańszczyzny pozostać, jak to wieloliczne przykłady po różnych stronach obszernej Polski widywaliśmy"... [1]).

O wiele wyraźniej domagał się zamiany pańszczyzny oczynszowaniem Tadeusz Krępowiecki, jeden z najradykalniejszych członków Towarzystwa Patrjotycznego: „Chcąc przywiązać lud do rewolucji—pisał—trzeba mu nie tylko metafizyczne słowa: wolność i swoboda powtarzać, ale trzeba, iżby w zmianie politycznej uważał przejście do polepszenia bytu swojego". W imię tego żądał, aby powiedzieć ludowi: „Twój własny kawał gruntu uprawiać będziesz, za co czynszem tylko, a nie własną osobą, nie marnowaniem twych dzieci zapłacisz"... [2]).

---

[1]) «Nowa Polska». R. 1831 z d. 18 marca.

[2]) «Nowa Polska». R. 1831 z d. 20 stycznia.

Na tle tych poglądów, wypowiadanych spokojnie, tonem umiarkowanym, jaskrawo odcinają się żądania Mochnackiego. ale ta jaskrawość całkowicie sprowadza się do gwałtowności i mocy, z jaką je trybun wygłaszał. Gdy Towarzystwo Patrjotyczne wypisało na swym sztandarze szekspirowskie: Być albo nie być, Mochnacki ogłosił pod tym tytułem artykuł, śmiały, namiętny, ziejący ognistą wiarą w zbawczą potęgę rewolucji socjalnej.

„Żadne przedsięwzięcie,—obwieszczał rodakom, — żadne przedsięwzięcie śmiałością, niebezpieczeństwy, nareszcie ogromem swoim nie przechodzi polskiego powstania; żadna zagadka nie była zawilsza od kwestji naszego bytu. Wielki naród w pośrodku Europy upada niemocą swoich konstytucyj, upada licznemi przywarami swego składu społeczeńskiego. Nie dlatego zginęliśmy, żeśmy mieli zdrajców, żeśmy się nie zgadzali ze sobą... Broń Boże! to tylko skutki złego, które dalej sięgało. Zginęliśmy dlatego, że nie większość, ale mniejszość po wszystkie czasy była u nas narodem. Zginęliśmy dlatego, że rewolucja socjalna nie zmieniła wzmiankowanego niestosunku. Złe było radykalne. Kościuszko podniósł oręż w sprawie insurekcji, a powinien był walczyć w sprawie rewolucji socjalnej, jak radził Kołłątaj...

Śród konwulsyjnych wzruszeń, w przyśpieszonym krwi obiegu, w ostatecznych nawet paroksyzmach, ledwo nie wszędzie, gdzie takiem nieszczęściem zagniewane niebo nawiedzało ziemię, pomnażały się materjalne siły narodów, rozprzestrzeniała się ich posiadłość rodzinna, szerzyła się kultura umysłowa, powiększały się dostatki, bogactwa. Rewolucje takie nakształt burzy

napowietrznej ku schyłkowi dnia parnego przerzedzają zgęszczoną atmosferę ludów.

Kościuszko był poczciwym Polakiem, był walecznym rycerzem, lecz źle rozumował. Dla ocalenia kraju, potrzeba było zniszczyć złe wewnętrzne; on wolał ulec pod przemocą zewnętrznego nieprzyjaciela. Polska potrzebowała rewolucji socjalnej; on jej nadał charakter ekscentryczny. Kościuszko zgubił Polskę!"...[1]).

Pisząc te słowa, przeoczył Mochnacki choćby akt taki, jak manifest z pod Połańca, przeoczył trudności, jakie musiał zwalczać Kościuszko, ale poza tem wypowiadał prawdę i dzielnie wskazywał potrzebę podporządkowania mniejszości interesom większości, interesom całego narodu. A wierząc głęboko w życiodajną moc „rewolucji socjalnej", odsłaniał przed oczyma współczesnych przerażającą perspektywę, jeśli mniejszość nie zrozumie swego przeznaczenia:

„Wszystko zależy od ustanowienia kwestji. Ci, co wierzą w dyplomatykę, żyją z dnia na dzień, w nadziei, w oczekiwaniu. Nie wierzą w żadne społeczne wstrząśnienia. Przeraża ich gwar ludu, zatrważa mas powstanie. Obawiają się tego, jak fali wzburzonego morza, jak morowego powietrza, jak wezbrania wód i ognia... Ci zaś, co nie wierzą w dyplomatykę, w mocy tylko i słuszności całą nadzieję pokładają. Ci powołają masy do życia, do pognębienia" nieprzyjaciół. „We wstrząśnieniu socjalnem znajdą potrzebną siłę ku rozwinieniu insurekcji. Wejrzą w niebo, a gdy stamtąd żadna pomoc nie znijdzie, natenczas wzrok swój obrócą

---

[1]) Maurycego Mochnackiego: «Pisma Rozmaite». Poznań 1843, str. 26—25.

w przeciwległą stronę. Wtenczas będzie, jako pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów"...[1]).

Ze zgrozą czytano te słowa. Ale niewątpliwie bardziej niż treść przerażała „mniejszość" barwa wyrażeń, namiętne uniesienie, które drżało w każdem słowie znakomitego pisarza. Bo, mimo wszystko, radykalizm Mochnackiego w sprawie włościańskiej nie przyoblekał się w kształty konkretnych postulatów. „Historja — mówił on jeszcze w tym samym artykule—przekazała nam tę prawdę: że siła, jaką naród zewnętrznego nieprzyjaciela pokonać zdoła, zostaje w ścisłym, bezpośrednim stosunku z siłą jego materjalną i moralną, wewnętrzną. Dla powiększenia pierwszej, potrzeba ostatnią pomnożyć, natężyć". Ale w jaki sposób osiągnąć ów cel, tego Mochnacki wyraźniej nie powiedział w żadnym ze swoich artykułów. Gdyby jednak chodziło o wyznaczenie mu miejsca śród ówczesnych reformatorów, to z pewnemi zastrzeżeniami miejsce to mógłby zająć pomiędzy Szanieckim a Lelewelem. Gdy pisał, że należy „wszystkich włościan porównać z sobą i w całym kraju rozprzestrzenić obywatelstwo, tak, żeby wszystko u nas spolszczało i zziemianiało", zbliżał się do Szanieckiego. Ale był bliższy Lelewela, gdy żądał, aby każdemu włościaninowi, stającemu w szeregach, obwarowano „bezpieczeństwo dla niego i dla rodziny jego w niezamierzone czasy". Obu jednak prześcigał, gdy obejmował całokształt potrzeb narodowych. „Niemasz — wołał — żadnego środka, który zowiecie jakóbińskim, jakiegoby użyć obecnie mus nieodpartej konieczności nie zniewalał. Zmiana wszystkich wewnętrznych stosunków, zmiana radykalna, ge-

[1]) Ibidem, str. 28.

neryczna, powołująca do życia i cywilizacji to wszystko, co u nas było za okresem ukształceńszego społeczeństwa: ten ostateczny i jedyny środek wyrwać nas zdoła ze wszystkich niebezpieczeństw"...[1]).

Tak więc ramy przeobrażeń, które w pismach swych ukazywał Mochnacki, były bardzo szerokie, ale „rewolucja socjalna" nie występowała w tych ramach plastycznie. Jednakże i na zasadzie tego, co pisał, śmiało powiedzieć można, że jego żądania były najdalszą metą, u której w początkach powstania zatrzymywała się myśl reformatorska w Polsce. Wszakże pod jednym względem dał się wyprzedzić innym. W swej słynnej „petycji" żądał, aby posłowie ogłosili „tron za wakujący", tymczasem niektórzy towarzysze z Towarzystwa Patrjotycznego, przedewszystkiem zaś Józef Kozłowski, nic nie chcieli słyszeć o tronach i oświadczali się wyraźnie za utworzeniem rządu republikańskiego [2]). Mochnacki prócz tego, co wypowiedział w petycji, a co nie może uchodzić za ostateczny wyraz jego ówczesnych poglądów, nigdzie nie zaznaczył zapatrywania swego na formę rządu. Jednakże z tego, co pisał, wnosić można, że ta forma była dlań obo-

---

[1]) Ibidem, str. 38. Artykuł p. n.: «Czemu masy nie powstają?»

[2]) Na posiedzeniu Towarzystwa Patrjotycznego z d. 5 lutego «obywatel Józef Kozłowski z trybuny zasady republikańskie obwieszczał, a Towarzystwo przyklasnęło jego mowie»—pisze «Nowa Polska» w Nr. 55. O tej samej mowie Kozłowskiego wzmiankuje i «Polak Sumienny» (r. 1831, str. 171), dodając, że mówca wyraźnie zastrzegał się przeciw uchwale Sejmu, który uznał monarchiczno-konstytucyjną formę rządu, podczas gdy, zdaniem mówcy, Polska potrzebuje rządu republikańskiego.

jętna, byle tylko rząd był silny, sprężysty, byle hołdował zasadom, które w mowach i pismach swych głosił.

Mochnacki nie był teoretykiem socjalnym i siła jego prac z omawianego okresu leżała nie w teorjach, lecz w gorących wezwaniach do czynów, w walce z chwiejnością i oportunizmem, w hasłach, któremi pragnął rozpłomienić przyjaciól i wrogów politycznych, posłów, rząd, wojsko, lud, cały kraj polski, szeroki i długi, bogaty, bujny, silny, a pogrążony w niezdecydowaniu. Więc gdy izby poselskie „mędrkowały nad przepaścią", gdy wszystkie działania swoje pragnęły opierać na prawach, zawarowanych konstytucją, Mochnacki wskazywał im „konstytucję moralną temperamentu całego narodu, konstytucję entuzjazmu wolności", gdy zastanawiały się nad legalnością swego mandatu, wołał: „Powiedzcie całej Europie, że naszym mandatem jest zapał i rozpacz nieszczęśliwego ludu". Gdy ludzie roztropni, ludzie małego serca rozważali widoki walki, starał się wpoić w cały naród przekonanie, że „śród niebezpieczeństw szaleństwo i rozpacz są najwyższą mądrością, a roztropność nierozumem"... Przedewszystkiem jednak myślał o stworzeniu siły bojowej i do pracy nad tworzeniem tej siły nawoływał gorąco, zapamiętale. Potrzeba „liczbę wojska regularnego pomnożyć do 100,000 piechoty i drugie tyle uorganizować powstania", pisze w artykule z d. 28 stycznia. „Pomnożyć wojsko do 100,000 piechoty", woła 31 stycznia. O „100,000 Polakach", stojących pod bronią marzy jeszcze 14 lutego.

O takiej sile myślał i Chłopicki, będąc pewnym, że z nią można osiągnąć zwycięstwo. Ale stary lew napoleoński nie wierzył, aby Królestwo Polskie mogło taką siłę stworzyć, a w dodatku nie miał ufności do

włościanina, którego trzeba było dopiero przedzierzgnąć w żołnierza. Tymczasem Mochnacki był święcie przekonany, że przy dobrych chęciach cały kraj można przemienić w jeden obóz wojenny, w jedną niezdobytą twierdzę. Więc gdy widział, że ludzie, piastujący władzę, nie mają dość męstwa, aby dzieła tego dokonać, wołał rozdzierającym głosem: „Dni wasze są policzone!" I ukazywał oczom przepaść, w którą kraj cały stoczyć się może i dalej nawoływał do wydobycia wszystkich sił, mogących przeważyć szale zwycięstwa na rzecz powstającego narodu, do śmiałych czynów, do najrozleglejszych reform, do rewolucji socjalnej!

Ale krwawe widmo tej rewolucji płoszyło sen z powiekspokojnych obywateli, prześladowało posłów, przerażało członków rządu. Groźne sceny, znane dobrze współczesnym z historji rewolucji francuskiej, mroziły krew w żyłach władnej „mniejszości" i do żywego niepokoiły „dzierżycieli władzy". Więc zatykano uszy, aby nie słyszeć proroczego głosu i nie przestawano „mędrkować nad przepaścią". Ale że Mochnacki nie mógł być niesłyszalnym, więc w odpowiedzi na gromkie wołania, ciskano w niego przekleństwem i obelgami.

* * *

W ciągu tego okresu czyniono wszystko, aby Mochnackiego zabić w opinji. Wymyślano najniedorzeczniejsze nazwy, obwoływano go naprzemian Robespierrem, Dantonem, Maratem, to znowu demagogiem, jakóbinem, doktrynerem, szaleńcem. Nie oszczędzono mu ani jednej przykrości, nie darowano ani jednego fałszywego kroku, ani jednego błędu, który kiedykolwiek popełnił. Przypomniano, że pracował w biurze

cenzury, wyciągnięto nieszczęsne „pismo karmelickie", odsądzono go od czci i wiary, uznano niegodnym sprawowania żadnego publicznego urzędu, pastwili się nad nim wrogowie, opuszczali go przyjaciele, kamienowało społeczeństwo i opinja całego kraju przygniatała go swoim ciężarem. I pełzała wkoło niego małoduszność, trzaskały weń obelgi, godziły na jego życie potężne jednostki i chciały rozszarpać oburzone tłumy. A jednak Mochnacki nie poddawał się nikomu i niczemu. Powalony na ziemię, obryzgany błotem, ogłoszony zdrajcą i przedawczykiem, podnosił się z błota, otrząsał z zarzutów i, witany znowu oklaskiem, znów podziwiany i wielbiony, brnął przez rozhukane morze przeciwieństw i szedł do swego celu zawzięty i uparty, popychany naprzód ambitnemi zamiarami, które rozżarzały w nim wolę, budziły naprzemian gniew, wściekłość i rozpacz.

Pomawiano go o ambicję... I słusznie!.. Tak jest, miał Mochnacki ambicję, ale nie tę, o której myślano, nie tę, co rodzi się na tle osobistych marzeń i pożądań. Nie! Mochnacki miał ambicję za całe pokolenie. Taka ambicja, skąpana w morzu krwawych łez, przesycona bólem całego pokolenia, to najwyższy tragizm człowieka, a zarazem najdoskonalsza i najpełniejsza świadomość cierpień i tęsknot swojego czasu. Taką ambicję miał Reyten, Kościuszko, Mickiewicz, taką ambicję mieli tylko najwięksi bohaterowie, męczennicy idei, przewodnicy narodów, wieszczowie. Mochnacki nie wzniósł się na te wyżyny, co wspomniani bohaterowie. Nie można mierzyć go jedną z nimi miarą, gdyż z wielu względów dzieli go od nich przestrzeń olbrzymia. Ale źródłem jego ambicji było to samo

źródło, z którego wypływały patrjotyczne porywy Mickiewicza i zbrojny czyn Kościuszki i wiekopomny protest Reytena. Z tej samej głębi cierpień i obowiązków narodowych pochodziła świadomość Mochnackiego, z tej samej głębi wypływał jego czyn buntowniczy i jego, jak piorun gromkie a prorocze słowo. Myśl narodowa powstania w jego głowie miała swe siedlisko. Ludzie bardzo mali, ludzie, których wzrok nie sięgał poza obwód „niezaprzeczonej rzeczywistości", ówcześni prokuratorzy historji i literatury, doszukali się we wszystkich działaniach Mochnackiego jakiejś sprężyny, która te działania pozwalała przetłumaczyć na język najzrozumialszy dla łaknącej skandalu gawiedzi. Ludzie mali często z nadzwyczajną łatwością odnoszą zwycięstwo nad człowiekiem wielkim. Wielkiego Mochnackiego pokonała mała współczesność, ale historja już oceniła, kto w tych tragicznych zapasach wewnętrznych w czasie powstania odniósł zwycięstwo w obliczu dziejów!

Miał Mochnacki w całem swem życiu, miał i w okresie pomiędzy nocą 29-go a batalją na polach grochowskich chwile śmiertelnego bezwładu, chwile smutnego opadu woli i ducha. Gdy pisał „odwołania fałszywych pogłosek", stawał się mizernym człowiekiem, opuszczającym sprawę, by ratować siebie. Ale ratując siebie, ratował myśl przewodnią powstania. Nie usprawiedliwia to jego postępku, świadczy tylko, jak mocno zrosło się jego imię z ideą, która rozbłysła w pamiętną noc listopada.

A ideą Mochnackiego było zwycięstwo, a środkiem, wiodącym do zwycięstwa — droga, którą wskazywał współczesnym. On jeden w całem pokoleniu miał w to zwycięstwo wiarę niezłomną, wiarę wielką, wiarę, co

czyni cuda. Z tej wiary pochodziły nadzwyczajne uniesienia i porywy duszy, ta wiara wybuchała lawiną słów-gromów i świeciła pożarem strasznych przepowiedni....

Prawda, że zwycięstwo było również ideą spisku, a stało się ideą wszystkich, co po zmarnowaniu drogiego czasu i zgubnych wahaniach, stanęli ostatecznie pod sztandarem powstania. Ale dla towarzyszów Mochnackiego idea ta kończyła się z chwilą, gdy ożywieni bojowym zapałem, stanęli w szeregach wojsk narodowych; dla ludzi, stojących u steru, idea ta łączyła się nadziejami, co osłabiały ducha, była zależna od tysiącznych względów, mogła się zmieniać, kurczyć, przystosowywać do okoliczności. Dla Mochnackiego było to zwycięstwo ideą bezwzględną, tkwiącą w nim nieustannie, było koniecznością, poza którą nie widział nic, prócz hańby i śmierci. Zwycięstwo, o którem myślał i do którego dążył, miało być zupełnem, stanowczem. A odnieść je miał naród własną głową i własną siłą. A taką siłę mógł wydobyć tylko rząd, któryby w naród wierzył i potrzebne dla zwycięstwa siły umiał z narodu wykrzesać. Ten rząd miał być rewolucyjny, nieustraszony, w działaniach szybki, miał hołdować zasadzie, że śród piętrzących się niebezpieczeństw „szaleństwo i rozpacz są najwyższą mądrością a roztropność nierozumem", rząd, który w każdej chwili powtarzałby sobie, że „cała rewolucja od początku i do końca jest i powinna być nieprzerwanym ciągiem działań, natchnionych przez rozpacz i szaleństwo, bo tylko rozpacz i szał szczupłe pomnaża siły"...

Ale idea Mochnackiego nie została w całej swej rozciągłości zrozumiana, a więc nie mogła się urzeczywistnić. Jeden tylko człowiek zrozumiał i ocenił

Mochnackiego, a tym człowiekiem był śmiertelny wróg, jedyny godny Mochnackiego wróg: minister Lubecki. To byli dwaj realni i konsekwentni ludzie swojej epoki. I skrzyżowali swe wole i obaj w walce padli.

Lubecki był zbyt rozumnym człowiekiem, aby nie oceniać tak realnej siły, jak natchnienie i entuzjazm, ale stał na przeciwległym krańcu i sile natchnienia przeciwstawiał siłę zimnego rachunku. Mógł potężny minister radzić w. ks. Konstantemu, ażeby rozruchy stoliczne stłumił natychmiast zapomocą oręża, mógł wreszcie, jak pisze Forster, namawiać w. księcia, aby ogłosił się cesarzem i królem w Warszawie, bo następstwa takiego kroku dawały się obliczyć. Ale nie mógł matematyki sprzymierzać z zapałem i sprawować władzy wymagającej czynników, jakich w duszy swej nie posiadał. Więc umył ręce i wyjechał do Petersburga, bo już tylko tam widział właściwe dla siebie pole działania.

Zawiódł się minister: nie przypuszczał, że ów zapał, który zostawił za sobą, spali za nim mosty i przetnie powrotną drogę do Warszawy. Zapał zniweczył obliczenia matematyczne.

Zawiódł się i Mochnacki: szał i rozpacz, rodzice Nocy Listopadowej, entuzjazm i zapał nie dały się rozdmuchać w „pożar, nieugaszony żadnym przeciwnego wichru powiewem".

Ale Lubecki miał przynajmniej poparcie, miał legjon swoich zwolenników. Mochnacki był sam. Lubecki zabrał ze sobą ostatnią nadzieję tych, co ubolewali nad „smutnemi wypadkami" pamiętnej nocy i w stolicy nad Newą nadzieję tę pogrzebał. Mochnacki pozostał na placu boju i do ostatniej chwili zma-

gał się z przeciwnościami. Podobnie jak Lubecki uległ wkońcu przemocy, zmieciony został z widowni, zabity w opinji....

Tylko że ludzie, co również zostając na placu boju, łatwo pogodzili się z klęską Lubeckiego, nie przestali walczyć z Mochnackim. Nieszczęśni! nie wiedzieli, że, zabijając Mochnackiego, własną zabijają sprawę!...

VI.

W DNIACH KLĘSKI.

Zbeszczeszczony, wzgardzony, wyczerpany nierówną walką, bezradny wobec nieubłaganej opinji, Mochnacki postanowił spełnić ostatni obowiązek, ciążący na żołnierzu wolności. Rozumiejąc, że jedynie w armji czynnej może być teraz pożytecznym, podał na imię Radziwiłła prośbę o przyjęcie go w szeregi. W odpowiedzi na to naczelny wódz przysłał mu patent oficerski, ale hardy „jakóbin" nie przyjął zaszczytnej nominacji i jako ochotnik-szeregowiec wstąpił wraz z Gurowskim do pierwszego pułku strzelców pieszych. Znalazł się w ten sposób w brygadzie Bielińskiego, w dywizji Szembeka. W pułku tym służył już młodszy brat Mochnackiego, Kamil. Obaj bracia ramię w ramię maszerowali teraz na plac boju, ale mimo, że szli na spotkanie śmierci, w ślad za nimi goniły oszczerstwa. Gazety stołeczne rozgłosiły, że Maurycy Mochnacki wraz z innymi współpracownikami Nowej Polski umknął zagranicę w obawie przed nadciągającym nieprzyjacielem. Te fałsze zaczęto rozsiewać w chwili, kiedy dziesięciu redaktorów Nowej Pol-

ski porzuciło pole walk gazeciarskich i, zamieniwszy pióra na karabiny, maszerowało na pola bitew. Ci, co zostali bezpieczni w lokalach redakcyjnych, bezkarnie mogli teraz oczerniać redaktorów nienawistnego organu.

Tymczasem dnia 15 lutego donosił Zaleski: „Piszę ten list śród zgiełku i hałasu marszowego. Z Maurycym zobaczę się jutro w generalnym boju. Wyjeżdżam w tej chwili z rozkazem na linję bojową. Uderzy, już bije wielka uroczysta, ostatnia godzina. Być lub nie być"... [1]).

A w tym samym czasie Maurycy Mochnacki pisał w namiocie obozowym swój ostatni artykuł, drukowany w Nowej Polsce. W artykule tym raz jeszcze nawoływał rząd do poruszenia mas ludowych i zalecał rewolucję socjalną. Zastanawiał się również nad taktyką odporną Chłopickiego i taktyce tej nie wróżył nic pomyślnego. Mochnacki nie posiadał wykształcenia wojskowego, ale rozumiał dobrze, iż każda wojna musi być prowadzona nie tylko zgodnie z przepisami strategji, lecz zgodnie i z duchem, ożywiającym armję. Tymczasem nastroju, panującego w wojsku polskiem, nie uwzględniała główna kwatera. „Przyjęliśmy,—pisał Mochnacki, — systema wojny odpornej, systema zgubne, niebezpieczne dla każdego narodu, tak szczupłe liczącego zastępy, tak szczupłe posiadającego zapasy". I marząc w dalszym ciągu o krokach śmiałych, stanowczych, pisał: „Insurekcję trzeba zamienić w rewolucję społeczną. Powołać masy do życia i wkroczyć do zabranych gubernij, nie zważając na żadne okoliczności, na niebezpieczeństwo stolicy i tego piaszczystego kraju, otóż owe zagadnienia, których rozstrzy-

---

[1]) «Nowa Polska». R. 1831, Nr 45.

gnienie waszemu staraniu i waszym polskim chęciom poruczamy... Chcemy zwyciężyć, a więc zaczepnie działać nam potrzeba"... [1]).

Jak w swoim czasie Mochnacki pierwszy rzucił hasło wkroczenia na Litwę [2]), tak teraz pierwszy ośmielił się potępić publicznie „systema odporne", które później potępiali wszyscy. Nadaremnie jednak wzywał do działań zaczepnych, nadaremnie mówił o wkroczeniu do gubernij zabranych. Głos jego był już spóźniony.

Właśnie kiedy artykuł ukazał się w druku, feldmarszałek Dybicz opuścił Litwę i przekroczył granice Królestwa. Na rozkaz wodza rosyjskiego 130,000 ludzi deptało „ziemię mogił i krzyżów". Wężowemi skrętami, niepowstrzymywane przez nikogo, ciągnęły ku Warszawie najlepsze siły rosyjskie, sławne pułki morskie, głośna w Europie piechota, grenadjerzy, kirysjerzy, husarja, ułani, kozacy, wojsko wszelkiej formacji i broni, lud rosły, silny, wytrzymały, zaprawiony do walki, pewien zwycięstwa. 400 armat i nieprzeliczona ilość amunicji towarzyszyła temu pochodowi. Szły naprzód korpusy Pahlena I-go, Rosena, Witta, Szachowskiego, Kreutza, szły gwardje w. ks. Konstantego i niby powódź żelaza i stali rozlewały się po równinach smutnej ziemi polskiej.

Naprzeciw tej masy wojsk Królestwo zamiast 100,000 samej piechoty, o czem marzył Mochnacki, wystawiło ogółem 45,000 żołnierza i 140 dział. W dodatku armja polska była bez wodza. Naczelnik tytularny siły zbrojnej,

---

[1]) M-cki «Pisma rozmaite», str. 39.

[2]) Krok ten miał ogromne znaczenie nie tylko ze względów politycznych, ale i st ategicznych. Współcześni strategicy, jak gen. Puzyrewski nieopanowanie Litwy uważają za jeden z największych błędów Chłopickiego.

książę Radziwiłł czekał rady od Chłopickiego, ale Chłopicki, acz obiecał wspierać naczelnego wodza, dąsał się i o niczem nie chciał słyszeć. Czasem tylko, jak gdyby duch Napoleona wstępował w byłego dyktatora. Wtedy z oczu jego sypały się błyskawice, szedł z nich zapał i moc, ta napoleońska moc, która udzielała się żołnierzom i lękliwych ludzi przemieniała w lwy. Lecz rzadkie były to chwile. Stary generał, ubrany w surdut cywilny, oświadczał najczęściej, że bez rangi jest niczem, a gdy mu mówiono o działaniach wojennych, obrażał się lub wybuchał gniewem. Cisza panowała w głównej kwaterze polskiej. Nadaremnie dwaj najzdolniejsi oficerowie sztabu, Prądzyński i Chrzanowski przedstawiali swe plany i domagali się działań stanowczych. Chłopicki nie słuchał czynionych mu przedstawień i dopiero zbliżanie się wojsk rosyjskich zbudziło w nim energję. Stary lew napoleoński obudził się nareszcie i zaczął przygotowywać się do przyjęcia Dybicza.

Stanowcza godzina zbliżała się nieodwołalnie.

Dnia 14 lutego Dwernicki rozgromił pod Stoczkiem Geismara, a w kilka dni potem rozpoczęły się walki pod Okuniewem i Wawrem. W jednym z ważniejszych w bitwie tej momentów gen. Szembek, walcząc z przemagającemi siłami gen. Łopuchina, stanął na czele dwóch pułków strzelców pieszych i osobiście poprowadził je w ogień. W pierwszym z tych pułków służyli obaj Mochnaccy. Na rozkaz generała bracia śmiało ruszyli naprzód i wdarli się w nieprzyjacielskie kolumny. Zawrzała walka mordercza. Padł dwukrotnie raniony Kamil Mochnacki, padł obok niego Maurycy i po raz pierwszy krwią swoją zbroczył tę ziemię,

na której tyle wycierpiał, a której nic już, prócz krwi, ofiarować nie mógł.

„Niepodobna, — pisał w parę dni później o tym ataku gen. Szembek,—wyszczególniać wszystkich czynów bohaterskich naszych żołnierzy. Wielu okryło się nieśmiertelną chwałą. Żołnierze pułku I go strzelców... pod najgęstszym ogniem karabinowym zdobyli nieprzyjacielowi chorągiew; z tegoż pułku podoficer Brański Walerjan zarąbał sam kilkunastu przeciwników; ochotnicy zaś Mochnacki Maurycy i Gurowski Adam jedni z pierwszych wpadli do kolumny nieprzyjacielskiej"... [1]).

Jak można wnosić z raportu Szembeka, znakomity pisarz był niezgorszym żołnierzem, a choć przyznawał się otwarcie, że wrzawy obozowej i zapachu prochu nie cierpi, umiał w chwili stanowczej zdobyć się na „męstwo szału i rozpaczy", które tak gorąco w pismach swoich zalecał. Ale rana zmusiła go do wycofania się z szeregów. Przewieziony do Warszawy, już tylko zdala mógł nadsłuchiwać gruchotu dział, ziejących na błoniach Grochowa...

Walka toczyła się dalej...

W kurzawie dymów bojowych, w świście kul, w łoskocie pękających granatów odnalazł siebie Chłopicki, nabrał ducha, życia, kolorów i samą postawą wzbudzał w żołnierzu entuzjazm. Pod jego okiem mierzyły się bohatersko wojska polskie z przemagającą siłą, ale gdy Chłopicki, odniósłszy ciężką ranę, opuścił plac boju, przygnębienie zapanowało w szeregach i armja polska cofnęła się do stolicy. Jednakże

---

[1]) Raport gen. Szembeka. «Kurjer Polski» r. 1831, Nr 431 z d. 24 lutego.

w mogile grochowskiej pogrzebana została sława wojenna Dybicza. Wprawdzie feldmarszałek zajął pole walki i stał pod murami Warszawy, ale zatrzymany mężnym oporem, stał niepewny i nie mógł się zdecydować na rozpoczęcie szturmu...

Tymczasem na miejsce Radziwiłła Rząd Narodowy mianował wodzem naczelnym Skrzyneckiego, który się wsławił bohaterską obroną Dobrego i Olszynki. Armja polska, zapełniwszy nowemi pułkami przerzedzone zastępy, szybko powracała do sprawności bojowej. A Dybicz stał jeszcze czas jakiś przed szańcami Pragi, ale zagrożony głodem, dał niebawem znak do odwrotu.

Na widok cofającego się nieprzyjaciela nabrał do siebie zaufania żołnierz polski i weselej spojrzał w przyszłość. Zaczepnie działać trzeba!—wołali teraz wszyscy i szykowali się do nowych zapasów; ale Skrzynecki nie miał w sobie nic z powstańczego wodza. W pamiętną noc 29-go biegł on „ofiarować swą szpadę na usługi w. księcia" [1]), a objąwszy naczelne dowództwo, mówił o wielkim grobie, do którego cały naród z „honorem" obiecywał wtrącić. W piersi nowego wodza małe biło serce, a w głowie nigdy nie postała myśl stanowcza i zdecydowana. Mężny żołnierz był najgorszym wodzem i gorszym jeszcze dyplomatą, niż wodzem, choć od dyplomacji jako wódz naczelny zaczął swą działalność. Jednakże zapał, panujący śród ludu i wojska, nie pozwolił mu trwać w bezczynności. W drugiej połowie marca wojsko polskie opuściło Warszawę i wnet gruchnęła wieść o zwycięstwach pod

---

[1]) Barzykowski «Historja Powstania Listopadowego». Tom III, str. 35.

Wielkiem Dembem i Iganiami. Ale zwycięstw tych nie umiał wykorzystać Skrzynecki. Na teatrze wojny znowu zapanowała cisza. Szemrało wojsko, rwące się do boju, niepokoił się bezczynnością nowego wodza rząd, posłowie, stolica, aż Skrzynecki, raz jeszcze pobudzony szemraniem, zdecydował się rozpocząć swą słynną wyprawę na gwardje. Wyprawa ta, zakończona klęską ostrołęcką, obnażyła w całej pełni niedołęstwo i upór Skrzyneckiego, równający się ciasnocie umysłu.

Mochnacki, przyszedłszy do zdrowia, znowu zaciągnął się do szeregów. Mianowany podporucznikiem, nie oponował już przeciw randze oficerskiej, bo krew przelana nadawała mu we własnych oczach prawo do awansu. I znowu pociągnął na pola bitew.

„Walczyłem, — pisał później,—jako prosty żołnierz pod Okuniewem, pod Wawrem 18 i 19 lutego i od tej chwili (19 lutego 1831 r.) odbywałem kampanję. Przy rozpoczęciu kampanji przez Skrzyneckiego, na nowo wstąpiłem w szeregi i, nie licząc pomniejszych utarczek, biłem się pod Liwem, pod Prytyczą, Długosiodłem, Nadborowem, Kościelcem, wreszcie Ostrołęką, skąd okryty ranami przywieziony zostałem do Warszawy"...[1]).

Siedem ran i krzyż złoty virtuti militari wyniósł Mochnacki z ognia wojny [2]), ale obok tych zaszczytnych oznak wyniósł rzecz stokroć dlań droższą

---

[1]) List Mochnackiego z d. 23 maja 1832 r. do Komitetu Narodowego Polskiego. Roczniki Polskie Leonarda Chodźki. 1832. Muz. w Rapperswilu.

[2]) O ranach M-go, otrzymanych w bitwie pod Ostrołęką, tak pisze matka: «Kula karabinowa, zapewne ze sztucera, aż pięć ran, czyli dziur odrazu zrobiła. Uderzyła z boku, zukosa, z prawej strony, w sam środek pleców pod kość pacierzową, rekoszowała, to jest

i ważniejszą, a mianowicie głębokie przeświadczenie, że dzieło, rozpoczęte 29 listopada, może uwieńczyć skutek pomyślny. Lecz to przeświadczenie nowym napoiło go smutkiem: lecząc się z ran odniesionych, nadaremnie rozglądał się wkoło i śród ludzi, sprawujących władzę, szukał mężów, natchnionych tą samą wiarą w zwycięstwo. Były siły w masach, były środki do wydobycia tych sił, ale nie było człowieka. Po nieszczęsnej bitwie ostrołęckiej przygnębienie panowało w stolicy i niemoc przezierała zewsząd. Z bólem i rozpaczą musiał patrzeć Mochnacki na działania rządu i Sejmu, na czcze hałasy Towarzystwa Patrjotycznego, na nieczynność armji, na upadek ducha publicznego. Był święcie przekonany, że jeden poryw energji wszystko zmienić może, ale tej energji nie było ni w rządzie, ni w Sejmie. Powstanie chyliło się do upadku, a nikt nie dzwonił na alarm; nikt nie wołał, że zbliżają się ostatnie godziny, że czas najwyższy zmienić z gruntu całą taktykę powstańczą. Były to zapewne najsmutniejsze chwile w życiu niestrudzonego działacza. Mochnacki posiadał zbyt dużo przenikliwości, aby nie widzieć tragicznego końca, jeśli istniejący stan rzeczy przedłużać się będzie, a znikąd nie widział ratunku. Patrzył w przyszłość, jak w czarną otchłań i z lękiem myślał o tem, co się stanie... Cóż jednak

---

odskoczyła od kości i wpiła się z drugiej strony stosu pacierzowego, tuż przy kości, przeszła popod żebrami, wyleciała bokiem pod pachą i nakoniec przeszyła lewe ramię, gdzie z drugiej strony wyrzniętą była, ale szczęściem nie uszkodziła kości. Wiadomość ta,— powiada Mochnacka,—pochodzi od naocznego świadka, bo od lekarza ze szpitala wojskowego oficerskiego w szkole aplikacyjnej, który opatrywał Maurycego i doglądał przez ciąg jego choroby»... («Listy M. M-go i brata jego Kamila». Poznań 1863, str. 326).

mógł uczynić?... Zmiażdżony przez opinję, opuszczony przez przyjaciół, zawiedziony w nadziejach, pokładanych w Towarzystwie Patrjotycznem, był sam, zupełnie sam. Ostateczna porażka, poniesiona w walce z Sejmem, odarła go z uroku w oczach stolicznego tłumu i nie rokowała najmniejszego powodzenia nowym wystąpieniom. Rozumiał to doskonale. Wiedział, że na głos jego nikt się już nie odezwie, że nowa walka będzie już tylko osobistą manifestacją własnej bezsilności. Był sam, zupełnie sam, rozpacznie bezsilny w swem opuszczeniu. Nie wyrzekł się jednak dalszej działalności, ale działania jego nie miały już rozmachu, który cechował dawniejsze wystąpienia. Nie mogąc być czynnym na widowni szerszej, skrył się za kulisami powstania i zeszedł do mizernej roli konspiratora. Odtąd rozpacz nim kierowała. I tylko tą rozpaczą wytłumaczyć można projekt, który się zrodził w niespokojnej głowie. Szukając człowieka, zatrzymał swój wzrok na Skrzyneckim. Zetknąwszy się z ministrem Horodyskiem, powiernikiem Skrzyneckiego, przez tego ministra namawiał naczelnego wodza, aby rozpędził Sejm i pochwycił w swe ręce władzę dyktatorską. Skrzynecki nie był w oczach Mochnackiego owym wielkim człowiekiem, jakiego chwila wymagała, ale w istniejącem położeniu rzeczy znakomity pisarz uważał, że „najmniej zdatny człowiek, ale j e d e n, cztery razy mniej złego zrobić może, niż p i ę c i u ludzi niezdatnych", składających ówczesny rząd [1]).

Słusznie pisze Mierosławski:

„Mochnacki należał do genjuszów, których tak zwane szczęście żywotną atmosferą, które zatem wszel-

---

[1]) «Pisma rozmaite», str. 167.

kie stronnictwa ważą li na szali bieżącego powodzenia"... [1]).

Ale Skrzynecki, niedoszły Napoleon na polach bitew, miał pozostać niedoszłym Napoleonem i w polityce swojej.

„Z początku,— pisze Mochnacki,— gniewano się na mnie, żem powstawał na Izbę, wkońcu atoli przed nocą 15 sierpnia generałowie Horodyski i Skrzynecki dzielili ze mną to zdanie, że z Izbą à la Kromwel postąpić należało. Namawiałem do tego Skrzyneckiego, ale nie jego to głowy robota. Dzielnie bił się pod Dobrem, pod Ostrołęką, ale żadnej nie ma politycznej edukacji" [2]). A w innem miejscu powiada o Skrzyneckim: „W wejrzeniu tego człowieka było coś, co mu jednało wiarę poczciwych ludzi. Tak zdawał się natchniony, kiedy prowadził bataljony nasze w morderczy ogień pod Ostrołęką! kiedy zdobywał Olszynę pod Grochowem, kiedy swój raport pisał z pod Dobrego. Osobiście był to żołnierz nieustraszony i pobożny; po kawalersku tylko pojmował ojczystą sprawę, był to generał dywizji pełen talentów, ale nie wódz i nie polityk"... [3]).

Te słowa Mochnackiego są zarazem i krytyką jego pomysłu, który zresztą miał tylko ten skutek, że dowiedziała się o nim „szujokracja warszawska", jak Mierosławski nazywa ciemne żywioły Towarzystwa Patrjotycznego, i rozgłosiła śród swoich zwolenników, że Mochnacki stał się arystokratą. Tę nazwę złączył

---

[1]) «Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830 i 1831» przez Ludwika Mierosławskiego. Paryż, 1868. Tom V, str. 220.

[2]) «Listy M. M-go» str. 64-65.

[3]) «Pisma rozmaite», str. 173.

z nazwiskiem Mohnackciego ksiądz Puławski i puścił ją w obieg po stolicy. A stało się to w chwili, kiedy Towarzystwo Patrjotyczne coraz wyżej podnosiło głowę i coraz śmielej krytykowało działania Czartoryskiego i coraz głośniej oburzało się na arystokrację. W takich warunkach nazwa arystokraty była najwyższą kompromitacją. Ale Mochnacki nie przypuszczał nawet, jaka burza zbiera się nad jego głową.

* * *

Nieustanne wzburzenie ludu stolicznego, wywołane bezczynnością i niepowodzeniami armji, przejawiało się coraz silniej. Rząd Narodowy, ulegając naciskowi opinji, odebrał Skrzyneckiemu naczelne wodzostwo. Powierzono je zkolei wsławionemu świetnym odwrotem z Litwy generałowi Dembińskiemu, ale ten generał, pozbawiony taktu, niezręczny w najwyższym stopniu, ile razy wystąpił publicznie, zawiódł pokładane w nim nadzieje. Obejmując dowództwo, przed frontem wojsk obsypał pochwałami swego poprzednika i jego śladami obiecywał kroczyć [1]. Ta „rycerskość" teatralna odebrała Dembińskiemu zaufanie armji, a w stolicy podniosła przeciw niemu masy. Dalsze kroki nowego wodza, który, obawiając się rozruchów w stolicy, wylotami na miasto działa kazał obrócić, wywołały nowe wybuchy gniewu. Paskiewicz stał pod Warszawą, a Dembiński w Warszawie widział nieprzyjaciela. Oburzyło to masy. Niezadowolenie zaczęło się szerzyć, jak pożar. Rząd Narodowy stracił resztki

---

[1]) «Generała Henryka Dembińskiego Pamiętniki o powstaniu w Polsce». Tom II, Kraków 1875, str. 67.

swego autorytetu. Sejm nie zadowalał już nikogo, a obrady posłów w chwili, gdy armja nieprzyjacielska zbliżała się do stolicy, budziły głuchy pomruk. Chaos i gorączkowe zniecierpliwienie ogarniało umysły. Na ulicach głośno rozprawiano o potrzebie utworzenia nowego rządu, a śród członków Towarzystwa Patrjotycznego coraz częściej rozlegał się złowrogi okrzyk: „zdrada!" I kary na zdrajców zaczęły domagać się tłumy uliczne.

W takim momencie na widowni publicznej ukazał się generał Krukowiecki, osobisty wróg Skrzyneckiego, starzec zdolny, bystry, ale próżny i przewrotny, pyskacz pierwszej klasy, Kato w mowie, intrygant w zamiarach i czynach. Jako nieubłagany krytyk wszystkiego, co uczynił Rząd Narodowy i Skrzynecki, umiał Krukowiecki na stanowisku gubernatora zjednać sobie sympatje sfer rewolucyjnych i zdobyć popularność w stolicy. Uważając, iż chwila nadaje się do pochwycenia władzy, o której nieustannie marzył, przyłączył się jawnie do niezadowolonej rzeszy. Potakiwał on wszelkiej krytyce, mówił o koniecznych zmianach w rządzie i o reformach w armji, zarzucał zdradę Skrzyneckiemu, szarpał Czartoryskiego, odgrażał się Sejmowi; gdzie mógł, tam rozdmuchiwał płomienie gniewu i coraz pewniejszy siebie, coraz widoczniejszy dla tłumów, płynął na grzbiecie wzmagającej się fali niezadowolenia. Obrotny, sprytny, przenikliwy, znał namiętności ludzkie i umiał je w razie potrzeby rozpętać. Niedwuznacznie wskazując na siebie, zapewniał na prawo i na lewo, że niech tylko władzę dostanie w swe ręce, a natychmiast wszystko się zmieni. Siwe włosy, na które się nieustannie powoływał, zasługi, o których sprytnie umiał mówić, przystępność i ła-

twość w obcowaniu z ludźmi, wreszcie pozory głębokiego patrjotyzmu, w jaki umiał przyoblekać każde swe słowo, budziły w masach ufność i jednały mu serca. Krukowiecki, obiecując wszystko, czego odeń żądano, pozyskał dla planów swych Lelewela, usidłał wybitniejszych członków Towarzystwa Patrjotycznego, jak Krępowiecki i Czyński, zjednał Nabielaka, jął zmawiać się z Bronikowskim i Zaliwskim, wreszcie zaczął kokietować Mochnackiego.

W oczach tych wszystkich ludzi Krukowiecki stał się jak gdyby mężem opatrznościowym, jedynym człowiekiem, którego energja i sprężystość rokowała jeszcze jakie takie nadzieje.

W domu redaktorowej Chłędowskiej zawiązało się w tym czasie tajne sprzysiężenie, do którego weszli między inn. Lelewel [1]), Zwierkowski, ks. Puławski, Czyński, Krępowiecki, głośny w ostatnich czasach śród członków Towarzystwa Patrjotycznego, Płużański, Ksawery Bronikowski, Cyryl Grodecki, dziennikarz Saniewski itd. Wszedł do tego sprzysiężenia podejrzewany ciągle przez Puławskiego o tendencje arystokratyczne i Maurycy Mochnacki. Sprzysiężeni, a przynajmniej niektórzy z nich, radząc o zmianie rządu, gotowi byli uciec się do wystąpień gwałtownych, rewolucyjnych, do krwawego zamachu na rząd, prze-

---

[1]) Mierosławski przeczy jakoby Lelewel należał do tego stowarzyszenia. Ale inaczej pisze o tem Zwierkowski i Mochnacki. List Lelewela do Chodźki (o liście tym później) świadczy, że sprzysiężenie to nie było profesorowi obce. W innym ze swoich listów pisze Lelewel, że owe narady w domu pani Chłędowskiej nie zasługują nawet na miano spisku. Utrzymuje, że raz jeden wraz ze Zwierkowskim udał się na te narady. List Lelewela. Rks w Bibl. Jag.

dewszystkiem zaś na ks. Czartoryskiego, który jako prezes rządu uważany był w owym czasie za głównego sprawcę wszystkich niepowodzeń. Oczy tych niezadowolonych skierowane były na Krukowieckiego, w nim bowiem widziano jedynego człowieka, który objawiał energję i był jedynym kandydatem na naczelnika rządu rewolucyjnego.

W imieniu tego grona Mochnacki zapewnił Krukowieckiemu poparcie żywiołów rewolucyjnych, ale pod warunkiem, że Krukowiecki, objąwszy władzę naczelną, usunie od rządu partję Czartoryskiego i stronnictwo Niemojowskich, a główne funkcje powierzy ludziom młodym, energicznym, znanym ze swego sposobu myślenia. Krukowiecki na wszystko skwapliwie się godził, obiecał nawet podminować Warszawę, by w razie nieszczęścia razem z armją nieprzyjacielską wysadzić stolicę w powietrze.

Niezależnie od tych knowań Towarzystwo Patrjotyczne na swoją rękę rozdmuchiwało tlące w masach iskry niezadowolenia. Nowa Polska w najostrzejszych wyrazach krytykowała działania rządu i waliła gromy potępienia na Sejm, zarzucając temu ostatniemu, że nie rozwiązawszy kwestji włościańskiej, pozbawił powstanie najdzielniejszych elementów bojowych. Z trybuny Towarzystwa również padały namiętne oskarżenia pod adresem rządu, Sejmu, wodzów, i wszystkie błędy, popełnione w ciągu całej kampanji, przedstawiane były jako wyraźna zdrada. Burzył się lud Warszawy. Gniew chodził po ulicach miasta. Dnia 15 sierpnia ukazały się na mieście listy z nazwiskami kilkudziesięciu „zdrajców", a na czele widniały nazwiska Czartoryskiego i Skrzyneckiego. Wzburzony lud tłumnie zapełnił dnia tego sale redutowe. Zebra-

niu przewodniczył Jan Czyński. W czarnych kolorach przedstawił on położenie rzeczy, dowodząc, że rząd i wodzowie, zamiast przygotować wszystko do walki, myślą jedynie o układach. Po Czyńskim zabierali głos inni, a największe wrażenie uczyniła mowa ks. Puławskiego, po której rozległy się okrzyki: „zdrada!" Wybrano deputację, która miała rozmówić się z rządem i zbadać jego zamiary, poczem tłum wysypał się na ulicę i, towarzysząc deputacji, pociągnął za sobą masy, zgromadzone na placu Krasińskich. Rząd zdołał uspokoić deputację, ale lud uspokoić się nie dał. Z okrzykami: „śmierć zdrajcom!" pociągnęły tłumy na plac Zamkowy i tu jak pocisk krwawej zemsty rozwaliły drzwi zamku i wdarły się do wnętrza, gdzie uwięzieni byli pozostający pod sądem generałowie. W jednej chwili ponieśli śmierć generałowie Jankowski, Sałecki, Bukowski i Hurtig, życie dał szambelan Fenshave i niejaki Bentkowski, a trupy, wywleczone na plac, zawisły na latarniach. Po tym czynie huknął okrzyk: „wieszać szpiegów!" I wzburzony tłum pociągnął do więzienia, gdzie przebywali znienawidzeni przez ludność agenci policji tajnej z czasów w. ks. Konstantego. Szyją przypłacili działalność swoją szpiegowie Szlej, Makrot, Szymanowski, Grünberg, Łuba i wielu innych, nie doczekała się świtu zgraja defraudantów, oczekujących wyroku sądowego. Złowrogo świeciły tej nocy latarnie na ulicach Warszawy i krwawo połyskiwały sutanny księży z Towarzystwa Patrjotycznego. Rozhulał się ksiądz Szynglarski, a i ks. Puławski wpadł w jakiś szał krwiożerczy.

„Kiedy,—pisze Czyński,—Puławskiemu i mnie doniesiono, że przy zamku wieszają:

— Śpieszmy, — zawołałem, — aby kogo niewinnego nie stracono.

— Śpieszmy,— odpowiedział Puławski,— aby kogo winnego nie pominięto"... [1]).

W głowie tego księdza zrodziła się owej nocy myśl pochwycenia w ręce swe władzy. Dwóch ludzi stało mu na przeszkodzie, więc obu postanowił „sprzątnąć". Jednym z nich był Krukowiecki, drugim—Mochnacki. Więc „polował" Puławski na Krukowieckiego, ale i o Mochnackim myślał, bo rozumiał, że zniknie w cieniu jego potężnej indywidualności. Na prawo i na lewo głosił, że groźny dlań trybun połączył się z arystokracją. Mierosławski przypuszcza, że „ani Puławski, ani jego psiaki nie mieliby odwagi dopuścić się na Mochnackim innego gwałtu, jak zmusić go do schowania się z potężną swoją osobistością przez czas szujokratycznego zamachu sali redutowej"... [2]).

Bądź co bądź życie Mochnackiego poważnie było zagrożone; na szczęście, uprzedzony o niebezpieczeństwie, zdołał się ukryć i ocalić głowę [3]).

Gdy minęła noc krwawa, popłoch padł na członków rządu, na wodzów i posłów. Stało się jak dzień jasnem, że autorytet wszystkich istniejących władz upadł, że straciły one tej nocy resztki popularności

---

[1]) List Czyńskiego do Ludwika Królikowskiego z d. 8 lipca 1862 r. Rks w bibl. w Rapp.

[2]) L. Mierosławski. «Powstanie Nar. Polskiego». Tom V, str. 283.

[3]) Następnego dnia Mochnacki opuścił swoją kryjówkę i poszedł na posiedzenie do sal redutowych, aby tam sparaliżować dążenia Puławskiego, który agitował na rzecz rządu, złożonego z dziewięciu osób. M-cki wystawił potrzebę dyktatury. Nie umiał jednak dla tej myśli zjednać zwolenników. Pamiętano, że w tych samych salach redutowych on pierwszy słowo: «zdrajca» rzucił pod adresem

i znaczenia. Droga do władzy stała otworem. Pewnie i śmiało wysunął się teraz Krukowiecki i już dnia 17 sierpnia mianowany został przez Sejm naczelnikiem rządu. Dano mu pełnomocnictwa, jakich żądał, a więc niemal nieograniczone.

Stało się więc to, do czego dążyło stowarzyszenie, zawiązane w domu Chłędowskiej, ale stało się inaczej. Krukowiecki otrzymał upragnioną władzę, ale nie z rąk rewolucji, jak chciał Mochnacki, lecz z rąk Sejmu.

Noc 15 sierpnia wyniosła Krukowieckiego, ale pokrzyżowała plany sprzysiężonych. W krwawem dziele tej nocy Mochnacki nie brał udziału. Noc ta, — pisał później,—„nie była ani mojem, ani Lelewela dziełem. Było w naszej mocy teroryzmem wydźwignąć sprawę polską z przepaści, ale myśmy o innej rozmyślali nocy, o innym teroryzmie. Nie mogłem pojąć, na co się to przyda wieszać szpiegów nieboszczyka Konstantego, szpiegów bezbronnych i uwięzionych, których kat mógł za dekretem śmierci powiesić. Nie mogłem pojąć, na co się to przyda wtenczas, kiedy tylu innych daleko szkodliwszych i niebezpieczniejszych ludzi wysokie sprawowało urzędy. Nie Makrot

---

dyktatora. Wprawdzie M-cki w owym czasie nie dyktaturę, lecz Chłopickiego zwalczał, ale dyktatura była odtąd znienawidzona w salach redutowych. Mochnacki zdołał powagę księdza zaszachować nazwiskiem Krukowieckiego, ale sprytny klecha pierwszy jął wydawać okrzyki na cześć Krukowieckiego i wynosić go pod niebiosy, a później spytał tylko audytorjum, czy można na chwilę przypuszczać, aby taki patrjota, jak Krukowiecki, poszedł śladem zdrajców Chłopickich i Skrzyneckich, i tem pytaniem wytrącił broń z rąk przeciwnika. M-cki jak niepyszny musiał opuścić zebranie. Był to ostatni jego występ w T-wie Patrjotycznem.

i Szlaja, ale naczelnicy władzy z generałami zdrajcami powinni byli pokutować na latarni za wszystko złe, jakie nabroili poczęści z nierozumu, po części ze złej woli. Noc ta jednak nie była moją sprawą, bo ja sam co tylko nie byłem powieszony, wskutek intryg pewnego księdza"... [1]).

A w dwa tygodnie po nocy 15 sierpnia Lelewel te słowa pisał do Leonarda Chodźki:

„Wstrząśnienie 15 sierpnia, zaczem poszła zmiana 17 zapadła, uratowały nas od daleko gwałtowniejszych rewolucyjnych zdarzeń, któreby, usiłując nas ratować, możeby nagle zgubę przyśpieszyły. Wycieńczeni, wysileni, stajemy dziś znowu czynni i zaczepni i nie bez nadziei"... [2]).

Wzmianka o naczelnikach władzy w liście Mochnackiego i słowa Lelewela o „daleko gwałtowniejszych rewolucyjnych zdarzeniach" odnoszą się niewątpliwie do projektowanego zamachu na rząd, a więc przedewszystkiem na Czartoryskiego. Niepodobna dociec, czy projekt ów był bliski urzeczywistnienia, ale sam pomysł tego zamachu rzuca nowe światło na Mochnackiego. W walkach, które dotąd prowadził, przekonał nieprzyjaciół, że jest przeciwnikiem niebezpiecznym, ale biorąc udział w knowaniach przeciw Czartoryskiemu, dowiódł, że może być strasznym. Czyn taki wstrząsnąłby nie tylko całą Polską, ale Europą, przejąłby grozą wszystkie gabinety i powstaniu nową nadałby barwę. Niepodobna rozważać, do czegoby doprowadził zamach na Czartoryskiego, ale to

---

[1]) Listy M. M-go, str. 3,

[2]) List Lelewela z d. 4 września 1831 r. Rękopis w bibl. w Rapp.

pewna, że nowy naczelnik rządu musiałby liczyć się z tymi, coby mu powierzyli ster władzy. Stało się jednak inaczej i Krukowiecki inną drogą doszedł do celu.

„Stary lis, — pisał później Mochnacki, — pochlebiał młodzieży, od której wszystko zależało... Krukowiecki szkaradnie mnie oszukał i wszystkich nas rewolucyjnych patrjotów. Przed nocą 15 sierpnia widywał się ze mną dosyć często, grał rolę poczciwego człowieka. Zapewniał, że jeżeli weźmie władzę, rozwinie natychmiast wszystkie środki ratowania kraju, jakie mu podawaliśmy"... [1]).

Ale Krukowiecki, otrzymawszy władzę, był zbyt ostrożny, aby dotrzymywać obietnic i zamiast do swoich sprzymierzeńców, zwrócił się do znienawidzonej przez Mochnackiego partji kaliskiej. Oburzyło to spiskowców, lecz Krukowiecki wiedział, co robił. Niedowierzał on swoim sprzymierzeńcom, przeczuwał, co go czeka, jeśliby swoją wolę spróbował im narzucić, powierzywszy im poprzednio ważniejsze stanowiska. „Stary lis" był żądny władzy i z nikim nie myślał jej dzielić, a w głębi duszy przeciwny zamiarom, odpowiadającym życzeniom rewolucjonistów, miał się na ostrożności. Przeciw Mochnackiemu wynalazł argument, który trudno było odeprzeć. Chytry starzec położył na swem biurku słynne pismo karmelickie i pokazywał je nieraz tym, co go odwiedzali. Gdy domagano się, aby, spełniając swe obietnice, powierzył Mochnackiemu poważniejsze stanowisko, odpowiadał, grając rolę Katona:

— „Jak chcecie, żebym do czego powołał tego, co się na takie pismo zdobył" [2]).

---

[1]) Listy M. M-go, str. 3.

[2]) Listy Lelewela do Janowskiego. Rks. w Bibl. Jag.

Ale nie przeszłość Mochnackiego, lecz obawa przed Mochnackim bez względu na jego przeszłość, wpływała na postępowanie Krukowieckiego.

Miał słuszność, że się obawiał rewolucjonistów.

„Mógłżeby Krukowiecki tak postępować, — biadał później Mochnacki, — gdyby u rządu znajdowali się ludzie rewolucyjni? Nie, — ja temu nie wierzę. Bylibyśmy go kazali powiesić lub rozstrzelać, gdyby był czemkolwiek publiczną sprawę naraził na niebezpieczeństwo"...

„Stary lis" wiedział, z kim ma do czynienia.

* * *

W obozie rewolucyjnym zapanowała radość, gdy ster powstania przeszedł w ręce Krukowieckiego. Nikt nie przeczuwał zdrady i nawet Mochnacki, najprzenikliwszy człowiek swojego czasu, wierzył w ciągu pierwszych kilku dni panowania Krukowieckiego, że nowy prezes rządu odpowie pokładanemu weń zaufaniu. Nie stał się jednak jego panegirystą, jak to usiłuje przedstawić Barzykowski. Objąwszy 17 sierpnia redakcję *Dziennika Powszechnego* i, powróciwszy znowu do pióra, Mochnacki w ocenie Krukowieckiego był bardzo wstrzemięźliwy w porównaniu z innymi pisarzami.

„Naród, — pisał organ partji kaliskiej z powodu mianowania Krukowieckiego prezesem rządu, — odżył po raz drugi, odżył z zupełnem już pojęciem swej sprawy, dowodem tego, że ją zupełnie już pojął, je..., że wydał zaraz wśród siebie męża, który, stanąwszy na czele, jednym co i on przemawia językiem, nieuda-

nym, rzetelnym, niezmiennym: „śmierć lub zwycięstwo!"... [1]).

A organ Towarzystwa Patrjotycznego, Nowa Polska wołała z zachwytem:

„Błogosław, Boże, Krukowieckiemu, już on tem, co dotąd od objęcia naczelnictwa narodu polskiego uczynił, podniósł o połowę sprawę naszą"... [2]).

Na tle tych głosów, tchnących wiarą i nadzieją, już pierwsze artykuły Mochnackiego, drukowane w Dzienniku Powszechnym, odznaczają się ogromną powściągliwością.

„Władza prezesa w radzie ministrów, — pisał Mochnacki już 19 sierpnia, — jego wielka wziętość, jego moc i popularność dzisiejsza wypłynęły z opinji, z woli ogółu, z wstrząśnienia rewolucyjnego, którego powody mieszczą się w niedołężności zniweczonego systematu", w upadku, „sprawionym przez upór, zarozumiałość i lekceważenie publicznego głosu"... I w ślad za temi słowami, szło ostrzeżenie: „Też same przyczyny, które nową ukształciły władzę, zapewnią jej trwałość z prawdziwym pożytkiem dla kraju. System tej władzy powinien być rewolucyjny, gdyż z rewolucyjnego wyniknęła zaburzenia. Wykroczywszy choćby tylko na chwilę z właściwej sobie zasady, runie ta władza jak wszystkie poprzednie, bądź natychmiast, bądź powolnem konaniem w długiej a szkodliwej dla kraju niemocy"... [3]).

To ostrzeżenie brzmiało jak pogróżka. Wogóle w artykułach Mochnackiego z tego okresu niema po-

---

[1]) «Kurjer Polski» Nr. 605 z d. 24 sierpnia 1831 r.

[2]) «Nowa Polska» Nr. 225 z d. 22 sierpnia 1831 r.

[3]) M-cki. «Pisma Rozmaite». Poznań 1863, str. 50—51.

chwał dla Krukowieckiego, są natomiast rady i wskazówki, które, w miarę nowych działań prezesa rządu, przybierały formę coraz ostrzejszą, aż stały się formalną groźbą i potępieniem.

Mochnacki chciał wpoić w nowego prezesa przekonanie, że tylko siła mas powstanie uratować może. I do stworzenia tej siły nieustannie nowy rząd nawoływał. Wskazując błędy poprzedniego rządu, przestrzegał następcę Czartoryskiego przed niebezpieczeństwem nadziei, pokładanej w rządach zagranicznych. Rozglądając się w akcji dyplomatycznej, którą zainicjował Czartoryski, starał się raz nazawsze rozwiać złudzenia, związane z obcą pomocą. Bo jak pisał w początkach powstania, tak się stało. Czartoryski istotnie czynił wszystko, aby walczyć „dzielnością opinji ledwie nie całej publiczności europejskiej", ale podjęta w tym kierunku praca wydała skutek wręcz opłakany.

Sam Czartoryski przesmutne świadectwo wystawił swej dyplomacji i to w ostatnim dniu swego panowania:

„Polegaliśmy, — pisał on zrana 15 sierpnia w nocie do rządu francuskiego, — na szlachetności i mądrości gabinetów; ufając im, nie użyliśmy korzystnie wszystkich zasobów, jakie się nastręczały wewnątrz i zewnątrz. Aby uzyskać aprobację gabinetów, zasłużyć na ich zaufanie i otrzymać ich poparcie, nie odstępowaliśmy nigdy od najściślejszego umiarkowania, które sparaliżowało wiele usiłowań. Gdyby nie obietnice gabinetów, moglibyśmy byli zadać cios, który może byłby stanowczym, lecz osądzaliśmy za potrzebne zwlekać"...[1]).

---

[1]) «Noworocznik Demokratyczny», Paryż 1843, str. 19.

Była to szczera prawda. I Czartoryski, prezes rządu, i Skrzynecki, naczelny wódz, szli na lep dwuznacznych a czczych obietnic i, hołdując zasadzie umiarkowania, aż do ostateczności przeciągali strunę. Wogóle dyplomacji, która za prezesostwa Czartoryskiego poniosła szereg haniebnych porażek, nie przyświecała żadna myśl przewodnia. Agenci dyplomatyczni rządu pięciogłowego nigdy nie wiedzieli, czego się trzymać i u kogo szukać pomocy. Jeden z listów Aleksandra Wielopolskiego dobrze maluje ten śliski grunt, po którym w r. 1831 toczyły się koła dyplomacji polskiej.

„Bowring, — pisał Wielopolski z Londynu do Leonarda Chodźki, — jest mi tu użyteczny w tem wszystkiem, zwłaszcza, co się stosunków z dziennikarzami tyczy: bardzo gorliwy za naszą sprawą; w tem jednak muszę się pilnować, ażeby niezbyt dać mu się wciągnąć w stronnictwo radykalne, coby inne stronnictwa, a między temi i dzisiejsze ministerjalne, może najmocniejsze ze wszystkich, oziębiło dla naszej sprawy; prowadzę ją zaś tak, aby wszyscy mogli być za nami”... [1]).

Nielada zręczności wymagała taka dyplomacja, ale zręczności tej nie posiadał ani Wielopolski, ani inni agenci dyplomatyczni. To też jednając dla powstania w s z y s t k i c h, n i k o g o nie zjednali. Wina za to spada głównie na Czartoryskiego. Niewątpliwie działał on w najlepszej wierze, ale niema cięższego grzechu nad dobrą wiarę w złej sprawie. Czartoryski, jak nikt w całej Polsce znał gabinety, a więc jak nikt powinien był wiedzieć, że ludzkość, szlachetność, sprawiedli-

---

[1]) List Wielopolskiego z d. 7 lutego 1831 r. Rks. w bibl. w Rapperswilu.

wość nie mają do nich dostępu, że jeden jedyny argument może obłudną ich wzgardę przełamać, a tym argumentem jest siła. Tymczasem jakby na urągowisko wystawiał bezsilność powstania i za przyczynę tej bezsilności podawał umiarkowanie, wypływające z zaufania do rządów... Zaufanie do rządów!... Tak, Czartoryski ufał rządom i ufność jego promieniała jak słońce, i udzielała się otoczeniu księcia, i paraliżowała stanowcze działania. Więcej myślano o tem, co powie Europa urzędowa, niż o tem, że ta Europa pragnie poniżenia Polski. Bezsilni szukali pomocy u silnych, jakby nie rozumiejąc, że siła tylko siłę wspiera, że dyplomacja gabinetów nie ma w sobie nic lirycznego, nic, coby wykraczało poza sferę interesów.

Mochnacki widział dobrze, ile złego zdziałała ta wiara w gabinety i wiarę tę starał się zniweczyć i raz nazawsze wyrwać z serc pokolenia.

„Co powie Europa? Co rzekną sąsiedzi? O Boże! — pisał, — czyż dotąd nie wyszliśmy z tego opłakanego omamienia, z tego strasznego nierozumu w polityce? Dogadzając sąsiedzkiej woli, folgując poszeptom zdradzieckiej gabinetów dialektyki, stanęliśmy nad przepaścią zginienia! Któż hetmanił w polu, kto u nas w radzie przewodniczył, jeśli nie ci, których nadzieja obcej dalekiej pomocy odwodziła od zadania stanowczych, śmiertelnych ciosów nieprzyjacielowi?”...

Gdyby Mochnacki czytał w duszy Czartoryskiego, gdyby znał jego notę z d. 15 sierpnia, gdyby wiedział, co było jednym z głównych powodów opieszałości Skrzyneckiego, nie mógłby nic innego powiedzieć.

„Naszej dyplomatyce, — dowodził on dalej ze zwykłą przenikliwością, — brakowało elementarnych wia-

domości co do rzeczywistego stanu zewnętrznych stosunków Polski z Europą. Nasi dyplomatycy tego nawet nie wiedzieli, a co koniecznie wiedzieć należało, że interesem jest obcych gabinetów, żeby Polska nigdy w dawnych granicach swoich nie egzystowała... Wzywając litości gabinetów, przepomnieliśmy, że prosimy ich o to, czego się najmocniej obawiają, co im niepochybną rokuje zgubę; że prosimy ich o Polskę, którąby natychmiast rozbiła wielką koalicję północną, dotrzymującą równejwagi tak gwałtownie szerzącemu się liberalizmowi w ich własnej dziedzinie. Trzeba było pierwej zgłębić tę politykę; trzeba było pojąć delikatną naturę tych wszystkich razem stosunków i okoliczności, a potem dopiero wynaleźć właściwą drogę dla rewolucji w Polsce. Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami"... [1]).

Po raz pierwszy w prasie polskiej padły te słowa...

Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami!...

W kilka miesięcy potem słowa te wżarły się w serca pokolenia, stały się jego przykazaniem i ewangelją. W ciągu lat kilkudziesięciu hasło to rozbrzmiewało nieustannie w prasie emigracyjnej. Z hasłem tem wychodźcy polscy przebiegali wzdłuż i wszerz Europę zachodnią i, przelewając krew swoją na brukach miast włoskich, austrjackich, niemieckich, francuskich, z tem hasłem darli się na barykady i rażeni kulami despotów, z tem hasłem konali na pobladłych ustach.

Ale rozwiewając jedną iluzję, Mochnacki nie stwarzał drugiej. Zaznaczając niejednokrotnie, że tylko

---

[1]) «Pisma rozmaite», str. 52—53.

własna siła jest jedyną konkretną siłą, w ten sposób hasło swoje tłumaczył:

„Przez wezwanie pomocy ludów nie rozumiem obcej materjalnej siły, któraby nam w pomoc przyjść mogła. Rozumiem przez to wewnętrzne działanie w duchu tych ludów, działanie rządu polskiego w duchu ogromnej większości europejskiej opinji. Rozesławszy gońców po świecie, staraliśmy się przekonać gabinety, że nienawidzimy tego ducha czasu, którego narody są reprezentantami. Cóż dziwnego, że opinja tych narodów nie zniewoliła natarczywością swoją" rządy do interwencji. „Udaliśmy się do przyjaciół! Cóż dziwnego, że przyjaciele nas opuścili?"... [1]).

Nikt w owym czasie nie miał tak jasnego poglądu na zabiegi naszej dyplomacji, nikt ze współczesnych nie oceniał tak dobrze niebezpieczeństwa, jakiem groziły te zabiegi.

Ale Krukowiecki, pozwalając Mochnackiemu pisać, co mu się podobało, nie myślał już nawet o dyplomacji z rządami, lecz o układach z Paskiewiczem. Wogóle Krukowiecki zmienił swe postępowanie i, o ile poprzednio chętnie słuchał rad udzielanych, o tyle jako prezes rządu był głuchy na wszystkie przedstawienia, a sprzymierzeńców swoich starał się trzymać jak najdalej od siebie. Wprawdzie Zaliwskiego zgodnie z obietnicą uczynił naczelnikiem straży bezpieczeństwa, ale jakby w obawie przed tym niespokojnym duchem urząd gubernatora powierzył generałowi Chrzanowskiemu. Bronikowskiego mianował wiceprezydentem, Nabielaka i Krępowieckiego uczynił swymi adjutantami, a Mochnackiego — referendarzem w wy-

[1]) Ibidem, str. 62—63.

dziale zagranicznym. Nikt ze spisku nie otrzymał poważniejszego stanowiska, a wszystkie główniejsze urzędy powierzone zostały partji kaliskiej lub jej zwolennikom. W dodatku i te nieznaczne ustępstwa, któremi chciał zjednać niedawnych sprzymierzeńców, nie były szczere. Krukowiecki w miarę możności oddalał od siebie przedstawicieli partji rewolucyjnej, a rozwinąwszy na szeroką skalę system szpiegostwa, kazał sobie donosić o wszystkiem, co mówili rewolucjoniści.

Co się tyczy Mochnackiego, to „stary lis" istotnie szkaradnie go oszukał. Dwukrotnie w obecności znakomitego pisarza kazał dlań pisać nominację, ale gdy Mochnacki znikł z oczu, cofał pocichu swój rozkaz.

Niebawem Mochnacki przejrzał intencje Krukowieckiego, a zorjentowawszy się, napisał do niego list, który przynosi zaszczyt odwadze trybuna. „Namiętny starzec", jak Mochnacki nazywa Krukowieckiego, był człowiekiem mściwym, a postępek ze Skrzyneckim, którego wygnał z armji, nie zachowując nawet form przyzwoitości, dowodził, że umie się mścić. Jednakże Mochnacki z dużą odwagą pisał do Krukowieckiego. List, który mu przesłał, acz pisany z zachowaniem wszystkich form przyzwoitości, był w gruncie rzeczy obelgą. List ten brzmiał:

„JW. Prezesie Rządu Narodowego.

„Ponieważ mimo dwukrotnego rozkazu w mojej obecności wydanego przez JW. Generała, dotychczas nie otrzymałem nominacji, a Sekretarz generalny oświadczył mi, że w tej mierze zachodzą trudności, widzę stąd, że nie wszystko w Rządzie dzieje się podług woli JW. Generała; czyli innemi wyrazami: że partja Kaliska przeciwna opinji rewolucyjnej Narodu,

wzięła przewagę, którą będzie chciała utrzymać chwilową wziętością, jaką ma w Izbie. Z tej okoliczności przewiduję nowe niesnaski między rządem i opinją publiczną. Przez szacunek dla JW. Generała nie chcę należeć do opozycji jako powstaniec przeciwko władzy, zostającej pod naczelnym Jego kierunkiem. System kaliski nie tylko zdepopularyzuje JW. Generała, ale Jego zgubi i Ojczyznę; o tem jak najmocniej jestem przekonany... Ponieważ tedy nie mogę być użyty w zawodzie cywilnym dla przyczyn powyższych, a w wojsku dla siedmiu ran, które odniosłem, zostawać nie jestem w stanie, przeto mam honor prosić JW. Generała o uwolnienie mnie od służby.

Mam honor zostawać z głębokiem poważaniem, etc."

Maurycy Mochnacki

Podporucznik I Pułku strzelców pieszych" [1]).

Krukowiecki, przeczytawszy ów list, wpadł we wściekłość i zaprzysiągł zemstę śmiałkowi. A Mochnacki nie poprzestał na liście. Odgadłszy intencje nowego prezesa rządu, z właściwą sobie siłą urągał jego zamiarom: „Dzisiaj, — pisał 29 sierpnia, — jest zbrodnią myśleć o układach". A właśnie o układach myślał Krukowiecki i już 1 września przyjął parlamentarza z listem gen. Witta, a w trzy dni potem wysłał Prądzyńskiego na negocjacje z gen. Dannebergiem. W odpowiedzi na to Mochnacki napisał płomienny artykuł p. t.: „Niepodobieństwo układów"... i, w natchnionych wyrazach potępiając wszelką myśl o układach, wołał:

---

[1]) Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830—1831» skreślił Karol Forster. Berlin 1873, str. 150—151. Podkreślenia M-go.

„Być może, że się mylimy, lecz wszystko, co postrzegamy około siebie, upoważnia nas do mniemania, że (nieprzyjaciel) powinien zostać na tej stronie Wisły, na wieki. Niechaj kopce jego i mogiły okryje w wiosennej porze zielona murawa! Grób cichy, obszerny, roztworzysty dla nich lub dla nas, czyż nie będzie piękniejszym pomnikiem sławy narodowej od układów, które nigdy skutku żadnego nie wezmą”... [1]).

Potępiając układy, Mochnacki niemiłosiernie krytykował i partję kaliską, na której popularności opierał Krukowiecki swe panowanie. W świetnym artykule p. t.: „O stronnictwie tak zw. kaliskiem" pisał:

„W kilku słowach system kaliski zawrzećby można. Chcą oni zbawić ojczyznę według jednej wyrozumowanej teorji, według porządku monarchji reprezentacyjno-konstytucyjnej... Woleliby raczej dać się zabić na krzesłach kurulskich, niżeli na jedną chwilę bądź w lewo, bądź w prawo zboczyć z tego toru... Cóż nam z tego przyjdzie?... Nam trzeba niepodległości i całości, a nie doktrynerji, przykładów niezłomnego uporu w uprzedzeniach teoretycznych. Stara nasza Polska nie powstanie z teorji... Kaliscy mężowie mówią: „Zgiń a nie odmieniaj swego przekonania"... Rewolucjoniści zaś mówią: „Zgiń, ale dokaż swego; przepadnij, byle naród ocalał, nikomu nie wierz, tylko potędze i własnemu rozsądkowi. Jeśli republikanizm co pomoże, to bądź republikaninem, jeśli monarchja konstytucyjna, to miej monarchję konstytucyjną we czci i poważaniu. Nie masz w niebie, na ziemi i pod ziemią żadnego środka", którego w razie potrzeby nie należałoby użyć. Zalecając ze

[1]) «Pisma rozmaite», str. 280 i 281.

swej strony system rewolucyjny, jako jedynie w oczach Mochnackiego odpowiedni, tak pisał dalej: „Wszędzie i zawsze dostrzegamy tę (kaliską) frakcję... Rządzili za dyktatora. Rządzili po upadku dyktatury. Rządzili w kwintumwiracie. Rządzą teraz w nowym systemie władzy, wynikłej z przywar i grzechów kwintumwiratu, władzy rewolucyjnej w osobie prezesa, a tem samem z pryncypjami konstytucyjnemi niezgodnej. Mijają więc burze i wstrząśnienia, mijają intrygi i kabały razem z swymi stroicielami, lecz oni ze spolszczoną księgą nadsekwańskiego publicysty (Benjamina Constant) nie rozstają się nigdy"... [1]).

Mochnacki czuł, że zbliża się ostateczna rozstrzygająca godzina i acz serce jego pławiło się w męce złowrogiego przeczucia, ostatkiem sił swoich chciał ratować sprawę. Z duszy wydobywał spiżowy ton i raz jeszcze usiłował otworzyć oczy pokolenia na przepaść, która niebawem miała pochłonąć wszystkie nadzieje i raz jeszcze ciskał na ważące się szale opinji olbrzymią potęgę swojego talentu. Ale słowo jego nie miało już mocy; nie przebrzmiewało bez echa, lecz nie elektryzowało i nie podniecało ogółu. W owej chwili nie słowo, lecz czyn i to jedynie czyn straszny, przerażający mógł zbudzić czujność społeczeństwa i wskazać mu drogę ratunku. Więc o czynie takim zaczął rozmyślać Mochnacki i zamachem na głowę Krukowieckiego postanowił zdradę jego uprzedzić. W domu Chłędowskiej znowu zaczęto się schodzić i spiskować, lecz rewolucjoniści, szarpani rozterkami, podzieleni na małe grupy, pałali ku sobie gniewem

---

1) «Pisma rozmaite», str. 273—277.

i nie mogli dojść do porozumienia [1]). Było już zapóźno. Nadaremnie Mochnacki zaklinał patrjotów, aby się połączyli i zgodnie zaczęli działać. Nadaremnie starał się przekonać, że dzieło listopadowe umiera. Nadaremnie wskazywał środki ratunku. Nie słuchano go. Odepchnięty przez wszystkie rządy poprzednie, odepchnięty przez Krukowieckiego, odepchnięty przez rewolucjonistów, sam jeden patrzał w krwawe oczy zbliżającej się klęski, w przyszłość straszną jak głusza i ciemność grobu, w dal, pełną przerażającego smutku.

Słusznie pisze Mierosławski:

„Potomność musi więc wyrzec, że jedynie ze sromotnej zawiści do tego wyjątkowego w Polsce świecznika współcześni Polacy odsądzili go od wszelkiego udziału w ratowaniu ojczyzny, wołąc przepaść do szczętu, jak nawet najlżejszą szansę zbawienia zawdzięczać rozumowi, upokarzającemu ich zarozumiałe niedołęstwo... W całym narodzie on jeden do głębi

---

[1]) O tych spiskach doskonale poinformowany był Krukowiecki. «Pocichu tylko spiski przeciw mnie knują, — pisał w jednym ze swych listów, — ale się omylą, bo przy najspokojniejszych pozorach, jakie zachowuję, z największą ostrożnością i pilnością, każę śledzić wszystkie ich schadzki i po każdej, a przynajmniej ważniejszej odbieram jeszcze w nocy zawiadomienie, co tam postanowiono. Najgorsze kluby są Czyńskiego i pani Chłędowskiej, która tak pewna jest swojej rzeczy, że przed kilkoma dniami powiedziała do Janowej Łubieńskiej:

— Za kilka dni zobaczysz Krukowieckiego na latarni...

Ale ta pani tak jest przez tajnych agentów szpiegowana, że każden jej krok przez cały dzień jest śledzony i ona zadziwi się, jak się zobaczy na tej samej latarni zawieszoną, którą dla mnie przeznaczyła». (Karol Forster: «Powstanie Nar. Polskiego». Cz. II, str. IX). Ten list Krukowieckiego dowodzi, że o głowie jego szczerze w domu Chłędowskiej myślano.

patrzał w przepaść, a czuł się najnieużyteczniejszym z Polaków", by ich „choć na jedną chwilę powstrzymać nad wieczystą tonią"... [1]).

Tak, czuł się najnieużyteczniejszym...

Rola jego była skończona...

Zaczynając od nocy 29 listopada, dał już narodowi wszystko, co posiadał. Dał swój olbrzymi talent, swą przenikliwość, swoje wskazania i plany, swoje proroctwa, swoją odwagę, swoją krew, słowem, wszystko, czem rozporządzał. Nie chciano go słuchać, oburzano się, odpychano, nie pozwolono wziąć udziału w ratunku. Pozostawała mu jeno głucha rozpacz i przekleństwo współczesnych za to, że chciał ich ratować, i życie strawione gorączkową pracą, życie sterane, na które godziło tyle osób, a na które czyhał jeszcze mściwy Krukowiecki. Pozostawało mu jeszcze — najgorsze ze wszystkiego, bardziej, niż wszystko inne dręczące przeświadczenie, że noc 29 listopada mogła ziścić nadzieję, która przyświecała zuchwalcom, co uderzali na Belweder, rozpłomieniała bohaterskiem męstwem Wysockiego, i szkołę podchorążych, i tę garść młodzieży, co na Starem Mieście lud powoływała do broni. Lecz oto pierzchały złudzenia i rzeczywistość potworny kłam zadawała nadziei. Z jakiemże uczuciem musiał śledzić Mochnacki przebieg układów z Paskiewiczem i w. ks. Michałem, z jakiem uczuciem musiał patrzeć na gorszące sceny pomiędzy Krukowieckim a Sejmem, na kłótnie wojujących ze sobą generałów polskich, na niedołężne przygotowania do odparcia szturmu, na nieład, panujący w całej stolicy, na roz-

---

[1]) Mierosławski. «Powst. Nar. Polskiego». T. VII, str. 403—405.

paczną rezygnację, wyzierającą z za każdego domu i z za każdego węgła...

Smierć szła i zegar dziejowy wydzwaniał ostatnią godzinę...

Paskiewicz, znudzony jałowemi pertraktacjami, rzucił swoje pułki na mury Warszawy — i dzieło listopadowe, ten jedyny romans życia i młodości Mochnackiego, dzieło, z którem złączył wszystkie swe myśli i pragnienia, konało w grzmocie dział i kurzawie krwawych płomieni, oświetlających Warszawę. Płonęło piękne miasto. Nieprzyjaciel coraz węższym osaczał je kręgiem, a generałowie polscy radzili miast kierować obroną. Śmierć Sowińskiego i zdobycie Woli rozstrzygnęło los stolicy. Grały jeszcze armaty, ale nikt już nie wierzył w skuteczność oporu. Wojsko polskie było bez wodza. Mochnacki, widząc tę anarchję, oszalał i jak nieprzytomny biegał po ulicach Warszawy i szukał Skrzyneckiego i krzyczał rozpacznie, aby on stanął na czele armji [1]). Może w owej strasznej chwili przypomniał sobie, jak nieustraszenie prowadził ten generał bataljony polskie w morderczy ogień pod Ostrołęką, może wierzył, że przynajmniej umrzeć można z honorem!...

Lecz Krukowiecki nawet o honorze nie myślał: Warszawa przechodziła w posiadanie Paskiewicza, nie wyczerpawszy środków obrony...

I w tej ostatniej chwili raz jeszcze spotkał się Mochnacki z zawiścią i zemstą rodaków.

„Trudno opisać, — donosił później swej matce, — co się ze mną działo w ostatnich chwilach ataku.

---

[1]) Franciszek Wężyk. «Powst. Królestwa Polskiego w r. 1830 i 1831», str. 192.

Była godzina czwarta z południa. Od huku dział domy się trzęsły. Już pierwsza linja szańców zdobytą została. Kamila z końmi, z rzeczami, Wojciechem posłałem na Pragę, gdzie się wszyscy udawali, sam zaś dla pilnego interesu na chwilę poszedłem do komisji wojny. Tam spotkałem gubernatora Chrzanowskiego, który zawsze był moim nieprzyjacielem, z czego się chlubię. Powiedział mi impertynencję. Nie zwykłem niegrzeczności pozostawiać bez odpowiedzi. Powiedziałem mu te słowa w największem uniesieniu i wobec całego sztabu:

— Generale! widać, że cię już zalatuje dziegieć moskiewski, kiedy śmiesz obrażać zasłużonego oficera polskiego...

Wyrazy te niesłychanie obraziły Chrzanowskiego. Zawołał na swego adjutanta.

— Zawieść tego pana na wolskie rogatki, weź dwóch żołnierzy, niech zginie od granatów nieprzyjacielskich.

Odpowiedziałem natychmiast:

— Tak się nie godzi. Pan już nie jesteś gubernatorem. Jeżeli masz do mnie urazę, strzelać się z nim będę lewą ręką!

Ale już Chrzanowskiego nie było w sali. Dał znak, żeby rozkaz jego wykonano. Wsiadłem więc na konia z kapitanem od służby i dwoma żołnierzami, którzy mnie, i siebie, i Chrzanowskiego przeklinali. Jechałem powoli, wstrzymując konia. Kapitan jechał przede mną, żałując i mnie, i siebie, i żołnierzy, albowiem już na ulicy Elektoralnej proch nas krztusił, tuż koło nas pękały granaty. Przyszła mi dobra myśl.

— Kapitanie,—rzekłem do mojej straży,—obadwaj zginiemy, nim dojedziemy do Wolskich rogatek, gdzie się już tyraljerzy z naszymi ucierają. Daję słowo honoru, że Sejm przed dwiema godzinami dał dymisję Chrzanowskiemu. Rozkaz jego nieważny, bo już nie tylko gubernatorem, ale i generałem nie jest...

— Co mówisz, kolego, — przerwał mi kapitan.

— Tak jest,—odpowiedziałem,—zboczmy na inną ulicę, a dowiesz się wszystkiego.

Usłuchał mię Kłusem wróciliśmy na ulicę Senatorską. Spotkaliśmy kilku znajomych. Opowiedziałem wszystko; prosiłem, aby się natychmiast udali do Chrzanowskiego i nastraszyli go, że zginie, jeżeli niesprawiedliwego nie odwoła rozkazu. Jak przeczuwałem, tak się też stało. Za kwadrans przyleciał goniec od Chrzanowskiego z rozkazem, aby mnie w placu aresztowano. Oddano mię pod straż. Chrzanowski tymczasem pobiegł do Krukowieckiego dla zasiągnięcia wiadomości, co ma ze mną zrobić. Wystaw sobie, Mama, jaką instrukcję dał Krukowiecki, ten przyjaciel naszego domu, nikt temu nie uwierzy, ale mi to naoczni opowiadali świadkowie na Pradze i w Płocku.

— Vous livrerez Maurice Mochnacki aux Russes, ou mieux faites le fusillier sur le champs. Il m'outragea aussi moi même. Il m'a écrit une lettre pleine des injures. (Wydasz pan Maurycego Mochnackiego Rosjanom a lepiej każ go rozstrzelać. On mnie także wygrażał. On napisał do mnie list, pełen obelg)...

Chrzanowski,—opowiada dalej Mochnacki,—chciał wykonać to zlecenie, ale mnie już nie zastał w więzieniu. Po co się tak troskliwie o mnie wypytywał? Po co groził oficerom w placu? Gdy się zmierzchać zaczęło, gdy wszystkie ulice dymem były zapełnione,

gdy ogień artylerji zapalił przedmieścia, wtenczas jakaś niewidzialna ręka, bo nie wiem kto, otworzył drzwi ciemnego pokoiku na ratuszu, gdzie byłem zamknięty. Porwałem się z miejsca i bocznemi schodami wyszedłem, od nikogo w zgiełku niepoznany. W tylu krwawych bitwach się znajdowałem, ale nigdy większym cudem pewnej nie uszedłem śmierci, albo wygnania nad brzegami lodowatego morza. Jakiż widok na ulicach Warszawy! Dzieci, kobiety, starcy, lud w rozpaczy. Żołnierze rozpierzchnieni bez ładu; artylerja, piechota, jazda, wszystko w największym nieporządku, a tu ciemno jak w wilczej jaskini. Tylko łuna na niebie od pożarów, naokoło pustoszących Warszawę, ruinę naszą oświecała. Zapłakałem śród tego zgiełku. Wszystko to zdawało się strasznym snem, utworem gorączki, która mnie wtenczas trawiła, płodem ognistej imaginacji"... [1]).

Nie był to jednak płód ognistej imaginacji, lecz rzeczywistość. Wojsko polskie tłoczyło się na Pragę, a w mury płonącej stolicy wchodziła armja Paskiewicza. Warszawa była poddana. Mrok zasępił wszystkie czoła i wszystkie serca ból ścisnął. Warszawa poddana! Okrzyk ten gruchnął w przestrzenie i żałobą okrył kraj cały. Ziemia zapadała się pod stopami żołnierzy, przerażenie miotało ludem, który ciągnął za armją i, nie mogąc pogodzić się z nieszczęściem, czekał jakiegoś cudu. Ale co zdziałała małoduszność, niedołęstwo i zdrada, tego żaden cud nie mógł już naprawić. Zaczynała się agonja. W strasznych skurczach śmierci rodziły się jeszcze nowe władze, wynurzali się nowi wodzowie, odbywały się obra-

[1]) «Listy M. M-go», str. 5—7.

dy, padały słowa komendy, ale wszystko naznaczone już było stygmatem rychłego zgonu. Nowy prezes rządu, ostatni prezes rządu polskiego, Bonawentura Niemojowski, nie miał w sobie nic z wielkiego męża, jakiego wymagała chwila, nie miał żadnych po temu danych, aby zbudzić umierającą wolę i serca struchlałe natchnąć otuchą. Chaos panował śród władz cywilnych, najwyższe zamieszanie wkradło się w szeregi. Nadaremnie rozumniejsze jednostki mówiły o potrzebie skupienia sił i połączenia się z potężnym korpusem gen. Ramorino, który jakby na domiar nieszczęścia w najniestosowniejszej chwili wysłany został z obleganej stolicy. Nadaremnie korzyści, wynikające z tego połączenia, przedstawiał na radzie wojennej gen. Dembiński, nadaremnie Mochnacki ze łzami w oczach błagał marszałka Sejmu, Ostrowskiego, aby wpływem swoim poparł myśl skoncentrowania rozproszonej armji. Słowa, w których dźwięczało życie, nie miały dostępu do uszu, wsłuchanych w ciszę śmierci. W gruncie rzeczy nie miał już kto rządzić, ani kto słuchać. Nie było ani wodzów, ani rządu, była tylko anarchja i rządziła wszystkiem. Kraj cały oglądał się jeszcze za armją, ale wojsko polskie, skonsygnowane dokoła Modlina, nie rwało się już do walki. Opuścili ramiona wodzowie i duch rycerski zamarł w szeregach. Po obozie polskim tłukła się blada rozpacz i jak upiór śmierci spoglądała w oczy przerażonym żołnierzom. Fala goryczy i zniechęcenia przelewała się po armji polskiej, przesycała wszystkie serca i gniewem, niechęcią lub łzami świeciła w zasępionych oczach.

Pod obuchem klęski skuliła się wola narodu i drżała jak ptak, pochwycony w sidła i, czując zgon, czekała ostatecznego ciosu.

W takiej chwili raz jeszcze dał znak życia Mochnacki. Prześladowany w obozie przez partję kaliską, która teraz rządziła wszechwładnie, opuszczony przez wszystkich i narażony wszystkim, niepewny życia, zbolały, chory, trawiony gorączką, porwał się do ostatniej broni, jaka mu pozostała: do pióra. Po raz ostatni zapragnął podnieść ducha i w zmrożone serca wlać ciepło otuchy. Jeszcze nie wszystko było stracone. Mochnacki i w tej strasznej chwili widział możność dalszej walki i wierzył, że przy tej mocy, którą wielkie nieszczęście w mężnych sercach rodzi, można się pokusić o odzyskanie tego, co chwiejność i zdrada zaprzepaściła. Więc uczynił ostatnią próbę i do założonej naprędce w Zakroczymiu Gazety Narodowej zaczął pisać natchnione artykuły. Widział, że dookoła niego nikt wiary tej nie podziela, musiał przeczuwać, że słowa jego utoną w głuszy zniechęcenia, ale stanął na posterunku i do ostatniej chwili zmagał się z otaczającem go zwątpieniem.

Układy zajmowały wszystkich, od wyrażenia poglądu na te układy rozpoczął swą pracę. Nie wołał, że one są zbrodnią, jak to uczynił niedawno w stolicy, bo rozumiał, że w istniejących warunkach głosu takiego nikt słuchać nie będzie, ale starał się przekonać, że nietylko w układach jest jedyna nadzieja.

„Myśl pokoju i zgody jaśnie przed nami w dali, jak każda niepewna nadzieja. Nie odrzucamy ze wzgardą tych darów, lecz żadna okoliczność, żaden mus, żadna kolej nie zniewoli nas do pożywania ich w niesławie, w goryczy serca i niepokoju sumienia. Co może stateczność w przedsięwzięciu, i na co się wielka zdobywa cnota, to dzisiaj pokażmy przed obliczem nieba i ziemi, jeśliby się komu rozumieć podobało,

że naród dzielny i bitny samemu sobie zaprzysiężonej nie dotrzyma wiary. Liczni, zbrojni, niezłomni, czegoż jeszcze nie osiągniemy mocą, zgodą i owym duchem, który wielkich przodków naszych nieraz unosił i wzmagał w najcięższych przygodach. Obróćmy wzrok nasz ku tym czasom, kiedy... przemoc gnębiła mieszkańców Polski daleko liczniejszemi i boleśniejszemi, niźli teraz klęskami! Któż wtenczas ratował upadającą ojczyznę, kto wspierał poczciwych. Oto niewielka garstka, nieliczna, ruchoma, przenośna, orężna rzeczpospolita wiernych i nieustraszonych...

Cóż nam przeszkadza wznowić ten tak świetny przykład dziejów polskich i w dalsze jeszcze czasy, niżeli konfederaci barscy przedłużyć bój krwawy? Alboż to młódź nasza nie raźna i nie nauczona własnemi piersiami odpierać zgubę od kraju? Czyż nam zbywa na sprzęcie wojennym? Mamy burzące działa, któremiśmy potylekroć przerzedzali nieprzyjacielskie zastępy. Mamy gęste lasy i puszcze jeszcze nieprzetrzebione; a w tej Polsce rozległej, bujnej, niezmiernej, od wschodu do zachodu, od północy ku południowi żadnego kroku uczynić nie zdołamy, żebyśmy nie spotkali to rodaków, to współziemian, pragnących dzielić nasze zamiary i niebezpieczeństwa. W rodzinnej jesteśmy ziemi, w swoim kraju i między swoimi... Nie dokazali Rosjanie wszystkiego wzięciem wspaniałego miasta. Nie mury i pałace, ale serca polskie są ogniskiem naszej świętej sprawy, a tej twierdzy żadna moc nie weźmie, ani nie zburzy... Gdzie przenocujemy, tam będzie stolica Polski"... [1]).

---

[1]) «Pisma rozmaite», str. 281—283.

Pod wpływem nieszczęścia i strasznego widoku, jaki Mochnacki miał przed oczyma, przeistoczyła się na chwilę jego dusza.

Słowa jego, podobne w *Nowej Polsce* do spienionej fali, niosącej w rozhukanym pędzie kry gniewu, zabrzmiały teraz niemniej silnie, ale inaczej. Obok dźwięków spiżu słychać w nich było jakby miękki szelest rozsypywanych pereł; obok mowy wzburzonej krwi łagodnie szemrało uczucie liryczne. Jakaś tkliwa serdeczność, nuta całkiem dotąd obca wszystkim pismom politycznym Mochnackiego, przelewała się teraz strugami po tych ostatnich artykułach, jakie na ojczystej ziemi danem mu było napisać. W bólu, przenikającym całe jestestwo, w szlochu, rozrywającym piersi, w męce konania budziło się młodzieńcze pragnienie życia i rodziło przedziwne wyrazy energji, ostatnią pobudkę do wytrwania przy sztandarze powstańczym. W tej artykułowanej poezji nie było gniewu, ani druzgocącej zabójczej krytyki, w której Mochnacki był mistrzem nad mistrze. Pod wpływem nieszczęścia uleciał z twardego serca gniew, pierzchnęła zawziętość i skąpane w łzach słowa zajaśniały jak gwiazdy na ponurem tle panującego nastroju...

Mochnacki doszukiwał się teraz iskier w popiołach i czynił wszystko, aby je w pożar rozdmuchać...

Nadaremnie...

Sejm, wodzowie, wojsko, lud, wszystko, na co patrzał dokoła, szarpane było rozterką, zgnębione, zrozpaczone, zrezygnowane. Noc śmierci otulała obóz polski. W tych ciemnościach jak smuga nadziei błysnęło jego pióro. Nad grobem, do którego wstępowała Polska, po raz ostatni zabrzmiały słowa życia. Udręczona myśl Mochnackiego nie chciała się poddać zwątpieniu i we

wszystkiem, nad czem zawisła, doszukiwała się oznak pomyślniejszych, wróżb jaśniejszej przyszłości. Nawet w obradach Sejmu, tego samego Sejmu, który uważał za główną przyczynę klęski, widział teraz wspaniałość i wielkość.

„Rada w obozie, — pisał, — a niedługo może śród szczęku oręża, jest wielka i wspaniała, daleko wspanialsza, niżeli w najozdobniejszych gmachach, niżeli na krzesłach złoconych i na kosztownych kobiercach. Wesel się, narodzie, któremu z użyczenia losu przypada obradować w takich okolicznościach i w takiej potrzebie ojczyzny"... [1]).

Wesel się narodzie, wesel się Polsko, weselcie się mężni bracia! — wołał, ale serce jego ociekało krwią, dusza pławiła się w strasznej męce, a oczy patrzały w otchłań mogiły, do której staczano się nieuchronnie. Jeszcze przed poddaniem Warszawy Mochnacki przeczuwał koniec, ale nie chciał wyrzec słowa śmierci, nie chciał uprzedzać ostatecznych wypadków i do ostatniego tchu postanowił wytrwać na stanowisku. Nie argumentował już, lecz marzył. Ale co w takiej chwili mogło być otuchą, pokrzepieniem, to znalazło oddźwięk w jego marzeniach, co mogło zawierać słowo, to w nie wkładał, na co mogło zdobyć się mężne serce w chwili nieszczęścia, to zadźwięczało w jego artykułach.

Niestety, śród tych, co w owej godzinie mogli wpłynąć na los powstania, nie było ani jednego męża hartu i woli. Bonawentura Niemojowski kontynuował dzieło, rozpoczęte przez Krukowieckiego i prowadził rzeczy do ostatecznego upadku. Pewnego dnia zdemoralizowane wojsko polskie otrzymało rozkaz cofnięcia się na

---

[1]) «Pisma rozmaite», str. 284.

zachód. Z przed oczu żołnierzy znikła stolica i duch armji całkiem podupadł. Zaczęła się dezercja i wymawianie posłuszeństwa mianowanym wodzom. Zupełne rozprzężenie zapanowało w armji i anarchja święciła swój triumf. W takim stanie rzeczy przyszła hiobowa wieść o złożeniu broni przez korpus gen. Ramorino i ostatecznie zdemoralizowała wyższych wojskowych. Naczelny wódz Rybiński odwołał rozkazy, które już był wydał, a które do nowej walki miały prowadzić szeregi.

Na nowy rozkaz wodza cała armja polska cofnęła się jeszcze głębiej na zachód.

Myśl, która od pewnego czasu nurtowała tchórzliwe i skarlałe w niepowodzeniu dusze, lecz nie miała odwagi wynurzyć się w formie konkretnej, dojrzała zdradziecko i owionęła masy...

Natchnieni tą myślą rozbitkowie posuwali się ku granicy pruskiej...

Pozostawiali za sobą chwalebne pola zwycięstw i niepomszczone pole klęski ostrołęckiej, pozostawiali za sobą wspaniałe miasto w rękach triumfującego Paskiewicza, pozostawiali łany ojczyste i gęste lasy, i puszcze jeszcze nieprzetrzebione, osierocali cały lud polski, szli na nieznaną i nieodgadnioną dolę-niedolę, nie przypuszczając, że idą na tułactwo lub powrót w powrozach. Fala obłędu niosła naczelników rządu, ministrów, senatorów, posłów, urzędników, generałów, oficerów, całe wojsko polskie, niosła i jego, Mochnackiego. Nie mógł się oprzeć ogólnemu naporowi i wraz z innymi szedł w nieznaną przyszłość, ale szedł głęboko przeświadczony, że jedynie niedołęstwo i zdrada spowodowały ten krok rozpaczliwy. W głowie jego już wtedy świtał zamiar, aby gdzieś pod obcem nie-

bem, w jakimś wolnym kraju opisać dramat [1]), którego był uczestnikiem i przed straszny sąd pokoleń potomnych zawezwać tych, co wzięli w swe ręce dzieło, w które nie wierzyli, co nadużyli zaufania i zdradzili sprawę. Podejrzliwie patrzano na niego w obozie i znakomity pisarz nawet w owej chwili nie czuł się śród swoich bezpiecznym. Więc wraz z bratem Kamilem opuścił armję. Nieszczęśliwi bracia, unosząc głowy, na własną rękę polami i lasami przemykali się chyłkiem przez rozstawione gęsto czaty baszkirów i szybkim krokiem zdążali ku granicy pruskiej. A tuż obok nich postępowała główna armja polska. I stał się fakt w dziejach narodów niezwykły. Wojsko, zaopatrzone w oręż, wojsko dzielne, bohaterskie, bitne, gotowe na pierwszy natchniony wiarą głos runąć na dziesięciokroć liczniejszego nieprzyjaciela, opuszczało kraj i sprawę, i honor narodu, i wkraczało na terytorjum obcego państwa. Wojsko, co chciało umrzeć na polu chwały, wstępowało na pole hańby...

Smutnem szemraniem żegnały wychodźców niwy ojczyste. A gdy ostatnie oddziały armji powstańczej przeszły granicę pruską, głuchy jęk zerwał się za nimi i przeleciał po całej ziemi polskiej...

Na terytorjum obcego państwa rozegrał sią ostatni akt dziejowego dramatu. Zaszkliły się oczy żołnierzom, gdy w niesławie składali broń, gdy łamali lance zwycięskie, gdy oddawali wrażym Prusakom armaty i sprzęty wojenne. Po raz ostatni głucha rozpacz owionęła rozbrojone szeregi i w jednym bólu wszystkie zjednoczyła serca.

Powstanie było skończone...

---

[1]) «Listy Maurycego Mochnackiego i brata jego Kamila». Poznań, 1863. Str. 9.

VII.

NA EMIGRACJI.

A zaledwie wojsko polskie złożyło broń w ręce władz pruskich, gdy przyszła wieść o amnestji cara Mikołaja i z powrotem do kraju pociągnęła zaraz znaczną część armji. Względem opornych, co wracać nie chcieli, rząd pruski stosował środki najostrzejsze. Oficerowie mogli postępować dowolnie, ale szeregowcy, narażeni na szykany, więzieni, torturowani, często podstępem i przemocą odstawiani byli na granicę. Nieludzkie sceny rozegrały się w Fischau, Elblągu i Tczewie, niesłychaną brutalność przejawił rząd pruski w znęcaniu się nad tymi, co zawierzyli słowu króla i z ufnością oddali się pod jego opiekę. Taki sam los spotkał i korpus generała Ramorino, który broń złożył w Galicji. Władze austrjackie również z największą gorliwością wypełniały życzenia cesarza Mikołaja i bez żadnych względów oddawały wychodźców strażom rosyjskim. Podeptane zostały wszelkie zaręczenia i z bezbronną rzeszą nikt nie myślał się liczyć. Ale ani słynna amnestja, ani prześladowania Prusaków nie przełamały oporu tych, co nie inaczej, jak z bronią

w ręku postanowili wrócić do Polski. Ostatki słynnego pułku „czwartaków", oddziały krakusów i artylerji, mając do wyboru amnestję lub ciężkie roboty w twierdzach pruskich, wybierały te ostatnie i niezłomne w swem postanowieniu szły pod knut wrażego Prusaka. Częściowo udało im się zaraz wydostać z drapieżnych szponów, częściowo po upływie dłuższego czasu uskutecznili swój zamiar. W ten sposób śród emigracji znalazły się jednostki dzielniejsze, działacze wybitniejsi, ludzie, co w oczach Europy reprezentowali wyższą wojskowość, politykę, naukę, literaturę, słowem, intelekt polski. Ci rozbitkowie, opuszczając kraj, nie mieli żadnego konkretnego planu. Ale zaledwie przekroczyli granicę, gdy jedna myśl przeniknęła szeregi. Legjony i Francja — oto co stało się dla nich hasłem i drogowskazem. Hasło to zawierało moc magiczną w sobie. Na myśl o Francji smutne oczy roziskrzały się nadzieją, a w zbolałe serca wstępowała otucha. Francja! W owych dniach klęskowych słowo to rozbłysnęło jak gwiazda na pochmurnem niebie tułaczem, i wlało w stroskane dusze nowy strumień życia, i upoiło wychodźców samem swojem brzmieniem. Przypomniano sobie wszystkie węzły, które Polskę połączyły z Francją, przypomniano sobie orły napoleońskie i „boga wojny", który obiecując wolność, rzekę krwi polskiej zmieszał z krwią francuską. W ciągu tylu lat, w tylu państwach i krajach walczyły hufce polskie za sprawę Francji, a w walkach tych wykazywały tyle poświęcenia i zapału, że uwierzono, iż braterstwo, zrodzone w kurzawie dymów bojowych, a zapieczętowane krwią, odezwie się teraz silniej i Francja wesprze Polskę swem ramieniem braterskiem. I wierzyli wychodźcy, że zbrojni i orężni z pie-

śnią legjonów wtargną niebawem na ziemię ojczystą i z wiarą tą rozpoczęli wędrówkę.

„Legjony i śpieszny powrót do kraju z bagnetem w ręku; ta myśl, — pisze jeden ze współczesnych, — opierała nasze nadzieje o brzegi Renu, gdyśmy tułacką karawanę z Prus i Galicji wyprowadzali"... [1]).

Z tą myślą łączyli się wychodźcy w kolumny i dążyli do „nowej ojczyzny". A w miarę tego, jak posuwali się na zachód, pierzchało przykre wrażenie, wywołane okrucieństwem władz pruskich i austrjackich. Jakby urągając rządom, ludy z największym entuzjazmem witały wychodźców. Przejście przez kraje niemieckie zmieniło się w pochód triumfalny. Przed rycerzami z pod Grochowa, Wawru, Dembego, Igań, Ostrołęki, otwierały się gościnnie bramy miast i miasteczek, i wychodźców otaczała najserdeczniejsza opieka. Cała ludność wybiegała często na ich spotkanie i niosła im wieńce ze świeżych kwiatów, i sztandary polskie, i witała ich pieśnią, którą śpiewały legjony Dąbrowskiego, a która w takiej chwili radosnem wzruszeniem przesycała serca. Lud niemiecki wprost prześcigał się w okazywaniu swojej sympatji. Za zbliżeniem się oddziału tułaczów, występowała zazwyczaj gwardja honorowa, grzmiały na wiwat działa, a wsie i miasta, udekorowane odświętnie, płonęły wieczorami od rzęsistych iluminacyj. Pobyt tułaczów stawał się wszędzie uroczystem świętem dla ludności miejscowej. Po całych Niemczech rozlegały się głosy sympatji i po całych Niemczech rozbrzmiewała pieśń polska. Poszarpany od kul mundur powstańca wszędzie

---

[1]) «Czas». Mont-de-Marsan. R. 1833. Arkusz trzeci.

był przedmiotem hołdu, symbolem nieszczęścia, poświęcenia i bohaterstwa.

W kadzidlanym dymie pochwał, uniesień, zachwytów, po drodze usłanej kwiatami, często witany i żegnany płaczem, szedł tułacz polski przez gościnne Niemcy, a pierś jego wzbierała nadzieją i dumą. Słyszał niemal na każdym kroku, że walczył nie tylko w obronie swojej ojczyzny, lecz w obronie wszystkich ludów, że zatem sprawą ludów jest sprawa polska. Reakcja, która szła z północy, rozbiwszy szeregi polskie, stanęła przed oczyma Europy ludowej, napełniła ją lękiem i dyktowała słowa, które słyszał dokoła siebie wychodźca. Najczęściej dopiero teraz uświadamiał on sobie międzynarodowe znaczenie powstania polskiego, ale pasowany na rycerza wolności powszechnej, przejmował się tą rolą i w odpowiedzi na uznanie a zachwyty ludów, często ślubował sobie w duszy porwać się do broni na każdy zew uciśnionej wolności...

Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami!..

Z tem hasłem przekraczała rzesza tułacza granice „nowej ojczyzny"...

I tu, jak niemal wszędzie, przywitała ich niechęć rządu i entuzjazm ludu. Ale rząd Ludwika Filipa, ulegając opinji mas ludowych, ułatwiał emigrantom przybycie do Francji i pozorami życzliwości maskował swą niechęć. Powstanie listopadowe odwróciło od Francji widmo wojny z Rosją, ale gdy widmo pierzchło, rząd francuski zaniepokoił się napływem emigracji. Powodem tego niepokoju była sympatja, jaką Francja rewolucyjna okazywała Polsce. Już na samą wieść o kapitulacji Warszawy, Paryż zaszumiał groźnie i w obawie o los powstania polskiego, w którem wi-

dział dalszy ciąg rewolucji lipcowej, wybuchnął oburzeniem. Rząd francuski niejednokrotnie obiecywał poprzeć sprawę polską. ale nie zdobył się ani razu nie tylko na pomoc, ale na żaden gest dyplomatyczny, któryby ujawnił tego rodzaju zamiary. Więc gdy wiadomość o poddaniu stolicy polskiej gruchnęła po Paryżu, tłumy wysypały się na ulice i, przeklinając tchórzliwą politykę rządu, otoczyły manifestacyjnie gmach ministerjum spraw zagranicznych i gradem kamieni, skierowanych w okna pałacu, wyrażały swą niezłomną wolę. Obawa o los powstania polskiego zerwała się z łańcucha czczych obietnic i wrzawą uliczną a manifestacjami zaczęła straszyć króla i ministrów. Wzburzenie było tak silne, że w paru miejscach lud zaatakował magazyny z bronią i z okrzykami na cześć Polski, zaczął budować barykady. Niedość na tem. Za przykładem Paryża poszły inne miasta francuskie. W Strassburgu, w Tuluzie, w Tulonie, w Perpignan, w Grenobli odbyły się również burzliwe manifestacje. Z okrzykami na cześć Polski łączyły się okrzyki nienawistne pod adresem rządu. Groza nowej rewolucji zawisła nad Francją. Lud niedwuznacznie domagał się zbrojnej interwencji. Ale rząd wszelkiemi środkami studził zapał i przy pomocy wojsk uśmierzał zbyt wojownicze zapędy. Następca Karola X, „król barykadowy", jak nazywano Ludwika Filipa, wzmagał się już w owym czasie na siłach, a chcąc zjednać dla siebie monarchów, coraz zuchwalej potrząsał biczem reakcji. Rewolucja lipcowa, której wrzawa niepokojem napełniła rządy europejskie, nie była w swoich skutkach tak straszna, jak tego obawiały się monarchje. Zmieniła się tylko dynastja, lecz zasady rządów pozostały te same i niebawem dawny „porzą-

dek" zaczął się utrwalać we Francji. Postępowe i demokratyczne *stronnictwo ruchu*, reprezentowane przez Lafayett'a i Lafitte'a, już w marcu 1831 r. musiało ustąpić reakcyjnej *partji oporu*, na której czele stali Casimir Perier, Guizot i Broglie. Wówczas i „król barykadowy" zmienił swe postępowanie. Nowy władca zaprzestał manifestacyj „demokratycznych", polegających na spacerach pieszych bez żadnej eskorty, na ściskaniu rąk gwardzistom, na obrzucaniu komplementami robotników i niższych sfer ludności. Zamiast „demokratycznego" parasola, który demonstracyjnie obnosił po ulicach Paryża, wziął do ręki knut, z Palais Royal przeniósł się do pałacu królewskiego w Tuileries i stamtąd, odgrodzony od „kochanego ludu" wałem etykiety dworskiej i bagnetami, jął rządzić na sposób królewski.

W chwili, kiedy powstanie chyliło się do upadku, ministerjum wszechwładnego Periera dążyło do tego, aby umocnić stanowisko nowego króla, a Francji zapewnić spokój wewnętrzny i zewnętrzny. Ponieważ demokratyczny parlament z roku 1830 nie dogadzał tej polityce, więc Perier zamknął izbę i ogłosił nowe wybory na zasadzie zmienionej ordynacji. Zapewniwszy w ten sposób większość parlamentarną swemu gabinetowi, Perier przystąpił do uregulowania stosunków z mocarstwami i, zapewniając je o pokojowych intencjach rządu francuskiego, politykę swą oparł na zasadach słynnej nieinterwencji. Zasady te zalecały unikać wszystkiego, co mogłoby się stać przyczyną zatargów i nieporozumień z innemi mocarstwami. W takich warunkach Polacy nie mogli liczyć na poparcie urzędowej Francji; nie mogli liczyć wówczas, kiedy jeszcze posiadali broń w ręku, a tem bardziej teraz, kiedy

jako tułacze szukali w obcym kraju schronienia. Sfery rządowe, uważając wojnę z Rosją za największe nieszczęście, krzywem okiem spoglądały na falę emigracyjną, która z szumem i hałasem ciągnęła przez Niemcy i, drażniąc władcę północy, napływała do Francji.

Ale w przeciwstawieniu do sfer rządzących, lud francuski niedwuznacznie manifestował swoją życzliwość dla sprawy polskiej. Wyobraziciele i przywódcy żywiołów rewolucyjnych: Gedefroy Cavaignac, Blanqui, Barbès i Raspail, byli szczerymi rzecznikami wyzwolenia politycznego Polski, a tłumy robotnicze Paryża niemniej niż miasta niemieckie entuzjazmowały się widokiem wychodźcy. I dla tych tłumów nieszczęśliwy Polak-wygnaniec był symbolem dzielności rewolucyjnej, bohaterem i sprzymierzeńcem. Dużą sympatją dla Polski natchnione było również demokratyczne stronnictwo ruchu, którego głowa widoma, generał Lafayette, druh Kościuszki, stał na czele Komitetu Centralnego francusko polskiego. Komitet ten w miarę sił a możności pomagał powstańcom, czy to zapomocą licznych filij, rozsianych po całej Francji, zbierając środki materjalne, czy to zajmując się dostawą broni i wysyłając na plac boju pozyskanych dla sprawy polskiej oficerów francuskich.

Obok tego komitetu istniała jeszcze w Paryżu legacja polska, reprezentowana przez generała Kniaziewicza i kasztelana Ludwika Platera. Legacja ta starała się nawiązać łączność pomiędzy rządem francuskim a powstaniem polskiem. a choć już w początkach września przestała istnieć formalnie, przebywała nadal w Paryżu i była jedynym ośrodkiem polskim, który miał szeroko rozgałęzione stosunki.

Kiedy emigranci polscy wkraczali w granice Francji, przebrzmiały już echa burzliwych manifestacyj i spokój panował w Paryżu. Ale był to spokój pozorny. Niezadowolenie, nurtujące masy, nie wypaliło się w ciągu trzech dni lipcowych i acz niewidoczne na powierzchni, nie ustawało na chwilę. Rządy Ludwika Filipa budziły głuchy pomruk i gniew ludu kłębił się w podziemiach rewolucyjnych Paryża. Wenty węglarskie, przeobrażone podczas dni lipcowych w jawnie działające kluby, widząc srożącą się reakcję, powróciły do organizacji tajnej i osłonione konspiracją, pocichu przygotowywały się do zażartej walki z istniejącym rządem. Na przedmieściach i w zaułkach Paryża wrzała agitacja, szemrały masy, gromadziły się i skupiały materjały palne. Nazewnątrz przejawiało się to wrzenie w teorjach Bazarda, Enfantina, Piotra Leroux, Bucheza i wielu innych mniej lub więcej wybitnych i głośnych teoretyków, działaczów, agitatorów. Zaznaczał się również silny ruch na polu umysłowem, rozlewała się istna powódź nowych teoryj, wyobrażeń, haseł, krzyżowały się zdania, ścierały się sprzeczne poglądy, tętniało życie podziemne i huczał Paryż widzialny.

Rozżarzony był bruk stolicy świata, gdy w mury jej wkraczali emigranci polscy...

Najpierw, bo już w końcu października zjawił się w Paryżu ostatni prezes ostatniego rządu polskiego, Bonawentura Niemojowski. Przybył on w otoczeniu swoich zwolenników, Teodora Morawskiego, Andrzeja Plichty, Stanisława Kunatta i posła Kaszyca. Nieco później przyjechał Lelewel z Ordyńcem, Kazimirskim, współpracownikiem Nowej Polski i Feliksem Saniewskim, byłym redaktorem Polaka Sumien-

nego [1]). Niebawem napływać zaczęli inni wychodźcy, a 2 listopada zawitali do Paryża Maurycy i Kamil Mochnaccy.

Powstanie listopadowe zbliżyło do siebie braci. Kamil Mochnacki, chłopak myślący, lecz małomówny i zamknięty w sobie, żył jako podchorąży życiem wojskowem, nieco zdala od rodziny. Dopiero wspólne niebezpieczeństwa, walki pod Wawrem, Liwem i Prytyczą, w których starsi bracia walczyli ramię w ramię, wspólne przygody i tułactwo zacieśniły pomiędzy nimi serdeczne węzły i prawdziwie braterskim połączyło ich sentymentem. Ciężko rozpoczęło się życie tułaczów. Przejścia i rany, odniesione w bitwach, niebezpieczeństwa, towarzyszące do samej granicy pruskiej, wreszcie klęska, która ich wygnała z kraju, nadszarpnęła zdrowie, wyczerpała siły. Na domiar złego brak środków prześladował Mochnackich. Wprawdzie Niemcy, jak pisał później Maurycy, „na ręku nas nosili. Gdybym był chciał, byliby mnie zbogacili jak Krezusa"; ale bracia nie przyjmowali żadnych wsparć, zasiłków, darów, uważając, że one „uwłaczają dumie wygnańca" [2]). Tymczasem szczupły zasiłek, który przy opuszczaniu armji wypłacił gen. Rybiński, wyczerpywał się szybko i Mochnaccy, dotarłszy do Brukseli, musieli się tu zatrzymać, gdyż nie mieli za co odbywać dalszej podróży. Szczęściem, poratował ich pożyczką przejeżdżający przez Brukselę poseł Franciszek Wołowski i obaj tułacze udali się w dalszą drogę. Smutek ich pogarszała troska o los rodziny. Bazyli

[1]) Dziennik ten przestał być wkrótce po wyjeździe Lubeckiego organem partji umiarkowanej i naraził się nawet na prześladowania.

[2]) Listy M. M-go i brata jego Kamila. Poznań 1863, str. 10.

Mochnacki wraz z żoną, córką Olimpją i najmłodszym synem Tymoleonem wyemigrował do Galicji. Wkrótce za nimi pojechała i córka najstarsza, Klementyna Głogowska. Niepokój o los ojca dręczył obu synów. Obawiali się, że usłużny rząd austrjacki wyda ojca władzom rosyjskim. Pełni smutnych przeczuć, szwankujący na zdrowiu, smutni i rozgoryczeni, odbywali podróż. Entuzjazm, który wszędzie budzili swoim widokiem, nie oszałamiał ich, przynajmniej Maurycy nie rozstawał się z posępnemi myślami. Nie wierząc w rychły powrót do kraju, biegł myślą w czasy szczęśliwsze, wspominał dom rodzinny i temi wspomnieniami osładzał sobie gorzką dolę wygnańca. „O moja Mamo kochana! — pisał w jednym z pierwszych swych listów, wysłanych z Francji. — Gdzie się podziały te czasy, kiedyśmy razem byli w jednym domu? Któż był nade mnie szczęśliwszy wienczas? Pierwszy głos przez ścianę, który mię budził, był to głos ojca, tak dobrego, tak kochanego, jakim niebo żadnego na świecie syna nie uszczęśliwiło. Cała rodzina przed rankiem u Mamy się zgromadziła. Mama żywiłaś swoje dzieci, moja Mamo kochana! Kiedy się te czasy znowu wrócą? czasy patrjarchalne, sławione od poetów jak urojenie... Może nigdy. Na to potrzeba Polski; ażeby Polska była, na to potrzeba rewolucji w całym świecie. Za lat kilka może ja przyjdę do Mamy z dalekich stron, żeby znowu porzucić ojczystą ziemię. Kto to wie? kto przewidzi?...[1]).

Gorzkie rozmyślania towarzyszyły wędrówce. Lecz oto przed oczyma wygnańców zamajaczył Paryż — i cel podróży został osiągnięty. W Paryżu z otwartemi

---

[1]) Listy M. Mochnackiego i brata jego Kamila, str. 11.

ramionami przywitał Mochnackich Michał Podczaszyński, najserdeczniejszy przyjaciel Maurycego.

Podczaszyński,—pisał Kamil Mochnacki,—„zawsze ten sam, zawsze poczciwy, nie zmienił się na jotę, o mało co nie oszalał z radości, gdy nas zobaczył: nie chciał sam sobie wierzyć. Śmiał się i płakał i skakał razem pod sufit. Ściskał Maurycego, swego przyjaciela od młodości, nie można było z nim przyjść do mowy. Tysiąc pytań zadawał, na żadne nie czekał odpowiedzi... Zawsze mu na myśli stało przypomnienie dawnych rzeczy, pobyt jego w naszym domu w Warszawie, obowiązki wdzięczności, przywiązanie prawdziwie synowskie, zgoła nic go Paryż nie zepsuł, doskonały chłopiec, ale trudno z nim dojść do ładu, trzpiot, roztrzepaniec, a nieznośny gaduła"... [1]).

Powstanie listopadowe zastało Podczaszyńskiego w Paryżu, dokąd się schronił przed prześladowaniami Konstantego. Na odgłos wrzawy wojennej chciał ruszyć do kraju, ale wyczerpanie, spowodowane chorobą piersiową, częściowo zaś niewiara w powodzenie sprawy, częściowo obawa przed aresztami pruskiemi i brak środków materjalnych wstrzymały go od stanowczego kroku. Siedząc w Paryżu, pisywał artykuły o Polsce do dzienników francuskich, jak Revue Encyclopedique, Revue de deux Mondes itd... „W epoce powstania narodowego... piórem dopomagał sprawie narodowej, będąc stałym współpracownikiem dziennika: Temps. Utrzymywał ciągłą korespondencję z posłem Lelewelem przez ciąg wojny rewolucyjnej"... [2]).

---

[1]) Listy M. M-go, str 23.

[2]) «Tygodnik Emigracji Polskiej» z d. 8 lipca 1835 r.

Widok Mochnackich nasunął Podczaszyńskiemu najprzyjemniejsze wspomnienia z lat wczesnej młodości, przypomniał mu wesołe niefrasobliwe życie, kiedy to przy czarnej kawie w kłębach tytuniowego dymu kłócili się zawzięcie z Maurycym lub biegli naprzeciw do Lelewela, by ten rozstrzygnął wątpliwości i przyznał, który z nich ma rację. Lecz czasy te minęły, jak sen, a sytuacja Mochnackich nie pozwalała nawet na rozpamiętywanie owych chwil minionych. Bracia stanęli w hotelu bez grosza, a „chudego literata”, jakim był Podczaszyński, nigdy nie trzymały się pieniądze. Więc zaraz na wstępie trzeba było pomyśleć o środkach do życia. Trzej przyjaciele złożyli walną naradę i postanowili, aby Kamil udał się do Bonawentury Niemojowskiego, który, jak przypuszczano, przywiózł ze sobą do Paryża skarb polski.

Niemojowski zasiłku nie odmówił, ale w rozmowie pomiędzy nim a młodszym Mochnackim doszło do ostrego starcia, które wzmogło jeszcze niechęć braci do przedstawiciela partji kaliskiej.

Od tej chwili zaczynają się dla Mochnackich długie dni trosk materjalnych, dni nieustannej walki o zdobycie grosza. Bieda, jak cień miała iść odtąd za nimi i towarzyszyć aż do samej śmierci. Ów brak pieniędzy zatruwał im wszystkie jaśniejsze chwile, paraliżował wiele projektów i planów, a tem bardziej dawał się we znaki, że Mochnaccy, jak zresztą większość wychodźców, przyzwyczajeni w kraju do wszelkich wygód, nie umieli zastosować się do nowych warunków i, o ile pieniądze były, zdradzali zaraz polską lekkomyślność życiową. Lecz wrzawa emigracyjna nie pozwalała zazwyczaj pogrążać się na czas dłuższy w posępnych rozmyślaniach. A wrzawa rozpoczęła się

natychmiast. Zaledwie zebrało się w Paryżu dwudziestu kilku wychodźców, gdy wybuchnęły niesnaski, wszczęły się swary, kłótnie, nieporozumienia, pojedynki, wzajemne szkalowanie się i obrzucanie najstraszniejszemi zarzutami. Przyszły dni wzajemnego sądu potępieńców. Brzemię strasznej klęski przytłaczało swoim bezmiarem tułaczów i każdy z nich chciał zepchnąć ze swoich ramion przypadającą nań cząstkę ciężaru, każdy wywoływał z grobu widmo nieszczęścia i straszył niem swoich przeciwników. Na obcej ziemi, zdala od kraju zmieniała się natura wygnańca, stawała się niezwykle drażliwą, zapamiętałą, bezwzględną. Tęsknota przeżerała wszystkie serca, poczucie winy i niespełnionego obowiązku ciążyło nad tymi, co z pożaru cało swe głowy unieśli i dali spłonąć ojczyźnie. Przedział, który pomiędzy stronnictwami istniał w kraju, powiększyła otchłań klęski, otchłań, co mimo wszystkie nadzieje i wszystkie złudzenia, przykuwała myśli i płoszyła sen z oczu rozbitków. Charaktery przechodziły teraz przez ogniową próbę nieszczęścia i, nie mogąc wytrzymać tej próby, często karlały, paczyły się, obnażały się ze wszelkich pozorów szlachetności i wszelkiego uroku. Z kryjówek dusz umęczonych wypełzały nieraz najniższe instynkty i z szumem wytaczały się na widownię, i skakały ku sobie, i zmagały się w jakichś konwulsyjnych skurczach niemocy, w jakiejś walce niezwykle tragicznej, bo prawie zawsze w walce bez chwały i bez nadziei rzeczywistego zwycięstwa.

W pierwszym roku tej walki niepoślednią rolę odegrał Maurycy Mochnacki.

* * *

Dnia 6 listopada 1831 roku dwudziestu kilku Polaków, przybyłych do Paryża, otrzymało zaproszenie od Bonawentury Niemojowskiego, który jako ostatni prezes rządu poczuwał się do pewnych obowiązków względem dążących do Francji tułaczów. Na zebraniu tem Niemojowski przedstawił projekt utworzenia komitetu, któryby zawiązał stosunki z rozsianemi niemal po całej Europie zachodniej komitetami, tworzonemi na rzecz powstańców, ułatwił im podróż do Francji, i zapewnił opiekę rządu francuskiego. Projekt został przyjęty, ale z dużemi zastrzeżeniami. A więc komitet miał istnieć dopóty, dopóki w Paryżu nie zbierze się stu wychodźców, którzy o dalszych losach komitetu mieli zdecydować. Lecz Niemojowski nie wyrzekał się widoków na przyszłość. Komitet, jak objaśnia akt założenia, miał się składać z prezesa i 24 członków, stanowiących zarząd. Do ogólnego zebrania należeć mieli „ci wszyscy Polacy i cudzoziemcy, których komitet stały do składu powoła" [1]. Jak widać, Niemojowski liczył na to, że wszelkie władze, tworzone przez emigrację, z tej organizacji wezmą swój początek. Zrozumieli tę grę Mochnaccy i wspólnie z Gurowskim przeparli uchwałę, której mocą utworzony na zebraniu tem komitet przybrał miano tymczasowego. Do zarządu wybrano narazie tylko pięciu członków. Większością głosów na godność prezesa powołany został Niemojowski, na członków wybrano Lelewela, Teodora Morawskiego, Franciszka Wołowskiego i Kantoberego Tymowskiego, a więc z wyjątkiem Lelewela zwolenników ostatniego prezesa rządu.

---

[1]) Z protokułu w bibl. w Rapp.

Komitet Tymczasowy Emigracji Polskiej, przezywany także kaliskim, istniał bardzo krótko.

Zgodnie z postanowieniem, zapadłem na zebraniu organizacyjnem, Komitet Tymczasowy powinien był ograniczyć swoją działalność do spraw administracyjnych, akcja zaś polityczna całkowicie miała być wyłączona. Tego chciał sam Niemojowski, tego wymagali jego oponenci, w obawie, by prezes komitetu jakimś nietaktownym krokiem nie zaszkodził tułaczom w opinji kół rewolucyjnych Paryża. Tymczasem zaraz na drugi dzień po utworzeniu komitetu Niemojowski udał się do Periera. Minister francuski, wierny swej polityce, nie chcąc obrażać ambasadora rosyjskiego, Pozzo di Borgo, nie przyjął Niemojowskiego. Wieść o tem dostała się natychmiast do wiadomości przebywających w Paryżu tułaczów i wywołała protest przeciw niefortunnemu krokowi prezesa nowego komitetu. Niebawem inny wypadek poruszył umysły i silniejsze jeszcze spowodował wrzenie. Oto gen. Lafayette zwrócił się do Komitetu Tymczasowego z propozycją urządzenia pierwszej rocznicy powstania listopadowego. Niemojowski oświadczył, że Polacy, przebywający na emigracji, nie mają żadnych celów politycznych i propozycję odrzucił. Taka interpretacja, zapadłej na zebraniu organizacyjnem uchwały, podniosła przeciw Niemojowskiemu wszystkich przeciwników „polityki kaliskiej".

Na czele niezadowolonych stanęli obaj Mochnaccy i Adam Gurowski.

Ten ostatni siedział w Paryżu już od marca 1830 r. Uważając po bitwie pod Wawrem, w której brał czynny udział, że siły walczących są nierówne, Gu-

rowski zawczasu pomyślał o sobie i postanowił umknąć z Warszawy, nim wejdą do niej wojska rosyjskie. Ucieczkę swoją upozorował jakąś misją dyplomatyczną, którą jakoby otrzymał od ówczesnego ministra spraw zagranicznych, Małachowskiego. W gruncie rzeczy Małachowski, chcąc pozbyć się niebezpiecznego warchoła, dał mu pustą kopertę do legacji polskiej w Paryżu, zaopatrzył go w pieniądze na podróż, a legację inną drogą uprzedził, by miała się na baczności [1]. Gurowski, oddawszy domniemany list, pozostał już w Paryżu, wszedł w stosunki z działaczami ludowymi we Francji, umiał nawet pozyskać zaufanie i przyjaźń Bucheza. Gładki, obrotny, pełen zalet towarzyskich, nie zdążył jeszcze się zdradzić i mimo swój wyjazd z Warszawy, który stał się głośnym, grał w Paryżu z powodzeniem rolę zagorzałego demokraty i rewolucjonisty. Z chwilą, gdy emigracja zaczęła napływać do Francji, Gurowski odrazu zajął śród niej miejsce widoczne. Ceniąc niepospolity umysł Mochnackiego, zbliżył się do niego znowu i razem z nim rozpoczął walkę przeciw kaliszanom. W ten sposób utworzyła się opozycja, do której przymknął zaraz Lelewel, a wraz z Lelewelem i inni członkowie klubów warszawskich. Postanowiono obalić istniejący komitet i utworzyć nowy z Lelewelem na czele. Rozpoczęła się agitacja śród napływających nieustannie wychodźców. Partja Niemojowskiego czyniła ze swej strony wszystko, aby utrzymać się przy władzy, ale Mochnacki puścił w ruch swe świetne pióro i w dwóch broszurach jął walczyć z kaliszanami. Broszury te,

---

[1]) Tak przynajmniej ową «misję dyplomatyczną» Gurowskiego przedstawia Barzykowski.

rozdawane emigrantom, dopięły celu: skompromitowały i ośmieszyły w ich oczach zabiegi Niemojowskiego.

„Jednego województwa plemiennicy, jednej wiary zwolennicy, krótko mówiąc, MĘŻOWIE KALISCY, przybyli z nieszczęśliwej Polski do Paryża, w czerstwości zdrowia i sile lat męskich, — szydził Mochnacki. — Przybywszy, cóż czynią? Oto natychmiast zwołują kilku obecnych rodaków dla zamówienia sobie ich kresek, po dawnemu, obyczajem, często praktykowanym na sejmikach i na sejmie. A ich hasło? „Jeszcze Polska nie zginęła, będziemy nią rządzili w Paryżu"... Chcą rządzić tułaczami! Lubo z mnogich przyczyn, nie komu innemu, ale im przypisze sąd dziejów nasze tułactwo z upadkiem ojczyzny. Powiedzmy prawdę: nie wszystko starł miecz rosyjski. Więcej daleko złego zrządziła płocha duma i niedołężność ludzi na wysokich urzędach, którzy wytargowali dla siebie przywilej na władzę, a których nauka i zdanie zawsze chwiały się w środku między dwiema ostatecznościami na szali politycznego nierozumu. Ci ludzie, to kaliszanie. Zgubili Polskę w Polsce; czyż z tego wynika, że jej mają szkodzić pod obcem niebem?" [1]).

Ów akt oskarżenia miał wiele słuszności. Kaliszanie posiadali duże wpływy podczas dyktatury, zasiadali w rządzie pięciogłowym, objęli główne stanowiska za panowania Krukowieckiego. Oni istotnie rządzili na Pradze „a potem w Modlinie, a potem Zakroczymiu, a potem w Płocku", oni wyprowadzili z granic Królestwa główną armję polską. Namiętność Mochnackiego wszystkie ich grzechy w najczarniejszych przed-

---

1) «Do rodaków, bawiących w Paryżu». Paryż, 18 listopada 1831 r.

stawiła kolorach, ale w gruncie rzeczy ozkarżenie zawierało bardzo dużo prawdy.

A zaledwie kaliszanie zdążyli ochłonąć z pod przykrego wrażenia, jakie to oskarżenie musiało na nich uczynić, w kilka dni potem ukazała się nowa broszura, równie złośliwa, i jadowita, jak pierwsza.

„Któż, — pisał w niej Mochnacki, — upoważnił prezesa tymczasowego komitetu do oświadczenia Lafayette'owi, że my żadnego celu politycznego nie mamy? Wyrzekać się tego publicznie, jest to uwłaczać charakterowi Polaków, którzy i na wygnaniu Polakami być nie przestali"... Wreszcie omawiając propozycję Lafayette'a, wołał Mochnacki pod adresem Niemojowskiego i jego zwolenników: „Jeżeli wam nie miła ta rocznica, nie obchodźcie jej sami: nikt was do tego nie zmusza, możecie się zamknąć w waszych domach na dniu 29 listopada! Lecz nie zniechęcajcie marnemi pozorami cudzoziemców, którzy czują potrzebę takiego obchodu, nie zniechęcajcie młodzieży polskiej!"... [1]).

A w kilka dni później ukazała się jeszcze jedna odezwa, napisana i podpisana przez Gurowskiego, a również wymierzona przeciw Niemojowskiemu. Gurowski dość obłudnie wzywał rodaków do jedności i zgody, ale niedwuznacznie żądał, aby wychodźcy, wybierając n o w e g o p r e z e s a i członków komitetu, mieli „jedynie na celu pożytek narodu" [2]).

---

[1]) «Rocznica 29 listopada». Paryż 25 listopada 1831. Obie te broszury nieobjęte są pięciotomowem poznańskiem wydaniem pism Mochnackiego.

[2]) Była to odezwa litografowana, prawdopodobnie w mniejszej rozpowszechniana ilości. Oryginał w bibl. w Rapp.

Te broszury i agitacja przeciągnęły większość wychodźców do obozu opozycji.

Tymczasem Niemojowski na dzień 8 grudnia zwołał zebranie, by przed większem gronem zdać sprawę ze swoich czynności, a zarazem utrwalić swe panowanie. Tym razem 87 wychodźców stanęło do apelu, ale już wybory do prezydjum zaświadczyły, że kaliszanie są w mniejszości. Z partji kaliskiej jeden poseł Zienkowicz powołany został na sekretarza, ale i ten w trakcie dyskusji złożył pióro i ustąpił miejsca Mochnackiemu. Na przewodniczącego wybrano posła Zwierkowskiego, uczestnika klubu rewolucyjnego w Warszawie, a Lelewela i posła Przeciszewskiego zaproszono na asesorów. Niemojowski zorjentował się szybko i, widząc siły nierówne, na wstępie oświadczył, że Komitet Tymczasowy zostaje rozwiązany. Później przemawiał Teodor Morawski i w ostrych słowach potępił autorów broszur, skierowanych przeciw kaliszanom. Ani Mochnacki, ani Gurowski nie odparli zarzutów. Następnie znowu zabrał głos Niemojowski i w dłuższem przemówieniu wyraził przekonanie, że wszelka nowa organizacja, którą obecni powołają do życia, powinna się wyrzec działania politycznego i wszystkie swe czynności zamknąć w granicach spraw gospodarczych. Teraz dopiero zaczęła się szermierka na słowa. Niemojowskiego popierali usilnie Morawski, Plichta, Kunatt i Władysław Plater, ale Lelewel, Mochnacki, Krępowiecki, Gurowski i Czyński, a więc prezes i wybitniejsi członkowie Towarzystwa Patrjotycznego obalili propozycję Niemojowskiego i zaprojektowali utworzenie nowej organizacji.

Kaliszanie ustąpili wobec przemagającej większości, a oponenci zwołali nowe zebranie u posła Romana Sołtyka i 15 grudnia powołali do życia nowy komitet, który nazwano Komitetem Narodowym Polskim. Komitet ten w początkach swego istnienia nosił jeszcze miano „stałego". W tej nowej instytucji godnością prezesa obdarzono Lelewela, a członkami zarządu zostali Zwierkowski, Chodźko, Sołtyk, Krępowiecki, Krailsir, Przeciszewski, Hłuszniewicz i Adam Gurowski.

Śmiało powiedzieć można, iż komitet ten był dziełem Mochnackiego. On najwięcej przyczynił się do obalenia Komitetu Tymczasowego, on najusilniej pracował nad ustawą nowego komitetu i na zebraniach, poprzedzających wybory, najgoręcej bronił tych punktów ustawy, które nowej organizacji zapewniały trwałość. W jednym z późniejszych swych listów Mochnacki wyraźnie mówi o zasługach, jakie komitetowi wyświadczył: „1-º: przez starania w to położone, ażeby dawniejszy, pierwszy komitet, który przez 20 Polaków był wybrany, ustał, 2-º: przez obwarowanie na ogólnych zgromadzeniach, osobliwie początkowych, tych artykułów ustawy komitetu, które jego przemienianie, odnawianie, burzenie strzegły przeciw kaprysowi albo złej woli"... [1]).

Cel Komitetu w tych słowach streszczała ustawa: „Komitet Narodowy Polski ma czuwać nad interesem narodowym i nad losem wypartych z Ojczyzny Polaków; przemawiać w ich imieniu; znosić się z członkami władz narodowych; z komitetami dla sprawy

---

[1]) List M-go z d. 14 lutego 1832 r. Roczniki Polskie Leonarda Chodźki. 1832. Bibl. w Rapperswilu.

polskiej zawiązanemi tak swojego narodu, jakoteż i innych; nakoniec z ziomkami swoimi". Komitet, opiewała dalej ustawa „składa się z prezesa i ośmiu członków wybranych przez zgromadzonych w Paryżu Polaków, mających prawo należenia do Ogólnego Zgromadzenia... Każdy Polak, przybywający do Paryża, jeżeli chce należeć do Ogólnego Zgromadzenia, winien jest tak ustawy ogólnego zgromadzenia, jako też i komitetu własnoręcznie podpisać" [1]).

Ustawa ta, w głównych swoich zarysach dzieło Mochnackiego, ujawniała talent organizatorski, ale oczywiście nie mogła zabezpieczyć komitetu nie tylko od złej woli, lecz i od kapryśnego biegu wypadków. Jednakże mimo całą gorliwość w zwalczaniu kaliszan i torowaniu drogi Lelewelowi, Mochnacki nie został powołany do nowego komitetu. Słuchano, co mówił, stosowano się do jego rad i wskazówek, gdy jednak przyszło do wyborów, znakomity pisarz otrzymał zaledwie trzynaście głosów. Przy Lelewelu zgromadziły się w przeważnej części elementy, stanowiące w kraju główną siłę klubów, te zaś elementy miały swe porachunki z Mochnackim. Pamiętano, że opuścił Towarzystwo Patrjotyczne, że zmawiał się z Horodyskim i Skrzyneckim, znano jego usposobienie i wiedziano, że wszedłszy do komitetu, nie poprzestanie na roli pionka. Obawiano się jego niespokojnego ducha i władzy w jego twardych rękach. Z drugiej strony wysilali się i kaliszanie, aby Mochnackiego zdyskredytować. Więc przypomnieli biuro cenzury i znajomość

---

[1]) «Całoroczne trudy Komitetu Narodowego Polskiego na dniu 8 grudnia 1831 r. we Francji zawiązanego». Paryż, 1831—1833, str. 30—31.

z Szaniawskim, nie zapomnieli oczywiście i o „piśmie karmelickiem", dodali do tych przypomnień wszelkie wersje, jakie o Mochnackich krążyły podczas powstania i wszystko to puścili w kurs pomiędzy przybywających wychodźców. Niechęć i potwarz zrobiły swoje: Mochnacki znowu został usunięty od znaczenia i wpływu.

Tymczasem w miarę tego, jak w Paryżu powiększało się grono tułaczów, rósł chaos, zaczynały się nowe niesnaski, nowe kłótnie i nieporozumienia. Przyjechał generał Bem i, zaagitowany przez Niemojowskiego, w odpowiedzi na list otrzymany od Komitetu Narodowego, odpisał, iż nie chce mieć nic wspólnego z tymi, co marnowali swój czas na bruku warszawskim, a teraz marnują go na bruku paryskim. Odpowiedź Bema wywołała straszne oburzenie. Młodzież zawrzała gniewem — i w jednej chwili trzydziestu oficerów, a między nimi obaj Mochnaccy zażądali od generała satysfakcji. Bem osłupiał, bo tego rodzaju wyzwanie równało się wyrokowi śmierci, a śród wyzywających byli ludzie zasłużeni na polach bitew, znani ze swego męstwa i poświęcenia, ludzie, których Bem ani myślał obrażać. Więc cały dzień namyślał się, co robić, ale nazajutrz czekała go nowa przykrość. Oto niecierpliwi Mochnaccy, nie mając odpowiedzi na wyzwanie, przysłali mu list, wielce złośliwy i w liście tym pod grozą najstraszniejszych obelg żądali od generała, aby na drugi dzień o oznaczonej godzinie stawił się wraz ze swoim sekundantem w lasku bulońskim. Wówczas dopiero Bem wysłał swego świadka do Mochnackich, kazał ich zapewnić, że nie wiedział, kto do Komitetu należy, że nie chciał obra-

żać ludzi zasłużonych i że każdemu z tych, kogo obraził, gotów jest podać rękę publicznie, aby wszyscy mieli zupełną satysfakcję. Dodał, że Kamila szanuje, jako towarzysza broni, że o Maurycym krążą dziwne wieści, ale skoro i on z bronią w ręku walczył z Moskalami, przeto również do szacunku ma prawo. Młodzież cofnęła swe wyzwania, a Bem, pokłóciwszy się z Niemojowskim i całą partją kaliską, wyjechał, jak niepyszny z Paryża.

Po tej awanturze zaczęły się nowe nieporozumienia, swary, — i płynął dzień za dniem we wrzawie nieustannych kłótni.

Tymczasem Komitet Narodowy Polski odezwami zaświadczył swoje życie zewnętrzne. Pierwszą z nich była odezwa „do wojowników polskich", jedna z najwspanialszych pod względem stylu i formy publikacyj zbiorowych, jakie ukazały się na wychodźtwie. Smiało zaryzykować można twierdzenie, że napisał ją Mochnacki. Wprawdzie znakomity pisarz musiał się czuć dotkniętym, że pominięto go przy wyborach, ale jak świadczy jego korespondencja z Lelewelem i Chodźką, nie odrazu zerwał z komitetem. A on jeden umiał pisać taką szlachetną prozą polską, jaką odznacza się ta publikacja, on jeden zdobywał się na ów podniosły męski ton jakim dźwięczały słowa odezwy.

„Niema ojczyzny, gdzie niema wolności. Słońce nie świeci dla niewolnika, ziemia się dla niego w zieloność nie stroi, pokarm, który pożywa, w truciznę się zmienia. Przed tym pokarmem uszliście, bracia! Czarny kawał chleba, woda ze strugi czerpana prędzej się w życiodawcze zamienia soki, kiedy ją łzami cierpienia na widok hańby oblewać nie trzeba... Na-

rodów wytępić nie można. I my nie zginęliśmy! Nie zginął nasz język, obyczaje, religja; nie zginęła pamiątka naszej wielkości, pamiątka władztwa polskiego... Jeszcze rdza nie stoczyła polskiego żelaza, jeszcze koń polski zarży pod ulubionym wojownika ciężarem, pod dzidą ułana i krakusa. Jeszcze i dla nas zaświeci gwiazda wolności. Powrót mściwego losu nie jest daleki... Przyjdzie ta chwila, w której głos trąby powoła nas na ojczyste niwy. Tam otworzą się groby poległych braci naszych, a z ich kości wynijdą mściciele. Pójdziemy wywołać ich cienie, lecz z orężem w dłoni; bo inaczej wzrok ich nie zniósłby sromu naszego, a jęki ich oskarżałyby przed niebem braci, co nikczemnością swoją spokojność ich wzruszyli"...[1]).

Upadek powstania przypisywała odezwa „niedołężności i zdradzie", a o jedno i drugie śmiało pomawiała tych kierowników powstania, którzy po odniesionych zwycięstwach oglądali się na pomoc zagraniczną lub myśleli o układach. Dopiero za wyrazami potępienia szły wyrazy nadziei, gorące i mocne, a przesycone pragnieniem wolności i wiarą w siły narodu. Odezwa, zachęcająca do wytrwałości, przemówiła do serc wygnańców, ale słowa, pomawiające kierowników powstania o „niedołężność i zdradę", głęboko dotknęły Niemojowskiego. Kaliszanie zaprotestowali przeciw uzurpacji komitetu, który nazwał się narodowym, nie mając na to mandatu od narodu, i raz na zawsze odwrócili się od żywiołów, z któremi w czasie powstania wchodzili niekiedy w porozumienia. Opozycjoni-

---

1) Odezwa z dnia 25 grudnia 1831 r. «Całoroczne trudy Komit. Nar. Polsk.», str. 34—36.

ści, a należeli do nich wyżsi dygnitarze, generałowie, posłowie, jak Niemojowski, Teodor Morawski, Jelski, Franciszek Wołowski, Pac i Bem (po ponownym przyjeździe do Paryża), pułkownicy Potulicki, Kruszewski i wielu innych, zaczęli się skupiać wkoło legacji polskiej, t. j. Kniaziewicza i Ludwika Platera, zaczęli zastanawiać się nad nowem ugrupowaniem sił i w ten sposób dali początek stronnictwu, które zczasem nazwano arystokratycznem, a którego głową widomą stał się później książę Czartoryski. Tak więc w samych początkach emigracji utworzyły się dwie partje. Ale były to dopiero początki. Niebawem nastąpił rozłam i śród tych, którzy stanowili siłę i podstawę Komitetu Narodowego Polskiego. Wkoło Lelewela zgromadziły się żywioły opozycyjne, ale niejednolite. Żywioły te połączyły się na chwilę walki z kaliszanami, lecz zaledwie walka przebrzmiała, gdy w samym komitecie doszło do nieporozumień. Komitet rozpisywał odezwy do izby deputowanych we Francji, do stowarzyszeń politycznych w różnych krajach, zwracał się nawet do całych narodów, lecz odezwy te nie miały wyraźnej barwy. Więc Gurowski i Krępowiecki domagali się wypracowania programu politycznego, aby nikt nie mógł wątpić, jakim zasadom hołdują tułacze. Wszczęły się spory śród członków komitetu, a towarzyszyły im spory, odbywające śród tych, co należeli do „ogólnego zgromadzenia". Zgromadzenie to obradowało przy ulicy Taranne, w tym samym domu, w którym urzędował Komitet Centralny francusko-polski pod prezydencją Lafayettea. W „Taranie", jak nazywano popularnie ów lokal, codziennie odbywały się hałaśliwe zebrania. Na zebraniach tych odzywały się głosy, że Komitet Narodowy Polski działa

niedołężnie, że jest niepotrzebny, że należy go rozwiązać i stworzyć nową organizację o wyraźnym charakterze politycznym. Oficerowie chcieli mieć komitet wojskowy, zwolennicy Sejmu proponowali, aby nowy komitet wybrany został zpośród posłów, inni znowu żądali, aby istniejący komitet działał zawsze w porozumieniu z „ogółem" (tak nazywano „ogólne zgromadzenia"). Pewnego dnia „obywatel Bronikowski oświadczył, iż ma przeciw komitetowi złożyć zaskarżenia nieobojętne, a zatem prezes komitetu usilnie się domagał, aby były osoby niezwłocznie z ogólnego zebrania do bliższego rozpoznania czynności komitetu naznaczone. Jakoż zaraz wybrana została deputacja, która tem się zająć miała, złożona z obywatelów: Puławskiego, Płużańskiego, Janowskiego, Czyńskiego i Januszkiewicza" [1]). Deputacja, rozpatrzywszy działalność Komitetu, przyznała mu dobre chęci i pracowitość, ale uznała, że komitet nie stoi na wysokości swego powołania, nie daje bowiem wyraźnych wskazań politycznych i nie ma dość odwagi, aby określić swoje stanowisko. Deputacja żądała, aby komitet jasno wypowiedział swe credo przed opinją Europy, aby rozszerzył zakres swej działalności i zawiązał stosunki z innemi narodami, a mianowicie: niemieckim, hiszpańskim, włoskim, angielskim, z Turcją, Persją (?) i Ameryką, aby śmiało i energicznie napiętnował politykę gabinetu francuskiego, wreszcie aby wygłosił, że celem Polaków jest odzyskanie Polski, opartej na ustroju demokratycznym i republikańskim. Przeciw opinji deputacji wystąpili umiarkowani członkowie „ogółu", za-

---

[1]) «Całoroczne trudy Kom. Nar. Polsk.», str. 67—68.

częli szydzić z niefortunnie wymienionej Persji, zaczęli krzyczeć na zapaleńców, co zbyt daleko idącemi wnioskami ściągną represje rządów i wychodźtwo narażą na nowe szykany. Na tle tej kłótni doszło do rozłamu. Z komitetu ustąpili Gurowski, Krępowiecki i Kraitsir, do nich przyłączyli się niezadowoleni członkowie „ogółu" i utworzyli wspólnie nową organizację. Dn. 17 marca 1832 roku dwudziestu dwóch b. członków Komitetu Narodowego Polskiego podpisało epokowy w dziejach demokracji polskiej akt założenia Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.

Mochnacki nie brał udziału w ostatnich nieporozumieniach, które doprowadziły do rozłamu. Odsunięty od wpływu, zrażony jałowością dyskusji w Taranie, już w grudniu 1831 r. „raźno się wziął do opisywania rewolucji polskiej, lecz ustannie mu przeszkadzano. Nic nie pomogła nawet praktyka z dawnego warszawskiego czasu z zamykaniem się na klucz. Wybijano drzwi nielitościwie, zabierano czas, jeszcze nielitościwiej wypalano tytuń. Często nawet zdarzało się,—pisze Kamil Mochnacki,—że gość pod pretekstem naradzenia się o dobru ogólnem, przyszedłszy zrana, wypijał moją bez miłosierdzia lub Maurycego porcję kawy. To wszystko o mało nas do desperacji nie przyprowadziło. Maurycy, któremu pierwsze już rozdziały historji rewolucji udały się nad wszelkie oczekiwanie, postanowił tedy potajemnie wynieść się z Paryża dla dokończenia swego dzieła, a ponieważ Michał Podczaszyński siedzi w Metz, posłany od komitetu dla ułatwienia Polakom dostania się do Paryża, więc tamże Maurycy zmierzył swe kroki".... [1]).

---

[1]) «Listy M. M-go i brata jego Kamila», str. 31.

Uciekając z Paryża, Mochnacki usuwał się nie tylko od życia politycznego emigracji. ale i od obowiązków literackich, których się podjął jako członek Towarzystwa Naukowego.

Towarzystwo to powołane zostało do życia celem obznajmienia oświeconego zachodu z umysłowym dorobkiem Polski zapomocą najwybitniejszych utworów, tłumaczonych na języki obce. Projektowano rzucić w świat 50 tomów, które miały świadczyć o wysokiej kulturze i żywotności ujarzmionego narodu.

Towarzystwo Naukowe liczyło trzydziestu kilku członków zpośród emigrantów polskich i kilkunastu Francuzów. Prezesem swoim obrało Lelewela, a wiceprezesem—Mochnackiego. Podzieliło się na wydziały, a do kilku z nich wraz z Mochnackim zapisał się Juljusz Słowacki.

Niestety, i do Towarzystwa Naukowego wtargnęły niesnaski, do których niemało przyczyniał się sam prezes, który w sprawach naukowych i literackich miał swój własny punkt widzenia, a w zdaniu swojem był uparty i niewzruszony, jak skała. To też Towarzystwo nie zapisało się trwalej w smutnych dziejach emigracji.

Mochnacki zobowiązał się napisać dla T-wa krótki zarys piśmiennictwa polskiego, ale w Paryżu pisać nie mógł, a w Metz całkowicie pochłonięty był myślą o swojem dziele. Z Metz przysłał Lelewelowi krótki prospekt, tłumacząc się, że praca ta przechodzi jego zdolności [1]).

Niespodziewana ucieczka Mochnackiego w początkach stycznia 1832 r. niepomału zadziwiła jego przyjaciół. Gurowski, który nieustannie potrzebował Mau-

---

[1]) List M. M-go z d. 22 stycznia 1832 r. Rks w Rapp.

rycego, dotknięty, że się z nim Mochnacki nawet nie pożegnał, zemścił się za to i oskarżył go przed Komitetem Narodowym, jako wroga komitetu, a swojemi intrygami dopiął tego, że komitet cofnął Mochnackiemu zasiłek pieniężny.

Te intrygi nie pozostały bez następstw.

* * *

Pobyt w Metz należał niewątpliwie do najprzyjemniejszych chwil, jakie Mochnacki spędził na emigracji. Wraz z Podczaszyńskim przygotowywał materjały do historji powstania, pisał, kłócił się z przyjacielem, jak za dawnych lepszych czasów w Warszawie, wreszcie, korzystając z gościnności mieszkańców, brał bardzo czynny udział w życiu towarzyskiem miasta. Młody oficer polski, niezwykle wymowny i wykształcony, grający świetnie na fortepianie, rozrywany był przez miejscowe towarzystwo, zapraszany nieustannie na zebrania, obiady, uczty, na których z podziwem i szacunkiem patrzano na utalentowanego młodzieńca. W Metz po raz pierwszy wystąpił Mochnacki na koncercie publicznym jako pianista i, jeśli wierzyć sprawozdaniu Courier de la Moselle, oczarował słuchaczów swoją grą mistrzowską. Wtedy to zrodziła się w głowie Mochnackiego myśl wyjazdu do Anglji i rozpoczęcia tam karjery wirtuoza. Uśmiechały się mu laury Chopina. Mochnacki marzył, że jako pianista zbierze pieniądze, pomoże całej rodzinie, która od czasu, gdy Bazyli Mochnacki wyemigrował do Galicji, żyła w ciągłej nędzy, marzył dalej, że sprowadzi do siebie ojca, o którego nieustannie się lękał. Ale z obłoków tych fantastycznych rojeń twarda rzeczywistość sprowadzała go na ziemię. Bieda codzien-

nie pukała do okien tułaczów. Więc Podczaszyński pisał nieustannie to do Lelewela, to do Chodźki i żądał zasiłków pieniężnych. Nieporozumienia pomiędzy przyjaciółmi a Komitetem Lelewela wzrosły. Doszło do tego, prawdopodobnie skutkiem intryg Gurowskiego, że komitet, wybierając osoby, których pobyt pożądany był w Paryżu, pominął Mochnackiego [1]. „Komitet Narodowy — pisał Podczaszyński w jednym z listów do Lelewela, — wybiera, waży, taksuje osoby, które mają zostać w Paryżu. Na jakiejże szali ważył Mochnackiego, o którym najwięksi jego nieprzyjaciele polityczni, arystokraci i kaliszanie powiadają, że jest mędrszy od Kołłątaja. Gdyby arystokraci lub kaliszanie wybierali, pewnieby go oddalili, bo się go boją, bo uznają swoją niższość; maż świat powiedzieć tożsamo i teraz? On wyjechał z Paryża dlatego, że tam był zbyt roztargniony i nie mógł swobodnie pracować nad historją"... [2]. A w jednym z listów swych do Leonarda Chodźki Podczaszyński, domagając się zasiłku dla Mochnackiego, pisze: „Maurycy swoim koncertem wczora dla ubogich zarobił 6.000 fr., a nikt nie wie, że on sam nic nie ma" [3]).

A Mochnacki, nic nie wiedząc, co było powodem oziębłości, okazywanej mu przez komitet, korespondował z Lelewelem, donosił mu o swoich planach i postępach pracy nad historją powstania i na swoją rękę upominał się o pomoc „w celu publikacji pisma", nad którem pracował. Nie mogąc dojść do ładu z Ko-

[1]) Aby przebywać w Paryżu, wychodźcy polscy musieli posiadać pozwolenie policji. Otóż komitet Lelewela przez Lafayetta pozwolenia takie wyrabiał.

[2]) List z d. 13 marca 1832 r. Rks w bibl. w Rapp.

[3]) List z d. 23 marca 1832 r. Rks w bibl. w Rapp.

mitetem Narodowym[1]), pisał w jednym ze swych listów do Leonarda Chodźki:

„Zle czynicie, jeśli rozumiecie, jakobym ja był nieprzyjacielem Komitetu Narodowego. To bajka. Ja uważam ten komitet jako kaganiec na okiełznanie rozmaitych arystokratycznych i doktrynerskich pretensyj, za rzecz bardzo potrzebną dla dobra emigracji. A zatem nie powinniście, jak sądzę, ze mną jak z nieprzyjacielem postępować. Potrzeby moje są naglące; winien jestem za stół 70 i kilka franków; za stancję także za miesiąc. Ty jesteś dobry chłopiec; wiesz, że nie można o głodzie pisać; ergo, wyrobisz mi zasiłek jutro"... W innym liście do Chodźki brzmią akcenty wprost rozpaczliwe: „Sam teraz nic zarobić nie mogę, póki nie wydam mojego pisma. Potem dam sobie radę wszędzie. Ale dzisiaj, dzisiaj, jak wyjechać z Metz? Jak zapłacić, com winien w hotelu?"...[2]).

Jednakże Mochnacki nie ustawał w pracy i mimo kłopoty a troski pisał w dalszym ciągu historję powstania listopadowego. Teraz w Metz, niektóre poglądy, które już głosił w czasie rewolucji, wyraźniej zaczęły się krystalizować i konkretniejsze przybierać kształty. Mochnacki, śledząc z pewnej oddali prze-

---

[1]) Na odwrotnej stronie jednego z listów M-go znajduje się następująca odpowiedź Komitetu: «Paryż, 23 maja 1834 r. Komitet Narodowy w odpowiedzi na pismo Obywatela z żądaniem wyrobienia mu wsparcia, oświadcza, iż się nie wdaje w szafunek funduszów, udzielanych przez komitet centralny (Lafayette) i dlatego żadnej mu listy płacy nie przedstawiał. Sądzi przeto, że skuteczniejby było, aby Obywatel udał się bezpośrednio do komitetu centralnego». (Rks w Rapp.). Formalnie miał Komitet Narodowy słuszność, ale faktycznie nieraz wyrabiał rodakom zasiłki w komitecie Lafayetta.

[2]) Rękopisy w bibl. w Rapp.

bieg powstania, a pogrążając się całkowicie w minionych wypadkach, coraz bardziej utrwalał się w przekonaniu, że główną przyczyną klęski był brak siły, którąby narzuciła się społeczeństwu i zapanowała nad niem. Trzeba sobie uprzytomnić, że idea silnego rządu przyświecała Mochnackiemu przez cały czas walki, że w imię tej idei rzucił się w swoim czasie na Radę Administracyjną, na Rząd Tymczasowy, na Chłopickiego, na Sejm i wyłoniony z Sejmu Rząd Narodowy; że w imię tej idei doradzał Skrzyneckiemu zamach stanu, a później spiskował na rzecz Krukowieckiego. Ale nie dopiął celu. Siła, o jakiej marzył, wymagała jedności, a tej jedności nie było ani w rządzie, ani w Sejmie, ani w partji rewolucyjnej. Rak niezgody toczył nie tylko społeczeństwo, ale i poszczególne jego cząstki, a nie znalazł się nikt, ktoby cementem swej woli spoił poważnione żywioły. Sejm krępował wszystkie rządy, rządy ograniczały kompetencje wodzów, wodzowie odgrażali się rewolucjonistom, rewolucjoniści podkopywali autorytet każdej władzy, a sami swego rządu nie umieli stworzyć. Nie partje doprowadziły powstanie do upadku, ale niemoc partyj. Nie brak środków materjalnych, nie brak dobrych chęci i poświęcenia, lecz nieumiejętność podporządkowania się jednej idei, nieumiejętność, cechująca każdą poszczególną grupę, sprowadziła katastrofę. Idea była, ale nie było człowieka, którenby wcielił tę ideę w siłę. Silny człowiek zaczyna zajmować Mochnackiego [1]). Z drugiej

[1]) Tęsknota do wielkiego człowieka coraz silniej zaczynała przenikać wychodźców. Takiego człowieka nie wydało powstanie. Więc zaczęto się za nim oglądać. Nieco później i Mickiewicz pisał o «przyszłym wielkim człowieku». Byłoby niezmiernie pouczającą rzeczą wykazanie, w jakim stopniu powstanie zbudziło ową tęsknotę i utorowało drogę Towiańskiemu.

strony owłada nim zniechęcenie na myśl o tworzących się partjach, szczątkach stronnictw, które ocalały z pogromu i czyniły wrzawę we Francji. Zniechęcenie to silnie dźwięczy w listach, które w owym okresie pisał Mochnacki:

„Tak zwani arystokraci obwiniają kaliszanów, kaliszanie—rewolucjonistów, rewolucjoniści—kaliszanów i arystokrację, to jest Skrzyneckiego i Czartoryskiego. A ja utrzymuję, że wszystkie trzy partje zawiniły, bo wszystkie trzy były słabe. Ja do żadnej nie należę, mnie wszystkie prześladowały i obgadywały"... [1]).

Ta sama niechęć widoczna jest w liście do Lelewela:

„Dostatecznie wypowiedzieć nie umiem, jak dobrze uczyniłem, żem z Paryża wyjechał. Nigdybym w Paryżu nie mógł napisać, com w Metz popisał o rewolucji naszej, a przynajmniej potrzebowałbym w Paryżu dwa razy dłuższego czasu... Poczciwy Michał mocnej mi dostarcza broni przeciw arystokratycznym figurom. Arystokracja, rewolucyjna partja i kaliska, wszystko srodze grzeszyło egoizmem, niedołężnością i nierozumem politycznym"... [2]).

Mochnacki, jak każda silna indywidualność polityczna, był w głębi swej duszy despotą. Ten despotyzm przejawił się już w spisku podchorążych, który chciał nagiąć do swoich widoków, a gdy się to nie udało, opuścił spisek; przejawił się i w stosunku do

---

[1]) «Listy M. M-go», str. 64.

[2]) List M-go z d. 14 lutego 1832 r. Roczniki Polskie L. Chodźki. 1833. Bibl. w Rapp.

Towarzystwa Patrjotycznego, które porzucił, gdy się przekonał, że nie idzie do celu drogą, którą on sam wskazywał. Absolutyzm, którym chciał natchnąć powstanie, coraz głębiej zaczyna nurtować umysł Mochnackiego i powoli urastać do znaczenia idei.

W życiu znakomitego pisarza zaczyna się punkt zwrotny.

Myśli, które teraz wypowiada, pełne są nowej idei.

„Szanowny Panie Joachimie, — pisze w innym ze swoich listów do Lelewela, — list twój ostatni do Michała pisany, w którym na komerażnictwo sprawiedliwie powstajesz, mocno mię zastanowił. Te bezecne przeklęte plotki każą, muszą kazić wszystkie emigracje, osobliwie też naszą; bo w charakterze polskim prócz wielu zalet, mieści się także pewien niewieści element i skłonność do komerażnictwa... Gdyby był jaki klajster do zlepienia w całości jednej partji głów polskich, możebyśmy nie upadli; ale niema takiego cementu. Dlatego, żeby Polskę wyjarzmić, trzeba, żeby poczciwy człowiek, cnotliwy Kromwel, drugi Kościuszko z głową Kromwela, polskie duchy tęgim kagańcem okiełznał jeśli znowu kiedy powstaniemy! Piętnaście lat ucisku rozprzęgły tak dalece umysły nasze, że już potem żadną miarą połączyć je w jakąkolwiekbądź całość nie było można. Te smutne obserwacje uczyniły mnie stronikiem absolutyzmu"... [1]).

O tym zwrocie Mochnackiego pisze w owym czasie i Podczaszyński:

„Będę pisał, donosi ten ostatni rodzicom Maurycego, — moje przeciw jego dziełu za to, że ciągle pa-

---

[1]) List z d. 29 lutego 1832 r. Rks w bibl. Rapp.

negiryki sadzi władzy despotycznej, którą samą uważa za zdolną ratować naród, nie chcąc zrozumieć, że czy despotyzm, czy arystokracja, czy sejm, czy klub, czy konfederacja, mogą zbawić lub zgubić kraj. jeżeli władza celu narodu nie pojmuje, jeśli nie zrozumiewa jego życzeń"... [1]).

Pogląd Mochnackiego nie był tak jednostronny, jak pisze Podczaszyński, ale słowa te świadczą, że idea absolutyzmu coraz głębiej nurtowała umysł znakomitego pisarza. „Drugi Kościuszko z głową Kromwela" stał się jego marzeniem. Wrzaskliwa emigracja coraz bardziej i bardziej utwierdzała go w przekonaniu, że partje istniejące nie odpowiadają swemu zadaniu, że, chcąc coś zdziałać dla Polski, trzeba stworzyć nową wiarę i natchnąć nią naród.

* * *

Tymczasem śród emigracji zamęt nie ustawał na chwilę. W kwietniu 1832 r. parlament francuski uchwalił na wniosek rządu nowe prawo, dotyczące cudzoziemców. Prawo to krępowało swobodę emigracji i oddawało ją pod dozór policji. Minister spraw zagranicznych mógł teraz legalnie wyznaczać wychodźcom miejsca pobytu i w razie swego uznania wydalać ich z granic Francji. Rząd obawiał się rewolucjonistów polskich w Paryżu i zdala od stolicy postanowił trzymać wrzaskliwą rzeszę. Chcąc jednak złagodzić przykre wrażenie, wywołane barbarzyńskiem prawem, rząd Ludwika Filipa zaraz na drugi dzień zażądał od parlamentu uchwalenia trzech miljonów franków na utrzy-

---

[1]) «Listy M. M-go i brata jego Kamila», str. 100.

manie emigracji [1]). Żądanie to parlament uwzględnił ale trzy miljony nie mogły stłumić rozgoryczenia, jakiem przepojone były serca wychodźców. A rozgoryczenie było tak silne, że Towarzystwo Demokratyczne wyłoniło z siebie specjalny komitet, który propagował hasło opuszczenia gromadnego Francji. Ale dokąd mieli się zwrócić tułacze? Wszędzie obca ziemia paliła ich stopy, wszędzie rządy patrzyły na nich z nieufnością, wszędzie ambasadorowie rosyjscy wpływali na ich losy. Więc hasło, rzucone przez Towarzystwo Demokratyczne, zabrzmiało jak krzyk rozpaczy, rzucony w przestrzenie, i natychmiast skonało, nigdzie nie wywoławszy silniejszego echa.

Prawo, dotyczące cudzoziemców, uchwalone zostało dopiero w kwietniu, 1832 r., jednakże rząd francuski o wiele wcześniej przepisywał wychodźcom marszrutę i wskazywał miejsce zamieszkania. Postępowanie władz francuskich było bezwzględne, czasem wprost okrutne.

„Stało się więc to, czego się najmocniej obawiałem, — skarżył się Kamil Mochnacki w liście do rodziców z d. 7 marca 1832 r. — Musiałem wyjechać z Paryża. Gdybym był razem z Maurycym, możebyśmy się we dwóch nie dali, ale sam, napastowany bezustanku od władz miejscowych, sztabów wojskowych, wszystkiego rodzaju urzędników paryskich,

[1]) Z tej sumy wypłacano roczne subsydja wychodźcom. Najwyższe subsydjum, przyznane generałom dywizji wynosiło ?,000 franków, żołnierz otrzymywał 15 centimów dziennie i rację chleba. Major (w tej randze był Kamil) pobierał 1000 franków rocznie, porucznik (Maurycy) 600 franków (Cyfry te cytuję podług L. Gadona. «Emigracja Polska». Kraków 1901. Tom II, str. 43).

nie mogłem się oprzeć woli rządu i wyjechałem z Paryża. Wszelkiego rodzaju sztuk użyto: groźby, pochlebstwa, namowy; wreszcie gdy wszystko na nic się nie przydało, udano się do piekielnych środków: nakazano władzy policyjnej, aby się domagała ode mnie paszportu wolnego pobytu w mieście; przysyłano mi codziennie żandarma, który mnie ze snu zrana budził, a gdym poszedł na policję po paszport, odmawiano, że nie mają prawa udzielać oficerom polskim paszportów i że po nie trzeba do sztabu wojskowego się udać; w sztabie zaś mówiono mi, że oficerowie polscy nie Paryż, ale Avignon na miejsce pobytu mają przeznaczone. Protestowałem publicznie, krzyczałem na cały głos, że nie jestem oficerem, żem w kraju moim był oficerem, lecz wziąłem dymisję" [1], ale te protesty i krzyki nic nie pomogły i młodszy Mochnacki zmuszony był wyjechać do Avignon. A stało się to w marcu, z górą na miesiąc przed uchwaleniem prawa, które „druga ojczyzna" wydała przeciw Polakom. W Avignon Kamil Mochnacki zastał już do ośmiuset oficerów. Na czele ich stała rada, wybrana przez cały zakład, jak nazywano ogniska emigracyjne na prowincji. Zczasem i inne zakłady uorganizowały się i postawiły na czele swem rady. W ten sposób utworzyły się jak gdyby nowe komitety, które patrzyły z uprzedzeniem na Komitet Narodowy Polski, rezydujący zdala od głównych ognisk emigracji, a wybrany zaledwie przez 80 wychodźców. Uważano, iż komitet ten nie może odczuwać potrzeb zakładów, ani rościć sobie

[1]) «Listy M. M-go i brata jego Kamila», str. 78.

pretensji do reprezentowania całej emigracji. Pomiędzy zakładami w Besançon i Avignon a komitetem Lelewela zaczęły się porozumienia, a raczej nieporozumienia, gdyż niebawem ujawniła się rozbieżność poglądów i zakłady wypowiedziały walkę Lelewelowi. W tym nowym okresie walki niepoślednią rolę odegrał Kamil Mochnacki. Natychmiast po przyjeździe do Avignon istniejąca już rada powołała go do swego grona w charakterze członka honorowego, a gdy postanowiono wysłać delegatów do Paryża, którzyby porozumieli się z Komitetem Narodowym, wybór padł na Karola Sztolcmana i Kamila Mochnackiego. Obaj delegaci, otrzymawszy pozwolenie na przyjazd do stolicy, już w drugiej połowie marca 1832 r. udali się w drogę. Przybył niebawem do Paryża i delegat zakładu w Besançon, major Aleksandrowicz. Zaczęły się pertraktacje pomiędzy Komitetem Narodowym Polskim a zakładami, ale delegaci dwu zakładów nie tylko nie mogli porozumieć się z Lelewelem, ale nie doszli do jednego zdania sami z sobą.

Kilka miesięcy trwały te niesnaski, a wkroczyły w najburzliwszą fazę z chwilą, gdy do Paryża zawitał generał Dwernicki, zwycięzca z pod Stoczka, człowiek, słynący ze swoich przekonań demokratycznych. Na niego zwróciły się teraz oczy niemal całego wychodźtwa, jego bowiem przeznaczano po zakładach na naczelnika organizacji, która miała skupić emigrację i nadać jej działaniom jednolity charakter. Ze swojej strony Dwernicki wyraził chęć poświęcenia swych sił na usługi tułaczów. Popularność Dwernickiego dawała niejako rękojmię pomyślnego załatwienia

sprawy. Gdy generał zjawił się w Paryżu, powitano go tam jako bohatera. Wydano na jego cześć wspaniałą ucztę, na której między in. byli obecni Mickiewicz i Słowacki. Wygłoszono piękne toasty, przemawiał wierszem młody oficer Kajsiewicz, improwizował na ogólne żądanie Mickiewicz, przemawiali inni i odpowiadał na te mowy wzruszony generał. Sława Dwernickiego, mimo że on pierwszy z generałów polskich złożył broń w obce ręce, była jeszcze nienaruszona, jaśniała pełnią swojego blasku. I mogło się zdawać, że on rzeczywiście potrafi dokonać dzieła zjednoczenia i uorganizować niesforną, trawioną ciągłemi rozterkami rzeszę tułaczą...

Ale niebawem złudzenie pierzchło.

Lelewel proponował zakładom, aby wybrały do Komitetu Narodowego swoich pełnomocników, zakłady zaś chciały, aby i Polacy, przebywający w Paryżu, uorganizowali się na wzór zakładów i wybrali zpośród siebie r a d ę, któraby porozumiała się z innemi radami. Nie był to zamach na Lelewela, gdyż jego nazwisko figurowało na wszystkich listach, które rozpowszechniano zawczasu śród emigracji, a które wymieniały członków nowego komitetu. Myśl zakładów była logiczna i słuszna, lecz Lelewel trwał w uporze i nie chciał od swego odstąpić.

Wówczas wystąpił przeciw Lelewelowi Maurycy Mochnacki, a wystąpił niezwykle ostro, z całą bezwzględnością, jaka zwykle go cechowała, gdy rozpoczynał walkę.

* * *

Potrzebując materjałów do swojej historji powstania, Mochnacki w kwietniu 1832 r. powrócił do Paryża i zabrał się gorąco do pracy. Nie mógł jednak pracować swobodnie. Nachodzono go ciągle, a od czasu do czasu obijały się o jego uszy plotki i potwarze, które nieustannie rozpowszechniano o nim. W ciągu dwu lat ostatnich przyzwyczaił się, że obrzucano go błotem, ale odwaga, którą wykazał w walce z niedołężnymi ludźmi, za co go w swoim czasie chciano ukamienować, a co dopiero teraz zaczynało budzić podziw i zachwyt dla jego przenikliwości, poświęcenie, męstwo i zaszczytne rany, odniesione w bitwach, nadawały mu we własnych oczach prawo przynajmniej do pewnej względności w ocenie strasznego błędu, który ongi popełnił. Ale jego przeciwnicy byli bezwzględni i gdziekolwiek się pokazał, tam szły w ślad za nim oszczerstwa. Z tych oszczerstw najboleśniej dotknęło Mochnackiego dzieło referendarza stanu Hubego, który ongi przewodniczył komisji w rozpoznawaniu aktów karmelickich, a który teraz w jednej ze swych książek [1]) pozwolił sobie na domysł, że prześladowania w klasztorze karmelitów mogły być pozorne i wynikać z planu, ukartowanego z góry. Hube, nie wymieniając zresztą nazwiska Mochnackiego, wezwał go, aby się wytłumaczył publicznie, gdyż inaczej imię jego poda do wiadomości publicznej. To podejrzenie pozwalało przypuszczać, że Mochnacki nie tylko był, ale jest nadal w kontakcie z tajną policją rosyjską. Książka Hubego ugodziła w Mochnackiego, jak strzała skrytobójcza. Dusza jego zapłonęła oburzeniem, na ustach zawisł grom. Gdy się przekonał,

---

[1]) Russisches Schreckens und Verfolgungs—System.

że to jego zarzut ten dotyczy, porwał pióro i odpowiedział Hubemu przepyszną improwizacją. W mocnych a przedziwnie wzruszających słowach odmalował życie pustelników politycznych w klasztorze karmelickim, a potem dał się unieść gniewowi — i choć był oskarżony, przemówił jak sędzia.

Wskazując swe rany i blizny, i krzyż polski, zdobiący mu piersi, i hasła, które pierwszy rzucił, a które teraz dopiero, po upadku powstania uważano za zbawcze, i zasługi, położone w spiskach, pytał Hubego i jego kolegów z komisji, gdzież są te dzieła i te czyny, których oni dokonali, a któreby dały im mandat do sądzenia więźnia z klasztoru karmelitów.

Niewątpliwie były to pytania „niestosowne", ale gniew zawsze jest niestosowny, ale uniesienie zawsze rozsadza więzy taktu. I niewątpliwie w odpowiedzi swojej Hubemu niejedno Mochnacki przesadził, niejedno podał nieściśle.

Zarzucano mu później, że zamiast uderzyć się w piersi i całemu światu obwieścić swą winę, on mówił o swoim młodym wieku, o męczarniach, przeżytych w celi karmelickiej, o okolicznościach, mających złagodzić jego krok występny. To jednak pewna, że winę swoją czuł i wyznał ją w rozmowie z matką i sam wobec siebie był sędzią. Słowo „hańba", które w swoim czasie zerwało się z ust młodzieńca, świadczyło, że więzień karmelicki był jako sędzia surowy, bezwzględny. Miałże w dziesięć lat później napiętnować się publicznie i sam zarzucić na swą szyję powróz, któryby natychmiast pochwycili jego wrogowie? Można-ż było żądać tego od człowieka, który na dowód patrjotyzmu własną głowę stawiał niejednokrotnie na kartę i czuł się jeszcze dość silnym, aby nadal

walczyć i pracować dla swego ideału? Mochnacki nie bronił swego kroku, bo ten krok sam potępiał, lecz bronił siebie, a to ogromna różnica. Mochnacki chciał żyć. Więc gdy żądna skandalu opinja wyrzucała ze swej gardzieli potwarze i oszczerstwa, on występkowi, popełnionemu w dziewiętnastym roku życia, przeciwstawiał swoje poświęcenie, swoje zasługi, swoją krew, przelaną w męskim wieku na polach bitew w obronie ojczyzny. Taka taktyka z samej natury rzeczy musiała być jednostronną, ale tę jednostronność łatwiej wytłumaczyć, niż zaciekłość tych, co mając jawne dowody, kim był Mochnacki, mścili się i grali rolę dobrowolnych prokuratorów, i hojną garścią rzucali ziarna podejrzliwości na grunt niesłychanie podatny. Wydawały bowiem te ziarna owoc dojrzały i podejrzenie wschodziło jako pewność. Szarpano Mochnackiego w kraju, szarpano i teraz na emigracji i najohydniejszemi wymysłami chciano zamknąć mu usta. Nieustanne paszkwile, dzieło Spaziera, artykuły, drukowane w gazetach niemieckich, rozgoryczały go coraz bardziej, a książka Hubego przepełniła czarę goryczy. Zarzut, którym weń Hube ugodził, pozostał w sercu, jak cierń. Smutek zalał duszę Mochnackiego, w sercu jego zawziętość wzrosła, ludzie mu obrzydli. Sam sądzony surowo, niemal z równą surowością zaczyna sądzić swoje otoczenie, staje się coraz bezwzględniejszym i twardszym w stosunku do innych. „Z przewódców, z naczelników między nimi (demokratami),— czytamy w pamiętniku Domejki,—najzdolniejszy może i najzacniejszy był Mochnacki... Mówił i pisał z największą łatwością i ogniem; tylko znać było, że oddychał jakąś niepohamowaną nienawiścią do wielu. Miał piersiową chorobę. Stan jego zdrowia

może się przyczyniał w nim do owej niepolskiej surowości i ostrego charakteru, z jaką pospolicie traktował swoich towarzyszy"... [1]).

Ten ostry charakter ujawnił się już w walce z Lelewelem.

Stosunek Mochnackiego do Lelewela miał do tej pory cechy wzajemnej życzliwości. Uczeń żywił wdzięczność dla mistrza, mistrz podziwiał niezwykle utalentowanego ucznia i nieraz chełpił się jego mądrością. W czasie powstania rozbieżność poglądów rozluźniła przyjacielskie więzy, ale wszczęta na emigracji walka z kaliszanami zacieśniła je znowu. Później intrygi Gurowskiego popsuły dobry stosunek, a gdy upór Lelewela w stosunku do zakładów natrafił na upór Mochnackiego, harmonja ostatecznie pękła,— i od tej pory dwaj przyjaciele walczą z sobą otwarcie, oceniają się szczerze i nie znają ustępstw wzajemnych. Uprzedzenie zajęło miejsce dawnej życzliwości.

A to uprzedzenie zaznaczyło się już wrogo na zebraniu, które odbyło się w Paryżu dnia 1-go września 1832 r.

Zebranie to zwołane było przez Komitet Narodowy w celu unormowania stosunków z zakładami.

Referował Aleksander Jełowicki. Poinformował on zebranych, że Lelewel otrzymał liczne pisma z zakładów, wzywające „ogół paryski do zajęcia się ze swojej strony wyborami nowego komitetu... w celu ostatecznego postanowienia jednej ogólnej reprezentacji tułaczów"... Następnie przedstawił projekt nowej ustawy, którą opracowała powołana przez Komitet Narodowy komisja. W ten sposób życzenie zakładów nie

---

[1]) «Pamiętniki Ignacego Domejki», str. 115.

było wypełnione ściśle: zakładom chodziło nie o nową ustawę, którąby przedłużała żywot istniejącego komitetu, lecz o nowy komitet, wybrany nie przez „ogół paryski", lecz przez całą emigrację. Żądanie motywowane było tem, że skoro ma powstać organizacja, reprezentująca ogół wychodźców, to w tworzeniu jej wszyscy wychodźcy powinni brać udział. Lecz Lelewel nie widział potrzeby tworzenia nowego komitetu, a mając za sobą liczne grono popleczników, trwał w uporze i sądził, że nowym projektem zadowoli opozycję. Stało się inaczej. Zaledwie skończono czytać projekt komisji, gdy podniósł się Mochnacki i podrażniony uporem, wygłosił namiętną mowę, nie szczędząc Lelewela, ani jego komitetu. Mowa była ostra, brutalna. Wychodząc z założenia, że wychodźcy, zgromadzeni w Paryżu, powinni się uorganizować na wzór zakładów prowincjonalnych, żądał, aby przedewszystkiem ten warunek był wypełniony. „Zróbmy się więc,— mówił Mochnacki, — naprzód ciałem... Inaczej nie możemy żadną miarą przystępować do roztrząsania nadsyłanych projektów, bo to jest nieprawne. Zakłady prosiły nas o informacje i zdanie, a my im narzucamy projekta, przyniesione przez komisję, oparte na nieprawdzie i chcące uwikłać sąd zgromadzenia w nieprawdę. Pierwej więc przystąpić nam należy do wybrania magistratury, odpowiadającej radom po zakładach"... [1]).

Mowa ta wywołała istną burzę. Zarzuty, wypowiedziane w formie szorstkiej, kategorycznej, dotknęły stronników Lelewela. Kilkunastu mówców zapisało się natychmiast do głosu. Przemawiał Lelewel, Jeło-

[1]) «Protokół zebrania Polaków w Paryżu». Oryg. w bibl. w Rapp.

wicki, odpowiadał Mochnackiemu w imieniu komisji Worcell, wreszcie Płużański żądał, aby zgromadzenie oświadczyło, że „zarzuty przeciw komisji o fałsz i nieprawdę za potwarcze uznaje" [1]). Mochnacki z tą samą cierpkością odpierał pociski swoich przeciwników, ale mowie jego towarzyszył pomruk niezadowolenia, a gdy oświadczył raz jeszcze, że „ogół" paryski powinien się ukonstytuować na wzór zakładu, powstała taka wrzawa, że nie mógł skończyć swego przemówienia.

Ale Mochnacki nie zrażał się przeciwnościami. W kilka dni po owem burzliwem zebraniu, bo już 6 września ukazała się odezwa, wzywająca mieszkających w Paryżu Polaków do stawienia się na zebranie w hotelu Vauban. Odezwa podpisana była przez kilkudziesięciu oponentów z generałem Umińskim na czele" [2]). Podpisani wypowiadali myśl, której na ogólnem zebraniu bronił najzapamiętalej Mochnacki. „Jedynym sposobem porządnego i zgodnego załatwienia tej ważnej sprawy, — głosiła odezwa, — jest przedewszystkiem wyznaczenie z naszego grona pełnomocników, mających składać tymczasową miejscową radę paryską, którzyby w imieniu całego ogółu paryskiego zażądali urzędowych informacyj od zakładów, te informacje nam zakomunikowali, w imieniu naszem porozumiewali się z zakładami i stosownie do instrukcji, którą im przepiszemy, interesami ogółu paryskiego zajmowali się"... [3]).

[1]) Tam-że.

[2]) Odezwę między inn. podpisali: Anastazy Dunin, Bogdan Jański, Aleksandrowicz, Kunatt, Podczaszyński, Bernatowicz, Mieroszewski, Marcinkowski, Kamil Mochnacki, Maurycy Mochnacki i wielu innych.

[3]) Rękopis w bibl. w Rapperswilu.

Zebranie wbrew kontragitacji doszło do skutku i żądanie Mochnackiego wcieliło się w czyn: zakład paryski został zorganizowany.

Teraz obok „Taranu", jak nazywano zgromadzenia zwolenników Lelewela, istniał „Woban" jak przezwano zebrania, w których uczestniczyli przeciwnicy Komitetu Narodowego. Wrzawa śród wychodźców wzrosła. ale zakłady triumfowały — i oto w październiku 1832 r. powstała nowa organizacja: Komitet Narodowy Emigracji Polskiej pod prezydencją Dwernickiego. W ten sposób istniały współrzędnie dwa komitety, a zarówno jeden jak drugi zrodził się na gruncie niezadowolenia, które w obu wypadkach najsilniej reprezentował Maurycy Mochnacki. On też był główną sprężyną, która te organizacje powołała do życia, on był duszą opozycji, która zmiażdżyła komitet Niemojowskiego i poderwała autorytet komitetu Lelewela.

Niedługi był żywot tego ostatniego komitetu. Z powodu odezwy do Rosjan, wydanej w grudniu 1832 r. Thiers, ulegając żądaniu ambasadora rosyjskiego, wezwał do siebie Lelewela i towarzyszów, którzy podpisali odezwę i rozkazał im Paryż opuścić. W ten sposób pozbawiony już powagi Komitet Narodowy Polski przestał istnieć, a tytularna władza nad emigracją przeszła w ręce Komitetu Narodowego Emigracji Polskiej pod prezydencją Dwernickiego.

W wyborach do nowego komitetu Mochnacki znowu został pominięty.

A Dwernicki nie ziścił nadziei, nikt nie mógł zresztą ich ziścić. Podzielona na obozy emigracja nie dała się złączyć w jedno ciało, spojone węzłem organizacyjnym. Jej życie pełne trosk i zawodów, popłynęło

dalej burzliwą falą. Nienormalne warunki, w jakich zmuszony był żyć wychodźca polski, pobudzały jego drażliwość. Nieraz jakiś drobiazg, nie zasługujący na uwagę, stawał się przyczyną głośnego skandalu, czynił wrzawę, której echa z szumem wylatywały z Paryża i nową orgję kłótni wywoływały w zakładach. Zaczęła się wielka walka o małe rzeczy. A podczas tej walki wydostawały się z szarpanych rozterką dusz, niby z tajemniczego wnętrza, dzikie instynkty, ukazywała się prywata, podnosiła głos zawiść, panoszył się interes osobisty. Plotki i potwarze latały po Paryżu i po zakładach, jak zatrute strzały, godziły jednakowo w ludzi uczciwych i szubrawców, w winnych i niewinnych, w kreatury bez czci i sumienia, jak w jednostki szlachetne, pełne najlepszych chęci i zamiarów.

A jednak w tem piekle odbywała się ważna i doniosła praca ideowa, kształtowały się nowe poglądy na przyszłość wychodźców i przyszłość Polski, na zadania ludzkości i narodów. Początkowo było to błądzenie poomacku, szukanie steru śród nocy nieustannych zawodów, zczasem jednak przekonania zaczęły się krystalizować, urabiać, obejmować horyzonty szersze i urastać do znaczenia nowych światopoglądów.

I w tej wielkiej pracy Maurycy Mochnacki odegrał niepoślednią rolę. Usunął się on na pewien czas od życia emigracyjnego, przestał zajmować się drobiazgami, które wytrącały tułaczów z równowagi, zerwał z istniejącemi obozami i przez czas jakiś ze wszystkimi usiłował żyć w zgodzie. Pogodził się nawet z Gurowskim, ale w pracy organizacyjnej nie chciał brać więcej udziału. Pisał historję powstania, zbierał do niej materjały i szukał ciszy. Ale nie trwało to długo.

W przerwie pomiędzy jednym a drugim rozdziałem swojej historji, Mochnacki zaczął pisywać artykuły. I znowu zwrócił na siebie uwagę, obudził złą wolę i zawiść, musiał w dalszym ciągu odpierać obelgi, jakiemi weń miotano. Znakomity pisarz tylko za cenę bezczynności mógł uzyskać spokój. Tymczasem słowo jego migotało niezwykłym blaskiem i w mroku, otaczającym tułaczów, płonęło jak pochodnia, wskazująca drogę błądzącym.

To wystarczało, aby mieć wszystkich przeciw sobie...

* *
*

Wiara polityczna emigracji zrodziła się pod wpływem dwóch czynników. Jednym z nich była jawna niechęć, okazywana Polakom przez wszystkie gabinety europejskie, drugim — sympatja i współczucie ludów. Przejście przez Niemcy, powitanie, jakiego doznali wychodźcy polscy we Francji, hymny, wyśpiewywane na cześć powstańców przez długi szereg poetów niemieckich, jak August von Platen, Ortlepp, Buchner, Reichlin, Mosen, Uhland, Lenau, Maltitz i wielu innych, płomienne głosy uznania rewolucjonistów francuskich, natchnione pisma księdza Lamennais, porywające mowy Montalemberta, dziesiątki artykułów, ukazujących się w pismach całego cywilizowanego świata, a tchnących gorącą sympatją dla sprawy polskiej, słowem, powszechny głos ludów, wieszczący, że sprawa polska jest sprawą wolności powszechnej, nie mógł nie wywrzeć wrażenia i minąć bez śladu.

Ten głos zrodził wiarę w rewolucję europejską, natchnął ufnością zbolałe serca tułaczów i napełnił ich przekonaniem, że wygnaniec polski ma wielkie

do spełnienia dzieło, że jest sumieniem uciśnionej wolności, krwawym wyrzutem dla rządów i symbolem strasznej przyszłości, czekającej ludy, jeśli reakcja europejska nadal srożyć się będzie. Z tego przekonania miał później czerpać swą moc mesjanizm polski, ochrzczony zczasem mianem obłędu, a będący tylko wynikiem atmosfery, otaczającej tułacza, wyrazem duchowej strony jego wiary głębokiej i silnej. Ta wiara miała swoje realne podłoże, wypływała bowiem ze zjawisk, które jaskrawo rzucały się w oczy. Nic dziwnego, że równie jaskrawo przejawiła się w dziesiątkach ówczesnych publikacyj. „Sprawa polska, — pisał Montalembert, — zrosła się ze sprawą ludzkości, jest więc nieśmiertelną, jak ludzkość nie może nawet omdleć i na chwilę ostygnąć w opinji europejskiej"... [1]). Takiemi słowami witali wychodźców najwybitniejsi przedstawiciele umysłowości europejskiej, takie słowa wyrywały się z ust tłumów na widok czamary lub munduru polskiego, takie słowa ze wszystkich stron świata dochodziły uszu tułacza. I nie przebrzmiewały bez echa. „W wędrówce naszej, — powiada Wiktor Heltman, — obce ludy nauczyły nas dopiero, jak wielki i ogólny charakter miała walka nasza"... [2]). „Powszechnemu ruchowi, jaki się w Europie objawiał, Polacy obcy być nie mogli, — upewnia inny z tułaczów. — W przejeździe przez Niemcy, w przyjęciu, jakiegośmy tam i we Francji doznali, zaszczepiło się niczem nie mogące się zatrzeć braterstwo. Liczyliśmy na ludy, — ludy liczyły na Polskę;

---

[1]) «Pielgrzym Polski». Paryż, 1833 r. Podług tłumaczenia w 11 półarkuszu.

[2]) «Demokracja polska na emigracji». Lipsk 1866, str. 56.

była zupełna wzajemność"[1]). W miarę dłuższego pobytu na tułactwie, w miarę nowych gwałtów, jakich dopuszczały się wszystkie rządy, rosła ufność do ludów i wiara w ich pomoc dźwięczała coraz silniej. „Francuzi! klęska nasza jest waszą klęską, jest klęską ludów, — głosił adres do izby poselskiej we Francji. — Lud polski był ludem, który się dla wolności Europy wydał cały... Cała Francja jest sercem Polską: od wysłużonego weterana do uczącego się dziecka; tak jest, cała Francja jest Polską!"...[2]). A Komitet Lelewela w odezwie swej z dnia 31 marca 1832 r. w te słowa przemówił do tułaczów: „Polska potężna... odbudowana na zasadach przygotowującego się w Europie nowego porządku rzeczy stała się hasłem i duszą tego świętego ludów przymierza... Obudzone w ludach dla sprawy naszej uczucia są najmocniejszą przyszłości naszej rękojmią"... [3]). Słynny akt Towarzystwa Demokratycznego z 17 marca 1832 r. głosił: „Przyszłość Polski zależy od przyszłości innych europejskich ludów... Ich to jest powinnością podnieść ją i zapewnić jej istnienie"...

Tę wiarę, ożywiającą wychodźców, najsilniej odzwierciedlił Mickiewicz. Cóż dziwnego, że jego K s i ę g i N a r o d u i P i e l g r z y m s t w a P o l s k i e g o przyjęto, jak objawienie prorocze, cóż dziwnego, że ksiądz Lamennais nazwał dzieło wieszcza polskiego „księgą całej ludzkości", że księgę tę przetłumaczono na obce języki, że szła w świat, jak łuna, zwiastująca wolność, jak odblask serc, spragnionych wiosny, że budziła

---

1) «Noworocznik Demokratyczny». Paryż, 1843, str. 20.

2) «Pielgrzym Polski». Broszura Janicki z d. 20 grudnia 1832 r.

3) «Całoroczne trudy Kom. Nar. Polsk.», str. 4.

wszędzie zachwyt i serdeczne wzruszenie. Struna, którą poruszył Mickiewicz, nie tylko najsilniej wyrażała pragnienia i tęsknotę tułaczów, ale zarazem odpowiadała wyobrażeniom, jakie w owej chwili wytworzyły sobie ludy.

Ale obok wiary w pomoc ludów istniała jeszcze wiara w gabinety. Mimo wszystkie policzki, które rządy europejskie wymierzyły w czasie powstania dyplomacji polskiej, nadzieja w tychże pokładana rządach, niezupełnie i nie ze wszystkich umysłów dała się wytrawić. Tę nadzieję żywił Czartoryski i grupa dygnitarzy, która zogniskowała się przy legacji polskiej, a która na Czartoryskiego zwracała swe oczy. Książę był jednym z ostatnich dostojników, którzy kraj opuścili i jednym z pierwszych, którzy rozpoczęli niewdzięczną akcję dyplomatyczną. Szeroko ustosunkowany, poważany w sferach dyplomacji europejskiej, przyjechał w końcu 1830 roku do Londynu i tu na własną rękę zaczął agitować na rzecz sprawy polskiej. Porozumiewał się z ministrami, konferował z Talleyrandem, jednym z największych cyników politycznych XIX stulecia, nasłuchał się czczych słów i frazesów, jakich nie szczędzili zręczni dyplomaci, nawiązał stosunki w sferach parlamentarnych, zjednał dla sprawy polskiej znakomitego mówcę Fergusona i wspólnie z Niemcewiczem doprowadził do interpelacji w parlamencie angielskim. Praca Czartoryskiego nie dała pozytywnych wyników, ale nie odstręczyła go od dalszych pertraktacyj. Prowadząc je nadal, Czartoryski drżał na myśl, że jego akcję popsuć może wrzaskliwa emigracja, wypowiadająca walkę rządom europejskim, w których wszechmoc wierzył do tego stopnia, że nawet upadek powstania przypisywał gabinetom.

„Po większej części nieporuszona oziębłość dworów wszystkiemu jest winna, — pisał w listopadzie 1831 r. z powodu upadku powstania. — Mnie się wydaje, że więcej już nic teraz czynić nie można, jak tylko korzystać z dobrej woli dworów utrzymania w zupełności Traktatu Wiedeńskiego, utwierdzać się jak najmocniej w tej woli i pouczać, jak się do tego wziąć, aby stąd najlepszy skutek wynikł" [1]).

Ta „dobra wola" dworów narażała Czartoryskiego na nieustanne zawody, ale ten nieszczęśliwy człowiek nie mógł przełamać swej wiary i wyzbyć się tego, w czem widział jedyną deskę zbawienia. W pomoc ludów nie wierzył i nie wyobrażał sobie, w jaki sposób może się ta pomoc objawić, ale bywały chwile, w których i tę pomoc wplatał w koło swoich kombinacyj dyplomatycznych. „Nie bez pomyślnych skutków tu pracujemy, — donosił w jednym ze swych listów do Samuela Różyckiego, — a chociaż teraz nie przewiduję skutecznej pomocy tylko od serdeczności ludów, nie należy jednakże zapominać, że od rządów bezpośrednio zależymy; że od nich długie i mnogie zajść mogą przeszkody, jeśli postępowanie nasze zdawać się im będzie przeciwne i nieroztropne; że nam owszem starać się trzeba skłonniejszymi ich uczynić do wysłuchania głosu ludów, kiedy się powszechniej i silniej za nami upomną... Polski nie będziemy mieli, tylko przez nadzwyczajne wypadki w przyszłości ukryte, przez wojnę, która raz zapalona wyda swoje skutki, od szczęścia oręża zawisłe" [2]). Tak więc od wiary,

---

[1]) List do Legacji Polskiej w Paryżu. Actes Séparés Novembre 1831. Bibl. w Rapp.

[2]) List z d. 2—3 sierpnia. Rks. w bibl. w Rapp.

pokładanej w dobrej woli dworów, Czartoryski przerzucał się chwilami do nadziei, związanej z sympatjami, okazywanemi przez ludy, ale w ostatecznych swych wywodach dochodził do tego samego wniosku, który wysnuła emigracja. I on wierzył w „nadzwyczajne wypadki", w wojnę powszechną, chciał nawet skarbić pomoc ludów i pogodzić ją z pomocą rządów, choć była to gra niebezpieczna, bo w owej chwili, kiedy na całym kontynencie Europy ludy odgrażały się rządom, każdy, kto z rządami trzymał, uważany był za wroga wolności. Tak długo trwać nie mogło. Trzeba było wybrać jedno lub drugie. Czartoryski pozostał wiernym swemu nałogowi i po chwilowem omamieniu zwrócił wszystkie swe wysiłki ku rządom i od nich oczekiwał ratunku.

Stronnictwo Czartoryskiego miało barwę wyraźną. Dążeniem tego stronnictwa było odzyskanie takiego stanu rzeczy, jaki gwarantował Królestwu traktat wiedeński. Ze składu swego było to stronnictwo konserwatywne, przeciwne gwałtownym środkom rewolucyjnym, uznające postęp społeczny jedynie na drodze stopniowego doskonalenia się i powolnej ewolucji. Haseł republikańskich wystrzegało się, jak ognia, a za najwłaściwszą formę rządu uważało monarchję konstytucyjną. Arystokraci, jak nazywano stronników Czartoryskiego, nie posiadali ściślejszej organizacji, ale kadry ich były zwarte, jednolite, w wystąpieniach nazewnątrz solidarne i konsekwentne.

Na przeciwległym krańcu stało Towarzystwo Demokratyczne. Celem politycznym Towarzystwa było odzyskanie Polski w granicach przedrozbiorowych, nadzieją — ludy, przeszkodą — rządy, środkiem, mogącym w kraju podnieść i uzbroić masy — rozległe

reformy społeczne. Za doskonały ustrój państwowy poczytywali demokraci republikę demokratyczną, zasady monarchiczne zwalczali, a wszelkie przywileje potępiali bezwzględnie. Powstanie listopadowe uważali za przegraną batalję, w sprawę nie zwątpili na chwilę. Członkowie Towarzystwa przeniknięci duchem rewolucyjnym, należeli do żywiołów ruchliwych, zapalnych, skorych do wydawania sądu i ferowania wyroków. W gronie ich była garść krzykaczów, znanych z działalności swej w klubach, które w czasie powstania założył w Warszawie Mochnacki, była garść jednostek szlachetnych, sercem i duszą służących idei, było dużo ludzi szczerych i przekonanych. Krępowiecki i Gurowski, dwaj główni założyciele Towarzystwa Demokratycznego, wycofali się wkrótce z organizacji, ale pod sztandarem demokratycznym gromadziło się coraz więcej wychodźców i zczasem Towarzystwo stało się najliczniejszem na obcej ziemi stronnictwem polskiem. Praca nad zdemokratyzowaniem emigracji prowadzona była gorąco, a łączność z ruchem ludowym we Francji często wyrażała się w czynach. Pod wpływem agitacji lub własnych przekonań wielu Polaków, jak Worcell, Zawisza, Leon Zaleski, Sztolcman, Michał Chodźko, Wołłowicz, Henryk Dmóchowski i wielu innych zstępowało w podziemia rewolucyjne Paryża i powiększało sprzysiężenia węglarskie! [1]). Z biegiem lat Towarzystwo Demo-

[1]) Zczasem węglarze polscy utworzyli własny Namiot Narodowy, który bezpośrednio komunikował się z Namiotem Najwyższym, rezydującym w Paryżu, a stojącym na czele ruchu węglarskiego w Europie.

kratyczne obok walki z przywilejami zaczęło głosić hasła równego podziału ziemi, a niektórzy demokraci wypowiadali się nawet jako bezwzględni przeciwnicy wszelkiej własności osobistej.

Pomiędzy stronnictwem Czartoryskiego a Towarzystwem Demokratycznem stał Komitet Narodowy Polski, później Komitet Narodowy Emigracji Polskiej pod prezydencją Dwernickiego. Zwolennicy komitetów nie mieli tak wyraźnie określonych wskazań, jak oba stronnictwa krańcowe, najczęściej jednak przechylali się na stronę demokratów, często wprost przechodzili do ich obozu, często nie ustępowali im w radykalizmie zarówno politycznym, jak społecznym.

Walka, jaką już Komitet Narodowy wypowiedział Bemowi, zacieśniła szeregi demokratyczne. Generał Bem, agitując na rzecz legji polskiej, która zgodnie z życzeniami rządu francuskiego miała być wysłana do Algieru, wzburzył umysły. Bem chciał za jakąbądź cenę uratować wojskowość polską i pierwszy podjął myśl tworzenia legjonów. Działał w dobrej wierze. ale gdy wieść o wyprawie do Algieru obiegła tułaczów, projekt Bema przyjęty był wrogo. I projekt legji polskiej w Portugalji, której utworzeniem gorąco zajmowali się Czartoryski, Plater, Kniaziewicz, również przywitany był głośnym pomrukiem niechęci, a nawet zamachem na Bema. Służba w Algierze, zatargi pomiędzy Don Pedrem a Don Miguelem nie pozwalały spodziewać się żadnych korzyści ani dla wolności europejskiej, ani dla sprawy polskiej, którą z tą wolnością wiązano nieodłącznie. Natomiast nieustanne wrzenie we Francji i zapowia-

dany z dnia na dzień wybuch rewolucji europejskiej hypnotyzował wychodźców, napełniał ich otuchą i przykuwał do ziemi francuskiej. Ogół emigracji również marzył o legjonach, ale chciał je widzieć w środku Europy, jako przednią straż armji wolnościowej. To też projekty dalekich wypraw orężnych natrafiały na zawzięty opór, wywoływały gwałtowne i wrzaskliwe protesty. Projektodawców zaczęto odsądzać od czci i wiary, a w pertraktacjach z gabinetami wietrzono zdradę.

„Gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nią, tam jest walka o ojczyznę i za ojczyznę bić się wszyscy powinni", — kazał natchnionym głosem Mickiewicz. Słowa te nieustannie tłumaczono na język zwykłej prozy politycznej: „Emigracja nasza, z łona narodu rozsypana po świecie,—głosił czerwony Czas, wydawany przez Pomaskiego, — jest propagandą rewolucyjną, moralną i orężną. Gdzie bój wyswobodzenia, tam ona służy ramieniem, gdzie walka zasad, tam ona niesie pomoc" [1]).

Zdania takie głoszono niemal we wszystkich pismach ówczesnych, ale walka zasad w Portugalji, bo i tam walczono pod sztandarem liberalizmu, nie odpowiadała owemu pojęciu rewolucji europejskiej, o jakiej marzyli wychodźcy. Jednakże myśl kadrów zbrojnych nieustannie paliła się w głowach. Gdy marzenie o szybkim powrocie do kraju rozwiała rzeczywistość, tułacz polski wytężał słuch, azali nie słychać gdzie grzmotów rewolucyjnych i trwał w tem naprężeniu, gotów na pierwszy sygnał porwać broń i biec na pole walki.

---

[1]) «Czas». Mont-de-Marsau 1883. Zeszyt trzeci.

Myśl ta już dojrzała, gdy Mochnacki drukował swój pierwszy artykuł na emigracji.

Ruchliwy Podczaszyński wpadł na pomysł wydawania czasopisma polskiego w Paryżu i on to rozpoczął dobę najpiękniejszego rozkwitu publicystyki polskiej. Dnia 1 lipca 1832 r. ukazał się pierwszy zeszyt Pamiętnika Emigracji[1], a w nim artykuł Mochnackiego p. t.: O charakterze emigracji polskiej

Już ten pierwszy artykuł wymownie zaświadczył, że w kwestjach dla emigracji najżywotniejszych znakomity pisarz ma swoje własne poglądy, niezależne od istniejących opinij. Wprawdzie Mochnacki zgodnie z wypowiadanem powszechnie zdaniem pisał, że ludy podzielają sieroctwo Polski, że „Europa zadłużyła się naszemu ludowi", że „skutkiem nieprzewidzianych, może bliskich zdarzeń odzyska zapewne Polska swą udzielność i całość", wprawdzie zgodnie z demokratami mówił o odzyskaniu „Polski Piastów i Jagiellonów", ale obok tego rzucał myśli, które jaskrawo różniły się od wszystkiego, czem żyli wychodźcy.

Poruszając myśl walki i sprawę udziału wychodźców w spodziewanej rewolucji, Mochnacki rzuca ha-

---

[1]) Pamiętnik Emigracji wychodził w formie broszur, z których każda inaczej była zatytułowana, zawsze jednak imieniem jednego z królów polskich. Za przykładem Podczaszyńskiego poszli inni wydawcy i albo każdy zeszyt swego pisma wydawali pod innym tytułem, jak to uczynił np. Januszkiewicz, wydawca Pielgrzyma Polskiego, albo też wydawali pismo w formie książki, wcale nie tytułując oddzielnych zeszytów, jak Pomaski, wydawca Czasu Był to wybieg, który pismo uwalniał od kaucji i podatków stemplowych, jakie wówczas płacić musiały wydawnictwa perjodyczne.

sło wstrzemięźliwości. On, człowiek czynu, pisarz, który całe życie czyn głosił i nawoływał do czynu, on, dla którego słowo miało o tyle wartość, o ile mogło żyć w czynach, on, najgorliwszy rzecznik idei czynu, teraz, w chwili, kiedy wokoło niego idea ta żyła we wszystkich umysłach, staje wpoprzek opinji, przeciwstawia się arystokratom i demokratom, i rzuca im wyzwanie. „Polacy zagranicą, — powiada, — potrzebują dzielnej i pewnej rękojmi, jeśli nieprzewidziane zdarzenia myśl piękną i bohaterską legjonów na nowo wzniecą. Łatwość w tej mierze z naszej strony, powolność na lada wezwanie, ciągnące nas w zgiełk orężny, byłaby nieroztropnością.. Francja powiedziała w dniach swej chwały i powodzenia: „krew Francuzów tylko dla Francji. My powiedzmy samym sobie w dniach naszego owdowienia i smutku: krew nasza tylko dla Polski"... [1]).

Zdanie to, wypowiedziane z całą otwartością, urągało ogółowi emigracji, godziło, jak taran oblężniczy w twierdzę istniejących poglądów, w tę wielką i szlachetną wiarę, która słodką nadzieją kołysała tułaczów i nędzne ich życie czyniła znośnem Mochnacki obrażał uczucia demokracji, a zarazem potępiał arystokratów, co w zgiełk orężny chcieli wciągnąć emigrację. W chwili, kiedy współwygnańcom się wydawało, że z wnętrza ziemi, po której stąpali, wybuchnie lawina rewolucyjna, w chwili, kiedy Bem chciał ratować szczątki wojska polskiego, Mochnacki zalecał „najściślejszą neutralność względem wszelkich politycznych i społecznych wypadków". Niewątpliwie już wtedy przeczuwał zawody i rozczarowania, czekające wy-

---

[1]) «Ziemowit» z d 1 lipca 1832 r.

chodźców i pierwszy przestrzegał przed niebezpieczeństwem. Nie był to jednak egoizm. Mochnacki uważał, że przez samo odzyskanie Polski największa usługa wyświadczona zostanie Europie ludowej. I on marzył o legjonach i o walce, ale pod jednym warunkiem: „Ja sądzę w rzeczy legjonów, — pisał, — że w razie gdyby je utworzono, nie gdzie indziej pierwszy ich wystrzał słyszeć się dać powinien, jak nad brzegami Warty lub Wisły". Emigrację zaś nazwał „wierzchołkiem drzewa, mającego korzenie swoje we wnętrznościach ojczystej ziemi", o czem tułacze, snując długą nić projektów i marzeń, zbyt często zapominali.

Głos Mochnackiego tak dalece różnił się od tego, co głosiła emigracja, że do redakcji Pamiętnika posypały się repliki. Jedną z nich Podczaszyński wydrukował. Był to głos Michała Skibickiego, który, polemizując z Mochnackim, zgodnie z istniejącą opinją twierdził, że „sprawa wolności w jakiejkolwiekbądź krainie jest sprawą Polski" [1]).

Po tym pierwszym występie Mochnacki napisał kilka artykułów, poświęconych polityce europejskiej,

---

[1]) «Bolesław III» z d. 29 września 1832 r. W wyprawach do Algieru i Portugalji najzagorzalsi obrońcy wolności europejskiej nie widzieli żadnej korzyści dla kraju. W tym samym zeszycie, w którym ukazał się artykuł Skibickiego, Podczaszyński pisał: «Sprawa Don Pedra nie zawstydzi żadnego oficera polskiego... Ale legja polska na żołdzie eks-cesarza Brazylji może nie będzie miała sposobności przynieść zaszczytu ojczyźnie, a może nawet marnie przepaść ze szczętem, kiedy gdzie indziej zaszczytniej i chlubniej dla ojczyzny użyćby się dała. Nie zapominajmy, że wkrótce Francja i Belgja mogą być zaczepione przez obce mocarstwa, lub że Niemcy zrobią wreszcie porządną rewolucję. Wtedy to będzie pora i legje tworzyć i nawet pojedyńczo bić się w szeregach wolności».

poczem zwrócił się do ubiegłych wypadków i jął oświetlać powstanie. I znowu wywołał zdumienie. Ludzie, którzy rozpoczęli swe wykształcenie polityczne w klubach warszawskich, politycy, o których powiedzieć można, że wychowali się na rękach Mochnackiego, nie poznawali teraz swojego mistrza. Znakomity pisarz chłostał w swych pracach członków rządu i posłów, i wodzów, ale z równą siłą krytykował Towarzystwo Patrjotyczne i partję rewolucyjną. Wszystkim stronnictwom zarzucał ciemnotę poglądów, brak zdecydowania i siły, wszystkie frakcje w jednakim stopniu obciążał brzemieniem strasznej odpowiedzialności, winił wszystkie partje i wszystkich ludzi, których wypadki powołały na widownię szerszą.

Myślał o anarchji, która spowodowała klęskę, a myślał z goryczą tem większą, że i teraz, pod obcem niebem prześladowała go ta anarchja. Emigracja, jak ongi całe społeczeństwo w kraju, podzieliła się na kilka obozów, ale w każdym z nich aż huczało od sprzecznych zdań i haseł, w każdym z dnia na dzień rosły nieporozumienia i doprowadzały do starć coraz gwałtowniejszych. Opętać te rozhukane żywioły, zamknąć im usta, narzucić swoją wolę mógł tylko jakiś „drugi Kościuszko z głową Kromwela". I znakomity pisarz znowu marzy o polskim Kromwelu, a pod wpływem tych marzeń w poglądach jego zaczyna się stanowcza zmiana.

W koło rozumowań swoich Mochnacki wplata nowe pojęcie: p o j ę c i e n a k a z u, i d ą c e g o z g ó r y.

To pojęcie rozstrzygnęło o kierunku, w którym miał pójść.

Dotychczas znał tylko wolność, wolność bezwzględną, całkowitą, niehamowaną niczem i taką wolność

głosił w ciągu lat kilku. Z chwilą, w której zaczął myśleć o ujarzmianiu, pojęcie tej wolności zacieśniło się samo przez się. Pod naporem nowej myśli zatrząsł się gmach wierzeń dotychczasowych, zaczęły pękać mury ustanowionych pewników, zaczęły się rozluźniać wiązania dawnego światopoglądu. Ta bezwzględna wolność, której był najwymowniejszym rzecznikiem, zawiodła nadzieje. Hasła, które jako herold romantyzmu rzucał, nie doprowadziły do celu. A więc złe były hasła, zła była komenda, która rozpoczęła powstanie i dała sygnał do boju. Społeczeństwo podzieliło się na atomy i padło własną niemocą. Nie w ryku armat i wrzawie bojowej, lecz w szponach anarchji polskiej skonało dzieło listopadowe. „Insurrekcja literacka" doprowadziła do insurrekcji politycznej i „życie stało się poezją", ale omamienie trwało bardzo krótko. Mochnacki zrzuca z siebie szaty romantyczne. „Witaj jutrzenko swobody, za tobą zbawienia słońce!" — wołano w pamiętną noc na ulicach Warszawy i czytano ów napis na gmachu ratusza. Na myśl o tem gorzki uśmiech wypływa na usta Mochnackiego. „Poezja rewolucyjną być nie może", woła teraz z goryczą, rzuca kamieniem potępienia i w klasyków i romantyków, i szydzi z walki, którą prowadziły ze sobą „śmieszne" sekty literackie...

Z zawiedzionych nadziei, ze smutnej doli tułaczej, z klęsk i ruiny, jaką była emigracja, wypływała nowa wiara Mochnackiego. Pozostał rewolucjonistą, chciał walki i czynu, ale pomiędzy twórcą klubu grudniowego a autorem artykułów w Pamiętniku Emigracji ta zachodziła różnica, że pierwszy propagował rewolucję z dołu, drugi wierzył w jej skuteczność, ale pod warunkiem, że będzie z góry prowadzona. Wpraw-

dzie już w swojej broszurze, wydanej w grudniu 1830 r., pisał, że „rewolucja jest umiejętnością", a w arytkule O teroryzmie nierozumu mówił o teroryzmie genjuszu i przewidywał upadek sprawy, jeśli się genjusz taki nie znajdzie, lecz to, co w czasie powstania miało akcenty przemijające, zabrzmiało teraz z całą stanowczością. Sztukę rewolucyjną, całkiem nową umiejętność, usiłuje stworzyć Mochnacki. I on, przeciwnik wszelkich przepisów w sztuce, sam zaczyna ustanawiać przepisy i tworzyć nowe systematy. „Dotąd rewolucja jako umiejętność systematycznie nie postępowała. Lecz musi zmienić swe obyczaje!... Rewolucja ma do przełamania wielkie przeszkody, nie w szeregach nieprzyjacielskich, ale na nieszczęście w samej sobie... Życzyćby potrzeba rewolucjonistom cokolwiek więcej karności, niżeli jej mają w tych czasach. Rozprzężenie do niczego nie prowadzi"... [1]). I wykazuje Mochnacki, na czem polega istota rewolucji, a zapatrzony w absolutyzm, polemizuje z Mickiewiczem, który tłumaczył niezgody emigracji i dowodził w Pielgrzymie Polskim, że one „sprawie publicznej nie grożą". Mickiewicz pisał: „Porównał Lelewel w jednem z dzieł swoich z dziwną trafnością Rzeczpospolitą polską do mrowiska, w którem lubo nie było jednej centralnej władzy jak w pszczelniku, wszakże roje pracowały zawsze zdaje się bezładnie, a w jednym celu, razem odbudowywując dom rozwalony... I pielgrzymstwo nasze bardzo do tego mrowiska podobne; różnych dróg próbują, w różnych kierunkach snują się emigranci, ale zawsze początkiem i końcem ich wędrówek — oj-

---

[1]) Artykuł p. n.: «Królowie i rewolucja».

czyzna"...[1]). Wobec tego celu nie przestrasza Mickiewicza fakt, że emigracja jest bez komendy. Ale Mochnacki ma dość tego rozprzężenia. Więc odpowiada Mickiewiczowi, iż nawet walka rozpoczęła się w złudzeniu, że powstańcy potrafią zwyciężyć „złotą wolnością, per libera vota, tym to właśnie (co Pielgrzym z pism lelewelowskich zachwala) obyczajem mrówek, rozchodzących się samopas z mrowiska na wszystkie strony. Nie, przez Boga żywego! — woła Mochnacki — rewolucja nie będzie ani Honoratką [2]), ani mrowiskiem, ani kongregacją pielgrzymską. Rewolucja będzie systematem; to systema będzie despotyczne, albo upadnie wraz ze sprawą ludów. Kto z królami wojuje, niechaj zna sposoby królewskie!"

Te poglądy wywołały niepokój śród żywiołów rewolucyjnych. Despotyzm i rewolucja były to pojęcia, których nie mogli pogodzić dawni klubiści. Więc sarkali na tę nową ideę i w najlepszym razie uważali ją za kunsztownie stworzoną niedorzeczność. Przeciw wywodom Mochnackiego zaprotestował na łamach Pielgrzyma coraz głośniejszy śród emigracji J. B. Ostrowski, strofował znakomitego pisarza Podczaszyński, chcieli go do upamiętania przyprowadzić inni przyjaciele. Ale była to praca daremna. Mochnacki, wszedłszy na nową drogę, oddalał się coraz bardziej od dawnych sprzymierzeńców i z drogi tej nic go już zawrócić nie mogło. Lecz różnica pomiędzy twórcą klubu a dawnymi klubistami ujawniła się w całej pełni, gdy Mochnacki wypowiedział swój pogląd na reformy społeczne. Dawni klubiści, skupieni w swej przewa-

---

[1]) «Pielgrzym Polski». 1833 r. str. 34.

[2]) Tak nazywano kawiarnię, w której po upadku klubu grudniowego schodzili się rewolucjoniści.

żającej liczbie pod sztandarem Towarzystwa Demokratycznego, w najostrzejszych słowach potępiali szlachtę i jej egoizm uważali za główną przyczynę niepowodzeń polskiego oręża; ten egoizm, twierdzili, stał jak mur obronny na straży stanu posiadania szlacheckiego i udaremnił powołanie do życia mas włościańskich. A Mochnacki pisał, że „element szlachecki jest oddychalnem powietrzem Polski" i zalecał nie demokratyzację społeczną, lecz uszlachcenie włościan. W słynnym artykule Być albo nie być wołał, że Kościuszko zgubił Polskę, bo przez wzgląd na mniejszość nie przemienił w naród większości. „Zginęliśmy dlatego, — głosił w Nowej Polsce, — że rewolucja socjalna nie zmieniła wzmiankowanego niestosunku. Złe było radykalne. Kościuszko podniósł oręż w sprawie insurrekcji, a powinien był walczyć w sprawie rewolucji socjalnej, jak radził Kołłątaj". Tak pisał przed dwoma laty i groził stanowi szlacheckiemu straszną katastrofą, jeżeli życzenia mas nie będą spełnione. Inaczej stawiał tę kwestję w Pamiętniku Emigracji. Nie tylko już nie obwiniał Kościuszki, lecz cofnął się do konstytucji 3 maja i konstytucję tę uważał za kamień węgielny ustroju społecznego przyszłej Polski. Mochnacki chciał obecnie „chłopa uczynić panem (dawniej pisał, że trzeba, aby wszystko „zziemianiało"), to jest szlachcicem, czyli wolnym i niepodległym właścicielem kawałka gruntu" i przekonywał, że „u nas tylko masa nic nikomu gwałtem wydzierać nie potrzebuje, bo się jej wszystko z prawa należy; z prawa, niezdobytego przemocą, ale dobrowolnie, po bratersku uchwalonego przez mniejszość na korzyść większości" [1]).

---

[1]) «O rewolucji społecznej w Polsce». Pisma rozmaite, str. 152—165.

W ten sposób ze środków, mających dźwignąć sprawę polską, zniknęła „rewolucja socjalna", którą Mochnacki propagował w Warszawie, a której pojęcie żyło i rozwijało się dalej w obozie demokratycznym i manifestowało swe życie w kształtach coraz jaskrawszych. Więc choć dawny trybun ludowy i teraz wołał, że „królowie się przeżyli" [1]), choć wskazywał gangrenę, toczącą monarchje współczesne i razem z dawnymi przyjaciółmi oburzał się i potępiał machinacje gabinetów, choć w dawnych artykułach powracał do rewolucyjnych teoryj przepaść pomiędzy nim a dawnymi sprzymierzeńcami nieustannie wzrastała.

Mochnacki na całej linji rozpoczął rewizję dawnych swych poglądów.

Z tych samych powodów, które go uczyniły stronnikiem absolutyzmu, z lekceważeniem mówił obecnie o romantyzmie i filozofji niemieckiej. W artykule O rewolucji w Niemczech z szyderstwem pisał o uwielbianym niegdyś Schellingu, potępił Steffensa, na którego autorytet dawniej się powoływał, wyśmiał Hegla i filozofję przyrody nazwał otchłanią czczości. Nie darował nawet Kantowi. „Kant,—pisał,—był wielkim filozofem, sądzę wszelako, że kancjanizm stał się klęską dla politycznych interesów niemieckiego kraju". Niemiecka filozofja położyła się tamą na drodze rewolucji, oszukała rewolucyjny entuzjazm, spętała ideę czynu. Tymczasem rewolucja jest sprzymierzeńcem Polski, którą zmiotła z widowni idea ocalenia tronów. Rewolucja jest zarazem umiejętnością, nie dającą się pogodzić z systematami filozofji niemieckiej. Przed powstaniem Mochnacki w entuzjazmie, głoszonym przez

---

[1]) «Rewolucja w Niemczech». Pisma rozmaite, str. 236.

ideologów niemieckich. widział twórczy zaczyn rewolucyjny, obecnie po gorzkiem doświadczeniu, po upadku powstania, z tych samych pobudek wojował z filozofją niemiecką. Najwybitniejszy ideolog romantyzmu i najgorliwszy krzewiciel tej filozofji najwyraźniej rozstawał się z dawnemi poglądami. A to przeobrażenie odbywało się pod wpływem nieszczęścia, które serca polskie powlokło żałobą. Straszny cios do tego stopnia wstrząsnął Mochnackim, że w głowie jego rozpalił się bunt przeciw wszystkiemu, co przygotowywało i poprzedzało nieudane dzieło.

W poglądach Mochnackiego widoczny był już zwrot, ale nie było jeszcze wiadomo, w którą stronę ten zwrot go zaprowadzi. Nazywając rewolucję „potęgą" i „udzielnem mocarstwem", dowodził nieustannie, że rewolucja jest umiejętnością. Głównem założeniem tej umiejętności jest „zniszczenie tego wszystkiego w porządku społecznym, politycznym i umysłowym, co się w gruncie zepsuło i wytrawiło, czego nikt nie zdoła ani poprawić, ani dłużej utrzymać bez zaszkodzenia ludzkości, bez ukrócenia naturalnego popędu całego wieku". Brzmiało to bardzo rewolucyjnie. Ale już w następnym artykule (p. t. „Królowie i rewolucja"), mówiąc, że rewolucja jest systematem, wygłosił Mochnacki owo słynne zdanie:

„To systema będzie despotyczne, albo upadnie wraz ze sprawą ludów"...

Hołd dla despotyzmu rewolucyjnego odstraszył dawnych przyjaciół politycznych od swego towarzysza.

Wokoło twórcy nowej idei uczyniła się pustka.

Mochnacki pozostał sam ze swoim systematem.

VIII

DZIEŁO O POWSTANIU.

Z bliższych i dalszych znajomych, kolegów, przyjaciół, jedynie Podczaszyński i brat Kamil zachowali swe serca dla znakomitego pisarza. Kamil Mochnacki przez swoje osobiste stosunki z Lafayettem wyrobił pozwolenie na pobyt w stolicy dla siebie, brata i Podczaszyńskiego. Trzej przyjaciele w początkach 1833 r. znowu znaleźli się w Paryżu. Zamieszkali razem i razem pchali taczkę niedoli, osładzając gorzki los tułaczy wspomnieniami lepszej przeszłości. Pamiętnik Emigracji z powodu nowych pism, które zaczęła wydawać emigracja, dawał coraz mniejsze dochody[1]). Bieda prześladowała przyjaciół, a zdrowie ich pogarszało się niemal codziennie. Wszyscy trzej walczyli z suchotami, najgorzej czuł się najmłodszy z nich Kamil. Maurycy, patrząc na jego cierpienia, przeczuwał rychłą śmierć i zapamiętywał się w bólu. Na widok kaszlącego Kamila, starszy Mochnacki wpadał w głuchą rozpacz i musiał używać nadzwyczajnych wysiłków, aby nie zdra-

[1]) W lipcu 1833 r. Podczaszyński przestał wydawać swe pismo. Współcześnie z Pamiętnikiem w r. 1833 wychodził Pielgrzym Polski, Nowa Polska, Tygodnik Emigracji. Liczba czasopism emigracyjnych od r. 1834 nieustannie wzrastała.

dzić się przed chorym. Twarde serce starszego brata pławiło się w męce strasznego przeczucia i topniało jak wosk, i stawało się niezwykle tkliwem, dobrem i miękkiem. Ale ciepło braterskiego serca nie mogło uratować żartego przez chorobę organizmu. Lekarze polecili Kamilowi udać się na południe. Trzeba było myśleć o zdobyciu środków, któreby wyjazd umożliwiły. A środków nie było. „My jesteśmy prawdziwe dzieci nieszczęścia", skarży się Maurycy w jednym ze swych listów do matki i pogrąża się w smutku coraz głębszym. Lęk o młodszego brata łączy się z trwogą o ojca, któremu ciągle groziło wydanie władzom rosyjskim. Tymczasem brak pieniędzy nie pozwalał ratować Kamila, ani też ojca sprowadzić do Francji. Wówczas Mochnacki powraca znowu do projektu rozpoczęcia w Anglji karjery artystycznej i przez Gurowskiego, z którym się chwilowo pogodził, czyni w Londynie starania, aby plan swój urzeczywistnić. Ale starania idą opornie, a Kamil czuje się coraz gorzej, a z domu coraz trwożliwsze przychodzą wieści. Mochnacki tai długi czas straszną swoją tajemnicę przed rodzicami, ale już w marcu 1833 r. wybucha rozpaczą. Niebezpieczeństwo, grożące Kamilowi,—pisze w liście z d. 6 marca,—„jeszcze nie minęło Obowiązek sumienia i miłość braterska każą mi być szczerym. Niechaj rodzice dzielą moją obawę, bo ja jej znieść sam nie jestem w stanie". Nareszcie dzięki pożyczkom i ostatnim groszom, jakie skołatany Bazyli Mochnacki przysłał swym synom, Maurycy odwozi Kamila do Hyéres w południowej Francji i oddaje go w opiekę lekarzom.

„Ostatnia chwila, — pisał później do rodziców, — kiedym go żegnał, na wieki zostanie w mojem sercu: dniem pierwej w wilję mego odjazdu płakaliśmy oby-

dwa jak dzieci. Kamil stetryczał był przez ciągłą chorobę, zrobił się fanatykiem i dziwakiem. Ale tego dnia, było to w połowie kwietnia, widząc, że ja odjeżdżać muszę do Paryża, aby go w Hyéres utrzymać, zaczął mówić bardzo wiele, gdyż oddawna był milczący i ponury, rozrzewnił się, nareszcie rzucił mi się na ręce i zaklinał na wszystkie obowiązki, żebym się wcale od niego nie oddalał! „Ja już niedługo pożyję, wolę umrzeć przy tobie, Maurycy”. To mi powiedział, ale ta scena między nami dwoma braćmi jest nie do opisania. Kamil płakał, jak małe dziecko i ja się nie mogłem wstrzymać od płaczu. Mój Boże! pomyślałem sobie, skąd jemu ta pewność śmierci, kiedy zwykli suchotnicy myślą, że żyć będą. Żeby mu się nie sprzeciwiać, powiedziałem na to, że dobrze, zostanę... Wtenczas Kamil począł obrachowywać nasze pieniądze”... Okazało się, że obaj bracia posiadają razem 25 franków. „Radziliśmy obydwa całą noc i zapadła decyzja, abym odjechał do Paryża, a za miesiąc powrócił,—pisze dalej Maurycy.—O piątej godzinie zrana 14 kwietnia po raz ostatni uścisnąłem Kamila, twarz jego przy rannym księżycu była tak blada jak upiora. To był już tylko szkielet Kamila, matka, siostra rodzona nie poznałyby go, tak suchoty wycieńczyły tę twarz szlachetną i piękną. A ja, co tyle nieszczęść przeżyłem, tę ostatnią chwilę z Kamilem znieść nie mogę. Obraz takiego już Kamila nad Rodanem, kiedy po raz ostatni był u mnie, wybija mnie ze snu, truje mnie wolną trucizną. Nabawił mnie Kamil defektu, którego nie miałem, drżenia w sercu, i rozwinęły się od żalu początki anewryzmatu”...[1]).

[1]) »Listy M. M-go i brata jego Kamila. Str. 225-226.

Ze strasznym bólem powrócił Maurycy do Paryża i zdenerwowany, chory, z nieustanną myślą o Kamilu, tem jedynem dobru, którego mu „jeszcze los zawistny nie wydarł", jął na prawo i na lewo zaciągać pożyczki. Pożyczał, gdzie się dało, brał wsparcia od Dwernickiego i pułkownika Łagowskiego i posyłał wszystko bratu, ale że pobyt w Hyéres był bardzo kosztowny, więc Kamil nieraz głód cierpiał. Maurycy żył w ciągłym niepokoju. A do tej trwogi o brata przyłączały się oszczerstwa, które na jedną chwilę nie dawały mu spokoju. „Cudzoziemcy są moimi braćmi, swoi katami", pisał, donosząc o tem rodzicom. Znękany potwarzami, strwożony o chorego brata, bez środków, bez przyjaciół, sam rozchorował się i kilka tygodni spędzić musiał w łóżku. Przyszedłszy do siebie, a otrzymawszy pieniądze od rodziny, postanowił jechać do Hyéres i wtedy ugodziła w niego wieść o śmierci Kamila i znowu powaliła z nóg.

Dnia 17 sierpnia 1833 r. Kamil Mochnacki umarł, przeżywszy lat dwadzieścia siedem.

Był to młodzieniec cichy i zamknięty w sobie Zaćmiony blaskiem, który otaczał starszego brata, nie mógł przejawić swoich zdolności i całe życie pozostawał w cieniu, ale jak świadczą jego listy i kilka artykułów, miał nawet niepośledni talent pisarski. Na emigracji nie odegrał wybitniejszej roli, ale posiadał wpływy duże i cieszył się szacunkiem. Zakład w Avignon powołał go, jako członka honorowego do rady, stojącej na czele zakładu, później wysłał go do Paryża jako swego delegata. „W radzie, na polu bitwy, czy w kole przyjaciół, wszędzie piękny jego charakter, znakomite zdolności jednały mu szacunek, poklask i przywiązanie" [1]). Tak

---

[1]) «Pielgrzym Polski». R. 1833, str. 89.

pisał w nekrologu Pielgrzym Polski. I rzeczywiście Kamil Mochnacki, mimo pewną nieprzystępność, umiał jednać sobie ludzi. „Kamil miał tylu przyjaciół, ilu ja przeciwników", mawiał nie bez pewnej słuszności Maurycy. Dzięki też swym wpływom młodszy Mochnacki skutecznie popierał generała Dwernickiego i zjednał dlań zakład awinjoński, najliczniejszy z istniejących we Francji zakładów.

Zgon Kamila zasmucił emigrację: z szeregów jej ubywała siła młoda, dzielna, obiecująca. Do żalu nad człowiekiem przyłączył się żal, jaki zawsze budzi umierająca młodość...

Ale śmierć Kamila dotknęła przedewszystkiem Maurycego. Krwawemi łzami pisał [1]) też wspomnienia o ukochanym bracie. Ten Kamil, to był tylko miły sen naszego życia... Jakże ja byłem dumny, kiedym z nim uchodził z kraju, zdawało mi się przy nim, że nieszczęścia nasze publiczne były lżejsze o połowę. On miał tylu przyjaciół wszędzie, ale po cóż nam to sobie przypominać. Zagranicą jest do czterech tysięcy Polaków, ledwo ośmiu umarło, ale między nimi Kamil znajdować się musiał. Wreszcie nikt, prócz niego nie umarł w takim kwiecie wieku i z taką stratą dla nas i dla ojczyzny!... Pewna dama francuska posiada portret Kamila i jego włosy, będę się starał dostać od niej ten portret i każę go przekopjować. Pojadę sam do Hyéres, gdzie mnie ciągnie jakaś nieznana siła, otworzę grób i utnę włosów dla Mamy! Muszę widzieć miejsce, gdzie został pochowany"... [2]).

---

[1]) «Pielgrzym Polski». R 1833, str. 89.

[2]) Listy M. Mochnackiego, str. 224—230.

Żal po stracie brata nieraz jeszcze jak żałobny dzwon zadźwięczy w listach Mochnackiego. Rosnąca trwoga o najbliższych, co pozostali w kraju, coraz większa bieda, nieustanne plotki i potwarze, oto atmosfera, śród której wlokły się odtąd ciężkie, tułacze dni znakomitego pisarza.

* * *

Śród takich przejść i trosk pisał Mochnacki swe dzieło o powstaniu listopadowem. Upadając na zdrowiu, tracąc siły fizyczne, uciekał myślą do niedawnej przeszłości i elektryzowany wspomnieniem niezapomnianych zdarzeń listopadowych, krzepiony ideą, która mu przyświecała, snuł wytrwale historję przewinień i błędów, historję bohaterstwa i zarazem historję niemocy, co żywy naród przywiodła do grobu

W końcu roku 1833 rozpoczął druk dwóch pierwszych tomów dzieła, do którego, jak już wiadomo, przywiązywał olbrzymią wagę, a któremu dał tytuł: Powstanie Narodu Polskiego w roku 1830 i 1831.

Dzieło rozpoczyna się przedmową, która w słowach jasnych, dobitnych i śmiałych odsłania poglądy autora na najżywotniejszą dla narodu sprawę: sprawę niepodległego bytu, sprawę wolnej Polski. Już na pierwszej stronicy pisze autor, że „zawsze mogliśmy zginąć, lecz także zawsze i odrodzić się w tej walce z zagładą”.

Mochnacki wierzy w moc odrodzeńczą narodu, wierzy w jego przyszłość, wszakże pod warunkiem, że społeczeństwo wysnuje naukę z przeszłości i, podnosząc sztandar walki o wolność, uniknie błędów,

które dotychczasowe wysiłki patrjotów obracały wniwecz. Nigdy naród nasz nie korzystał ze swoich bolesnych a pouczających doświadczeń. Zrywając się do nowej walki, zamykał oczy na przeszłość i popełniał te same błędy polityczne i wojskowe.

„We wszelkiem bohaterskiem przedsięwzięciu naszem byliśmy nakształt kunsztownego ognia, co od jednego razu strzeli w górę jasnym strumieniem — i w dymach gaśnie!"

Żadne z powstań polskich nie zasłużyło sobie na napis: *usque ad finem* — powiada Mochnacki i stawia pytanie, dlaczego najszlachetniejsze porywy kończyły się klęską.

„W kraju naszym, — twierdzi, — powszechne jest zdanie, żeśmy zawsze ulegali przemocy".

Przeciw takiemu zdaniu buntuje się Mochnacki. Widzi w niem całą beznadziejność, czyta w niem wyrok śmierci, wygłaszany przez ludzi małej wiary, a więc ludzi niezdolnych do wielkich czynów i twórczego działania. Czyż w walce z obcą przemocą nie mogliśmy odnieść zwycięstwa?

— „*Nie nie mogliśmy* — odpowiada Mochnacki, — *ale nie umieliśmy*!"

I nie waha się twierdzić:

— „*Naród wszystko może, lecz nie wie wszystkiego*" [1]).

To jest zasadniczy punkt widzenia autora, to jest przewodnia myśl jego, to jest jego filozofja, jego uczucie, jego rozum i wiara.

Pod tym kątem widzenia opisuje dramat, którego sam był uczestnikiem. Pod tym kątem widzenia ocenia opisywane wypadki. A wierząc głęboko w wygło-

---

[1]) Powstanie Narodu Polskiego, str. 2 i 4.

szoną zasadę, czyni z niej naczelną prawdę, w którą nieustannie utkwione ma oczy.

Niezłomna wiara, że powstania listopadowego nie zgubiła przemoc, lecz własna jego nieumiejętność, jest pochodnią, z którą Mochnacki zanurza się w gąszcz niedawnych wydarzeń Pochodnią tą oświetla ludzi i ich czyny. Zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie opisywać dziejów powstania na zimno, wie, że on sam, jeden z aktorów dziejowego dramatu, nie ma jeszcze owej perspektywy, jakiej wymaga pisanie historji, rozumie, że nie posiadając niezbędnych materjałów, pod niejednym względem może uchybić ścisłości historycznej.

A te cenne wyznania, umieszczone w przedmowie, ogromnie ułatwiają ocenę samego dzieła.

Mochnacki zbyt głęboko czuł, aby zdobyć się na objektywizm zbyt głęboko wierzył, aby dla innej wiary znaleźć wyrozumienie. W dziele które napisał, łatwo poznać Mochnackiego z epoki spisków przedpowstaniowych i pierwszych dni powstania. Historyk skojarzył się z działaczem. Obaj podali sobie dłonie i razem odmierzali minioną przestrzeń. Działacz wyprzedzał nieraz historyka, pouczał go i oświecał. A jest to zjawisko bardzo zrozumiałe, jeśli zważyć, że ten działacz przewidywał klęskowy rozwój wypadków, a później utwierdził się tylko w przekonaniu, że drogi, które wskazywał, były trafne, że nie mylił się, gdy zawczasu pragnął utworzyć władzę powstańczą, że miał słuszność, gdy domagał się rozbrojenia uchodzących gwardyj w. księcia, gdy zwalczał dyktatora Chłopickiego, gdy atakował rząd, sejm i poszczególne frakcje sejmowe, gdy wołał z mównicy w salach redutowych, że nie z Konstantym w Warszawie,

lecz z Mikołajem ze zdobytego zbrojną ręką Wilna należy rozpocząć rozmowę!

Rzecz prosta, że po zdobytem doświadczeniu, po stwierdzeniu bolesnemi faktami słuszności swych wskazań, Mochnacki wszechstronniej mógł wniknąć w te szczególniej błędy, przeciw którym zwracał swe płomienne słowa w czasie kształtowania się wypadków, w czasie ścierania się sprzecznych myśli i przeciwnych sobie prądów. Rzecz również naturalna, że jego zasadniczy punkt widzenia, jego wiara, pogłębiona nieszczęsnem zakończeniem powstania, musiała wywrzeć wpływ na charakterystykę ważniejszych wydarzeń i wybitniejszych bohaterów walki narodowej!

Działacz natchnął historyka i wmówił w niego, że zwycięstwo rewolucji było znacznie łatwiejsze, niż to było istotnie. A historyk uwierzył działaczowi. Skutkiem tego w dziele, które obaj stworzyli, rosną przewinienia i błędy, olbrzymieje ciemnota polityczna i niedołęstwo przywódców powstania, natomiast maleją rzeczywiste przeszkody i trudności. W ten sposób powiększa się dysproporcja pomiędzy przyczyną a skutkiem. Czytelnik, nie znający zupełnie stosunku wzajemnego sił, co w 1830 roku stanęły do walki, czytając to dzieło, mógłby odnieść wrażenie, że zwycięstwo nad Rosją było nie tylko możliwe do osiągnięcia, ale było proste i łatwe.

Wszystko sprzyjało przedsięwzięciu narodowemu,— oto dominujący ton, w który potężnie uderza Mochnacki.

A więc zdaniem jego, sprzyjał powstaniu sam teren walki, byle wojska polskie, czemu Moskale przeszkodzić nie mogli, ruszyły zaraz po wybuchu za Niemen i za Bug i rozpoczęły walkę w nieprzebytych

borach i bagnach litewskich, byle rozszerzyły płomienie wojny na niedościgłych przestrzeniach Podola i Ukrainy. Sprzyjał powstaniu dobrze wybrany moment. Sprzyjał stan wewnętrzny Rosji, wyczerpanej niedawną kampanją turecką. Sprzyjała konstelacja polityczna Europy. Sprzyjały sprawie powstania ludy Litwy i Rusi. Sprzyjały wreszcie panujące w Królestwie Kongresowem stosunki, które pozwoliły stworzyć moc moralną, a doprowadziły do stworzenia wystarczającej siły materjalnej, do stworzenia pięknej armji, posiadającej znakomitą jazdę i najdzielniejszą piechotę!...

Cóż wobec tylu przemożnych okoliczności sprzyjających było powodem, że powstanie upadło?

Oczywiście Mochnacki wraca do swoich założeń.

To też, czytając jego dzieło, można odnieść wrażenie, że ziemia i niebo sprzysięgły się, aby zapewnić Polakom zwycięstwo, a jeżeli walka zakończyła się klęską, to dlatego tylko, że sami Polacy czynili ze swej strony wszystko, aby zwycięstwo od siebie odepchnąć, aby zgubić sprawę, która tak łatwa była do wygrania!

Mochnacki stwarza obraz, malowany najpyszniejszemi barwami, obraz, od którego niepodobna oderwać oczu, ale obraz jednostronny. Bo aczkolwiek powstanie listopadowe miało widoki powodzenia, aczkolwiek na smutnych kartach historji tego powstania widnieją najstraszniejsze błędy, aczkolwiek niedołęstwo i lekkomyślność polska niejednokrotnie okropne ciosy zadawały sprawie narodowej, to jednak faktem pozostanie, że małe Królestwo, z natury rzeczy słabo wspomagane przez dwa inne dobrze strzeżone zabory, miało przeciw sobie nietylko najpotężniejsze militarnie w Europie państwo, ale nadto wro-

gie usposobienie Prus, obłudną politykę Austrji, obojętność lub nawet złą wolę wszystkich gabinetów europejskich. I faktem pozostanie, że pokolenie, co wyrosło w epoce Królestwa Kongresowego, nie miało dość doświadczenia i nie czuło się jeszcze na siłach, aby z własnych szeregów wyłonić kierownicze władze, a starsze pokolenie posiadało zbyt wiele smutnego doświadczenia, aby z takim zapałem, jak młodzież rzucać się w wir walki. Zwłaszcza przed oczyma wojowników, którzy wyszli ze szkoły Napoleona, a których udział w wojnie z Rosją najzagorzalsi spiskowcy uważali za niezbędny, snuły się widma, przypominające rozbite szczątki Wielkiej Armji, stawało, jak żywe wspomnienie klęski Napoleona, tego „boga wojny", tego mocarza, co pobił świat cały, a padł w walce z potęgą carów, z tą samą potęgą, którą w pamiętną noc 29 listopada wyzwała do boju bohaterska garstka szalonej młodzieży!...

Mochnacki przecenia siły powstania, natomiast nie docenia ogromu zadań, jakie rewolucja listopadowa miała przed sobą, stając sam na sam do walki z kolosem północy. Myli się, gdy twierdzi, że w interesie Prus leżało zachowanie neutralności, bo temu Prusacy zaprzeczyli swem postępowaniem już w czasie samego powstania. Również błędnie i zbyt kategorycznie dowodzi, że Austrja sprzyjała zaczepnemu działaniu wojsk polskich. Zanadto optymistycznie ocenia chwilę, wybraną przez spiskowców na rozpoczęcie walki, gdyż Rosja, nie prowadząc żadnej innej wojny, wszystkie swe siły mogła rzucić na zduszenie powstania. Zbyt łatwo przenosi nieliczne i niezorganizowane jeszcze do wojny szeregi narodowe za Niemen i za Bug i olśniony wspaniałą perspektywą, zbyt pośpiesznie wysnuwa

z tych wskazań pomyślne a bardzo daleko sięgające wnioski.

W tomie pierwszym swego dzieła przedstawił autor teren wojny, opisał okropności panowania carskiego na Litwie, na Rusi i w Królestwie, obliczył oraz scharakteryzował siły zbrojne Polski i Rosji, zobrazował ówczesną konstelację polityczną Europy, przedstawił dość jednostronnie sytuację, jaką powstanie stwarzało dla Austrji i Prus, dał żywy obraz społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim, zatrzymując się dłużej nad działalnością tajnych sprzysiężeń i spisków, których rolę i wpływy ocenił trafnie, ale siłę faktyczną przesadził. Ten pierwszy tom jest jakby przygotowaniem czytelnika do powikłań i niespodzianek, jakie przyniósł rozwój powstania.

Tom drugi, rozpoczęty przepysznym opisem nocy 29 listopada, odtwarza przebieg wypadków w stolicy aż do utworzenia rządu pięciogłowego.

Tom ten zamyka kilka stronic wywodów, które wywołały niesłychaną wrzawę śród emigracji, a do których wypadnie jeszcze powrócić.

Trzeci tom miał wyjść pod tytułem: *Kampanja*, czwarty p. t.: *Koniec Rewolucji* [1]).

Niestety, dalszego ciągu nie zdążył już Mochnacki napisać, a rzecz wątpliwa, czy zdołałby całość zamknąć w czterech tomach. Praca rosła pod ręką i rozszerzała się ponad zamiary autora [2]). Pierwsze dwa tomy są tedy tylko ułamkiem, a zarazem jakby przygotowaniem i odpowiedniem nastrojeniem czytelnika, przed

---

[1]) List M. M-go do Wł. Zamoyskiego. Szpotański. M. Mochnacki, str. 245.

[2]) List M. M-go do Lelewela z d. 14/II 1832 r. Rks. w Rapp.

którym dopiero dalsze rozdziały miały rozwinąć obraz zmagania się rewolucji polskiej z mściwą mocą potężnego cara.

Ale i te dwa tomy stanowią jedyne w swoim rodzaju dzieło w piśmiennictwie naszem. Wartości tego dzieła nie można obniżać do znaczenia świetnej pracy publicystycznej. Drobny fragment naszej historji, powstanie listopadowe wyolbrzymiało pod piórem Mochnackiego do znaczenia dziejowej epopei, w której, jak w kropli rosy odbija się świat polski i występuje na jaśnię charakter polityczny narodu. A występuje w rysach tak znamiennych, że te same rysy odnajdziemy na rozległych przestrzeniach naszych dziejów przed powstaniem, a odnieść możemy do wydarzeń, które się stały historją już po śmierci autora. Ów zapał polski, co strzela w górę jasnym płomieniem i w dymach gaśnie, owo kunktatorstwo i mazgajstwo polskie w obliczu pożaru, co niszczącemi płomieniami zbliża się do ojczystęgo domu, owe nadzieje, rozterki, wahania kierowników i wodzów rewolucji, owa opinja polska, jak mgła rozwiewna, a jak wiatr zmienna, gotowa każdemu służyć i z każdym stanąć do walki, owe porywy wyłącznie polskiego bohaterstwa, ważącego się na czyny najszaleńsze, wreszcie cnoty, wady i błędy narodu mają w ujęciu Mochnackiego trwałość nieprzemijającą. Krytyka historyczna obaliła wiele faktów, podanych przez autora, ale jego oświetlenie głównych momentów i głównych bohaterów powstania przeszło do historji.

Dzieło Mochnackiego, pisane z nieporównaną plastyką, ma ustępy, w których wskazania autora snują się, jak oślepiające błyskawice, a słowa krytyki biją, jak pioruny. W porywających siłą opisach odżyła mi-

niona przeszłość i zadrgała barwnem a rozlewnem życiem. Zarówno sceny, jak osoby wskrzeszone mistrzowskiem piórem Mochnackiego, uderzają swą plastyką, czarują rozmaitością świateł i cieni, zlewających się zawsze w harmonijną artystycznie całość. I czy to autor pisze o żołnierzu z krwi i kości, zawodowym wojaku Chłopickim, czy charakteryzuje rozterki Lelewela, czy wnika w smętną duszę Czartoryskiego, czy szeroko rozwodzi się o działaniach Lubeckiego, czy w paru wierszach wspomina o Wysockim, o Nabielaku, lub o Józefie Kozłowskim, każda postać ma swoje własne oblicze i własny charakter, ma swój gest i sobie tylko właściwą postawę. Nieporównany mocarz pióra rzuca czasem słów kilka i ujarzmia wyobraźnię. Niektóre opisy stanowczo mogą być zaliczone do literatury pięknej. Napad na Belweder, odwrót podchorążych, Warszawa podczas nocy listopadowej, powrót wojsk do stolicy, obrady klubu, najście deputacji na Radę Administracyjną, wreszcie scena, w której sam autor omal nie postradał życia, to arcydzieła kunsztu pisarskiego. Posiadał Mochnacki przedziwny talent wydobywania z ludzi i rzeczy głębi dramatycznej. umiał wypadki odtwarzać tak, jak je sam przeżywał, a więc w rozmiarach niemal gigantycznych. Ten talent sprawił, że nie tylko obrazy i sceny, które odtwarza, ale nawet niektóre myśli, wypowiedziane przez Mochnackiego, stają przed oczyma, jak posągi i wrażają się w pamięć na zawsze.

Pod względem ścisłości historycznej wieleby można (dziś zwłaszcza, po rozlicznych badaniach i wydaniu wielu źródeł) pracy Mochnackiego zarzucić. Podał on sporo faktów, które w pewnych kołach emigracji uchodziły za pewniki, a które przedstawiają się

zgoła inaczej w świetle badań nowoczesnych. Ale też wartość i siła Powstania nie na skrzętnem, ściśle naukowem zgrupowaniu materjału i naukowej krytyce polega. Obok niezrównanych scen i opisów, działających z mocą sugestji na wyobraźnię, dał Mochnacki w swem dziele mnóstwo trafnych spostrzeżeń, znanych już z jego działalności i jego artykułów, pisanych zarówno w kraju, jak na emigracji. Nadto stworzył całą ideologję, która acz związana tylko z jednym dziejów naszych odłamem. przeżyła opisywaną epokę. Jednostronność, wypływająca z najgłębszych wierzeń autora, jednostronność zawsze przynosząca więcej szkody, niż korzyści, nie przeszkodziła autorowi wypowiedzieć wielkich prawd narodowych, co nie przemijają, a w tym wyjątkowym wypadku, dała rezultat wręcz niespodziewany.

Dzieło Mochnackiego, poczęści skutkiem tej jednostronności, w pokoleniach całych budziło kipienie krwi, nabijało głowy „planami konspiracyj i przygotowań rewolucyjnych"[1]), poruszało do głębi dusze, wywoływało przez obrazy niedołęstwa i lekkomyślności uczucia szalonego gniewu i oburzenia, ale zarazem rodziło chęć czynu, rozpłomieniało zapał, uczyło młodzież kilku pokoleń niezachwianej wiary w świętość sprawy walczącego o swą wolność narodu. Stało się niemal ewangelją „polskiego szaleństwa", przewodnikiem wszystkich, co, nie bacząc na straszliwe położenie Polski, na nieszczęścia i klęski, trapiące naród po każdem nowem, nieudanem przedsięwzięciu, nie dawali za wygraną, nie składali broni i nie wątpili, że wybije godzina wyzwolenia dla zakutej w kajdany

---

[1]) Tak się wyraża znany działacz w powstaniu styczniowem, Wład. Daniłowski. «Notatki do pamiętników». Kraków 1908, str. 13.

ojczyzny, byle tylko sam naród nie zapomniał, że walka o niepodległość jest jego obowiązkiem, byle wkońcu nauczył się walczyć i zwyciężać!

Wiara, narzucana kilku pokoleniom przez Mochnackiego, niezłamana okropnem doświadczeniem i upadkiem dzieła listopadowego, była błyskiem słońca, przedzierającego się poprzez ciężkie chmury, co na wiele dziesiątków lat zasnuły widnokrąg narodowy. To też w ciągu długich lat dzieło jego czytane było z zapartym tchem, z ogniem w sercu, z płomieniem, bijącym z książki na młodzieńcze twarze. Dzieło Mochnackiego stało się dziełem wiary narodowej, dziełem buntu narodowego przeciw panowaniu na ziemiach polskich obcej przemocy. Pod względem rozległości wpływu na kształtowanie się ideologji polskiej po roku 1831-ym, „Powstanie Narodu Polskiego” nie ma sobie równych w piśmiennictwie naszem. A jako piorunowe wezwanie do walki o święte prawa wolności, jako dzieło, krzepiące serca, które usiłowała znieprawić niewola, jako płomienna lekcja patrjotyzmu, staje w jednym szeregu z utworami największych wieszczów, co zdala od ojczyzny, śród „przekleństw i kłamstwa”, śród „potępieńczych swarów” emigracji, pod obcem niebem marzyli o dalekiej Polsce i tworzyli dla niej swoją pieśń nieśmiertelną i pieśnią swą wychowywali nowe pokolenia.

I pozostanie jeszcze dzieło Mochnackiego trwałym pomnikiem kunsztu pisarskiego [1]), wzorem przepysznej

---

[1]) Pod względem stylu Powstanie Narodu Polskiego nie stoi na jednym i tym samym poziomie. Zużytkowując ogłaszane drukiem świadectwa współczesne, Mochnacki nieraz dosłownie, albo prawie dosłownie przepisywał niektóre ustępy. Tak np., pisząc o spisku podchorążych, zużytkował artykuł Aleksandra Łaskiego, drukowany w Pamiętniku Emigracji, bardzo nieznacznie zmieniając niektóre tylko ustępy.

prozy polskiej, prozy, co ma hartowny dźwięk spiżu, przejrzystość i chybkość górskiego strumienia, a powab i prostotę polnych kwiatów polskich.

Uczony niemiecki, Gans, wspominając o dziele Mochnackiego. powiedział:

„Orzeł polski odlatując, upuścił jedno białe pióro. Podniósł je Mochnacki i napisał niem swoją historję” [1]).

Dzięki autorowi **Powstania Narodu Polskiego**, całe pokolenia młodzieży polskiej słyszały daleki łopot białych skrzydeł i, czytając pracę Mochnackiego, uczyły się walczyć i wierzyć, że orzeł powróci.

I na tem polega ideowa i historyczna doniosłość niezwykłego dzieła.

---

[1]) Cytata według Askenazego. Łukasiński. Tom II, str. 209.

IX.

OSTATNIE PRACE MOCHNACKIEGO.

Powstanie Narodu Polskiego, aczkolwiek prasa emigracyjna nie zajęła się szczegółowym rozbiorem dzieła [1]), uczyniło na emigracji wrażenie potężne. Wspominając o tem wrażeniu, Mochnacki pisze do rodziców, że jak żyje nie odebrał tylu honorów „od wielkich i małych, od największych do najmniejszych". Ale wraz z temi honorami dochodziły go odgłosy oburzenia, sypały się na jego głowę zarzuty i obelgi. Zakończenie drugiego tomu, wykazujące niedorzeczność uchwały sejmowej, która ogłosiła Polskę, jako monarchję, ale nie miała odwagi dać Polsce monarchy, rozgniewało dawnych przyjaciół i towarzyszów z pod sztandaru Towarzystwa Patrjotycznego, podniosło przeciw autorowi całą demokrację. Obóz, który kilka lat temu zrzeszył się w kraju za sprawą Mochnackiego, zwracał się obecnie przeciw niemu, jako człowiekowi, który sprzeniewierzył się szczytnym zasadom i opuścił własne szeregi, by sprzymierzyć się z ludźmi, których w czasie rewolucji zwalczał i potę-

[1]) Pierwszą dłuższą nieco ocenę Powstania zamieścił dopiero Ropelewski w Kalendarzu Pielgrzymstwa Polskiego na rok 1840.

piał, a których w pierwszych tygodniach wygnania pragnął usunąć od wszelkiego wpływu.

W gruncie rzeczy Mochnacki nie wyrzekł się swojej naczelnej zasady. Na jedną chwilę nie przestał myśleć o Polsce wolnej i niepodległej i nie przestał głosić, że jedynie walka orężna, walka nieubłagana może wrócić narodowi byt polityczny. Ale zmienił swój pogląd na organizację walki. Przejąwszy się ideą absolutyzmu rewolucyjnego, stworzył nowy systemat. Na czele ruchu chciał teraz widzieć ludzi znanych, wpływowych, a władzę nieograniczoną złożyć w ręce jednostki. Marzył o Kromwellu z głową Kościuszki. Niestety, Kromwella polskiego nie dostrzegał śród emigracji. Więc nie przestawał szukać człowieka, a oczy jego zatrzymywały się na Czartoryskim, który najmniej podobny był do Kromwella, posiadał jednak największe w Europie stosunki i był najmożniejszym śród działaczów emigracyjnych człowiekiem.

Wprawdzie nigdzie Mochnacki jawnie nie wysuwa na pierwszy plan Czartoryskiego, ale się z nim coraz więcej liczy, aby wkońcu dojść do przekonania w rozmowach z pułkownikiem Władysławem Zamoyskim, że na czele idei powstańczej stanąć powinien ks. Czartoryski [1]).

Mochnacki wszedł w stosunki ze stronnikami ks. Adama, których długo i on sam i wszyscy jego towarzysze uważali za wrogów demokracji, a zarazem za głównych sprawców upadku rewolucji. A te stosunki zaczęły się z powodu dzieła o powstaniu. Mochnacki, szukając niezbędnych materjałów, zbliżył się do ludzi

---

[1]) List do Wład. Zamoyskiego z paźdz. 1834 r. St. Szpotański. M. Mochnacki, str. 249.

przeciwnego obozu. Zbliżenie nastąpiło pierwotnie na gruncie uprzejmości towarzyskiej, ale niebawem sięgnęło głębiej. Ks. Adam hołdował taktyce przeciągania na swą stronę ludzi wybitnych, zdolnych, mających talent lub wpływy we wrogim mu obozie. W jednym ze swoich listów dał legacji polskiej w Paryżu instrukcję następującą:

„Starać się poznać z Zaliwskim i ująć go. Chciejcie mu mówić, żem dobrze o nim wspominał, ma kredyt między klubistami i wieluby mógł odciągnąć"... [1]).

A śladem księcia szli jego zwolennicy. Ludwik Plater już w roku 1832 im szturmował do Podczaszyńskiego i w listach do niego z wielkiem uznaniem wyrażał się o Mochnackim. Zapraszany do współpracownictwa w Pamiętniku Emigracji, skwapliwie przychylał się do tej prośby, wypowiadając nadzieję, że ta współpraca zbliży go do osób, „których serce, cnoty i dowcip" czci i uwielbia [2]).

Mochnacki, korzystając z usług ludzi, pełnych wytwornej uprzejmości i wdzięku towarzyskiego, spoglądać na nich zaczął łaskawszemi oczyma.

„Ci ludzie, — pisał do ojca, — zachowali dziś więcej zimnej krwi, taktu, zdrowego rozsądku, i sumienia, jak rewolucjoniści. Oni jedni w całej emigracji nie kłócą się z sobą i nie obmawiają nawzajem. Ja za to zostaję z nimi w dobrej harmonji, bo potrzebuję od nich materjałów, co jednak żadnego wpływu na moje dzieło nie ma, mieć nie będzie, ani może, bo ja piszę bezinteresownie" [3]).

---

[1]) List z d. 11 grudnia 1831 r. Actes Séparés. 1831. Bibl. w Rapp.

[2]) Jan Kucharzewski. M. Mochnacki, str. 359.

[3]) Listy M. M-go, str. 257–8.

Oczywiście niepodobna ustalić, czy było tak istotnie, czy te stosunki żadnego nie wywarły wpływu, gdy Mochnacki charakteryzował ludzi z obozu Czartoryskiego. Pomimo woli i chęci, pomimo świadomości autora, fakt zbliżenia się do przeciwników, z którymi, jak sam przyznaje, pozostawał *w dobrej harmonji*, mógł stępić ostrze miażdżącej krytyki, złagodzić zarzuty. To pewna, że te stosunki z biegiem czasu stawały się coraz bliższe i coraz zażylsze. Kiedy kilku wybitniejszych stronników ks. Adama postanowiło obok Kroniki Emigracji Polskiej wydawać jeszcze jeden organ, Mochnackiemu zaproponowano, by objął redakcję. Miał on propozycję „odrzucić i przyśmiałemi wyrażeniami zadziwić i zgorszyć" [1]) tych, co się do niego zwrócili. Ale po pewnym czasie układy zostały wznowione i nowe pismo pod redakcją Mochnackiego stawało się bliskiem urzeczywistnienia.

Projekty takie nie mogły się ukryć przed oczyma demokracji. Wystarczyło zaś, by rewolucjonista ściągnął na siebie podejrzenie o udział w pracach arystokratów, aby go napiętnowano mianem przeniewiercy i zdrajcy. A właśnie w trakcie układów, dotyczących nowego czasopisma, ukazał się (w lipcu 1834 r.) drugi tom Powstania. Otóż końcowe wywody tego tomu, zgodne zresztą z poglądami, wypowiadanemi swego czasu na szpaltach Pamiętnika Emigracji, połączone zostały z faktem zbliżenia się do kół, skupiających się przy Czartoryskim. Takie zestawienie było powodem, że na głowę autora posypały się istne gromy oburzenia.

---

[1]) Tak pisze Nowa Polska (R 1834, str. 125) J. B. Ostrowski czynił Mochnackiemu w owym czasie najpotworniejsze zarzuty. Dlatego też wiadomość, przemawiająca na korzyść M-go, ma cechy prawdopodobne.

Cóż obudziło grozę demokratów?

Oto Mochnacki, omawiając postanowienie Sejmu, który wypowiedział się za monarchiczno-konstytucyjnym ustrojem Polski, zarzucił Sejmowi niekonsekwencję. „Insurrekcja, — pisał, — przed czasem o kształcie przyszłego bytu narodowego decydować nie powinna i nie ma prawa, bo dziecię jeszcze nienarodzone po imieniu samo siebie nazwać nie może. Nie byliśmy tedy ani monarchją, ani republiką". Jakiż więc był cel ogłaszania przyszłego ustroju Polski? Oświadczenie Sejmu nie miało racji, ale skoro już stało się faktem dokonanym, należało z tego faktu wyciągnąć wszystkie konsekwencje i pójść dalej. Po ogłoszeniu monarchji, dowodził Mochnacki, nie pozostawało nic innego, jak ogłosić monarchję i z powodu uchwał sejmowych wydźwignąć do walki jeszcze jedną siłę: interes dynastyczny. A królem polskim nie mógł zostać cudzoziemiec, trzeba było obrać Polaka, „rzecz zrozumiałą dla ludu" [1]).

Pisząc to, Mochnacki nie wymienił nazwiska Czartoryskiego, ale dla nikogo ze współczesnych nie mogło ulegać wątpliwości, że tylko jeden Czartoryski, cieszący się w kraju niezwykłą popularnością, mógł myśleć o koronie. Charakterystyka Czartoryskiego utwierdzała emigrację w tem przekonaniu. A jednak na korzyść Mochnackiego trzeba powiedzieć, że to, co ongi pisał w *Nowej Polsce*, jako otwarty wróg Czartoryskiego, niewiele się różniło od tego, co napisał w drugim tomie swojego dzieła, kiedy się do osoby księcia przekonał. W artykule, drukowanym w Warszawie, przyznawał Czartoryskiemu „szlachetność ser-

---

[1]) Powstanie Narodu Polskiego. Tom II, str. 383.

ca", „biegłość w rzeczach publicznych", nawet „wielką cnotę polską", zarzucał mu natomiast zbytnią łagodność i brak tej siły, która w razie nieszczęścia na ziemi i pod ziemią szuka środków ratunku. A w dziele swojem pisał: Czartoryski „nie wynalazł w sobie odrazu tej prędkiej determinacji, tej siły do rzucania się obcesowego, do skoków raptownych, jakich insurrekcja koniecznie potrzebuje. Pan przemożny z siebie, do tego w kunszcie dyplomatycznym udoskonalony, nawykły we wszystkiem poczynać sobie dyplomatycznie, to jest delikatnie, ostrożnie i zwolna, nie mógł natychmiast przeobrazić się na rewolucjonistę. Ma on w sobie dużo męskiej woli, która jednak wolą momentu nigdy nie jest" [1]). Zarzucał dalej Czartoryskiemu pewną ociężałość, a przyznawał jasny i głęboki sąd o rzeczach, wykazywał istotne, a więc nadzwyczajne zasługi, jakie oddał książę oświacie polskiej na Litwie i na Rusi. „Niemasz pewnie nikogo z dobrą wiarą, coby dla wysokich cnót i zasług nie miał powinnego respektu; ja przynajmniej, pisał Mochnacki, osobiście przejęty jestem czcią dla tej wspaniałej duszy, tkniętej tylu nieszczęściami, a tak stałej — i chlubię się, że to teraz wyznać mogę, tem bardziej, że przez cały ciąg powstania narodowego byłem przeciwny Czartoryskiemu i nie taiłem tego bynajmniej"... To uwielbienie nie przeszkodziło historykowi czynić zarzutów Czartoryskiemu, jako prezesowi rządu. Tak więc charakterystyka księcia nie była bynajmniej panegirykiem.

Ale dzieło Mochnackiego wyszło w świat w chwili, kiedy Czartoryski był przedmiotem nieustannych napaści.

---

[1]) «Powstanie Narodu Polskiego». Poznań 1863, tom II, str. 378.

Udział Czartoryskiego w projektowanych wyprawach do Algeru i Portugalji, porozumiewanie się w kwestji tych wypraw z rządem francuskim i angielskim bez zaciągnięcia zdania emigracji, stanowczość Bema, który gorąco na rzecz tych wypraw orężnych agitował, nietakt, z jakim Ludwik Plater odezwał się na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego o doradzeniu rządowi francuskiemu wysyłania emigrantów z Francji pod grozą utraty żołdu, wreszcie wyjazd generała Dembińskiego do Egiptu obudził czujność wychodźców i wywołał śród nich odporność, która szybko zmieniała się we wrzaskliwy protest. Pertraktacje dyplomatów polskich z gabinetami coraz głębszą budziły niewiarę, a zachowanie w Królestwie stanu rzeczy, zagwarantowanego traktatem wiedeńskim, uważane było za wyrzeczenie się ideału narodowego i zbrodnicze obniżanie aspiracyj wychodźców. Ponieważ w gronie tych, co chcieli zorganizować wyprawy, najwybitniejszą osobistością był książę Czartoryski, więc przedewszystkiem przeciw niemu zwróciły się krzyki niezadowolonych. Batalję przeciw Czartoryskiemu najgłośniej prowadziła N o w a P o l s k a, organ J. B. Ostrowskiego, wychodzący od lipca 1833 r. Ibuś, dorwawszy się do pióra, dał upust swoim namiętnościom, które objawił już, redagując N o w ą P o l s k ę w Warszawie (czem się na emigracji nieustannie chlubił), a które na emigracji zostały podniesione do niedającej się określić potęgi. N o w a P o l s k a emigracyjna stała się kuźnią, z której leciały w świat najnikczemniejsze potwarze, oszczerstwa, obelgi, a w której panowało kłamstwo, ohyda i nikczemność. Ibuś plwał na prawo i na lewo, a nie było tak potwornej insynuacji, jakiej nie umiałby podsunąć wrogiej sobie osobistości. Jego

tchórzliwa dusza spodlała ze szczętem. Nawet zostawszy szpiegiem, nie przestawał owijać się w szaty niepokalanej czystości obywatelskiej i sądzić żywych i umarłych, bo gdy żywych nie stało, on, jak hiena, zstępował do grobów i stamtąd żer dla siebie wyciągał. On to chciał zczasem uczynić Mickiewicza szpiegiem rosyjskim, on to najczęściej siał trwogę i w sercach rodaków wzniecał podejrzenia. Otóż Ostrowski, występując jako nieprzebłagany wróg arystokracji, rozbujał dzwon trwogi i grzmiał na alarm, wołając nieustannie, aby emigracja miała się na baczności. Już w pierwszym zeszycie swej szmaty wystąpił przeciw Czartoryskiemu i odtąd wysilał cały swój spryt, aby przedstawić księcia jako zbrodniarza, wyzutego ze czci, honoru i sumienia. Niefortunne a zdyskredytowane projekty wypraw algerskich i portugalskich sprzyjały Ibusiowi i akcji, rozpoczętej przez niego, zapewniły powodzenie. Przeciw Czartoryskiemu zaczęły występować coraz gwałtowniej inne pisma, jak Postęp, organ sekcji centralnej Towarzystwa Demokratycznego, redagowany przez Semenenkę, później zaś przez Czyńskiego, Tygodnik Emigracji, który redagowali Choński i Słowaczyński, a który był organem generała Dwernickiego, ukazały się również broszury i ulotne pisemka, a między niemi powszechną uwagę zwróciły rewelacje Podczaszyńskiego, który ogłoszeniem swej korespondencji z księciem Czetwertyńskim zabił moralnie w opinji emigracyjnej kasztelana Platera. Otóż ta nieustanna agitacja, prowadzona ustnie i pisemnie, zrobiła swoje. Dnia 29 lipca 1834 r. ogół Polaków w Poitiers przedstawił całemu wychodźtwu polskiemu oświadczenie następującej treści:

„Wychodźcy polscy, ujrzawszy z zadziwieniem, iż książę Adam Czartoryski poważa się działać w interesach emigracji, na szkodę jej całości i przeznaczenia, i zważywszy, że niewiadomość o uczuciach, jakie obudza w rodakach postępowanie tego człowieka w rewolucji i emigracji, może wprowadzić w błąd najszczerszych przyjaciół sprawy ludu polskiego, mają za obowiązek publicznie ogłosić, iż tenże Adam Czartoryski nie tylko nie posiada ich zaufania, ale uważany jest za nieprzyjaciela polskiej emigracji"... [1]).

Oświadczenie padło na grunt przygotowany: dwa tysiące kilkaset podpisów zebrano niebawem pod tym dokumentem. Do protestujących przyłączył się generał Dwernicki i powagą swojego nazwiska dolał oliwy do ognia. Emigracja była jak podminowana. Wrzenie ogarnęło umysły, gniew wezbrał i oburzenie przeciw arystokracji nie miało granic.

W takim momencie ukazał się drugi tom Powstania Narodu Polskiego.

Mochnacki, donosząc rodzicom o akcji, skierowanej przeciw Czartoryskiemu, tak pisał: „Jedni rzucają klątwę na księcia Czartoryskiego, drudzy się temu opierają, i słusznie, bo kiedy ten człowiek mógł szkodzić sprawie naszej, pozwolono mu wszystko czynić w rewolucji; dzisiaj, kiedy jej już szkodzić nie może, a dopomóc chce i ma potemu wpływy zagranicą, nie widzę, dlaczegoby go miano dość późną i bezskuteczną zemstą od czci i wiary odsądzać. Takie jest moje przekonanie. I ja dzisiaj należę do jego obrońców"... [2]).

---

[1]) «Akt z roku 1834 przeciw Adamowi Czartoryskiemu, wyobrazicielowi systemu arystokracji». Poitiers 1839, str. 14.

[2]) «Listy», str. 264—265.

I rzeczywiście, nietylko w drugim tomie swego dzieła stał się obrońcą Czartoryskiego.

Gdy emigracja zbierała przeciw księciu podpisy, Mochnacki bawił w Auxerres, dokąd był wyjechał dla poratowania zdrowia i nabrania sił. W Auxerres znajdowała się garść wychodźców, żyjących cicho i spokojnie, zdala od swarów i kłótni. Dopiero przyjazd Mochnackiego ożywił wygnańców, zgrupował ich wkoło znakomitego pisarza i uczynił głośnymi. Mochnacki już we wrześniu w dzienniku francuskim Messager wraz z Kniaziewiczem, Niemcewiczem, Dembińskim, Barzykowskim i innymi dostojnikami położył swój podpis na protestacji przeciw aktowi poitierskiemu, ale nie poprzestał na tem. Napisał on list otwarty do generała Dwernickiego i pod listem zebrał garść podpisów śród nowego otoczenia. Ten list, ziejący nienawiścią do „sekty demokratycznej", przypominał Dwernickiemu, że on pierwszy z generałów polskich złożył broń na polskiej ziemi, zarzucał mu, że toleruje potwarz i działa na zgubę emigracji. Zaciekłość Mochnackiego raz jeszcze trysnęła z niepohamowaną siłą. Autor listu zapomniał, że Dwernicki ratował konającego Kamila i nie oszczędził generałowi ani jednej przykrości, jaką mu mógł wyrządzić, co gorsza! nie spostrzegł się, że postępuje niekonsekwentnie, że potępiając nagankę na Czartoryskiego, sam urządza napaść na człowieka, który popełnił wielki błąd w powstaniu, ale mógł się niejedną poszczycić zasługą.

W dotychczasowej walce politycznej Mochnacki nie przebierał w słowach, nie szczędził swym przeciwnikom zarzutów, co jak kamienie padały na głowy. Wprawdzie nie szarpał niczyjego honoru, nie rzucał

błotem, nie zniżał się do oszczerstw i potwarzy, ale rzadko poruszał stronę pobłażania i wyrozumiałości. Najczęściej był bezwzględny. Toż on pierwszy na emigracji rozpoczął walkę, która przemieniła się zczasem w szalejącą nieustannie burzę. Na samym progu życia wygnańczego stanął do boju z Bonawenturą Niemojowskim, ostatnim prezesem rządu narodowego. Nie uszanował wtedy powagi swego przeciwnika, lecz wołając, że „kaliszanie zgubili Polskę w Polsce", pytał szyderczo, czy z tego wynika, ze mają jej szkodzić na obczyźnie. Później nie oszczędzał Lelewela, gdy rozwalał jego komitet i sprzyjał wysiłkom, aby władzę nad emigracją przenieść w ręce Dwernickiego. W owym czasie w listach do rodziny z uznaniem wyrażał się o Dwernickim, a z listów tych widać, że był w bliższych z generałem stosunkach. Zkolei zwrócił się przeciw Dwernickiemu. gdyż nadzieje i plany swoje złączył z imieniem Czartoryskiego. Ale broniąc ks. Adama, nie wykazał nawet owej zręczności, jaką odznaczają się jego dotychczasowe wystąpienia polemiczne.

„Cóż mówią i piszą dzisiaj ci ludzie, którym ty, generale, podałeś rekę? Ludzie, którzyby sobie równem prawem przywłaszczyć chcieli tytuł demokratów, jak gdyby kto chciał sobie tylko wyłącznie przywłaszczyć tytuł uczciwego w towarzystwie człowieka. Oto wszystkie ich mowy i pisma zmierzają do tego: „Trzeba szlachtę w pień wyciąć, majątek jej odjąć i między lud rozdać"...

Tak w chwilach fanatycznego zacietrzewienia mógł wyrażać się ten i ów demokrata, ale tak nie przemawiał ogół demokracji. A chociaż demokraci istotnie ziemię chcieli między lud rozdać, to bynajmniej nie

zamierzali wycinać w pień szlachty. Ale Mochnacki poszedł jeszcze dalej. Sam stojąc pod najokropniejszemi zarzutami, piętnowany przez swych wrogów, jako zdrajca i cenzor moskiewski, wiedział dobrze, jak te zarzuty bolą, jak strasznie jest z taką bronią się mierzyć. A jednak nie zawahał się cisnąć demokratom tej samej niegodziwej obelgi.

— „Czy rozumiesz, generale, — pisał, — że tej polityce kilku mdłych głów, gdzie zaledwie zaświtać poczyna poranek nowszej cywilizacji, czy sądzisz, generale, że tej polityce kilku zepsutych próżniactwem nieuków, *albo najętych przez moskiewskich szalbierzy*, nie udzieliłeś żadnego wsparcia przez twe oświadczenie?..."

Taki pocisk, rzucony przeciwnikom, świadczył, że w Mochnackim brał górę gniew i że gniew ten przekraczał dozwolone w utarczkach polemicznych granice. A dalej, jakby zapominając o swej działalności na emigracji, pisał:

„W dzisiejszych okolicznościach nie na osłabianiu krwawo zarobionej uczciwej sławy, ale owszem, na mocowaniu każdej reputacji, każdego znanego imienia, każdego wpływu zależy dobrze zrozumiany emigracji i narodu interes" [1]).

Jakże daleko odbiegł od owych okrzyków, które rzucał niegdyś w klubie rewolucyjnym w Warszawie:

— „Nie ufajmy imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze!"

Prawda, że wołał tak w kraju, w okolicznościach zgoła odmiennych, ale zwalczając już na tułactwie Niemojowskiego, a później Lelewela, zwracając się wreszcie przeciw Dwernickiemu, sam przeczył sobie,

---

[1]) Listy M. Mochnackiego, str. 365, 367.

albowiem nie każdą reputację i nie każde znane imię starał się umocnić.

Wraz z poglądami zmieniał się sam Mochnacki, acz cel, w który utkwione miał oczy, pozostał jedynym, niezmiennym jego celem! Autor dzieła o powstaniu ani na jedną chwilę nie wyrzekł się myśli o insurrekcji i w liście do Dwernickiego wyraźnie to stanowisko swoje zaznaczył. Ale trawiony ogniem wewnętrznym i niepokojem, który nim miotał, ulegał owej atmosferze „potępieńczych swarów" i przekleństw i tracił panowanie nad sobą i stawał się ostrym, bezwzględnym, niesprawiedliwym, tak jak bezwzględni i niesprawiedliwi byli w stosunku do niego jego przeciwnicy.

Ten list ostatecznie zabił Mochnackiego w oczach demokratów. Nowa Polska odtąd pisze o nim jak o zdrajcy, przedawczyku i parobku arystokracji. Postęp i Tygodnik Emigracji nie szczędzą mu najdotkliwszych zarzutów, odsuwa się od niego Anastazy Dunin, z którym niegdyś żył bliżej, a do którego zbliżył się znowu, piorunuje Nabielak, nawet Podczaszyński czyni mu gorzkie wyrzuty. I jeszcze jedna przykrość spotyka Mochnackiego w tym czasie. Oto jeden z tych, z którymi niegdyś serdeczniejsze łączyły go węzły, człowiek, z którym razem walczył pod Miłosną, Okuniewem i Wawrem, Adam Gurowski, sam zdziera z siebie maskę i z odwagą całej swej bezczelności zamieszcza w gazetach nowe wyznanie wiary, w którem potępia powstanie. emigrację, cały naród polski i oświadcza, że prosił cesarza Mikołaja o amnestję [1]). Ten cynizm i to w czasie, kiedy w Petersburgu zapadał dekret śmierci na wybitniejszych uczestników po-

[1]) Gurowski przechodzi później na usługi Paskiewicza.

wstania (między skazanymi na śmierć przez powieszenie znajdowali się wszyscy głośniejsi klubiści, a między nimi i sam Gurowski), zdumiał wszystkich, przeraził nawet tych, których trudno było czemkolwiek przerazić. Głęboko musiał odczuć postępek Gurowskiego i Mochnacki, bo z renegatem żył w swoim czasie bliżej, niż inni. A do tych wszystkich nieszczęść, które go gnębiły, przyłączyła się jeszcze choroba, która coraz gwałtowniej pożerała organizm.

Mochnacki przeczuwa zgon. Już w jednym z wcześniejszych swych listów, jak gdyby chcąc do nowego ciosu przygotować rodziców, pisze, że sfamiljaryzował się z ideą śmierci.

I oto jakby czując bliskość śmierci, zaczyna być czynnym jakąś gorączkową, chorobliwą czynnością. A więc pisze w dalszym ciągu swoją historję powstania, to znowu zaprzestaje pracy i myśli o piśmie, które ostatecznie podjął się redagować, a które staje się coraz bliższem urzeczywistnienia. Oto już przybory drukarskie i czcionki przyszły do Auxerres. Więc Mochnacki marzy o swojej idei i zasiada do pisania artykułów [1]). Kraj i Emigracja nazywać się miało

[1]) O losie tych artykułów ciekawą wiadomość podaje Tygodnik Emigracji z d. 14 maja 1835 r. Tygodnik pisze: «Mochnacki miał wydawać pismo Kraj i Emigracja, przygotowywał artykuły do swego pisma, skreślił piękny i pełen ognia prospekt, a oprócz tego napisał pięć czy osiem artykułów. Kto nie wie, jaki los spotkał te artykuły po śmierci autora, powiemy mu, że je Kronika (Emigracji) z niejakiemi gdzie niegdzie odmianami umieściła. Ze śmiercią Mochnackiego upadł projekt naszej dyplomacji podniesienia się w opinji narodu przez zrobienie niby powstania w Galicji. Co bowiem pewna, że na wielkim Sanhedrynie w Paryżu, w miesiącu lutym czy marcu 1834 r. roztrząsana była kwestja w duchu austrjackim, czyliby powstanie z umiarkowa-

nowe pismo, a już sam tytuł wskazywał, w jakim kierunku zamierzał pisać Mochnacki i dokąd chciał emigrację prowadzić. To znowu budził się w Mochnackim organizator. Więc odkłada pióro i zaczyna organizować Kosynierów, zawiązek przyszłych zastępów zbrojnych, zawiązek, który miał w czyn wcielić ideę absolutyzmu rewolucyjnego i czynem stwierdzić, że rewolucja jest umiejętnością!...

Tysiączne myśli kłębią się w głowie Mochnackiego, wżerają się w jego mózg, odbierają sen, apetyt, resztki zdrowia i sił. W takim stanie pisze on w końcu października 1834 roku Pismo okólne do rodaków w emigracji, ostatnie swe dzieło, ogłoszone za życia. Jest to w ogólnych zarysach bilans zdobyczy, osiągniętych przez emigrację do ostatniej chwili, kilka śmiałych rzutów w przyszłość, a zarazem ostatni blask zachodzącego słońca. W piśmie swojem przeszedł Mochnacki wzdłuż i wszerz ogromną przestrzeń cierpień i zawodów, doznanych w ciągu trzech lat tułactwa, ogarnął bystrym rzutem oka jałową pustynię dotychczasowej działalności, rzucił ostatnie wyzwanie panującym opinjom, wydał ostatni krzyk duszy, wiel-

niem (?!) zrobione w Galicji, nie było dla Austrji dzielnym argumentem dla poparcia sprawy Polski w obliczu Rosji!» Z całą pewnością powiedzieć można, że jeżeli z myślą powstania w Galicji nosił się Mochnacki, nigdy nie rozumował w tak naiwny sposób. Ale Tygodnikowi chodziło o ośmieszenie wszystkiego, o co posądzano dyplomatów. Dalej pisze Tygodnik, że prospekt ogłoszony w pierwszym zeszycie pisma Kraj i Emigracja jest częściowo, mianowicie od str. 22 pióra M-go. Istotnie w tej części prospektu znajdujemy myśli, które niejednokrotnie wypowiedział M-cki. I styl miejscami bardzo przypomina styl M-go. Np.: «Setnych, odwiecznych ofiar nadszedł przecie skutek pożądany. W rozdartych tylu przeciwnościami wnętrznościach, ujrzał lud swe serce, poznał

biącej czyn. Dostojne słowo znakomitego pisarza zadźwięczało jak dzwon, odlany z najszlachetniejszego metalu. Poważne i majestatyczne, miało przejrzystość jasnego dnia i dalekość widnokręgu, widzianego ze szczytów. Pewne siebie, mocne i ważkie niosło nową ideę, a więc musiało budzić zadziwienie i przyjęte być wrogo. Jak gdyby mistrz słowa wiedział, że przemawia po raz ostatni i chciał umrzeć w atmosferze,

---

się, powziął w własne siły ufność, wie teraz, że nie brakiem wojska lub broni był jego upadek, ale brakiem tej niewładnej, przypadkowej władzy, co od prostej opozycji, od łacińskiej konstytucji, od bawiącej detronizacji do kawalerskiego wydania wojny przechodziła przez wszystkie szczeble i szczebelki krajowych i zagranicznych układów». («Kraj i Emigracja». Zeszyt I. Paryż 1835, str. XXIII i XXIV). Inne ustępy prospektu potwierdzają doniesienie Tygodnika, które zaś artykuły drukowała Kronika Emigracji Polskiej dociec trudno. W Tygodniku Emigracji z d. 23 maja znajduje się zaprzeczenie, jakoby tak nieudolny prospekt, jak w I-ym zeszycie Kraju i Emigracji, mógł napisać M-cki. Autor zaprzeczenia godzi się co najwyżej na to, że «ta część prospektu zawiera w sobie poszarpany na kawałki prospekt pióra M-go». Tak, zdaje się, jest istotnie. Wogóle znana jest tylko część prac, napisanych przez M-go na emigracji. Znakomity pisarz często «pożyczał» swojego pióra, jak ongi w Warszawie. W swoim czasie zarzucono Jełowickiemu, że tłumaczenie Słów Wieszczych księdza Lamennais, tłumaczenie, które sobie przypisał Jełowicki, dokonane zostało przez M-go. Wówczas M-cki zaprzeczył temu stanowczo. Ale Jełowicki w jednym ze swoich artykułów pisze: Mochnacki «rozpoczął bój myśli na tułactwie, to pisząc w imieniu własnem, to pożyczając drugim rozumu i stylu którym, niestety, ta pożyczka tylko na ten raz jeden służyła». («Młoda Polska», Paryż 1840, Tom III, str. 6). Te słowa Jełowickiego również są dowodem, że część prac M-go całkiem nie jest znana.—Pismo Kraj i Emigracja jako wydawca podpisywał Janusz Woronicz, współpracownikami najczynniejszymi byli Hoffman i Jełowicki.

w jakiej ubiegło mu życie, śród cichego szmeru podziwów i łoskotu klątw, które zwykle budziły jego wystąpienia.

Czem żyła emigracja? jakie nadzieje opromieniały drogę tułaczą?

Demokraci wyczekiwali zbawienia od ludów, dyplomaci utkwili swe oczy w gabinety i od rządów spodziewali się pomocy. I płynęły długie dni, tygodnie, miesiące, mijały całe lata, a wychodźcy polscy trwali w omamieniu, trawili czas na wzajemnem szkalowaniu się i obrzucaniu błotem. A tam o setki mil, pod niebem rodzimem rozgrywał się dalszy ciąg dziejowego dramatu i cierpiały miljony. Mogłyż je zbawić gabinety lub ludy? Mochnacki już w kraju wskazywał rodakom, kto jest ich właściwym sprzymierzeńcem, ale i wówczas nie stwarzał iluzyj, że ludy porwą za oręż i pośpieszą na pole krwawych zapasów. Już wówczas określił on istotę przymierza i czynił je całkowicie zależnem od własnych działań, od treści, którą stworzy powstanie. A w pierwszym artykule, drukowanym na tułactwie, on pierwszy przypomniał emigracji, że jest koroną drzewa, mającego swe korzenie we wnętrzu ojczystej ziemi. W Piśmie okólnem skrystalizował swe myśli i wyolbrzymił je do znaczenia idei. A więc najpierw raz jeszcze wskazał konieczność nawiązania łączności z krajem, a następnie starał się wyplenić z serc i umysłów nadzieje pokładane, i w ludach, i w gabinetach—i przekonać wygnańców, że wszystkie usiłowania i cała polityka powinna się opierać na własnych jedynie siłach. Wreszcie wychodząc z założenia, iż dzieło zagłady szybko postępuje, nawoływał do działań szybkich i stanowczych, zapewniając, że „genjusz Polski” wynajdzie dla jej

zbawienia inną, nieznaną jeszcze wojnę. „Niezmiernemu uciskowi wyrówna wtedy niezmierny opór, a historja powie o nas w swoim czasie, że jarzmo królów przymusiło naród najłagodniejszy i najoświeceńszy Słowiańszczyzny do środków wojowania, godnych Atylli i Dżengis-Chana”...

Wskazywał następnie Mochnacki ogromną szkodę, jaką wyrządziła emigracji polityka zagraniczna, pochłaniająca wszystkie myśli tułaczów. Ta polityka rozdzieliła emigrację. Ta polityka oderwała ją od ziemi rodzinnej. Ta polityka sprawiła wreszcie, że wszyscy razem „zapomnieli o własnym kraju, o narodzie polskim, jako o sile, mogącej zerwać obce pęta bez obcej pomocy”.

Do zrywania tych pęt wzywał Mochnacki ogół emigracji. Aby zaś tego dopiąć, wskazywał konieczność utworzenia władzy „pojętej w celach insurrdekcji” i „na zasadach insurekcji opartej”. Ustanowienie władzy centralnej i nawiązanie stosunków z krajem, oto najpilniejsze zadania, które stawiał przed oczyma rozdartych na zwalczające się partje rodaków [1]).

A mówiąc o władzy centralnej, miał na myśli postawienie na czele tej władzy ks. Adama Czartoryskiego, aczkolwiek w piśmie okólnem nie wspominał o tem. Ale wyraźnie powiedział to w liście do pułkownika Zamoyskiego:

„Tyle razy mówiliśmy o tem ze sobą, szanowny pułkowniku, że jest jeszcze dla nas, dla narodu w tym ratunek, żeby Polska postrzegła księcia na czele tych idej powstania [2]).

---

[1]) Pismo okólne. Listy M. Mochnackiego, str. 370 – 378.

[2]) St. Szpotański. M. Mochnacki, str. 249.

Pod **P i s m e m o k ó l n e m** podpisało się kilkunastu wychodźców, przebywających w Auxerres, ale wszyscy wiedzieli, kto jest właściwym autorem tej grzmiącej odezwy. I Mochnacki nowe pioruny ściągnął na swoją głowę. Mówił on o nawiązaniu łączności z krajem, a ponieważ w liście otwartym do gen. Dwernickiego pisał o Czartoryskim, jako o człowieku, mającym najrozleglejsze w kraju stosunki, więc domyślano się powszechnie, że Czartoryskiego przeznacza na przewodnika emigracji. W Paryżu i po zakładach nowa rozszalała burza. Nie wahano się twierdzić, że Mochnacki został przekupiony i dał się użyć jako narzędzie intryg arystokracji.

Była to nieprawda.

Mochnacki nigdy nie był narzędziem w cudzych rękach.

Listy posła Zwierkowskiego do Lelewela rzucają nieco światła na stosunek znakomitego pisarza do obozu Czartoryskiego.

„Arystokraci z Maurycym Mochnackim robić pragną swój komitet, księcia pana wynieść i myślą Sejm zwołać—wysłali Władysława Zamoyskiego do Galicji, bo mało się zwolenników pokazuje w K. (prawdopodobnie w Królestwie)” [1]). Ale nieco później inaczej tę sprawę przedstawia Zwierkowski: „Arystokratyczni liberaliści wiążą się i odstępują księcia pana, chcą z nami porozumienia (list był pisany w okresie tworzenia M ł o d e j P o l s k i), ofiarują dobrowolną emancypację z nadaniem własności chłopom” [2]). Wreszcie w tydzień po tych informacjach raz jeszcze Zwier-

---

1) Roczniki Polskie Leonarda Chodźki, 1834. Bibl. w Rap.

2) Tamże.

kowski potwierdza wiadomość o nieporozumieniach pomiędzy Czartoryskim a młodzieżą. Ale niezależnie od tego, co pisał Zwierkowski, z całą pewnością powiedzieć można, że znakomity pisarz, acz pozostawał w stosunkach z Czartoryskim, jednakże nie odstąpił od swoich zasad i nie sprzedał się arystokracji, choć Czartoryskiego i cały jego obóz chciał nakłonić do swoich widoków. We wspomnianym już liście do pułk. Zamoyskiego przewidywał, że Zamoyski niejeden zarznt uczyni mu z powodu tego pisma okólnego, a najbardziej się lękał, żeby „książę tego kroku nie poczytał zanadto wczesny, może ryzykowny". I starał się przekonać Zamoyskiego, że tylko takie stanowisko jest stanowiskiem słusznem i politycznie usprawiedliwionem.

„Kładąc insurrekcję za zasadę władzy, która emigracją rządzić powinna, cóż powiadamy nowego świętemu przymierzu? Nasze położenie jest nadto wyraźne, nasz interes narodowy nadto jasny, ażeby monarchowie, co Polskę rozebrali, za coś innego emigrację mieć mogli, jak za materjał palny. Czego więc przed nimi utaić nie zdołamy, to lepiej powiedzieć otwarcie: Zrobiliśmy powstanie, myślimy o zrobieniu nowego powstania, zrobimy nowe powstanie, a przynajmniej takie jest nasze przedsięwzięcie: otóż język nam właściwy".

Ale ani język, ani idee, które autor Powstania Narodu głosił, nie odpowiadały widokom Czartoryskiego. Mochnacki, rewolucjonista z usposobień, temperamentu i ducha, nie przestał być rewolucjonistą, a już Pismo okólne było dowodem, że przymierze pomiędzy znakomitym pisarzem a partją dyplomatów jest sztuczne, że niezadługo przyjdzie chwila,

kiedy ten wieczny buntownik zwróci się przeciw nowym sojusznikom i zerwie z nimi, jak zrywał z każdym obozem, do którego się zbliżył...

Ale akcenty rewolucyjne, których pełno było w ostatniej pracy znakomitego pisarza, nie przejednały jego przeciwników. J. B. Ostrowski przesadzał się teraz, by jak najczarniejszemi sadzami odmalować intencje Mochnackiego. Ibuś stawiał autora „pism auxerrskich" pod pręgierz opinji i pisał o nim w najbrutalniejszych wyrazach. „Człowiek opluty i wyrzucony za drzwi przez wszystkie stronnictwa, odarty ze czci moralnie i politycznie, generałowi Dwernickiemu śmie posyłać swoje nauki, urągać polskiej emigracji, że błądzi, on! uczeń Szaniawskiego... moskiewski cenzor, niegdyś rzeźnik, a teraz wielbiciel arystokracji"... [1]). Ale Ibuś niemal o wszystkich pisał w ten sam sposób i uczciwsi ludzie wszystkich obozów patrzyli na niego z odrazą. To też stokroć boleśniejszym mógł się stać dla Mochnackiego głos inny, a mianowicie list otwarty Ludwika Nabielaka, człowieka znanej prawości, niegdyś jednego z najbliższych Mochnackiemu ludzi. W liście swym Nabielak, powołując się na dawną przyjaźń, pisał pod adresem przyjaciela słowa „najostrzejszej prawdy" i imieniem ojczyzny wzywał go do odwrotu [2]).

---

[1]) «Nowa Polska». 1834. Półarkusz trzeci. Str 249.

[2]) «Ludwik Nabielak do M Mochnackiego z powodu pism auxerrskich». Nabielak m. in. pisał: «Maurycy! zgubny niestatek polityczny zawiódł cię znowu na tor uboczny. Piórem twojem popierasz ludzi, którycheś sam niedawno wobec całego narodu za terorystów socjalnego nierozumu, za nieuków politycznych przed całym narodem ogłaszał.. Szczerze nad tem boleję, żeś przez ten nierozważny postępek wiarę twoją i tak już chromej sławy, do reszty na szwank wystawił, a nawet sam talent pisarski w lekceważenie u ziomków podał»...

Ale kiedy list Nabielaka opuszczał prasę, Mochnacki walczył ze śmiercią.

W grudniu 1834 r. rozchorował się niebezpiecznie. Na wieść o tej chorobie poruszyła się emigracja. Książę Czartoryski, Władysław Zamoyski, generał Dembiński pchali do Auxerres pieniądze i lekarzy i za wszelką cenę ratować chcieli gasnące życie genjalnego młodzieńca [1]). Otoczono go najtroskliwszą opieką. Ale było już za późno. Lekarze stwierdzili zapalenie mózgu i nie rokowali żadnej nadziei. Mochnacki konał nieprzytomny.

20 grudnia 1834 roku o godzinie piątej po południu zamknął na zawsze powieki.

A zgonowi towarzyszyła wrzawa emigracji, hałasy, złorzeczenia, przekleństwa. Śmierć na jedną chwilę nie powstrzymała rozjątrzonych pismami Mochnackiego wychodźców, z ich serc nie ustąpiła zawziętość. Nawet Ludwik Nabielak w dniu, w którym dowiedział się o śmierci przyjaciela, napisał w swoim pamiętniku: „Jaka szkoda Maurycego pod względem literackim! Ale pod względem politycznym i dla własnego imienia jego kto wie, czy się nie lepiej stało”...[2]). Inni nie zdobyli się nawet na takie, jak Nabielak, współczucie. Na trumnę niezwykłego człowieka, człowieka wielkiej wiary i śmiałego czynu, sypały się w dalszym ciągu obelżywe wymysły, oszczerstwa, kalumnje.

---

[1]) Podczaszyński, sam dogorywający na suchoty, był nieobecny. Podczaszyński umarł 4 lipca 1835 r. w Paryżu. Umarł w strasznej nędzy.

[2]) «Ludwik Nabielak». Opowieść historyczna przez Władysława Zawadzkiego. Lwów 1856, str. 101.

Ale oficjalny pogrzeb w Auxerres, — jak pisze jeden ze świadków, — „odbył się wspaniale. Kościół Fary wybito czarnym kirem i rzęsisto oświetlono, nabożeństwo wielkie, muzyka gwardji narodowej, wszystkie władze, prefekt, generał komenderujący z całym sztabem w wielkich uniformach, gwardja narodowa w paradzie. Ciało Maurycego wynieśli z kościoła przez całe miasto naprzemian koledzy. Francuzi, cywilni i wojskowi, dobijali się, ażeby mogli nieść zwłoki tak znakomitego młodzieńca i męża; co kilkanaście kroków odbierali sobie jedni drugim, ledwo przy cmentarzu my mogliśmy odebrać im nasz skarb. W czasie tej eksportacji muzyka wojskowa przygrywała i przerywała to głuche milczenie, które uszanowanie sprawiało. Strzelanie całego bataljonu, który asystował temu smutnemu obrządkowi, ciągle powtarzano. Ludność kilkotysięczna tłoczyła się za trumną. Na cmentarzu Antoni Walewski przemówił w języku francuskim. Mowa jego tak rozczuliła publiczność do najwyższego stopnia, że płacz był powszechnym; potem przemówił w języku polskim kapitan Olszewski"... [1]).

„Dziś, — mówił nad mogiłą Olszewski — każdy z nas jest przekonany, że Mochnacki pojmował gruntownie naszą sprawę, śmiało powiem, sam jeden, i mało życiem nie przypłacił, że się poważył prawdę wobec świata władzom powiedzieć"... [2]).

---

[1]) List Stefana Dębowskiego: «Listy M. M-go i brata jego Kamila», str. 281—282.

[2]) «Kronika Emigracji Polskiej». Tom II, str. 197 — 198.

W ten sposób po raz pierwszy oceniono należycie Mochnackiego...

A oceniono go w porę: na cmentarzu, nad otwartą mogiłą...

* * *

Zczasem na grobie wielkiego pisarza stanął pomnik pomysłu rzeźbiarza Oleszczyńskiego. Było to popiersie, odlane z bronzu, a wzniesione na kolumnie z kamienia.

W ciągu całej działalności Mochnackiego szła za nim zawiść, pełzały wkoło niego potwarze i krok w krok, aż do grobowej deski towarzyszyła mu nieufność. Mochnacki popełnił w młodości straszny grzech. Takich rzeczy, jak „pismo karmelickie" nawet w dziewiętnastym roku życia nie pisze się bezkarnie. A młodość Mochnackiego była głównym powodem, który uczynił z niego wodza bez armji. Ceniono jego zdanie, ale gdy w stanowczej chwili głos jego brzmiał jak komenda, pierzchali przyjaciele i wkoło wodza czyniła się pustka. Mochnacki w zaraniu swojej działalności politycznej był skompromitowany i to zemściło się na nim okrutnie. Bo choć plamę swoją zmył później ranami i krwią, nieszczęsne „pismo karmelickie" nie przestało żyć w pamięci rodaków. Ile razy wzniósł się wyżej, tyle razy przeciwnicy godzili w niego zabójczem przypomnieniem i z piedestału strącali w błoto. Oręż był straszny, ale jakże niemiłosierni byli ci ludzie, co nieustannie ten oręż zatapiali w piersi, przestrzelonej pod Ostrołęką, w piersi człowieka, który mógł i mimo wszystkie swe błędy, wady, ułomności, miał prawo powiedzieć:

„Polska niepodległa i potężna była jedynym romansem mojej młodości"...

Przedziwny tragizm owiewa całe życie Mochnackiego...

Przedewszystkiem musi on wymykać się śmierci, na którą po raz pierwszy skazują go młodociani towarzysze z tajnego związku, a potem zwolennicy Lubeckiego, a potem Lach Szyrma, a potem tłumy uliczne, a potem zebranie rewolucjonistów w Lublinie, a potem ksiądz Puławski, a potem Chrzanowski, a potem Krukowiecki. I godzą w niego kule nieprzyjacielskie i żre sterany organizm gruźlica. Śmierć, potwarze, trwoga o najbliższych i nędza, to było błędne koło, w którem upływało osobiste życie znakomitego pisarza. Trzeba uwzględnić wszystkie przykrości i wszystkie przejścia życiowe, aby zrozumieć gorycz, która zalewała duszę Mochnackiego i ujawniała się nazewnątrz w wybuchach, często nacechowanych jakąś gwałtowną nieposkromioną zawziętością, jakimś wewnętrznym niepokojem, który nieustannie nim miotał...

Mochnacki był najnieszczęśliwszą w Polsce wielkością...

Nieporównany pisarz ani jednego z dzieł swoich nie doprowadza do końca [1]), niestrudzony działacz ani jednego ze swoich zamierzeń nie wciela w czyn, a wszystko, co stwarza, sam druzgoce lub zdruzgotać się stara. Największy ideolog romantyzmu w Polsce przeciwstawia się później romantyzmowi, najgorliwszy

---

[1]) Drugi tom dzieła o literaturze nie został wydany i do dziś dnia nie ukazał się dalszy ciąg Powstania Narodu Polskiego. Ten dalszy ciąg, jak można wnosić z listów M-go, z listu p. Turqui, z polemiki, która się później toczyła pomiędzy wydawcami Mochnackiego, Jełowickim a Chełmickim, nie był, jak się zdaje, fikcją.

krzewiciel poezji protestuje zczasem przeciw jej tyranji. Twórca Towarzystwa Patrjotycznego staje się jednym z najgroźniejszych przeciwników własnego dzieła. Organizator Komitetu Narodowego podrywa powagę Lelewela, wydziera z rąk jego władzę i oddaje ją Dwernickiemu, by potem walczyć z Dwernickim. W kraju zwalcza Czartoryskiego, na emigracji wspiera go swoim potężnym talentem, zrywa z przyjaciółmi, zbliża się do nieprzyjaciół i umiera żegnany klątwą, wzgardzony, niezrozumiany przez przyjaciół, wielbiony przez przeciwników.

Żywiołem Mochnackiego było nieustanne tworzenie, rzeczy skończone, skrystalizowane, dokonane, przestawały go zadowalać. Mochnacki był człowiekiem ruchu i w miejscu stać nie umiał. Siła twórcza pchała go nieustannie naprzód i naprzód, kazała pogardzać tem, co zostawało poza nim. W ten sposób oddalał się ciągle od swego otoczenia i od dzieł własnych. A te dzieła dostawały się niemal zawsze w ręce innych, i w rękach tych zmieniały swój kształt i swoją treść i stawały się karykaturą. Taką karykaturą było Towarzystwo Patrjotyczne, związek w domu Chłędowskiej, komitet Lelewela, taką karykaturą stawał się każdy jego plan i zamysł, jak pismo Kraj i Emigracja, jak stowarzyszenie wojskowe, o którem marzył przed zgonem...

Ten sam tragizm prześladował dzieła Mochnackiego i po jego śmierci.

Na gruzach jego myśli wznoszone były całe gmachy ideologji politycznej. Przekształcały się partje na emigracji, zamierały jedne i powstawały nowe, a w każdej z nich możnaby wskazać strzępy potężnych myśli, które pierwszy wygłosił Mochnacki. Ale ani jedna

z tych myśli nie została rozwinięta zgodnie z założeniem swojego twórcy. Gdy mogiłę Mochnackiego zarosła murawa, gdy namiętności, które obudził, ucichły, wtenczas wszystkie stronnictwa rzuciły się na jego prace i zaczęły go sobie wydzierać. Dość czytać prowadzone przez lat kilkanaście polemiki pomiędzy Trzecim Majem, organem monarchistów a Narodowością Słowaczyńskiego lub Demokratą Polskim, dość wniknąć w te kłótnie niemal o każde zdanie, wypowiedziane w ostatnich pracach Mochnackiego, aby zrozumieć, jakim autorytetem i jaką potęgą stał się po śmierci autor Powstania Narodu Polskiego. Czerpali też z dzieł znakomitego pisarza i monarchiści, i republikanie, i konserwatyści, i demokraci, słowem, politycy wszelkich barw i odcieni. Demokraci przejęli się zczasem ideą opierania wszelkich rachub wyłącznie na siłach własnych, monarchiści wysnuli z dzieł Mochnackiego ideę dynastji. Ale jedni i drudzy spaczyli myśli pierwowzoru. Obóz demokratyczny zapomniał o charakterze emigracji i łączności z krajem, a dynastycy, tak zwani Adamici wpadli w sprzeczność jeszcze większą. Czartoryski, ogłoszony królem polskim w pierwszych dniach powstania wobec tego, że Sejm polski wypowiedział się za monarchją konstytucyjną. Czartoryski ze swoim interesem dynastycznym, z powagą króla postawiony na czele rządu, mógł się stać siłą i siłę tę tchnąć w omdlewające powstanie. To była myśl, to była idea. Ale czemże się stawał Czartoryski jako „król polski" na emigracji, o setki mil oddalony od kraju, bez wojska, rządu, pieniędzy, sił i środków?...

W karykaturze najczęściej żyły myśli Mochnackiego...

Mimo to wpływ jego nie skończył się na emigracji... Wymierali zwolna tułacze, traciły moc życia ich pisma, programy, rozpadały się wszystkie organizacje, a myśl Mochnackiego nie przestawała żyć na obczyźnie i w kraju. Krytyka literacka w Polsce kilkadziesiąt lat z rzędu przerabiała i trawiła prace literackie Mochnackiego, a jego Powstanie Narodu Polskiego stało się manifestem rewolucyjnym dla następnego pokolenia. Ludzie, co przygotowywali rok 1863, kształcili się na Mochnackim, wchłaniali jego myśli, przejmowali się jego ideami. Lecz gdy pozostawiony przez niego testament zaczęli w czyn wcielać, zapomnieli, że „rewolucja jest umiejętnością", popełnili te same błędy, które ich mistrz chłostał, oparli się na tych samych złudzeniach, które on raz na zawsze chciał zabić w narodzie...

I testament Mochnackiego nie został wykonany...

Ale autor Powstania Narodu Polskiego był nietylko jedną z największych indywidualności politycznych, jakie wydała Polska w XIX stuleciu. Mochnacki był jeszcze jednym z najwybitniejszych umysłów ubiegłego wieku, był zarazem najprzenikliwszym człowiekiem swej epoki, a od czasów Skargi największym prozaikiem polskim [1]). Słowo jego miało jasność błyskawicy i rozległość grzmotu. I oślepiało,

---

[1]) Oczywiście nie mówię tu o prozie poetyckiej, którą się posługiwali i Mickiewicz, i Słowacki, i Krasiński. Proza Mochnackiego już za jego życia była oceniona. Jeden tylko Krasiński miał co do tego odrębne swe zdanie: «Mochnackiego Powstanie Narodowe Polski, — pisze ten poeta, — jest ciężkie do czytania, ale ma swoje zasługi. Niemiecki styl zgubił Mochnackiego»... (Listy Zygm. Krasińskiego do Konst. Gaszyńskiego. Lwów, 1882. str. 58).

jak błyskawica i jak grzmot wstrząsało całem pokoleniem. Trzeba było czasu, aby oswoić się z przedziwną jasnością tego słowa i jego piorunowym dźwiękiem. I trzeba było czasu, aby przebiec tę przestrzeń, którą Mochnacki zostawił za sobą. Bo on zawsze wyprzedzał współczesność i w gąszczu czasu przyszłego wyrąbywał drogi, któremi później swobodnie kroczyła myśl polska...

„Prawdę, — powiedział w jednym ze swoich licznych artykułów, — zbliska najtrudniej znaleźć i wyrozumieć. Zdaje się jakoby opodal jaśniej świeciła... Wielki tylko mąż wyrywa się z ponęt, któremi go obecność ciągnie ku sobie! Wychodzi duszą z czasu dla wybadania jego tajników. Oddala się od wieku, ażeby go lepiej zrozumiał. Myślą staje na punkcie daleko wyniesionym nad poziom prędkiego strumienia, którego źródło i cel gdzie płynie, zarówno nieznane! Tacy tylko zdolni opisać, co się koło nich dzieje"... [1]).

Takim mężem był on sam Mochnacki i taką zdolność, jak nikt ze współczesnych posiadał.

„Aby zyskać wziętość u ludu, trzeba samemu być ludem", mówi w innem miejscu i najzawziętsi jego wrogowie, bo politycy z Towarzystwa Demokratycznego, przyznali mu zczasem, że on jak nikt umiał się w lud wcielać i przemawiać językiem ludu i stawać się ludem.

Możnaby bez końca przedłużać wątek tych wymagań, które stawiał Mochnacki wielkości i zawsze stwierdzać, że on się mieścił w jej ramach. Śród legjonu działaczów z r. 1830 on jeden wskazywał drogę, na której marzenia i tęsknoty współczesne

---

[1]) «Kurjer Polski», r. 1830 z d. 16 kwietnia.

mogły się przyoblec w kształty konkretne. On jeden umiał sięgać w obłoki, a jednocześnie stać twardo na gruncie rzeczywistości i żyć życiem realnem. Wstrząsały nim burze, gnały go wichry dziejowe i siła konieczności wlokła za sobą w gorejące płomienie nieszczęść i zawodów. W chwilach, kiedy gmach cały płonął, kiedy pękały już wiązania ojczystego domu, umiał jeszcze wskazać środki ratunku i przejawić hart męskiego ducha. I później, na tułactwie, daleki był od rozpaczy. Jego serce nie dało się opanować zwątpieniu, jego umysł na jedną chwilę nie przestał być twórczym. Uwielbiał wielką siłę i wielki czyn i z okrzykiem takiego czynu umierał. Grzebiąc Mochnackiego, emigracja polska pogrzebała na cmentarzu w Auxerres życiową, rzeczywistą wiarę całego pokolenia. Wiara ta tkwiła w idei czynu i z idei czynu brała swój początek. Nie wypływała z tęsknoty i marzeń. Nie była patrjotyczną kontemplacją, ani wybuchem uczuć, lecz w najtrudniejszem położeniu usiłowała tworzyć rzeczywistość polską. Ta rzeczywistość tkwiła nie na emigracji, lecz w kraju. Tak ją widział i tak ją ujmował Mochnacki. Ale tego nie rozumieli tułacze. On należał do czasu przyszłego. I ze wszystkich osobistych jego tragedyj, ta była największa: w przeciągu lat dziesięciu swej służby publicznej cały wiek pracy pozostawił za sobą, a przecież nigdy nie zbliżył się do celu! Nie zwątpił ani w swój naród, ani co godniejsze podziwu! nie zwątpił w samego siebie, a przecież zawsze obezwładniali go słabsi i wyrzucali poza obręb możności oddziaływania na ważniejsze wypadki!...

Tak. Mochnacki nie zwątpił w siebie, choć w nim samym, jak gwóźdź wbity w serce, tkwiło poczucie

własnego występku, popełnionego na progu życia, to straszne poczucie, które nie pozwalało mu jasnym, niezamąconym wzrokiem spoglądać w swą przeszłość i w tworzeniu przyszłości zająć śród współczesnych należne jego umysłowi i talentom miejsce. Nie przebaczono mu chwili upadku, choć błąd swój odkupił później krwią i pracą ofiarną. Ale też często przeciwnikom bardziej, niż ów błąd przeszkadzał jego umysł bystry, przenikliwy, nieustannie czujny, czynny i twórczy, a niezdolny do kompromisu. Szkodziły Mochnackiemu jego słowa, co tak często z miażdżącą siłą młotów uderzały z przerażającym hukiem w kowadło nierozumu i zgubnych konwenansów. Mochnacki w młodości swej padł w walce ze straszliwym i podstępnym wrogiem. Ale nie kupczył sumieniem w walce ze swoimi, nie zdobywał uznania i spokoju za cenę ustępstw z własnych swych przekonań. Zmieniał się, ale idea jego była niezmienna. Umarł, mając zaledwie lat trzydzieści. A umarł, stargany burzą polityczną. Jako młodzieniec był już mężem dojrzałym, oddanym całkowicie sprawie publicznej. Powiedział prawdę, gdy twierdził, że romansem jego młodości była Polska niepodległa. Nie znał innych romansów, innych namiętności, możnaby powiedzieć, że nie miał życia osobistego. Jakoż trzydzieści lat tego życia wolne jest od skaz i upadków, od występków i błędów, które najsurowsi biografowie kładą nieraz pobłażliwie na karb młodości swych bohaterów, a które rzekomemi młodości prawami starają się wytłumaczyć. Nie szumiała młodość Mochnackiego śród łatwych uciech życia, lecz spalała się na popiół śród klęsk i nieszczęść, od których kraj ginął. Młodość Mochnackiego sterała się na drogach, które

w ciemnościach wskazywał swojem jasnowidztwem, by zamordowanej ojczyźnie wrócić życie i zdrowie. Nieraz miotał nim niepokój, a krwawe cierpienie zatapiało swe szpony w twardem jego sercu i w stosunkach z ludźmi czyniło go trudnym, ostrym, niesprawiedliwym. Był sam duchem niespokojnym, ale żył w czasach, kiedy błogi spokój stawał się usypianiem własnego sumienia, albo występkiem. Budził podziw, częściej jeszcze budził lęk i grozę. On najwięcej prawd bolesnych wypowiedział współczesnym, a więc najwięcej musiał wycierpieć. Ile razy milczał, tyle razy otaczała go przyjaźń, milkły zarzuty, cichnął syk oburzenia. W tych rzadkich, bardzo rzadkich okresach jego życia darowywano mu wszystko, ale nigdy mu nie przebaczono, że jak kolos wyrastał ponad tłum liliputów, że z ust jego zrywały się gromy prawd, że jego myśl jaśniała jak łuna pożarna i zaćmiewała wkoło błędne ogniki, rozpalane wysiłkami mierności.

Przeznaczeniem Mochnackiego, jak każdego genjalnego działacza w Polsce — była samotność.

WYKAZ NAZWISK.

O

P

R

S

T

U

W

TREŚĆ.

PRAWDA A PRACA